

REMIGIUSZ MRÓZ

PRĘDKOŚĆ UCIECZKI

PARABELLUM



INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

REMIGIUSZ MRÓZ

Parabellum

tom I

Prędkość ucieczki

P R Ę D K O Ś Ć U C I E C Z K I – minimalna, niezbędna prędkość, jaką musi posiadać obiekt, by opuścić pole grawitacyjne ciała niebieskiego. W przypadku czarnej dziury nawet prędkość światła jest niewystarczająca.

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Część I

Część II

Część III

Posłowie

Przypisy

Redakcja: ARTUR SZREJTER
Korekta: EWA CIEŚLAK
Projekt okładki: MAGDALENA ZAWADZKA
Skład: TOMASZ WOJTANOWICZ

Copyright © by Remigiusz Mróz, 2013
Copyright © by Instytut Wydawniczy Erica, 2013
Wszelkie prawa zastrzeżone

ISBN 978-83-64185-32-8

Instytut Wydawniczy ERICA
e-mail: wydawnictwoerica@wp.pl
www.WydawnictwoErica.pl
Oficjalny sklep www.tetraErica.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

STOPNIE W SS W LATACH 1934–1940

Wehrmacht	SS	polski odpowiednik
Szeregowi		
Schütze	SS-Anwärter, SS-Mann	szeregowy, strzelec
Gefrejter	SS-Sturmmann	starszy szeregowy
Obergefreiter	SS-Rottenführer	kapral
Podoficerowie		
Unteroffizier	SS-Unterscharführer	plutonowy
Unterfeldwebel	SS-Scharführer	sierżant
Feldwebel	SS-Oberscharführer	starszy sierżant
Oberfeldwebel	SS-Hauptscharführer (SS-Stabsscharführer)	sierżant sztabowy
Oficerowie młodszy		
Leutnant	SS-Untersturmführer	podporucznik
Oberleutnant	SS-Obersturmführer	porucznik
Hauptmann	SS-Hauptsturmführer	kapitan
Oficerowie starszy		
Major	SS-Sturmbannführer	major
Oberstleutnant	SS-Obersturmbannführer	podpułkownik
Oberst	SS-Standartenführer	pułkownik
(brak odpowiednika)	SS-Oberführer	pułkownik liniowy/brygadier
Generalowie		
Generalmajor	SS-Brigadeführer	generał brygady
Generalleutnant	SS-Gruppenführer	generał dywizji
General	SS-Obergruppenführer	generał broni
Generalfeldmarschall	SS-Reichsführer (Heinrich Himmler)	marszałek



*Ego mitto vos sicut oves in medio luporum.
– Ja was posyłam jak owce między wilki.*

EWANGELIA ŚW. MATEUSZA

OKOLICE BURKUTU, POŁUDNIOWA POLSKA, NIEDALEKO GRANICY Z RUMUNIA, 1939 ROK

Kanonada przekleństw odbijała się echem w głowie młodego sierżanta. Słowa reprimendy z ust dowódcy huczały obezwładniająco, ale jeszcze nieprzyjemniejszy był deszcz kropelek śliny, tryskającej z ust wściekłego kapitana.

Podoficer z trudem podniósł wzrok. Starał się przeczekać ten atak i liczył na to, że w końcu uda mu się dojść do słowa. Wiedział, że dowódca ma rację, ale jednocześnie zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby mógł cofnąć czas, jeszcze raz zrobiliby to samo, za co teraz był obsztorcowywany.

– Sierżancie Zaniewski, jesteście nie tylko kompletnym idiotą, ale też pierdolonym psychopata!

– Panie kapitanie, melduję, że wszelkie uszkodzenia ciała chorążego Chwieduszki są wynikiem...

– W dupie mam twoje tłumaczenia! Staniesz przed sądem polowym szybciej, niż zdążysz pierdnąć po następnej grochówce.

Cała ta parszywa sytuacja związana z pobiciem przełożonego nie była pierwszym problemem, jaki kapitan Obelt, dowódca Piątej Kompanii Batalionu „Delatyn”, miał z Bronisławem Zaniewskim. Owszem, chłopak był materiałem na porządnego żołnierza, ale ujarzmienie jego wybuchowego temperamentu było ponad siły przeciętnego człowieka. Bez dwóch zdań oficer uznawał go za najlepszego strzelca w całym batalionie, ale zupełny brak oleju w głowie skutecznie przekreślał szanse sierżanta na dochrapanie się choćby stopnia chorążego.

Wiedział, że Zaniewski musiał zostać sprowokowany, zresztą od pewnego czasu miał na

pieńku z Chwieduszką. W normalnych okolicznościach kapitan wezwałby obu i rozwiązał sytuację w ten sposób, że kazałby im kopać – ramię w ramię – okopy przez dwie noce z rzędu. Brak snu i ciężka wspólna praca zrobiłyby swoje. Zresztą, nic bardziej nie cementowało żołnierskich relacji niż wspólne utyskiwanie na przełożonego, a oni mieliby wtedy ku temu całkiem niezły powód.

Bójka jednak odbyła się na oczach całej kompanii, a ta banda debili kibicowała walczącym z nieskrywanym entuzjazmem. Obelt musiał w duchu przyznać, że było na co popatrzeć w tym amatorskim starciu bokserskim, ale przez to sprawa stała się zbyt głośna, by zamieść ją pod dywan.

Nie miał wątpliwości, że z wyjątkiem Zaniewskiego i kilkunastu innych dostał dowództwo nad wyjątkowo nieudolnymi żołnierzami. Ich zadaniem było tkwienie na granicy z Rumunią, aby sprawiać wrażenie, że i tu są obecne polskie siły zbrojne. Prawda była jednak taka, że po prostu przejęli obowiązki Straży Granicznej. Jeśli doszłoby do prawdziwej walki, połowa miałaby pod siedzeniem potężne kałuże.

Mimo to starał się zrobić ze swoich żołnierzy ludzi. Był dla nich twardy, ale też pomocny, może czasem nawet zbyt. Jego polityka otwartych drzwi była krytykowana między innymi przez przełożonego, dowódcę pułku. A zbyt łagodne podejście zaowocowało tym, że banda żółtodziobów tytułowała go – za jego plecami, ma się rozumieć – „kapitanem Bełtem”. Wciąż nie mógł tego przetrawić.

W wyniku bójki Zaniewski miał złamany nos i podbite prawe oko, a Chwieduszek, oprócz licznych zauważalnych uszkodzeń ciała, także wstrząśnienie mózgu. Tak przynajmniej zawyrokował jeden z kompanijnych sanitariuszy. Cała masa kłopotów przez cholernego młodziaka, któremu nie wystarczyło sprawienie łomotu przełożonemu – musiał mu jeszcze zasadzić kolanem w głowę, kiedy ten już słał się na nogach.

– Ale panie kapitanie... – Bronek tkwił przed przełożonym w kamiennej postawie zasadniczej, jednocześnie starając się wyjaśnić, co sprowokowało całe zajście.

Kapitan Obelt szybko przerwał mu podniesionym głosem:

– Wypierdalać, sierżancie. Ale już.

– Tak jest – odparł Zaniewski widząc, że obecnie nic nie wskóra, choćby nawet stanął w poprzek.

Obelt wezwał dwóch żołnierzy stojących przed jego kwaterą i oczekujących decyzji dowódcy.

– Zaprowadzić do namiotu i pilnować, żeby nigdzie nie wychodził, dopóki nie wydam nowych rozkazów.

Dwóch szeregowców bez ceregieli złapało młodego sierżanta i spełniło rozkazy Obelta. A Bronek, nie chcąc pogarszać swojej sytuacji, po chwili przestał formułować wobec nich obraźliwe uwagi.

Kapitan usiadł na tyle wygodnie, na ile pozwalało wojskowe siedzisko i skonstatował, że ten cholerny chłopak z pewnością zna wagę takich wartości jak „honor” i „odwaga”, ale rodzice powinni dać mu na imię „bezmyślność”, a na nazwisko „próżność”. Osobliwy człowiek.

W namiocie niecierpliwie czekał na Zaniewskiego inny sierżant, z którym Bronek utrzymywał prawie braterskie stosunki. Wacek Maniura był nierozgarniętym, średnio kompetentnym, acz zawsze wesołym żołnierzem – choćby i musiał robić sto pompek w błocie, a Obelt siedziałby mu

na plecach.

– I co? Już mu rzeczy spakowałem – powiedział Maniura w charakterystyczny dla siebie sposób, który z początku drażnił Bronka, ale po pewnym czasie uznał to za przyjemny powiew folkloru.

– W łóżku też taki szybki jesteś?

– Nie wylatuje? – spytał zdziwiony Wacek.

– Może nie, Bełt był cały czerwony ze złości, ale nie wygląda na to, żeby sam chciał mi łeb ukręcić. Wszystko zależy od tego, czy sukinsyn Chwieduszko wniesie oskarżenie. Zresztą cholera wie, nie znam się na tych sprawach, nie wiem, jak to działa.

– No tak, jest jak prawdziwy polski porządny żołnierz – od obijania mordy, a nie od myślenia! – krzyknął Maniura i zerwał się, by sparodiować salut. – Ale było nie traktować chorążego z kolana w czerep na dobranoc.

– Gdyby nie kazał jakiemuś idiocie szeregowcowi naszczać mi w nocy do butów, to by nie zarwał.

– A tam, mi też nieraz ktoś naszczał. Takie życie. Nigdy nie zarobi pojedynczego paska na naramienniku, jak będzie lał po mordach innych podoficerów.

– Maniura, daj mi spokój. Jedyne czego mi teraz trzeba, to trochę lodu na łeb i walnąć się na pryczę. Na co najmniej osiem godzin. A nie dość, że jedno i drugie zobaczę jak świnia niebo, to jeszcze ty mi dupę zawracasz.

– To niech śpi, Bełt zrobi pewnie, co będzie mógł, żeby mu tę dupę uratować.

Zaniewski długo leżał na pryczy i nie mógł zmrużyć oka. Zresztą chyba nikt w kompanii nie spał, różnica była tylko taka, że on był uziemiony, podczas gdy reszta prowadziła wzmożone ćwiczenia bojowe. Sytuacja w szeregach stała się napięta do granic możliwości, wszyscy byli nerwowi jak nigdy, zresztą zapewne właśnie to było powodem całego zajścia z Chwieduszką. Od dawna między nim a Bronkiem trwał permanentny stan zimnej wojny, a atmosfera nerwowości, związana z sytuacją na granicy z Niemcami, okazała się katalizatorem wybuchu otwartego konfliktu. Wcześniej chorąży Chwieduszko kazał młodzieńcowi raz za razem szorować kible lub wydawał inne rozkazy, które wykonywane zbyt często mogłyby zachwiać psychiką niejednego człowieka o zdrowych zmysłach. Broniek odwdzięczał się, wymyślając coraz to nowe kompromitujące i obsceniczne żarty na temat przełożonego. Rozpuszczał też plotki o jego nocnych, mających miejsce za latrynami, schadzkach z niektórymi żołnierzami. Do tego dochodziły zaczepki przy wykorzystaniu podkomendnych – jak ta z mokrymi butami Bronka dzisiejszego ranka.

WARSZAWA, STYCZEŃ–SIERPIEŃ 1939 ROKU

Oznajmiając koniec zimowego popołudnia, słońce niespiesznie chowało się za pokrytymi białym puchem koronami drzew, gdy dwoje młodych ludzi beztrąsko przechadzało się alejkami Łazienek Królewskich. Błogą ciszę przerywał jedynie przyjemny dźwięk trzaskania śniegu pod butami oraz głosy zakochanych, którzy snuli plany na przyszłość.

Młodzieniec, trzymając pod rękę swą wybrankę, zaczął się zastanawiać, czy brakuje mu czegokolwiek, by z czystym sumieniem mógł przyznać, że oto doznaje pełni szczęścia.

Niedawno ukończył studia na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Warszawskiego, a dzięki osiągnięciu dobrych rezultatów w swoich zmaganiach naukowych, malowała się przed nim wizja stałej pracy w jednym z najstarszych szpitali w mieście, u Świętego Łazarza. Do tego w życiu osobistym wszystko układało się jak najlepiej. Odbywał nawet z Marią niezobowiązujące rozmowy na temat uroku małych dzieci obrzucających się śnieżkami, co mogło stanowić preludium do podjęcia tematu małżeństwa.

Od dłuższego czasu zastanawiał się, czy właśnie nie nadeszła najwyższa pora, by został klientem któregoś ze znanych zakładów jubilerskich. Pochodził z dobrej rodziny o szlacheckich korzeniach, a ojciec prowadził prywatną działalność, w efekcie rodzice nie narzekali na brak pieniędzy. Gdyby zastosował umiejętną strategię, pomogliby mu sfinansować planowany zakup.

Dręczyły go jednak pewne, jakkolwiek nikłe, wątpliwości co do ślubu – wszak skończył zaledwie dwadzieścia cztery lata. A dzięki swej nienagannej prezencji i ujmującej osobowości nie miał kłopotów ze zdobywaniem kobiet. W jego życiu było ich nawet zbyt wiele, przez co nie bez obaw myślał o tym, że resztę życia będzie musiał spędzić wyłącznie z jedną. Owszem, kochał Marię, a ich związek trwał już cztery lata, jednak – jak każdy – i on na swej drodze ku szczęściu napotykał wyboje. Maria, absolwentka architektury, była żywiołowa i energiczna, a nawet wybuchowa, co w zderzeniu z jego stoicyzmem często owocowało krótkimi spięciami. Uważał jednak, że właśnie to czyni ich związek tak wyjątkowym.

Wprawdzie Władysław, jego ojciec, nie akceptował w pełni Marii Herensztad z powodu jej żydowskiego pochodzenia i prawdopodobnie będzie protestował w kwestii ślubu, ale młodzieniec był pewien, że z pomocą Róży, swej matki, zdoła przeforsować własną wolę.

– Staszek, słuchasz mnie, do cholery? – Maria zapytała wyraźnie zirytowana, gdyż był to jeden z tych momentów, kiedy w samym środku dyskusji odpływał myślami gdzieś daleko. Nie znosiła tej jego manieri, choć była świadoma, że bez niej straciłby część swojego uroku. Sama, zaczynając jakąkolwiek dysputę, była nią całkowicie pochłonięta, tymczasem on przejawiał tendencję do obracania spraw konkretnych w abstrakcyjne i snucia myśli, które pozostawały zrozumiałe wyłącznie dla niego.

– Tak, tak, przepraszam. Co mówiłaś?

– Co myślisz o wizycie Becka w Niemczech? – zapytała już spokojniej.

– Będzie dobrze. – Zobaczywszy jej pytający wzrok, stwierdził, że szykuje się dyskusja polityczna, uznał więc, iż najlepiej będzie nie poprzestawać na tak krótkim stwierdzeniu. – Podobno jutro ma się spotkać z Hitlerem i Ribbentropem. Moim zdaniem będzie trochę kurtuazji, potem twardych negocjacji, a w efekcie dojdą do jakiegoś porozumienia.

– Ty i te twoje „porozumienia”. Bądźże choć raz realistą! Niemieccy krwio pijcy tylko czekają, żeby wgrzyźć się w nasze szyje. Nie dalej jak za parę lat będzie wojna.

– Nie wątpię, że chcieliby zanurzyć w nas swoje zębiska, pytanie tylko, czy nie są teraz bardziej zajęci kiepską sytuacją we własnym kraju? Poza tym wiesz, że Francja i Wielka Brytania gwarantują nam pokój.

– No, zastanawiam się jednak, czy ruszą własne tyłki, kiedy ktoś będzie okładał nasze.

Nie podzielali poglądów ludzi, którzy już od początku lat trzydziestych wieszczili kolejny światowy konflikt. Jeszcze niedawno Staszek i Maria zgadzali się w przypuszczeniu, że w chwili obecnej narody Europy są zbyt zajęte radzeniem sobie z trudną sytuacją gospodarczą we własnych krajach, by chwycić za broń. Jednak większość ludzi bardziej doświadczonych,

z którymi rozmawiali, kiwało z politowaniem głową, słuchając tych pełnych młodzieńczego optymizmu słów. Być może dlatego Maria w ostatnim czasie zaczęła powoli zmieniać swoje stanowisko, co z kolei zasiało w Staszku ziarno wątpliwości, choć niejednokrotnie drażnił ją, z premedytacją nazywając „naczelną polską katastrofistką”. Zwykle krótko uciniała jego komentarze, mówiąc:

– Jestem tylko realistką, barani łbie. – Po czym przeprowadzała pełen czułości atak na jego starannie ułożoną grzywkę.

Cenił sobie fakt, że mógł podyskutować z nią zarówno o najnowszych spektaklach teatralnych, jak i o kwestiach związanych z polityką. W tym drugim temacie była uparta i nieustępliwa, a od pewnego czasu nie dawała się przekonać, że sytuacja w Europie zostanie ustabilizowana. W Niemczech upatrywała źródło wszelkiego zła. Choć nie mógł się dziwić, gdyż – jako osoba żywo zainteresowana wszelkimi wiadomościami ze świata – doskonale zdawała sobie sprawę z sytuacji Żydów za zachodnią granicą.

Objął ją i próbując uciąć dalszą dyskusję o możliwości wybuchu kolejnej wojny, zaproponował, że odprowadzi ją do domu, gdyż mróz zaczynał doskwierać coraz bardziej.

Po drodze nadal snuła rozważania, a on, obserwując jej energiczną gestykulację, przekonanie o pełnej zasadności własnych argumentów i niepowtarzalny błysk w oku, podjął decyzję.

Miesiąc później zakończył wreszcie skomplikowany proces przekonywania ojca, niemniej nie obyło się bez kilku ostrzejszych słów i trzaskania drzwiami.

– Synu, popamiętasz moje słowa! Ta Żydówka sprawi ci tyle problemów, że będziesz wolał mieszkać w oborze, niż z nią pod jednym dachem – zakończył ojciec w swoim stylu, lecz Staszek doskonale zdawał sobie sprawę, że w głębi serca Władysława kryje się radość z powodu planowanych oświadczeń syna. Młodzieniec nie był jednak pewien, czy ojciec kiedykolwiek zapomni się na tyle, by ją okazać.

W efekcie starań w rodzinnym domu, Staszek mógł dodać do budżetu – składającego się z pieniędzy zarobionych dzięki podejmowaniu różnych doraźnych robót – niemałą pożyczkę od ojca, którą jednak miał zwrócić w przeciągu roku od podjęcia stałej pracy. Zawsze doceniał fakt, że rodzice nie psuli go podawanymi na tacy większymi sumami, wsparcie dawkując rozsądnie, a od czasu osiągnięcia pełnoletności musiał zawsze w jakimś, choćby najmniejszym, stopniu zwrócić pożyczoną kwotę.

Wydając prawie całość zgromadzonych funduszy, nabył pierścionek zaręczynowy, który wręczył Marii nad Wisłą w ciepły marcowy wieczór, kiedy drzewa i krzewy budziły się powoli do życia, a wspomnienie siarczystych mrozów wydawało się coraz bardziej odległe. Mimo że nigdy wcześniej nie widział, by uroniła choć jedną łzę, tym razem rozplakała się i rzuciła mu się na szyję. Poczul się przyjemnie zdezorientowany i utwierdził w przekonaniu, że podjął najlepszą decyzję w swoim życiu.

Datę ślubu wyznaczono na niedzielę, dziesiątego września 1939 roku.

W następnych miesiącach życie Staszka i Marii biegło spokojnie, choć, świadomi pogarszającej się sytuacji Polski, nie zaniechali prowadzenia pełnych emocji dysput politycznych. Więcej czasu przeznaczali jednak na rozmowy o ślubie i wspólnej przyszłości. Prowadzili je w kawiarniach, gdzie przesiadywali, wdychając aromaty kawy, otoczeni dymem z ich ulubionych papierosów marki Silesia. Niejednokrotnie jednak Maria, ku rozżaleniu

Staszka, kupowała drogie, perfumowane egipskie, które drażniły nozdrza w stopniu zdecydowanie przekraczającym jego poziom tolerancji.

Jeśli ktoś ze znajomych chciał w ciągu dnia namierzyć dwójkę zakochanych, mógł w ciemno udać się do „Café Adria”, gdzie przebywali najczęściej, popijając kawę marki Pluton. Wychodzili przed zmrokiem, gdyż wieczorem zaczynały się tam dancingi, a przygrywały zespoły w podobnym składzie: skrzypek, akordeonista i paru trębaczy. Skrzypek z akordeonistą grali na zmianę, stojąc na podeście stanowiącym część okrągłego, obrotowego parkietu, na którym jednocześnie mogło tańczyć kilka par.

Zwalniali stolik, nim zaczynały się tańce, gdyż – jak dla nich – w „Adrii” robiło się zbyt tłoczno i głośno, a Maria już dawno zrezygnowała z prób nauczenia narzeczonego fokstrota czy tak modnego tanga. Wprawdzie był skłonny do nauki i miał szczerą ochotę pojąć parkietowe umiejętności, niestety okazał się największym beztalenciem tanecznym, jakie widział świat.

Dlatego właśnie w porze wieczornej, jeśli mieli ochotę napić się czegoś mocniejszego, zasiadali „Pod Wróblem” na ulicy Mazowieckiej. Niestety, zawsze było tam gęsto, więc gdy woleli spędzić czas w spokoju i niemal rodzinnej atmosferze, wędrowali do „Pod Dzwonnicą” na Krakowskim Przedmieściu.

Ale że życie składa się nie z samych kawiarni, któregoś dnia musiało dojść do nieuniknionego starcia pomiędzy ojcem Staszka a Marią. Władysław Zaniewski był szczerym patriotą, ale miłość do Ojczyzny często przysłaśniała mu trzeźwe spojrzenie na życie.

– Zapraszam Niemców do Polski. O ile chcą osierocić swoje dzieci, a własne żony uczynić wdowami.

I tak była to jedna z jego bardziej umiarkowanych wypowiedzi, jednak w zderzeniu z pragmatyzmem Marii roznieciła płomień, w którym doszczętnie spłonęła nadzieja na miły przebieg kolacji w domu Zaniewskich.

– Pan oszalał! Jeśli Niemcy wejdą na nasze ziemie, Sowiety nie będą długo czekać, żeby zapukać z drugiej strony! A my, jak zawsze, znajdziemy się między młotem a kowadłem – odparła dziewczyna, nieświadoma, że mimo zawsze przyjaznej atmosfery panującej w tym domu, nikt nigdy nie pozwalał sobie na tak ostre formułowanie swych myśli względem głowy rodziny.

Matka Staszka cały wieczór patrzyła na syna i przyszłą synową. Rozważała z nostalgią, jak bardzo zmienił się w przeciągu ostatnich kilku lat. Burza czarnych włosów na jego głowie zamieniła się w starannie ułożoną, krótko przystrzyżoną fryzurę. Wesoła twarz biegającego całymi dniami za piłką chłopca przybrała wciąż zamyślony i, w jej odczuciu, nieco zbyt poważny wyraz. Obserwując te zmiany, równocześnie była zadowolona, że syn dba o siebie zarówno pod względem fizycznym, jak i umysłowym. Zaszczepili mu z Władysławem dobre nawyki.

Jednakże od dzieciństwa brakowało mu wytrwałości i konsekwencji we wszystkim, co robił. Próbował sił w kolarstwie i skoku wzwyż, a najlepiej radził sobie w biegach. Nie mógł wszakże skupić się na jednej dyscyplinie wystarczająco długo, by wyróżnić się spośród rówieśników. Wprawdzie parę lat temu zainteresował się nim Polski Związek Lekkiej Atletyki, ale po rodzinnej dyskusji podjęli decyzję, że kariera sportowca nie jest dla syna właściwą drogą.

Była z tego zadowolona, bo bardziej od sukcesów syna na bieżni radował ją fakt, że często spędzał noce na lekturze Gombrowicza, Żeromskiego czy Zapolskiej. Próbowowała przekonać go

też do dzieł Reymonta, jednak skończyło się na tym, że co prawda wziął do ręki *Chłopów*, lecz po godzinie przyszedł i oznajmił, że jeśli mama mu każe, to jest nawet w stanie tę książkę zjeść, przerzuć i przetrawić, ale na pewno nie przeczytać.

Przez dużą część wieczoru Róża największą uwagę skupiała na Marii, sama rzadko zabierając głos. Od dawna była zadowolona, że Staszek wreszcie znalazł dziewczynę, z którą łączy go coś trwalszego niż przelotne amory. Wiedziała, że Władysław ma obiekcje związane z pochodzeniem wybranki syna, dlatego nie było jej łatwo przekonać męża, że decyzja o ślubie należy wyłącznie do ich syna i jego ukochanej.

Wprawdzie widziała się z nią już kilka razy, ale jak dotąd nie miała okazji przyjrzeć się dokładniej dziewczynie, ani poznać jej z tej strony, która tak urzekła Staszka. Z pewnością była kobietą piękną, choć Władysław nie omieszkiał podczas rozmów z żoną stwierdzić, że „ma zbyt duży nos, właściwy pewnej niepolskiej nacji”. Róża zwykle przyjmowała taktykę przemilczania takich komentarzy, wiedząc, że wątpliwe jest, aby dowcip męża zdołał wywołać śmiech w gronie przyzwoitych słuchaczy.

Sama z niemalże podziwem patrzyła na duże, piwne oczy Marii i jej ciemnobrązowe, kręcone włosy, jednocześnie nie mogąc się nadziwić, dlaczego przysła synowa przycina je tak krótko.

Dopiero tego wieczoru miała okazję poznać jej charakter. I natychmiast zrozumiała, co przyciągało jej syna do tej kobiety: żywiołowość i wewnętrzna, choć emanująca na zewnątrz, pozytywna energia, która oddziaływała na wszystkich wokół.

Róża wiedziała, że te cechy Marii były z kolei mało uchwytnie dla Władysława, który przede wszystkim zwrócił uwagę na to, że ukończyła architekturę i jest inteligentną osobą, a jej rodzice brali udział – w taki czy inny sposób – w odparciu bolszewików podczas wojny roku dwudziestego. To były jedyne argumenty, które trafiały do tego upartego osła! Róża zdawała sobie sprawę, że mąż, tak na wszelki wypadek, pozostawiał sobie asa w rękawie: stwierdzenie, że Maria jest starsza od narzeczonego o cztery lata.

– Zobaczycie, że jedni i drudzy będą gryźć z zapalem polski piach! A pierwszym, kto wjedzie do Berlina, będzie siedzący na łufie czołgu, uśmiechnięty i palący papierosa Broniek! Popamiętajcie moje słowa! Będzie strzepywał popiół na schody Reichstagu! – Wybuch Władysława na chwilę zwrócił uwagę Róży na toczącą się przy stole dyskusję.

– Niech się ojciec zastanowi, toć Reichstag spłonął – wtrącił Staszek.

Róża wróciła do swych myśli. W wychowaniu Bronisława, starszego o pięć lat brata Staszka, decydujący głos miał ojciec. Dlatego za zupełnie bezcelowe uznawała zachęcanie Bronka do przeczytania dzieła Reymonta czy jakiegokolwiek innego autora. Dla tego chłopaka książki były złem koniecznym, a od kiedy skończył osiemnaście lat, służyły mu przede wszystkim jako podstawki pod różnego rodzaju trunki. Czas spędzał uganiając się za dziewczynami, wdając się w kolejne bójkę oraz obrażając szkolnych nauczycieli. Ileż nerwów kosztowało ją przetrwanie w zdrowiu młodzieńczych lat starszego syna. Właśnie wtedy nazwisko „Zaniewski” dla wielu ludzi zaczęło oznaczać: „uwaga, kłopoty”.

Jedyną rzeczą, która – prócz uciech cielesnych – choć trochę zajmowała jego uwagę, była nauka języków obcych. W tej sferze górował nad Staszkiem zupełnie i w krótkim czasie opanował angielski, niemiecki i francuski. Róża nigdy nie mogła pojąć tego fenomenu.

Ojciec zawsze odnosił się do Bronka mniej stanowczo niż do młodszego syna i przymykał oko na coraz to nowe jego przewinienia. Za to Staszka karcił wszelkimi dostępnymi środkami, kiedy

ten tylko coś zbroił.

Władysław wpajał starszemu z braci patriotyczne idee, ale tylko w takim znaczeniu, w jakim sam uznawał je za jedynie słuszne. Zaowocowało to kategorycznym stwierdzeniem osiemnastoletniego syna, iż zamierza zaciągnąć się do wojska. No i teraz, zamiast zasiadać dziś z rodziną przy stole, stacjonował wraz ze swym oddziałem Korpusu Ochrony Pogranicza gdzieś na granicy z Rumunią. Róża wiedziała wprawdzie, że służył w Pułku Piechoty „Karpaty”, ale niewiele jej to mówiło. Musiała jednak przyznać, że – choć z nieznanymi jej przyczyn – nazwa ta brzmiała dumnie.

Nie znała dwójki innych braci, którzy aż tak różnili się między sobą jak jej synowie, przynajmniej jeśli chodzi o psychikę. A jednak odmienność ta nigdy nie rzutowała na ich bezgraniczną i bezwarunkową, choć osobliwą, braterską miłość. Raz na jakiś czas dochodziło między nimi do rękoczynów, zazwyczaj z winy Bronka, ale po upływie godziny wspólnie zajmowali się czymś ciekawym, jak gdyby nic między nimi nie zaszło.

Nie mogła jednak przetrwać słownych wojen, które toczyli między sobą na tematy polityczne. Starszy syn z uwielbieniem odnosił się do Piłsudskiego, nie śmiał zakwestionować choćby jednego słowa wypowiedzianego kiedyś przez Marszałka. Staszek natomiast z pasją czytał *Kościół, naród i państwo* Dmowskiego, choć z właściwą sobie inteligencją zauważał, że pewne aspekty świata w rzeczywistości prezentują się inaczej niż w wizji przywódcy narodowców.

„Mój Boże, jakim cudem pod jednym dachem wychowaliśmy i piłsudczyka, i półendeka? Ta rodzina nie jest do końca normalna” – pomyślała.

– Panie Władysławie, nie trawię nazistowskiej gadziny pewnie nawet w większym stopniu niż pan, ale sam pan wie, że jeśli Rzesza nas zaatakuje, żaden polski żołnierz nawet nie zdoła przekroczyć niemieckiej granicy – Maria powiedziała spokojnie i pojednawczo, co było u niej rzadkością. Staszek słyszał ten ton zawsze wtedy, gdy dziewczyna zamierzała „zaczarować” rozmówcę swoim urokiem. Gdy jednak próbowała tego na nim, od razu jej uprzytamniał, że wie, o co jej chodzi.

– Panno... Jeszcze panno Herensztad – odparł ojciec Staszka, kładąc nacisk na nazwisko – mamy poparcie oraz gwarancje Francji i Wielkiej Brytanii. Każdy wie, że Hitler jest nietuzinkowym bałwanem, ale chyba nie aż takim idiotą, żeby ściągać na swoją głowę tak znaczne siły!

„Co teraz robi Bronek? Na granicy z Rumunią jest i chyba będzie spokojnie... Byle tylko tam w wojsku dbano o niego...” – Róża znów wyłączyła się z rozmowy. Miała nadzieję, że służba syna w Korpusie szybko dobiegnie końca i Bronek zostanie przeniesiony do Warszawy. Od kiedy opuścił dom widziała, że Staszekowi brakuje jakby części własnej duszy. Wyjazd starszego brata okazał się dla niego stratą czegoś więcej niż okazji do sprzeczek – podczas pierwszych lat nieobecności Bronka wycofał się w głąb siebie, nie wykazywał najmniejszej chęci osiągnięcia niezależności. Na szczęście sytuacja zmieniła się, gdy związał się z Marią. Róża świetnie zdawała sobie sprawę z tego, że przy starszym bracie Staszek starał się prezentować jako ten dojrzały i niepotrzebujący przewodnika. Obecność Bronka była dla niego największą motywacją do własnego rozwoju.

Obserwując syna, doszła do wniosku, że Staszek czuje się przy Marii tak naturalnie i swobodnie, że jest na powrót sobą.

– Kobieto, czy ty choć raz mogłabyś zabrać głos w poważnej dyskusji, zamiast pograżać się

w swoich fantasmagoriach? – Władysław zwrócił się do żony w charakterystyczny dla siebie sposób. – Oczywiście, że nie! Wolisz godzinami świergotać ze swoimi kumami o tym czy Frania z Janem wezmą ślub albo czy dywan w domu Karkowskich jest turecki czy perski!

Maria już wcześniej zauważyła nagłe zamyślenia Róży. Odkrycie to niezmiernie ją cieszyło, gdyż wyczytała kiedyś, że jeśli syn przejmuje cechy osobowości matki, traktuje kobiety z szacunkiem i nie jest zdolny wyrządzić im krzywdy. Nie wiedziała, na ile te poglądy są zgodne z rzeczywistością, ale gdyby jakaś inna dziewczyna przeszła w rodzinnym domu tyle, co ona we własnym, też chwyciłaby się nawet najmniej racjonalnego argumentu świadczącego o spokojnym usposobieniu kandydata na męża.

Jej ojciec wiele razy podnosił na matkę nie tylko głos, ale także rękę i różne przedmioty. Wszelkie, jakie znalazły się w zasięgu jego wzroku. Awantury zdarzały się kilka razy w miesiącu, co już jako dziecko uważała za rzecz nienormalną, porównując własną sytuację rodzinną z tym, co działo się w domach jej koleżanek i kolegów.

Swój obecny stan, który w rozmowach ze Staszkiem określała jako „brak objawów chorobowych psychiki”, zawdzięczała – przynajmniej we własnym przekonaniu – tylko temu, że od początku do końca rodzinnej gehenny odważała się nazywać rzeczy po imieniu. Jeśli ojciec uderzył matkę, nie starała się go niczym rozgrzeszyć. Mimo że kochała ojca, wiedziała, że jego zachowanie to bestialstwo, przejaw ohydnygo zwierzęcego zewu, niepasującego nie tylko do człowieka, ale nawet do dawno wymarłych pitekantropów.

Podczas kolacji Maria zauważyła, że wprawdzie ojciec Staszka odnosił się do żony karcąco, ale dziewczyna odebrała te uwagi raczej jako zaczepki, niż wyraz wrogości. Ich relacje bardziej przypominały przekomarzanie się dwójki uczniów podstawówki niż kłótnie małżeńskie.

Znajdowała w tym analogię do sytuacji między Staszkiem a nią. Była pewna, że mimo kąśliwych uwag, których jej nie szczędził, nigdy nie podniósłby na nią ręki, co więcej, prędzej położyłby się przed czołgiem, niż pozwoliłby ją skrzywdzić.

Zawsze starała się patrzeć pragmatycznie na otaczający ją świat, a naturalne odruchy ludzkiej psychiki, jakimi są emocje, traktować jako drogowskazy dla własnego działania. Tego wieczoru, obserwując Zaniewskich, małżeństwo z wieloletnim stażem, nie mogła odegnąć od siebie myśli o tajemnicy, którą znała ona, jej matka, dwójka rodzeństwa... oraz pewien człowiek, dzięki któremu nie poniosła konsekwencji swojego czynu.

Nawet Staszкови nigdy nie zwierzyła się z sekretu, że z zimną krwią zamordowała własnego ojca.

Człowiek dopuszczony do rodzinnej tajemnicy nazywał się Holzer. Nie wiedziała czy to jego imię, pseudonim, czy nazwisko – a jeśli nawet nazwisko, to czy prawdziwe. Był znajomym brata jej matki, wujka Emanuela. Mama doskonale zdawała sobie sprawę, że jej brat wraz z tym podejrzanym typem prowadzą dziwne interesy, co więcej Holzer miał wygląd człowieka groźnego. Ostre rysy twarzy, nieustannie podkrążone oczy, wzrok psychopaty, potężne mięśnie, a do tego poruszał się jak polujący tygrys. Chodząc po ulicy, budził w ludziach uzasadnioną obawę, że zaraz może zaatakować każdego, kto krzywo na niego spojrzy.

Wujek Emanuel często gościł w ich domu, dwa czy trzy razy przyprowadził Holzera, kilkakrotnie prosił rodziców o pieniądze. Ojciec w ich obecności zachowywał się chłodno, ale spokojnie. Względnie kulturalnie odmawiał takim prośbom, zresztą nigdy nie był blisko z rodziną matki. Awantury zaczynały się wraz z zamknięciem drzwi przez gości. Ojciec zmieniał

się nie do poznania i po którejś z takich wizyt mocno popchnął matkę na framugę drzwi w dużym pokoju. Miała rozcięty łuk brwiowy. Mała Maria, widząc zalaną krwią twarz matki, rzuciła się na ojca i okładała jego uda małymi piąstkami.

Za plecami ojca, matka kilka razy pożyczyła pieniądze Emanuelowi i Holzerowi, dzięki czemu, oprócz coraz głębszej braterskiej miłości, zyskała także przychylność Holzera. Wiedziała więc, do kogo zwrócić się o pomoc w ukryciu morderstwa – bo właśnie morderstwem był czyn, którego Maria dopuściła się na swoim ojcu. Zawsze nazywała rzeczy po imieniu.

Rzadko wracała myślami do dramatu, który rozegrał się tamtej nocy, a już z całą pewnością nie miała zamiaru komukolwiek o nim mówić. Wszystko działo się tak szybko, że nie miała chwili na zastanowienie – podjęła decyzję, by ratować matkę. Decyzję czysto pragmatyczną, choć podyktowaną przyplływem burzliwych emocji.

Początkowo dręczyły ją tak straszliwe wyrzuty sumienia, że nie spała przez wiele nocy i popadła w depresję. Po pewnym czasie jednak, z pomocą matki i sióstr oraz własnego rozumu, poradziła sobie z sytuacją i upchnęła jej wspomnienie w najdalsze zakamarki umysłu.

GRANICA RUMUŃSKA, KONIEC SIERPNI – POCZĄTEK WRZEŚNIA 1939 ROKU

Obelt nie miał czasu ani ochoty zajmować się konfliktem między Zaniewskim a Chwieduszką. Wczoraj zarządzono, a zaraz potem – na prośbę sojuszników Polski: Anglii i Francji – odwołano mobilizację powszechną, po czym przed chwilą ogłoszono ją na powrót. Kapitan Obelt nie rozumiał tych politycznych zawirowań i braku konsekwencji. Oczekiwanie w niepewności nie wpływało dobrze na żołnierzy. Każdy idiota w jego kompanii zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji, a jednak z dowództwa wciąż płynęły sprzeczne sygnały. Raz mobilizacja, raz zakaz zbliżania się do granicy, to znów rozkaz kopania okopów. Wczoraj zaczęli marsz na zachód, dziś mieli się zatrzymać. Tym razem wszystko wskazywało na to, że naprawdę szykują się do wojny, byleby tylko wytyczne nie okazały się spóźnione.

„Jeśli Hitler zaatakuje dziś, zastanie nas z ręką w nocniku” – pomyślał Obelt.

Po potwierdzeniu informacji o mobilizacji przez dowództwo pułku, żołnierze zostali zebrani na naprędce zorganizowanym placu apelowym.

Dowódca kompanii oświadczył, iż wszystko wskazuje na to, że Rzesza szykuje się do wojny, że podano informacje potwierdzające, iż Prezydent wydał obwieszczenie o mobilizacji generalnej i że Pierwszy Pułk Korpusu Ochrony Pogranicza „Karpaty” zasilił szeregi Drugiej Brygady Górskiej, wchodzącej w skład Armii „Karpaty”. Miała ona wspólnie z Armią „Kraków” bronić południowej granicy Polski.

Obelt na krótko po zbiórce na placu apelowym zarządził wymarsz kompanii. Mieli skierować się na zachód, przejść kilkadziesiąt kilometrów wzdłuż granicy z Węgrami i bronić granicy ze Słowacją, gdyż po drugiej stronie zaobserwowano wzmożony ruch stacjonujących tam wojsk niemieckich.

Z powodu szybkiej reakcji Obelta i trzymania żołnierzy w stanie pełnej gotowości, byli gotowi do wymarszu w bardzo krótkim czasie. Mimo to dopiero późną nocą dotarli do punktu wysuniętego najbardziej na wschód na granicy ze Słowacją. Rozbili się na południe od Borysławia.

„Niedobrze, bardzo, kurwa, niedobrze. Mam kompanię zmęczonych i niedoświadczonych żółtodziobów. Zero jednostek zmotoryzowanych w batalionie. Zero środków transportu, by w razie czego się przegrupować. Kurwa mać” – pomyślał Obelt, zanim odłożył mapę i rozkazy. Ułożył się na pryczy. Była 4:10 nad ranem.

Około piątej rano rozległ się zwierzęcy ryk syren alarmowych.

Bronek i Maniura zerwali się jak przypaleni żelazem. Wokół panował chaos. Żołnierze biegali, pospiesznie sprawdzając karabiny wzoru 98a. Nagle przed Zaniewskim zatrzymał się Chwieduszek, szturchnął go kolbą broni w bark i krzyknął:

– Na nogi, sukinkocie! Niemcy uderzyli!

Kiedy już ustawili się na pozycjach, co rusz docierały do nich sprzeczne sygnały. Jedne mówiły, że Niemcy atakują z północy, inne, że z zachodu, jeszcze inne, że z południa. Tylko Obelt wydawał jasne i stanowcze rozkazy, powtarzając, że muszą bronić granic i mimo noszenia mundurów Korpusu są teraz żołnierzami Wojska Polskiego.

– Panie kapitanie, co z Francją i Anglią? – zapytał Bronek.

– Póki co, nie wiem. Musimy bronić granicy, skup się na tym, żołnierzu. Teraz nic innego się nie liczy.

Niedługo potem dotarły informacje, że z południa nadciąga kilka dywizji piechoty armii słowackiej, będącej sojusznikiem sił Rzeszy.

Żołnierze leżeli w wydrążonych w nocy okopach. Zaniewski, patrząc na swoich towarzyszy, stwierdził, że większość z nich zamiast wypatrywać wroga wgapia się nieprzytomnie w dal, odmawiając modlitwy.

Pierwszy kontakt starszego sierżanta Bronisława Zaniewskiego z prawdziwą wojną zdarzył się już pierwszego września, w pierwszy dzień wojny. Doszło do lokalnej próby przekroczenia granicy przez siły armii słowackiej. Nastąpiła wymiana ognia, poległo kilku polskich żołnierzy, ale granica została utrzymana. Bronek dziękował Bogu, że naprzeciw niego pojawili się Słowacy, a nie Niemcy w mundurach Wehrmachtu. Polski sierżant zdawał sobie sprawę, że ci drudzy byli znacznie lepiej wyposażeni, poza tym obawiał się ich lotnictwa – Luftwaffe, gdyż polska kompania nadgraniczna nie była wyposażona w żadną broń przeciwlotniczą.

Kilkanaście godzin później odezwały się moździerze. Nastąpił drugi atak, ale uderzenie skierowane zostało zbyt daleko od linii obrońców granicy. Maniura wsadził Bronkowi do kieszeni jakąś kartkę, mówił o przekazaniu komuś, ale Zaniewski był zbyt oszołomiony wszystkim, co się wokół działo, by zrozumieć sens jego słów.

Zastępy armii wroga wyłoniły się zza linii drzew. Obelt wydał rozkaz otwarcia ognia. Bronek strzelał na ślepo, nie wiedział czy trafiał. Wacek walił z karabinu, za każdym razem diabelsko krzyząc. Zaniewski po chwili zaczął celować, koncentrował się na zadaniu pozbawienia życia konkretnego żołnierza, opierając się pokusie kierowania ognia na cały nadciągający oddział.

Drugi atak został odparty. Nocą do grupy żołnierzy, w której byli Bronek i Maniura, podszedł chorąży Chwieduszek.

– Słuchajcie, patałachy, podobno Słowacy wywabili na rozmowy przy szlabanie granicznym któregoś z dowódców plutonu. Sukinkoty beczelnie wzięły go do niewoli...

– Ni krzty, kurwa, honoru – wtrącił Zaniewski.

– Zgadzam się. Nie możemy tak tego zostawić. Jeden z poruczników organizuje wypad. Za piętnaście minut puścimy z dymem słowacką strażnicę. Tę na wschód od nas.

– Może pan na nas liczyć, panie chorąży – odparł Broniek, po raz pierwszy przybierając właściwy ton głosu wobec przełożonego. Wymienili się niemal przyjaznymi spojrzeniami.

Wyruszyli w siedmiu pod osłoną nocy. Zakradli się pod słowacką strażnicę i podłożyli ogień. Spłonęła doszczętnie. Potem wycofali się pod osłonę krzaków. Dopiero w blasku płomieni dojrzeli pod wieżą trupa leżącego twarzą w błocie. Trupa w polskim mundurze.

Zewsząd słyszeli krzyki *Stojan! Stojan!*. Rozbrzmiewały pojedyncze strzały z karabinów.

– Skurwysynowie. Żyje? – zapytał Chwieduszek.

Broniek przyłożył lornetkę do oczu, przyzwyczaił wzrok do oślepiającego blasku bijącego od wieży strażniczej i odparł:

– Chyba nie. Nie widzę, żeby oddychał, a twarz ma zanurzoną w błocie.

– Skurwysynowie – powtórzył chorąży.

– To nie wszystko. Ma połamane palce, a jedną rękę nienaturalnie wykręconą.

– Pokaż.

Chwieduszek wziął lornetkę i przyglądał się nieco dłużej i starannej niż Zaniewski. Zauważył, że porucznikowi brakuje lewego ucha. Zostało ucięte, zapewne podczas tortur. „Bestie, zwykle bestie” – starszy podoficer był w szoku.

– Panie chorąży, musimy się związać – przywrócił go do rzeczywistości Maniura.

– Co... Tak. Odwrót.

Przezołgali się między krzakami z powrotem na polską stronę. Przywitał ich Obelt.

Nie obyło się bez poważnej reprimendy. Kapitan wściekał się o dyscyplinę w kompanii, ale cieszył z innego powodu. Bezczelny wypad siódemki żołnierzy umocnił morale, ponadto nikt nie zdawał sobie sprawy z tego, że odbył się bez rozkazu kapitana.

Wieść o bestialskim potraktowaniu polskiego oficera błyskawicznie rozeszła się pośród szeregów. Obelt zawsze twierdził, że żołnierze w plotkowaniu biją na głowę nawet siedzące w kościele stare baby. Całą kompanię opanowała chęć wzięcia odwetu na Słowakach.

W bojowych nastrojach kapitan Obelt, chorąży Chwieduszek oraz sierżanci Zaniewski i Maniura wrócili na swoje pozycje. Wyczekiwali na ruch przeciwnika. W oddali widać było łunę – efekt nocnej akcji. Czekali z niecierpliwością. Na linii drzew, gdzie wcześniej znajdowały się pozycje Słowaków, nie było widać żadnego ruchu. „Wycofali się?” – zastanawiał się Obelt, ale chwilę później zlał go zimny pot, bo zdał sobie sprawę z tego, co niebawem nastąpi.

Nagle usłyszeli ciche rżenie.

– Co to? – zapytał Maniura.

– Nie wiem. Brzmi jak samolot. Nie mogę zlokalizować czy leci od naszej strony, czy od nich – odparł Broniek.

– Kurwa mać! – krzyknął Obelt. – Do schronów! Spierdalać do schronów! Luftwaffe!

Było już za późno, zza chmur wyłoniły się dwa heinkle, bombowce He-111. Na ich skrzydłach widniały charakterystyczne czarne krzyże w białych obwódkach – znaki nadchodzącej śmierci.

WARSZAWA, KONIEC SIERPNI – POCZĄTEK WRZEŚNIA 1939 ROKU

Staszek i Maria, wbrew swojemu zwyczajowi, spędzali wieczór w „Café Adria” przy Moniuszki 10. Atmosfera w mieście była niezwykle nerwowa, wszyscy gotowali się do wojny, uzupełniali zapasy, wysyłali rodziny w mniej narażone na atak wroga miejsca w kraju.

Zazwyczaj o tej porze w „Adrii” odbywały się dancingi, grała orkiestra. Dziś gościom musiał wystarczyć samotny akordeonista.

Staszek pił kawę i palił jednego papierosa za drugim. Rozłożywszy na stoliku „Wieczór Warszawski”, począł czytać na głos ludziom, którzy zgromadzili się wokół jego stolika:

– „Polska czeka gotowa z bronią u nogi. Hitlerowi pozostaje do wyboru cofnąć się – albo rozpocząć wojnę”. – Już tytuł artykułu nie zwiastował niczego dobrego. Akordeonista na chwilę przerwał granie. Zebrani słuchali z uwagą.

Zaniewski odczytał artykuły z pierwszej strony gazety. Hitler stawia ultimatum, wzywa przedstawicieli naszego rządu do Berlina. Żąda przyłączenia części terytorium Polski do Rzeszy. Mobilizacja w Anglii i Francji. Prezydent USA, Roosevelt, apeluje o znalezienie pokojowego rozwiązania. W Gdańsku chaos i popłoch, Gestapo chodzi po ulicach i każe dekorować domy swastykami. Armia niemiecka wzmacnia posterunki na naszych granicach, wkroczyła na Słowację. Incydenty na granicach, mówi się nawet o otwartej agresji niemieckich sił zbrojnych.

Dłuższy czas nikt się nie odzywał, po chwili znów rozbrzmiał głos akordeonu.

– Mój Boże. Teraz już chyba nie ma odwrotu – powiedziała Maria. – Co jeszcze piszą?

Przewrócił stronę, odczytał instrukcje, jakich gazeta udzielała w wypadku ogłoszenia alarmu przeciwlotniczego. Światła w domach mają być pogaszone, a ludność, która nie musi pozostać w Warszawie, powinna się ewakuować. Należy się zapoznać z umiejscowieniem schronów przeciwgazowych i punktów sanitarnych. Prezydent Warszawy, Stefan Starzyński, prosi wszystkich emerytów, by wrócili do pracy. Apeluje do warszawiaków o udzielanie pomocy rezerwistom i żołnierzom. Pojawiła się też informacja, by ograniczyć rozmowy telefoniczne, aby nie obciążać centrali.

– Piszą, żeby zaopatrzyć się w niezbędne materiały i sprzęt do samoobrony – dodał ktoś stojący za plecami młodzieńca. Po „Café Adria” przeszedł cichy szmer głosów. Przy każdym stoliku ktoś odczytywał informacje z wieczornych gazet.

Maria wzięła do ręki „Wieczór”. Uderzyło ją to, że sektor reklamy najwyraźniej nie przejmuje się zbliżającą apokalipsą. Na drugiego września, czyli pojutrze, wyznaczono premierę nowej rewii politycznej w teatrze Ali Baba. Jutro w kinie Rialto film *Świat jest piękny* wytwórni Metro Goldwyn Mayer. Zauważyła także ogłoszenie o bezpłatnym kursie gotowania przy użyciu elektryczności, który ma się odbyć jutro w Elektrowni Miejskiej. Pomyślała, że warto będzie się tam wybrać.

Staszek siedział zamyślony.

– Nad czym dumasz? – zapytała.

– Myślę o ojcu. Jako oficer w stanie spoczynku otrzymał kartę mobilizacyjną i miał się stawić w wyznaczonym miejscu, by ponownie założyć mundur majora.

– Poradzi sobie. Na niemiecką kulę prędzej napluje, niż da się nią trafić.

Roześmiał się. Miał nadzieję, że ze względu na wiek, ojciec nie trafi na front. Zaciągnął się papierosem i zgasił niedopałek.

– Marysiu, idziemy na skarpe wiślaną?

– Zebrało ci się na romantyczne spacerki w wojennej atmosferze? – Tylko Staszki pozwoliła mówić do siebie per „Marysiu”. Od dziecka irytowały ją wszelkie próby zmiękczenia jej imienia. Zresztą narzeczony początkowo robił to tylko po to, by ją zdenerwować, ale teraz bardzo to lubiła.

– Słyszałem, że kopią w skarpie schrony, moglibyśmy pomóc.

– Przeciwnie?

– Nie, przeciw głupocie. I będą tam chować się przed tobą.

Roześmiała się tak głośno, że cała „Adria” mogła ją usłyszeć, więc szybko się zmytygowała, postarała się przybrać groźną minę, a pod stołem kopnęła Staszka w nogę. Posłał jej całusa.

Zanim wyszli, udał się do toalety, a ona, odkładając „Wieczór Warszawski”, przypadkiem rzuciła okiem na „Kącik astrologa” z prognozą na jutro, pierwszego września. „Najwcześniejsze godziny ranne zapowiadają się nieźle, ze względu na trygon Księżycy i Plutona, co może oznaczać pomyślne okazje, więcej energii, przedsiębiorczości, rozmachu”.

Po drodze nad Wisłę mijali zastępy warszawiaków niosących łopaty niczym karabiny.

Zakończyli kopanie schronów o trzeciej w nocy, więc postanowili skorzystać z miejsc do spania, naprędce zorganizowanych przez mieszkańców lewobrzeżnej Warszawy. Przed snem jakaś kobieta poczęstowała ich gorącą herbatą. Byli zaskoczeni sprawną organizacją zaplecza robót. Pomyśleli, że komuś należy się pochwała za to, że o wszystkim pomyślał.

Zmęczeni, zasnęli bardzo szybko.

Zbudzili się o świcie słysząc wycie syren i rozdzierający, potworny huk. Na Warszawę spadały bomby.

Oboje instynktownie rzucili się do prowizorycznego schronu, który sami pomagali kopać ledwie parę godzin temu. Zupełnie spanikowali, przytulili się do siebie i siedzieli skuleni w oczekiwaniu na śmierć. Słyszeli wybuchy i krzyki ludzi, które w połączeniu z przerażającym warkotem niemieckich bombowców wywoływały paraliżujący strach. Byli pewni, że za moment całe miasto zamieni się w jedno wielkie cmentarzysko.

Pół godziny później Staszek opanował drżenie rąk i oprzytomniał na tyle, by wyciągnąć papierosa. Wybuchy ustały. Wyszli ze schronu i zaczepili jakiegoś umorusanego człowieka, który podpierał się o drzewo.

– Proszę pana...

Nie odpowiadał. Krew ciekła mu z rany na czole. Zauważywszy to, Zaniewski posadził go na chodniku i nakazał nie ruszać głową. Przygotował opatrunek z zapasów, które zgromadzono w schronach. Człowiek przedstawił się jako Zbigniew, mówił, że kiedy zaczęły spadać bomby, biegł z Woli w stronę Wisły.

– Zrzucili bomby na Raków... i na... na Wolę. To znaczy tak, na Koło. Na osiedla. Na ludzi.

– Spokojnie panie Zbigniewie, proszę się nie ruszać – upomniał go młodzieniec. Aby uspokoić rannego, poczęstował go papierosem.

Maria nie mogła pojąć, jakimi trzeba być bestiami, żeby zamiast celów wojskowych

bombardować skupiska zwykłych ludzi. Czysta logika podpowiadała, że te naloty nie służą zadaniom militarnym.

– Ja uciekłem. Wszędzie huk, kurz. Nie wiem, co z moją rodziną. Zginiemy. Podobno lotnisko Okęcie nie istnieje. Widziałem ciała porozdzierane niczym papier.

Człowiek miał najwyraźniej wstrząśnienie mózgu, ale jego relacja dawała pewien obraz tego, co dzieje się w stolicy.

Ktoś wystawił na parapet okna w pobliskim domu odbiornik radiowy i nastawił głośność na cały regulator.

– Halo, halo! Tu Polskie Radio Warszawa. Nadajemy komunikat specjalny. Dziś rano o godzinie 4:45 wojska niemieckie przekroczyły granicę Rzeczypospolitej.

Staszek i Maria popatrzyli po sobie. Upewniwszy się, że pan Zbigniew dochodzi do siebie, oddali go pod opiekę jakiejś kobiety, a sami udali się w drogę powrotną do domu. Nie chcieli teraz się rozstawać, a że Maria mieszkała bliżej, więc postanowili, że najpierw sprawdzą czy z jej rodziną wszystko w porządku.

Kiedy przemierzali Wolę, zobaczyli tyle ludzkiego cierpienia, że mimowolnie zaczęli biec. Pierwszy raz w życiu spotkali się ze śmiercią widzianą z odległości kilku metrów. Wiele domów było zniszczonych, na ulicy leżała masa szkła z wybitych okien. Zwłoki zastygły na gruzach w nienaturalnych pozach.

Im bliżej domu Marii, tym sytuacja stawała się normalniejsza. Nie widzieli tam żadnych zniszczeń, nie było krwi, ciał ani zniszczonych budynków. Odnieśli wrażenie, że poza Wolą życie w mieście biegnie normalnie. Godzinę wcześniej myśleli, że zaraz zginą, że Niemcy są tuż pod Warszawą, tymczasem wszystko wskazywało na to, że miasto jest względnie bezpieczne.

Odwiedziwszy swoje domy, upewnili się, że rodzinom nic się nie stało. Róża powiedziała, że ojciec został wcielony do oddziału Ośrodka Obrony Przeciwlotniczej. Rozpaczła, że nie wie nawet, gdzie jest teraz, może na Okęciu? Potem, zmęczeni, dotarli do „Café Adria”, by odpocząć i poznać jakieś wieści z frontu. Po drodze nabyli od krzyżącego wniebogłosy o wybuchu wojny chłopca, nowy numer „Dobry Wieczór – Kurjer Czerwony”. Wprawdzie Staszek niechętnie czytał sanacyjną prasę, ale w tej chwili było mu to zupełnie obojętne.

– Nie miał nic innego – wytłumaczył Marii.

Kiedy przekroczyli próg kawiarni, z głośników rozbrzmiał głos Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej, Ignacego Mościckiego. Ludzie słuchali w skupieniu:

– „Cały naród pobłogosławiony przez Boga w walce o swoją świętą i słuszną sprawę, zjednoczony z armią, pójdzie ramię przy ramieniu do boju i pełnego zwycięstwa”.

Usiedli przy swoim ulubionym stoliku i rozłożyli gazetę. Tytuł na pierwszej stronie obwieszczał wielkimi literami: *Rozbójnicy świata – Niemcy, napadli dziś na Polskę. Wojna o wolność Narodu rozpoczęta. O stalowy mur bohaterskiej Armii rozbije się bandycki napad na Polskę.*

Zaniewski zamyślił się. Co teraz dzieje się z jego bratem? Przyznał sam przed sobą, że ostatnimi czasy nie poświęcał rozważaniom na jego temat zbyt wiele czasu. Był pochłonięty innymi sprawami, a kiedy Niemcy zaatakowali, sam czuł nadciągającą groźbę śmierci. Ostatnie informacje, jakie posiadał o Bronku były takie, że stacjonował gdzieś na granicy z Rumunią. Staszek pomyślał, że pewnie nadal tam jest, bo chyba nie przerzucili go na zachód, żeby nie

osłabiać sił w przypadku ewentualnej agresji ze wschodu. Ten wniosek go uspokoił.

Jego rozważania przerwała Maria, która stanęła mu za plecami i powiedziała:

– „Zbrodniarze zdecydowali pogрузić ludzkość we krwi, w imię swych obłąkanych planów władania światem”. Sama lepiej bym tego nie ujęła.

Zorientował się, że narzeczona czyta początek artykułu, w który wgapił się niewidzącym wzrokiem.

Usiadła z powrotem naprzeciwko.

– Co piszą o Francji i Wielkiej Brytanii? – spytała.

– Że są oburzeni i proponują plebiscyt w Czechach i na Morawach.

– Co? Czyli jesteśmy sami?

– Piszą też, że alianci są gotowi wypełnić zobowiązania wobec nas.

– A nie pokusili się o stwierdzenie, kiedy zaczną robić coś więcej?

Pokręcił przecząco głową.

W gęszczu informacji o żołnierzach, którzy stracili życie oraz analiz i opisów sytuacji na froncie, a także w polityce międzynarodowej, zwrócił uwagę, że mimo wybuchu wojny życie toczy się dalej. Biuralistka z pięcioklasowym wykształceniem szuka pracy biurowej. Szofer – rutynowany i inteligentny – poszukuje pracy jako taksówkarz. Ktoś wynajmie „solidnemu” pokój niekrepujący z wygodami. Krawcowa dyplomowana uszyje modne suknie od ośmiu złotych. Ktoś sprzeda maszyny szyjące w pięciozłotowych ratach. Doktor Kamiński ogłasza z dumą: „Ginekolog powrócił”.

Zwykle nie zwracał najmniejszej uwagi na ogłoszenia w gazetach, dziś wszakże stanowiły dla niego powiew normalności. Więcej nawet, podniosły go na duchu. „Głupie reklamy, a ile radości” – pomyślał.

Przez kolejne dwa dni Staszek i Maria śledzili wszelkie wieści z frontu. Francja i Wielka Brytania wypowiedziały Rzeszy wojnę – wreszcie. Niestety, wszystko wskazywało na to, że całe zaangażowanie aliantów skończy się na słowach. Żaden żołnierz kraju sojuszniczego nie przybliżył się o krok w stronę Polski.

Nastroje warszawiaków były różne, choć większość znajomych Staszka i Marii twierdziło z największym przekonaniem, że wystarczy wytrzymać kilka dni w oczekiwaniu na siły brytyjskie i francuskie.

Narzeczeni nie rozumieli sposobu postępowania sojuszników. Niemcy na swojej zachodniej granicy byli niezwykle słabi, bo większość sił rzucili na wschód, aby Polska znalazła się w potrzasku. Kiedy zatem alianci zamierzali zaatakować, jeśli nie teraz?

Trzeciego września zarządzono przygotowania do obrony Warszawy – nadejście Niemców pod stolicę było już nieuchronne. Komunikaty mówiły o przedarciu się oddziałów wroga przez linię obrony utworzoną przez dwie polskie armie, „Prusy” i „Łódź”. W tej sytuacji Maria nie zamierzała zostawać w stolicy. Doskonale zdawała sobie sprawę z tego, co czeka Żydów, gdy pojawią się tutaj Niemcy. Mimo krzykliwej nazistowskiej propagandy, zaprzeczającej prześladowaniom ludu Izraela w Niemczech, docierały do niej jednoznaczne sygnały, że dzieje się tam coś odwrotnego. A echa „Nocy kryształowej” nadal rozbrzmiewały w jej głowie. Staszek zresztą zgadzał się z nią pełni – gdyby pozostała w Warszawie, prędzej czy później dosięgłoby ją

niemieckie okrucieństwo. Kwestia jej ucieczki była dla niego bezdyskusyjna, ale bił się z myślami, gdy chodziło o jego udział. Z jednej strony nie miał zamiaru puszczać jej samej, z drugiej zdawał sobie sprawę, że w obronę stolicy powinien zaangażować się każdy, kto był w stanie unieść broń.

Podczas kolacji, którą jedli w restauracji we dwoje, zamyśliła się, ściszyła nagle głos i nachyliła się do niego:

– Słuchaj, mam plan.

– Jaki?

– Uciekniemy na zachód.

Roześmiał się.

– Świetny plan! Niemcy przyjmą nas z otwartymi rękoma. Jeśli dziś wyjdziemy, może jeszcze zdążymy na kolację u Hitlera.

– Nie Niemcy będą nas podejmować, a moja rodzina we Francji. Tam jest spokój, poza tym nie wygląda na to, żeby Francja włączyła się do wojny.

Oboje zdawali sobie sprawę, że żadne z państw sojuszniczych nie wykonało swoich zobowiązań i nie zaatakowało Niemców. Wręcz przeciwnie, we Francji i Anglii pojawiły się apele o wstrzymanie mobilizacji wojsk.

– Jesteś szalona! Wszyscy uciekają na wschód, a my mamy pchać się w sam środek wojny?

– Gdybym nie była szalona, to bym za ciebie nie wychodziła.

– Mhm – uśmiechnął się i przytaknął ruchem głowy.

– Pomyśl: wszyscy wieją na wschód, więc kto będzie się spodziewał, że dwójka Polaków chce uciec na zachód?

– Na pewno nikt o zdrowych zmysłach.

– Właśnie. Im bardziej absurd jest absurdalny, tym łatwiej wykonalny. Nikt nie będzie się tego spodziewał.

Po długiej rozmowie Staszek wysunął alternatywną propozycję przedarcia się na północ i odnalezienia szansy na transport do Norwegii. Oboje jednak po głębszym zastanowieniu stwierdzili, że po pierwsze – byłoby to jeszcze bardziej ryzykowne, a po drugie – nie mają w Skandynawii nikogo, u kogo mogliby się zatrzymać.

Maria wyjaśniła, że we Francji, przy granicy z Niemcami, mieszka jej ciotka, siostra ojca – Louise Herenstadt-Boiss. Za męża ma Brunona Boissa, francuskiego Żyda, który posiada rozległe koneksje i ma niemałą fortunę. Mieszkają wraz z rodziną w pięknym dworku. Maria była pewna, że z chęcią udzieli im pomocy. Spędzała tam kiedyś każde wakacje, ale od kiedy była ze Staszkiem, nie pojechała ani razu.

Skonstatował z niemałym zdziwieniem, że odnogi rodziny Herensztadów opanowały świat sprawniej niż hitlerowcy.

– Marysiu, a co ty chcesz tam znaleźć? Szklane domy?

– Nie „marysiuj” mi teraz i wyłącz ten protekcyjny ton.

– Chodzi mi o to, że nie mamy pewności czy Rzesza w następnej kolejności nie zaatakuje Zachodu.

– Tak samo, jak nie mamy pewności czy uciekając na wschód, nie nabijemy się na bagnety

czerwonoarmisty.

– Coś w tym jest.

– Poza tym, w razie czego lepiej być tam niż tu. We Francji będziemy mieć dojścia i kontakty, a tutaj upchną nas wszystkich do jakiejś synagogi i ją spalą, jak tę w Bytomiu podczas „Nocy kryształowej”. Ty się może ostaniesz, chociaż kiedy Niemcy dowiedzą się, że twój brat i ojciec z nimi walczyli, to... To życzę ci powodzenia.

Dopiero kiedy opróżnił kilka kieliszków wódki, dał się przekonać. Postanowili zrealizować plan Marii. Przedrą się przez terytorium wroga.

Z młodzieńczym optymizmem zakładali, że jeśli uda im się przejść linię frontu, dalej nie powinni napotkać wielu żołnierzy niemieckich.

– Wiesz, mogłaś od razu powiedzieć, że chcesz wziąć ślub we Francji – powiedział na koniec Staszek.

Jeszcze tego samego dnia Maria odwiedziła rodzinę. Kiedy tylko przekroczyła próg mieszkania, podbiegła do niej najmłodsza siostra, złapała ją za spódnicę i z nieukrywanym smutkiem oznajmiła, że odwołali szkołę i nie będzie zajęć.

Maria starała się przekonać bliskich, by wyruszyli z nimi. Matka jednak nie chciała słyszeć o porzuceniu domu, poza tym nie dopisywało jej zdrowie. Nie miała dość sił, żeby odbyć taką podróż. Także siostry wołały zostać, wszystkie jednak wyraziły aprobatę dla odważnej koncepcji ucieczki.

– Porozmawiam z Holzerem – powiedziała matka Marii. – Może mógłby wam załatwić lewe dokumenty. Wtedy łatwiej zdołalibyście przejść granicę z Rzeszą.

– Mamo, z Holzerem?!

– Jak do tej pory, nie uczynił nic takiego, byśmy mogły podejrzewać go o brak honoru w najważniejszych sprawach.

Szybko ucięły ten temat, żadne z nich nie chciało powracać do tamtej sprawy. W końcu Maria zgodziła się na kontakt z Holzerem. Wprawdzie miała ogromne obawy co do „honoru” tego człowieka, ale jednocześnie wiedziała, że on może im pomóc.

Kiedy spotkała się ze Staszkiem, ten oznajmił, że także jego matka nie ma najmniejszego zamiaru opuszczania Warszawy. Chciała czekać na Władysława. Wierzyła, że niedługo wróci.

Jak się okazało, Holzer ochoczo przyjął propozycję spotkania ze Staszkiem i Marią. Nim się do niego udali, dziewczyna powiedziała narzeczonemu tylko tyle, że Holzer jest znajomym rodziny, bliskim przyjacielem wujka Emanuela i że „kręci dziwne interesy”.

GRANICA NIEMIECKO-POLSKA, OKOLICE RAWICZA, 1 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Christian Leitner był wysokim blondynem o szarych oczach. Wielokrotnie słyszał, że jego cechy fizyczne są niezwykle bliskie ideałowi „człowieka światła”, jak określano typowych Aryjczyków. Sam Leitner wiedział jednak, że stereotyp blondyna o niebieskich oczach – które miały świadczyć o czystości duszy – wywodził się z wyobrażeń utrwalonych na płótnach przez pewnego rasistowskiego malarza. Nie było to więc zbyt wiarygodne źródło prawdziwego wyglądu idealnego Aryjczyka.

Sam nigdy nie czuł się nadczłowiekiem, nie traktował także innych jako podludzi. Czytywał Nietzschego, ale nie popierał wykorzystania jego idei na potrzeby segregacji rasowej, a instytucję zwaną Lebensborn, która zajmowała się kojarzeniem par rasy aryjskiej i „oczyszczaniem” niemieckiej krwi, traktował jako największe zło w Rzeszy.

Oceniał ludzi na podstawie ich kompetencji, intelektu i honoru. Krew płynąca w ich żyłach nie była dla niego żadnym wyznacznikiem wartości człowieka.

Jednocześnie z bezgranicznym uwielbieniem traktował Adolfa Hitlera. Uważał go za strażnika cywilizacji, niejednokrotnie podczas dyskusji w gronie przyjaciół porównywał Führera do Juliusza Cezara i wieszczyl zupełną dominację militarną i polityczną Rzeszy na arenie światowej. Ten aspekt filozofii Wodza był dla niego celem wszelkich działań Niemiec. Natomiast bełkot o Aryjczykach i podludziach traktował tylko jako środek do jego osiągnięcia. Był przekonany, że Hitler kierował się *Realpolitik* tylko po to, by zjednać sobie poparcie szarych, bezmyślnych mas. Świadomie stworzył pewną ideę, która zagrała na próżności ludzi i spowodowała, że poddali się jego woli, aby mógł nimi kierować wedle swojego uznania.

Hauptmann^[1] Leitner nienawidził wszystkich religii, traktował je jako najbardziej wyrefinowaną manipulację ludzkimi umysłami. Kiedy tylko ktoś poruszał ten temat, dumnie przyjmował postawę zasadniczą i recytował słowa Führera: „wiarę w Boga powinno się tracić tak jak pierwsze zęby”. Po czym rozwijał tę tezę daleko poza intencje autora.

Pierwszego września kapitan Christian Leitner stał na szczycie wzgórza rozciągającego się niedaleko Rawicza i obserwował rustykalny krajobraz. Okoliczne wioski nie różniły się niczym od Lüttendorfu, gdzie się wychował. Zastanawiał się, co by było, gdyby kiedyś sytuacja się odwróciła i ktoś wtargnąłby na jego ziemię. Odrzucił szybko tę myśl.

Zauważył swoich żołnierzy przewracających słup graniczny między Rzeszą a Polską.

„Cóż za infantylizm” – pomyślał.

Otworzył srebrną papierośnicę z wygrawerowanym napisem *Für meine Bären*, prezent od żony. Johanna podarowała mu ją z okazji piętnastej rocznicy ślubu. Wyjął papierosa marki Salem Gold, zapalił i wbił wzrok w plecy żołnierzy.

Podchodząc do nich zauważył, że tuż przed ich roześmianymi twarzami zaświeciła się lampa błyskowa, sygnalizująca wykonanie fotografii.

– *Heil Hitler!* – krzyknął głośniej, niż powinien.

Zaskoczeni żołnierze obrócili się w jego stronę.

– *Heil Hitler. Herr hauptmann*, nie widzieliśmy pana, inaczej zaprosilibyśmy do zdjęcia.

Christian zmierzył ich chłodnym wzrokiem.

– Jeśli to zdjęcie dostanie się do angielskich czy francuskich gazet, cały świat ujrzy wasze prostactwo.

Popatrzyli po sobie, po czym jeden zaoponował nieśmiało:

– *Herr hauptmann*, przecież zdobyliśmy granicę i posuwamy się naprzód.

– I wie o tym każdy dziesięcioolatek na świecie. Myślicie, że takie zdjęcia są potrzebne? I bez nich cały glob dobitnie zda sobie sprawę z tego, że Rzesza jest jego przyszłością.

– Tak jest.

Leitner chciał jeszcze coś dodać, ale zdał sobie sprawę z bezcelowości dalszego wywodu. Zresztą, i tak traktował niewykształconych żołnierzy jedynie jako narzędzia konieczne do uzyskania światowej supremacji Niemiec.

– Odmaszerować na pozycje – rozkazał krótko, po czym dodał – i przemyśleć swoje zachowanie.

Wiedział, że jakiś propagandzista Rzeszy zapewne niedługo roześle zdjęcie wszędzie, gdzie się będzie dało. A potem zachodnie media wykorzystają je przeciwko Niemcom, ukazując ich jako zaślepionych nienawiścią agresorów.

W głowie nadal rozbrzmiewał mu głos Führera, a ilekroć przypominał sobie jego słowa, zakładał ręce za plecami i dumnie się prostował.

„Bądźcie bez litości, bądźcie brutalni, nasza przewaga daje nam wszystkie prawa”.

Najwyraźniej niektórzy żołnierze traktowali ten rozkaz jako przyzwolenie na wyłączenie rozumu. Natomiast w przekonaniu Christiana, Wodzowi chodziło o „prawa” bitwy i wojny. Prawo do pozbawienia życia drugiego człowieka, prawo stosowania tortur i siły fizycznej. Takich praw nie powinno się zatem stosować w normalnych warunkach, kiedy nie było styczności z wrogiem. Nie upoważniały one również do bezmyślnych zachowań.

Kapitan otworzył mapnik pokryty doskonałej jakości jasnobrązową skórą.

Przekroczyli granicę bez większego oporu, teraz mieli skierować się w stronę miasta Rawitsch. Hauptmann Leitner kierował kompanią złożoną z trzech plutonów. Tych kilkudziesięciu żołnierzy miał poprowadzić do zdobycia miasta.

WARSZAWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Stanęli pod jedną z kamienic na warszawskim Kamionku. Maria powiedziała narzeczonemu, że właśnie tutaj mieszka człowiek, który może załatwić im lewe dokumenty. Staszek był niechętny zdobywaniu podrobionych papierów, ale Maria zdołała go przekonać. Zgodził się, choć słusznie zauważył, że lewe dokumenty mogą się okazać zarówno pomocne, jak i niebezpieczne.

Weszli do kamienicy i schodami udali się do piwnicy. Zastali tam Holzera oraz wujka Marii, Emanuela. Po kilku słowach wprowadzenia i przedstawieniu Staszka, Maria zapytała:

– To jak, wykonalne?

Holzer zlustrował ponuro Staszka i odparł:

– Tak. Ale żeby cała akcja się powiodła, niezbędne są dwie rzeczy: kupa kasy i moje towarzystwo w drodze na Zachód.

Staszek i Maria jednocześnie unieśli brwi w zdziwieniu.

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że to nie będzie tania sprawa, ale... skąd pański udział w ucieczce?

– Chłopcze, daj mi skończyć. Chcecie zrobić coś tak głupiego, że żadnemu Niemcowi nie przyszyłoby to do głowy. Dlatego plan mi się podoba. Uruchomiłem wszystkie swoje kontakty, spaliłem za sobą wiele mostów, a i miejsc na cmentarzach zrobiło się gdzieś tam mniej.

– Holzer, do rzeczy, proszę – wtrąciła się Maria.

– Zanim przedstawię wam plan, muszę wiedzieć, że nie dacie dupy i nie wycofacie się, bo pewnie kilkoro ludzi będzie musiało gryźć piach, żebyśmy zdołali się stąd wyrwać.

Młodzi kiwnęli głowami, po czym Staszek powiedział:

– Niech pan nie ma wątpliwości, jesteśmy przekonani co do samej ucieczki, ale nasz *modus operandi* nie zakłada pozbawiania nikogo życia.

– Co niby, kurwa, nie zakłada pozbawiania życia? Chłopcze, po pierwsze – mów mi po prostu Holzer. Po drugie, tylko informuję, żebyście wiedzieli, w co się ładujecie. Po trzecie...

– Dobra, dobra. Mów – popędziła go Maria.

Popatrzył na nią i przez kilka sekund się wahał, po czym powiedział:

– Moje kontakty na Zachodzie twierdzą, że dla uwiarygodnienia jednej z nadgranicznych prowokacji niemieckich zostali tam wysłani pseudodziennikarze, trójka Austriaków pracujących dla gazety „Neue Stimme” w Innsbrucku. W tej chwili ich ciała leżą zakopane gdzieś przy granicy z Niemcami, a mój człowiek bierze udział w licytacji ich papierów, które dotarły do Warszawy.

– Co? Jakim cudem możemy mieć takie dokumenty? – Staszek zaczął przypuszczać, że Holzer to zwyczajny oszust, który chce ich naciąć na grubą kasę.

Emanuel wytłumaczył: plan niemieckiej prowokacji polegał na tym, że we wsi Stodoły – czy jak kto woli Hochlinden – niedaleko Rybnika, wieczorem ostatniego dnia sierpnia, z lasu wybiegła grupa ludzi śpiewających polskie pieśni, grożących Hitlerowi i wychwalających ministra Becka. Ostrzelali kilka budynków, a jeden zajęli, przedstawiając się jako „powstańcy śląscy”. Torturowani – Staszek zastanawiał się, przez kogo – dziennikarze austriaccy zdradzili, że była to akcja mająca na celu usprawiedliwienie ataku niemieckiego na Polskę. Dzięki temu niemieckie agencje prasowe doniosły, że Polacy zaatakowali Hochlinden, zabijając obywateli Rzeszy i chcąc zagarnąć wieś dla siebie.

– Rzesza musiała się bronić – zakończył Emanuel, rozkładając szeroko ręce.

– Wszystko pięknie, ale nadal nie rozumiem, skąd te papiery wzięły się w...

– Chłopcze – Holzer przerwał Zaniewskiemu – myślisz, że robię was w chuja?

– Powiedzmy, że po prostu jestem ciekawy z natury.

Holzer ostentacyjnie westchnął. Zasadniczo nie mógł mieć pretensji do młodzieńca za podejrzliwość. Naciął w swoim życiu tylu ludzi, że zapewne już z samych oczu biło mu pragnienie okantowania rozmówcy. Nie zmieniało to jednak faktu, że Maria powinna zaufać mu na słowo.

– Dokumenty, za bezcen, dostały się w łapy pewnego sprytnego skurwysyna. Przewiózł je z Rybnika do Częstochowy, ale przy granicy nikt się nie palił do ich kupna. Zbyt gorąco, zbyt blisko Niemców. Stwierdził, że jeśli gdzieś ma zbić na nich fortunę, to tylko w Warszawie. I oto mamy okazję, z której trzeba skorzystać, bo druga taka się nie trafi.

– A konkrety? – włączyła się Maria, nie dając narzeczonemu dojść do słowa.

– Mój plan jest prosty: zgłaszamy najwyższą ofertę na papiery. Cena nie będzie niska, bo ma na nie ochotę połowa poważnych warszawskich... powiedzmy: przedsiębiorców. Mój człowiek załatwi, żeby na dokumentach widniały nasze zdjęcia. Jest to o tyle, kurwa, genialne, że żaden Niemiec nas nie sprawdzi. Co, będą dzwonić po redakcjach austriackich gazet?

– Holzer, nawet jeśli będziemy mieć lewe papiery, które nie będą mogły zostać sprawdzone,

pozostanie kwestia tego, dlaczego postanowiliśmy dotrzeć do Warszawy, zamiast z Hochlinden wrócić do Austrii – odparł Zaniewski.

– Warszawa to już prawie Rzesza, chłopcze. W razie czego powiemy, że goniliśmy za innymi materiałami, że relacjonujemy przebieg wojny, cokolwiek. Ale widzę, że nie rozumiesz jednej bardzo ważnej rzeczy.

– Oświeć mnie.

– Skoro tych troje wiedziało wcześniej, gdzie i co mają relacjonować, to musieli być psami na pasku Hitlera, Himmlera czy innego gnoja. Inaczej nie byłoby dokładnie tam, gdzie nastąpiła prowokacja.

– Pewnie masz rację, ale nie wiem, czy właśnie to nie zwróci na nas zbyt dużej uwagi.

– Staszek ma rację. Jeśli oni działali na zlecenie, pewnie odpowiednie władze oczekują ich z niecierpliwością. Tym bardziej nikt nie uwierzy, że wybrali się do Warszawy – wtrąciła Maria.

– No to jest, kurwa, pewien problem, nie ukrywam. Ale Niemcy mają teraz inne sprawy na głowie, poza tym nie wiedzą, co się stało z dziennikarzami. W razie potrzeby popchniemy bujędę o tym, jak mniejszość polska w Stodołach nas pojmała i wywiozła na przesłuchanie do Warszawy. A jeśli faktycznie wysłał ich do Stodół jakiś wysoko postawiony hitlerowiec, to pewnie mają odpowiedni status, by Wehrmacht się ich nie czepiał.

Staszek zrobił zamyśloną minę. Rozważał wszystkie za i przeciw. Jeśli dopisałoby im szczęście, udałoby się im bez większych problemów dotrzeć do granicy z Niemcami, a potem przebyć je aż do Francji. Wystarczyłaby jednak odrobina pecha, aby ktoś sprawdził lewe papiery, a wtedy czekałaby ich powolna i bolesna śmierć.

– Ryzykowne bardziej, niż zakładaliśmy.

– Staszek... a co teraz takie nie jest? Przynajmniej będziemy mieć szansę, że po dotarciu do granicy uda się nam dalej podróżować względnie bezpiecznie – powiedziała narzeczona.

– Nie mówię „nie”, ale musimy ten plan dopracować przed wcieleniem go w życie. Wystarczy, że zatrzyma nas pierwszy lepszy szeregowy Wehrmachtu i zapyta, czemu nie idziemy w kierunku Austrii.

Po dłuższej dyspacie o możliwych opcjach przedostania się do niemieckiej granicy przez kolejne dwie godziny omawiali inne kwestie współpracy. Tymczasem przyszedł człowiek Holzera z wylicytowanymi dokumentami. Staszek i Maria obejrzeni je z zadowoleniem, ale załamali ręce, kiedy usłyszeli cenę. W dodatku opiewała na niemieckie marki, gdyż organizator licytacji najwyraźniej chciał się zabezpieczyć w przypadku niechybnego nadejścia nowej władzy. Kurs wymiany złotych na marki jeszcze bardziej pogłębił młodych.

– Cholera, nie stać nas, przeliczyliśmy się – powiedział młodzieniec po chwili konsternacji. Maria stała się jeszcze bardziej zirytowana, widząc jego nazbyt spokojną reakcję. Cały ich plan wziął w łeb, a jego było stać ledwie na „cholere”.

– Jak to was, kurwa, nie stać?! – Holzer poderwał się, przewracając krzesło. – Dokumenty wylicytowane, kasa musi być, ręczyłem za was własnymi jajami!

Sytuacja zrobiła się nerwowa. Staszek mimowolnie zmierzył Holzera wzrokiem, oceniając swoje szanse w ewentualnym starciu. Nie miał żadnych szans w walce na pięści, ten bydlak był naprawdę umięśniony, oprócz tego na pewno miał broń... i wyglądało na to, że właśnie po nią sięgał, bo klnąc coś o „pierdolonych dzieciakach”, odwrócił się i otworzył szafkę.

Maria, świadoma powagi sytuacji, pospiesznie złapała ukochanego za rękę i chciała wypchnąć go przez drzwi, ale drogę zagroził im Emanuel.

– Spokojnie. Holzer trzyma tam papierosy – powiedział w momencie, kiedy dryblas się odwrócił. Zobaczyli, że nerwowo przypalał jednego. Zobaczywszy reakcję Staszka i Marii, wybuchnął ohydny śmiechem, obnażając braki w uzębieniu.

– Płochliwe z was jagnięta – ciągnął Emanuel. – Mario, pożyczaliście nam pieniądze, kiedy interesy nie szły. Teraz mogę wreszcie je zwrócić. Dopłacę tyle, ile wam brakuje.

Narzeczeni uspokoili się widząc, że przynajmniej teraz nic im nie grozi ze strony Holzera. Dłuższą chwilę zastanawiali się, jak mają odpowiedzieć na hojną ofertę Emanuela, po czym Maria rzekła:

– Wujku, dziękuję. A co będzie z tobą?

– Zostanę tutaj, zajmę miejsce Holzera w naszej... hierarchii. Dam sobie radę, nie mam gęby recydywisty jak on, więc wtopię się w tłum, zniknę. Siadajcie i nie róbcie sobie jaj.

Po uregulowaniu należności i wypiciu kilku kieliszków wódki czystej wyborowej, Holzer wrócił do tematu:

– Ostatnia sprawa. Ja szwargoczę po niemiecku na tyle, żeby nie wpaść. Jak stoicie z niemieckim?

– Maria mówi płynnie, w moim przypadku jest zupełnie odwrotnie. Nie znam ani jednego słowa. Mówię trochę po francusku, to tyle ze znajomości języków. Zawsze były moją słabą stroną.

Bandyta wymusił na nim zobowiązanie, że nauczy się kilku podstawowych zwrotów, po czym udzielił krótkiej lekcji, prezentując słowa, które będą niezbędne:

– *Alles gut, halt die Klappe, verpiss dich.*

Maria się roześmiała.

W drodze do domu omawiali wydarzenia tej nocy.

– Marysiu, ufasz temu człowiekowi? Równie dobrze to wszystko może być sprytnym przekrętem. Stracimy niemalą kwotę, a zajdziemy może z pięćset metrów, nim Holzer obróci się z gnatem w rękę i tyle z tego będzie.

– „Ufam” to dużo powiedziane. Myślę raczej, że zależy mu na tym tak samo jak nam. Jeśli zostanie tutaj, będzie jednym z pierwszych, którego Niemcy usuną. Pół Warszawy wsypie go przy pierwszym przesłuchaniu... A poza tym popatrz na niego, na pierwszy rzut oka widać, że jest Żydem z krwi i kości. O nazwisku już nie wspomnę.

Staszek zamyślił się, co nie uszło uwadze narzeczonej.

– Nie mogę uwierzyć, że twoja rodzina zna takich typów – powiedział po chwili milczenia.

– Wujek Emanuel już w młodości trafił do więzienia za jakieś przewinienie. Tam wpadł w nieciekawe towarzystwo, a potem sprawy potoczyły się same. Jest dobrym człowiekiem, któremu życie wyznaczyło niemiłą drogę.

– Czego na pewno nie można powiedzieć o Holzerze. – Staszek zrobił pauzę, po czym dodał: – Cholera, to wszystko wygląda coraz mniej ciekawie. Nie dość, że w jego towarzystwie będziemy rzucać się w oczy, to nie możemy wykluczyć, że pozbędzie się nas przy pierwszej lepszej okazji, kiedy tylko przestaniemy być mu potrzebni.

– Może. W każdym razie jego słowo niewarte jest funta kłaków. Póki jednak będziemy mieć wspólny cel, powinno być dobrze, a potem będziemy po prostu ostrożni.

OKOLICE WSI UŻOK, GRANICA POLSKO-SŁOWACKA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Kompania Obelta została zaatakowana przez dwa bombowce. Wprawdzie lotnicy nie zawracali sobie głowy zrzucając zbyt dużej ilości bomb na nieliczny oddział, ale nawet taka ich ilość wystarczyła, by w jednej chwili zginęła większość żołnierzy kapitana.

Ci, którzy przeżyli, byli bez skrupułów dobijani z działka bombowca He-111. Obsługujący je strzelec oddawał serie z nieukrywaną euforią. Czuł się bezkarny i bezpieczny.

Nawigator poinformował pilota, że zadanie wykonane. Polecieli dalej, pod sobą zostawiając świeżo powstały cmentarz.

Bronek Zaniewski powoli otworzył oczy. Szumiało mu w głowie. Nie wiedział, co się dzieje wokół. Był przerażony.

Chciał poruszyć ostrożnie nogami. Nie mógł unieść żadnej, choć miał w nich czucie. „Jestem przysypany ziemią” – pomyślał. Prawa ręka – w porządku. Lewa – odezwał się nieznośny ból w barku. Spojrzał na ramię i zobaczył, że wbił się w nie metalowy odłamek. Odetchnął z ulgą, gdy zrozumiał, że ogólnie nie jest źle – żyje i nie odniósł cięższych obrażeń.

Zaczął analizować sytuację. Samoloty odleciały i najwyraźniej... Przerwał rozmyślenia, zamknął oczy i znieruchomiał, udając martwego, bo kątem oka dostrzegł, że zbliża się wroga piechota.

Kiedy Słowacy dotarli do miejsca, gdzie jeszcze niedawno opór stawiali im polscy obrońcy granicy, zaczęli przechadzać się między ciałami i dobijać tych, którym udało się przeżyć nalot. Któryś z żołnierzy oddał w kierunku nich strzały, trafiając dwóch nieprzyjaciół, zanim kilku innych skierowało na niego ogień.

Bronek usłyszał, że ktoś zbliża się także do niego. Wrogi żołnierz szturchnął go w bok karabinem.

Nie poruszył się, mimo bólu. Człowiek, od którego zależało teraz jego życie, najwyraźniej uznał, że Zaniewski jest już martwy. Z pewnością warszawiakowi pomogło to, że był prawie cały pokryty ziemią. Żołnierz oddalił się, a Broniek w duchu podziękował Bogu.

W końcu oddział przebył to, co przed momentem było linią obrony i skręcił na zachód.

„Pewnie mają teraz ważniejsze rzeczy, niż szabrowanie zwłok – pomyślał Zaniewski. Niepewnie otworzył oczy i uznał, że jest bezpieczny. – Najwyższy czas się rozejrzeć”.

Zrzucił ziemię z klatki piersiowej i podniósł głowę. Po jego prawej stronie leżał jakiś żołnierz i wpatrywał się w niego. Miał szeroko otwarte oczy. Nie było już w nich jednak iskry życia.

Bronek przypomniał sobie, że Maniura stał niedaleko za nim, więc energicznie obrócił się w poszukiwaniu przyjaciela, choć nadal był przysypany ziemią od pasa w dół. Odnalazł wzrokiem ciało Wacka. To musiał być on, choć Zaniewski mógł go rozpoznać tylko po oznaczeniu rangi. Kumpel miał roztrzaskaną twarz, jakby granat eksplodował tuż przed jego głową.

Bronek zamknął oczy, a po chwili znów popatrzył na zwłoki Maniury. Uznał, że zginął w wyniku ostrzału z samolotu – w brzuchu przyjaciela ziała dziura od pocisku dużego kalibru. Jelita wypłynęły na zewnątrz, choć Wacek próbował przed śmiercią powstrzymać je prawą ręką. „Jego ostatni odruch. Boże” – pomyślał Zaniewski. Odwrócił wzrok, ale i tak ogarnęły go nudności.

– Żyjesz, ty pierdolony sukinkocie – usłyszał cichy, zachrypnięty głos, a potem chrząknięcie.

– Chwieduszek!

W końcu wygrzebał nogi z ziemi i poczołgał się w kierunku, z którego dobiegał głos.

– Dla ciebie chorąży Chwieduszek.

– Wal się.

Jego niedawny przeciwnik w starciu na gołe pięści wydał mu się naraz najbliższym przyjacielem. Zaniewski przypatrzył się mu i ocenił, że chorąży jest w lepszym stanie niż on sam, bo przynajmniej z jego barku nie wystawało nic metalowego.

Chwieduszek obejrzał jego lewy bark. Ostrożnie wyciągnął odłamek i mruknął, żeby Zaniewski się nie mazał, bo nic wielkiego się nie stało. Obandażował mu ranę.

Zanim zaczęli obchodzić pole śmierci, Bronek wrócił do Maniury, ułożył go na plecach, po czym się przeżegnał. „Niech ci ziemia lekką będzie”.

Znaleźli żołnierza, który właśnie przekraczał próg śmierci. Warszawiak popatrzył na jego zalaną krwią twarz i od razu zauważył, że tamtego opuszczało życie. Chwieduszek robił, co mógł, ale nawet najlepszy lekarz nic by nie zdziałał.

Po kilku minutach natknęli się na jeszcze jednego żywego, a nawet przytomnego, choć stracił trzy palce lewej ręki. Nim go odnaleźli, zdążył starannie obandażować sobie rękę. Wyglądał, jakby dopiero co skończył osiemnaście lat.

– Jak się nazywacie, żołnierzu? – zapytał Chwieduszek.

– Szeregowy Roman Kiljan, panie chorąży.

– Praworęczny? – Chwieduszek popatrzył na jego poranioną lewą dłoń.

– Tak.

– To nie ma co rozpaczać.

Zaczęli zbierać granaty i amunicję, udało im się znaleźć sporo nienaruszonych opatrunków osobistych, zaopatrzyli się też w sporą liczbę sucharów i manierek z wodą. Brali wszystko, co mogło im się przydać podczas następnych dni. Choć zabieranie ekwipunku poległym kompanom wydawało im się co najmniej szare moralnie, zwyciężył racjonalizm. Wiedzieli, że aby przeżyć, potrzebują sprzętu i zapasów.

Potem zaczęli się zastanawiać nad planem działania.

– Musimy iść w las. Tam, skąd przyszli Słowacy – powiedział Bronek.

– Nazistowski pies im mordę lizał – wypalił Chwieduszek. – Zgoda. Nie widzę innej możliwości.

Obaj zdawali sobie sprawę, że w ciągu kilku godzin znaleźli się za linią wrogich wojsk, więc

musieli się ukryć. Front przesunął się na północ, więc idąc na południe, powinni chwilowo być bezpieczni, o ile Wehrmacht nie nadciągnie jako druga fala uderzeniowa.

Nagle ktoś chwycił Chwieduszkę za buta. Ten machinalnie cofnął nogę, nawet prawie krzyknął ze strachu. Pospiesznie kucnęli przy człowieku, który zaczął zdradzać oznaki życia, i ostrożnie obrócili go na plecy.

– To kapitan! – niemal krzyknął Zaniewski.

Obelt wydał z siebie niezrozumiały pomruk, po czym znieruchomiał.

Chwieduszko sprawdził mu puls. Był słaby, nieregularny. Oficer był na granicy zejścia z tego świata.

– Znów stracił przytomność – oświadczył krótko chorąży zaniepokojonym głosem.

Naprawdę opatrzyli jego rany. Broniek popatrzył na dowódcę i stwierdził, że Obelt nie wygląda, jakby miał z tego wyjść.

– Musimy sklecić jakieś nosze, nie możemy go tu zostawić.

– Gdzieś na tyłach był oddział sanitariuszy. Szeregowy Kiljan, poszukajcie noszy i wracać tu migiem – rozkazał Chwieduszko.

– Tak jest. – Młody szeregowy zerwał się na równe nogi i popędził w kierunku, który wskazał Chwieduszko.

Romanowi Kiljanowi udało się znaleźć nosze oraz zestaw pierwszej pomocy, zawierający bandażę, gazy i niewielką butelkę jodyny.

Niosąc kapitana Obelta, weszli do lasu i po przejściu kilkuset metrów skręcili na zachód, by nie pozostawać na drodze, którą mogły podążać kolejne nieprzyjacielskie oddziały.

Za ścianą drzew i krzewów położyli nosze na ziemi. Tutaj natura zapewniała im naturalną osłonę przed oczami wroga. Po raz pierwszy od kilku godzin odetchnęli z ulgą. Zaniewski pomyślał: „Kurwa, nie mamy nawet jednej paczki fajek”.

Brak papierosów wynikał z tego, że przed zajęciem pozycji obronnych kapitan Obelt kazał wszystkie skonfiskować. Obawiał się, że żołnierze nie wykonają rozkazu zabraniającego palenia, a nawet najmniejsza chmurka dymu mogłaby zdradzić ich pozycje wrogim obserwatorom.

– Belt nie przeżyje godziny – powiedział szeregowy Kiljan.

Chwieduszko popatrzył na niego z dezaprobatą i gniewem w oczach.

– Zamknij mordę. Przeżył szkolenie takich tępaków jak ty, przeżyje i to.

Broniek zauważył, że kapitan Obelt ma otwarte oczy, a wzrokiem wodzi po ich twarzach. Warszawiakowi wydawało się, że oficer próbuje coś powiedzieć, więc pomyślał: „Może nie jest z nim aż tak źle. Przynajmniej stara się ocenić swoje położenie. Przydałby się Staszek. Wiedziałyby, co z nim zrobić”.

Zaniewski nie miał czasu pozwolić myślom odpłynąć w kierunku Warszawy, bo po chwili wszyscy trzej mieli ważniejsze sprawy na głowie. Zauważyli niemieckich żołnierzy, którzy przemierzali las. Kiljan zrobił się błyśnięciem na twarzy. Nikt z Polaków nie mógł sobie pozwolić na wydanie najmniejszego dźwięku.

Patrol żołnierzy Wehrmachtu minął ich o nie więcej niż sto metrów. Kierował się w stronę miejsca, gdzie kompania Obelta miała utrzymać granicę. A drogą ciągnęły oddziały piechoty, artylerii i piechoty zmotoryzowanej, zmierzające prawdopodobnie do Lwowa.

Pozostawali w bezruchu i kompletnej ciszy przez piętnaście minut. Wreszcie stracili z oczu Niemców. Pierwszy odezwał się Zaniewski:

– Banda pierdolonych tchórzy. Wysyłają Słowaków i samoloty, żeby oczyściły im drogę.

– Jeśli tak ma wyglądać ta wojna, to długo u nas nie zabawią – Chwieduszek przytaknął.

Bronek zauważył, że Kiljan wygląda, jakby zaraz miał zemdleć.

– Szeregowy, wszystko w porządku? – spytał warszawiak.

Kiljan potrząsnął głową. Popatrzył w ziemię i zamknął oczy. Potarł czoło, po czym odparł łamiącym się głosem:

– Tak, panie sierżancie.

„Ten chłopak przeżył dziś więcej, niż w ciągu całego życia przeżyje większość jego rówieśników” – pomyślał Zaniewski.

– Nie róbcie sobie jaj z podoficera, szeregowy! Widziałem, jak prawie umarliście na widok niemieckich mundurów.

Chłopak popatrzył na Bronka i nic nie odpowiedział.

– Czy tak się zachowuje dumny żołnierz Wojska Polskiego? – Zaniewski podniósł głos.

– Nie, panie sierżancie.

– To zbierzcie się do kupy, bo Niemcy sami z sobą walczyć nie będą. Ktoś musi ich zabijać, a wybór padł na was. Nie chowajcie głowy w piasek jak pierdolony struś.

– Przepraszam, panie sier...

– Nie ma za co przeproszać, wystarczy nie trząść dupą. Dziś musieliśmy czekać, ale następnym razem sprawimy, że poleje się niemiecka krew.

Szeregowy, który do tej pory chował się za kępą krzaków, wyszedł, a w jego oczach zabłyszczał gniew.

Przysłuchując się słowom Zaniewskiego, Chwieduszek stwierdził, że może i jest on idiotą, a w dodatku furiatem, ale potrafi radzić sobie w trudnych sytuacjach. Postawił tego chłopaka na nogi i chyba zmotywował. Ale postawa Kiljana nie była teraz ich największym problemem.

– Szeregowy, zając się kapitanem. Sierżancie, ze mną. – Skinął na Bronka i poszedł w stronę prześwitu drzew, gdzie przed chwilą znikły oddziały Wehrmachtu.

Doszli do miejsca, z którego znów zobaczyli szeregi żołnierzy zmierzających w głąb Polski.

– Nie damy rady przedrzeć się przez taką masę Szwabów.

Bronek przetrwał słowa przełożonego. I wtedy zauważył, że Chwieduszek, utkwivszy wzrok w koronach drzew, wyjmując zgniecioną paczkę papierosów.

– Mogę? – zapytał Zaniewski.

– Po tym, jak daliście mi w ryj, sierżancie? Mam opory przed podarowaniem wam nawet parszywego, przemyconego pod nosem oficera gnieciucha – odpowiedział chorąży, po czym poczęstował go lucky strike'em i przypalił.

Bronek zamknął oczy i zaciągnął się głęboko, po czym powiedział:

– Kurwa, dobre, amerykańskie... A zawrócenie na północ, poprzez front, to samobójstwo. Powinniśmy pójść na południe.

- Wyżarło ci resztki szarych komórek? W kierunku pierdolonej, nazistowskiej Słowacji?
- Pewnie już i tak jesteśmy na Słowacji. – Obrócił głowę w lewo i prawo, rozglądając się po okolicy.
- Chwieduszko zdał sobie sprawę, że młodzieniec ma prawdopodobnie rację – odchodząc w stronę lasu, znaleźli się chyba za polską granicą.
- Może i tak. – Splunął pod nogi. Broniek zrobił to samo.
- Popatrzyli na siebie.
- Ewentualnie możemy kierować się na wschód. Pewnie za dzień lub dwa dojdziemy do Rumunii. Stamtąd uda się nam zorganizować transport do naszej armii. O ile Rumuni nadal z nami trzymają – powiedział warszawiak.
- Kapitan Obelt nie przeżyje dnia.
- Chwieduszko nigdy nie mówił o kapitanie „Beł”. Co więcej, uważał go za swojego mentora, żołnierza doskonałego, człowieka niezniszczalnego. Ilekroć ktoś tytułował oficera przezwiskiem wymyślonym w koszarach, dostawał od chorążego karę pompek w błocie. Dla Chwieduszki kapitan był osobą, którą podoficer sam chciałby kiedyś się stać. „Jak to możliwe, że teraz leży bez ruchu przy szeregowym, który szcza w gacie na widok Niemców?” – pomyślał.
- No właśnie. Więc jeśli pójdziemy na południe, powinniśmy dość szybko znaleźć jakąś wieś. Górale mają znachorów potrafiących leczyć chorych. A może nawet trafimy na jakiegoś lekarza.
- Chwieduszko odłożył na bok swoje przemyślenia na temat Obelta. „Ten furiat ma rację. Pójdziemy w stronę naszych, to rozstrzelają nas bez słowa tylne formacje Wehrmachtu. Pójdziemy na wschód, to będziemy kiblować w Rumunii do usranej śmierci. A kapitan Obelt wyzionie ducha po kilku kilometrach”.
- Panie chorąży?...
- Dobry pomysł, Zaniewski – odpowiedział krótko, po czym rzucił niedopałek papierosa na ziemię i udał się w stronę Kiljana i Obelta. Broniek poszedł za nim.
- Opatrzmy kapitana tak, jak zdołamy. Potem pójdziemy na południe szukać wioski, w której znajdzie się ktoś, kto będzie mógł mu pomóc – chorąży wydał rozkaz, gdy znaleźli się przy oficerze.
- Obelt zamknął oczy. Może zrozumiał.

RAWICZ, 1 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Żołnierze Leitnera wdarli się do miasta. Spodziewali się mocniejszego oporu, ale dowódca Ósmej Armii, generał Blaskowitz, widocznie nie podzielał tej opinii, bo wysłał do Rawitscha tylko jedną kompanię. Niemcy nie ponieśli żadnych strat w ludziach, jedynie kilku zostało niegroźnie rannych.

Szybko zajęli ratusz stojący w centrum miasta.

Christian Leitner usiadł w gabinecie burmistrza na miejscu przeznaczonym dla gospodarza. Samego burmistrza nigdzie nie znaleźli, najwyraźniej uciekł. A przecież honor żołnierski nakazywał hauptmannowi oświadczyć wóldarzom zajmowanego miasta, że przejmuje władzę.

Omiótł wzrokiem gabinet – wyposażenie wysokiej klasy. Wytworny dywan, piękne kotary, meble antyki. Jego wzrok przykuło polskie godło państwowe, zawieszony w centralnym miejscu na ścianie. Podsunął krzesło, stanął na nim i z pietyzmem ściągnął godło ze ściany, po czym schował w jednej z szuflad dużego biurka. „Nie ma potrzeby profanować symboli innego państwa” – pomyślał.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść – powiedział sucho.

Jego oczom ukazał się wysoki i chudy człowiek z małymi, okrągłymi okularami spadającymi z czubka nosa. Nieudolnie starał się przyjąć przed Leitnerem postawę zasadniczą.

– *Heil Hitler!* – krzyknął i zsalutował.

Kapitan Leitner uniósł rękę w geście powitania i odpowiedział:

– Markus Richarz?

– Tak, *Herr hauptmann*. Pan mnie wzywał.

– Siadaj. – Christian wskazał fotel rządcy miasta. – Od dziś jesteś burmistrzem Rawitscha, gratuluje.

Wymienili kilka uwag na temat błyskawicznych ruchów wojsk niemieckich, po czym Richarz zaczął opowiadać o mieście. Uwagę kapitana najbardziej przykuło tutejsze więzienie, które powstało – wedle słów nowo mianowanego burmistrza – w 1827 roku. Od tamtej pory systematycznie budowało swoją reputację najostrzejszego więzienia w regionie. Siedzieli tutaj przestępcy skazani na co najmniej pięć lat pozbawienia wolności.

Rozmowę przerwała seria strzałów i krzyków w języku polskim. Leitner w jednej chwili znalazł się przy oknie i ocenił sytuację. Spora grupa Polaków atakowała ratusz od zachodniej strony. W oddali dostrzegł nadciągający kolejny wrogi oddział. Wypatrzył też czyhających za węglami kilku domów Polaków uzbrojonych w karabiny.

Richarz siedział przerażony na swoim nowym siedzisku. Tymczasem *hauptmann* wyjął papierosnicę i zapalił papierosa. Burmistrz popatrzył na niego jak na chorego psychicznie. Sam nerwowo obgryzał paznokcie, ale pozostał na miejscu i nie odzywał się.

Po chwili bez pukania wbiegł do gabinetu zastępca Leitnera, *oberleutnant* Ernst Heinle. Spocony, pospiesznie wypowiedział regulaminową formułkę powitania i zameldował, że Polacy zbliżają się od zachodu, że strzały padają z budynku po południowej stronie ratusza i że niemiecki obserwator na ratuszowej wieży nie może zlokalizować dokładnych pozycji Polaków. Po prostu oddaje krótkie salwy w te miejsca, gdzie tylko coś się porusza.

Christian spokojnie zgasił papierosa. Wyjął z pokrowca swój karabin wyborowy K98k firmy Mauser z lunetą *hensoldt* dalytan i tak usadowił się przy oknie od zachodniej strony, by pozostać niewidocznym dla wroga. Porucznik Heinle i burmistrz Richarz wpatrywali się bezmyślnie w jego plecy, nie wiedząc, co sami mają robić.

Leitner przeczesywał za pomocą lunety kolejne pozycje Polaków, starając się zlokalizować dowódcę natarcia. Nigdzie go nie znalazł. „A szkoda, jeden celny strzał mógłby załatwić sprawę” – pomyślał.

Szybko stwierdził, że w obecnej sytuacji są na straconej pozycji, bo Polacy prowadzą silny ostrzał, a dodatkowo niedługo ich okrążą. Leitner nie dysponował wystarczającymi siłami, by odeprzeć atak. Oceniał chłodno, że należy się przegrupować.

Odezwał się do Ernsta Heinlego:

– *Herr oberleutnant*, proszę zarządzić odwrót z ratusza północnym wyjściem. Punkt zborny kilometr na północny zachód od miasta, przy gospodarstwie, które minęliśmy przed wkroczeniem tutaj. Niech żołnierz, który stoi na wieży ratusza, prowadzi nieprzerwany ostrzał podczas manewru wycofywania się.

Heinle uniósł brwi i przygryzł dolną wargę.

– Tak jest, *Herr hauptmann*.

Christian jednym rozkazem pozostawił na pewną śmierć człowieka strzelającego z wieży. „Zwykły pragmatyzm. Poświęcając jedno życie, uratuję całą kompanię. Führer by się nie zawahał” – pomyślał.

Równocześnie doszedł do wniosku, że nie lubi swojego zastępcy, porucznika Heinlego. Człowiek ten nie dysponował potencjałem intelektualnym, który powinien charakteryzować oficera Wehrmachtu. Tacy jak on nadawali się co najwyżej na kaprali. Kapitan odnosił wrażenie, że ludzie pokroju Heinlego nie wiedzą tak naprawdę, o co walczą. Ślepo słuchają skierowanej do szarych mas nazistowskiej propagandy i gotowi są umierać za *Lebensraum*, przestrzeń życiową dla narodu niemieckiego, którą zamierzają dopiero wywalczyć na wschodzie.

Jednocześnie zaś nie zdają sobie sprawy z najważniejszego, przynajmniej według Leitnera: że Hitler ratuje świat przed kompletną zagładą. Tylko Rzesza jest ostoją cywilizacji. Tylko Rzesza może zapewnić światu stabilną przyszłość. Bo niby kto inny? Liga Narodów? Każda międzynarodowa organizacja jest ze swej natury nieudolna i wewnętrznie sprzeczna. Trzeba wybrać jeden kraj na tyle silny, by mógł poprowadzić rozwój całego świata i zapewnić mu dobrobyt. Takim krajem może być jedynie Rzesza.

– *Herr hauptmann*, a co ze mną? – nerwowo zapytał Markus Richarz.

– Zostaniesz tutaj – odparł Leitner, po czym nagle uderzył go w głowę kolbą karabinu wyborowego.

Richarz zatoczył się i upadł na podłogę, osłaniając twarz. Z nosa lała się krew.

– Za co?

– Nie za co, a po co. Teraz, burmistrzu Richarz, będziesz mógł powiedzieć Polakom, że wzięliśmy cię na przesłuchanie. Nie wyjawileś nic, zresztą nie miałeś czasu, bo po chwili Niemcy uciekli w popłochu przed bohaterską armią polską. Zapamiętasz?

Okularnik przestał osłaniać twarz i potaknął. Wyglądał, jakby miał zemdleć ze strachu.

– Dobrze. Postaraj się dokładnie ocenić ich siły. Kiedy zbierzesz dostatecznie dużo informacji, dołącz do nas w punkcie zbornym, o którym mówiłem.

– Tak jest.

– Pamiętaj, burmistrzu: to miasto jest twoje. Odpowiadasz za jego bezpieczeństwo. To, że chwilowo Polacy pozbawili cię stanowiska, nie zwalnia cię z obowiązków.

Markus Richarz wstał i wykonał nazistowski gest.

– Twój złamany nos uratuje niemiecką ludność Rawitscha przed wrogiem. Rzesza pokłada w tobie nadzieję – dodał kapitan, wychodząc z pokoju.

Powrót do punktu zbornego odbywał się przy nieprzyjemnym akompaniamencie wystrzałów karabinowych. Christian stracił kilku ludzi, w tym obserwatora na wieży.

Gdy dotarł do gospodarstwa poza miastem, usiadł nad mapą i rozpoczął tworzenie planu powrotu do Rawitscha.

PÓŁNOCNA SŁOWACJA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bronek, Chwieduszko i Kiljan, niosąc na noszach kapitana, już po przejściu kilku kilometrów natknęli się na małą wioskę. Wcześniej ominęli jedną większą. Stwierdzili, że wolą odnaleźć małą osadę zagubioną w górach, gdyż jej mieszkańcy mogą nawet nie mieć pojęcia o toczącej się wojnie, dzięki czemu nie przywitają ich gradem kamieni.

Mieli rację. W wiosce o nazwie Ražňam mieszkało najwyżej sześćdziesięciu ludzi – i to przy wyżu demograficznym. Bronek zlustrował wzrokiem zabudowania, mieszkańców i sprzęty, po czym ocenił, że miejscowi zajmują się głównie wypasem owiec na pobliskich górskich łąkach.

Mieszkańcy przerwali codziennie czynności i skupili się na dziwnych gościach. Do Polaków wyszedł mężczyzna na oko pięćdziesięcioletni. Mocno dzierżył kosę. W pewnej odległości za nim stanęła grupa dziesięciu chłopaków, którzy byli podobnie uzbrojeni. I trudno się dziwić, bo przybysze nie wzbudzali zaufania – prezentowali się jak nędzarze, nie żołnierze. Umorusani i obładowani wojskowym ekwipunkiem, wyglądali na skrajnie wyczerpanych, a jeden chyba umierał na noszach. Trzej pozostali byli równie wykończeni, ale przynajmniej utrzymywali pozycję pionową.

Zaniewski, nie spuszczać wzroku ze zbliżającego się Słowaka, dotknął kabury z pistoletem vis wzór 35. Niemal uwielbieniem darzył tę broń i byłby gotów raczej odrąbać sobie rękę, niż oddać ją wrogowi. Także teraz był gotów jej użyć i nie myślał o tym, że gdyby oddał strzał, rzuciłaby się na nich cała wioska.

Słowak kiwnął im głową.

– *Dobrý deň, ja Tibor Tkáčový.*

– Co on, kurwa, powiedział? – zapytał Chwieduszko.

– Dzień dobry, ja Bronek Zaniewski – odezwał się do Słowaka starszy sierżant i wyciągnął rękę na powitanie, zdejmując ją ze skórzanej kabury.

Reszta mieszkańców Ražňamu przyglądała się tej scenie z pewną obawą. Kiedy wszakże zobaczyli, że Tibor uścisnął rękę jednego z przybyszów, większość z nich wróciła do swoich zajęć. Część jednak uznała wizytę za wystarczający powód, by przerwać pracę i obserwować dalszy rozwój wydarzeń. Tylko grupa młodych chłopaków nadal stała w bezruchu, ściskając kosy.

Starszy Słowak zbliżył się do Obelta i powiedział:

– *Potrebuju pomoc. Rýchlo.*

– No widać, że potrzebuje, prawie schodzi z tego świata. Macie jakiegoś lekarza? – spytał Chwieduszko ostrzejszym tonem, niż zamierzał.

Tibor Tkáčový chwilę się zastanawiał.

Zaniewski, widząc, że chyba nie dotarł do niego sens słów chorążego, zapytał:

– Lekarz?

– *Lekár? Tak.*

Machnął ręką na Bronka i Kiljana, którzy stali przy noszach, i pokazał gestem, żeby szli za nim. Zaprowadził ich do chaty na wzniesieniu, stojącej samotnie kilkaset metrów za wioską. Widać z niej było całą okolicę.

Po drodze Tibor zapytał warszawiaka:

– *Poliaci?*

– Co?

– *Polák?*

– Tak... Polak – Bronek zawahał się, ale odpowiedział. Część Słowaków niechętnie odnosiła się do sąsiadów z północy, wszak nie dalej jak pół roku temu Polska przyłączyła do swojego terytorium część ziem słowackich. Były to wprawdzie niewielkie części Orawy i Spiszu, ale z pewnością Słowacy nie byli zadowoleni z takiego obrotu spraw.

„Z drugiej strony, jeśli ten wieśniak musi pytać, to z pewnością nie kojarzy polskiego orła na moim mundurze. Jest dobrze“ – przyszło mu do głowy.

Tibor uśmiechnął się i powiedział:

– *Polák brat.* – Po czym poklepał Bronka po zdrowym ramieniu.

Zapukał dwukrotnie do drzwi chaty, zrobił przerwę, a następnie zapukał jeszcze czterokrotnie.

Wreszcie z chałupy wyłonił się człowiek z długą, siwą brodą i bujną czupryną w takim samym kolorze. Podpierając się wystruganym z gałęzi kosturem, świdrującym wzrokiem zmierzył Polaków. Po chwili wyszczerzył zęby, a raczej to, co z nich zostało. Brakowało kilku przednich, reszta była w mniejszym lub większym stopniu poczerniała. „Na pewno nie dentysta“ – pomyślał Bronek.

Szeregowy Kiljan wybałuszył oczy i mimowolnie odezwał się półgłosem:

– Szaman.

Gospodarz roześmiał się. Zaniewski odniósł wrażenie, że dźwięk ten jest bardziej zbliżony do rechotu żaby niż do ludzkiego śmiechu.

– *Nie je šaman. To Juraj* – rzekł Tibor, szeroko się uśmiechając.

Po wejściu do środka Chwieduszko zrozumiał, że życie kapitana zależy teraz od wiedzy w męskim ciele. Polacy obejrzeni wewnątrz chaty i dostrzegli wiele przedmiotów służących najwyraźniej do wykonywania czegoś na kształt zabiegów medycznych. Bronek stwierdził, że niecodziennie wyglądający gospodarz jest zapewne samoukiem. Pewnie też własnoręcznie skonstruował część tych narzędzi.

Juraj wsadził kilka z nich do paleniska. Uśmiech cały czas gościł na jego szpetnej twarzy – bawiła go reakcja polskich żołnierzy – przez co wciąż eksponował swoje uzębienie.

Przykrył duży stół białym prześcieradłem, wskazał najpierw na Obelta, a potem na stół. Bronek i Kiljan ostrożnie ułożyli na nim nosze.

Gospodarz zaczął rozpinąć guziki munduru kapitana. Widząc opatrunki założone oficerowi jeszcze na polu bitwy, mruzczał coś pod nosem i albo kiwał, albo kręcił głową.

Tibor przyglądał się temu z umiarkowanym zainteresowaniem, za to Polacy starali się z wyrazu twarzy gospodarza wyczytać, jaka jest jego ocena stanu Obelta. W końcu znachor odsłonił wszystkie rany kapitana, odwrócił się do reszty Polaków i ruchem ręki nakazał im wyjść z domu przez tylne drzwi.

Bronek popatrzył na Chwieduszkę. Ten najpierw się rozejrzył, a potem dał rozkaz opuszczenia budynku.

Wyszli na rozległą łąkę po drugiej stronie wzniesienia. Dom został zbudowany na szczycie wzgórza, więc z obu stron zaczynał się lekki spad. Jak okiem sięgnąć, widać było nierówny pas łąki, który kończył się na ścianie lasu. W pobliżu domu kręciło się leniwie kilka kóz i owiec.

Usiedli na trawie i zaczęli ściągać ciężki ekwipunek. Potem szybko opróżnili manierki.

Chwieduszko poczęstował ich papierosami, choć w paczce zostało mu tylko pięć, po czym powiedział:

– Obok rozpętało się piekło wojny, a oni nie zdają sobie z tego najmniejszej sprawy.

– Jak mawia mój młodszy brat, niewiedza jest błogosławieństwem. Czy coś w tym stylu.

Zaniewski zaczął się zastanawiać, co dzieje się ze Staszkiem i rodzicami. Czy są bezpieczni? Bo tutaj, na wschodzie, Niemcy pewnie dotarli już do Lwowa. „Na zachodzie sytuacja może być inna, może Niemcom nie udało się sforsować tamtej części granicy“ – pomyślał.

Jeśli nawet, to żeby dotrzeć do Warszawy, będą musieli przebić się przez masę polskich oddziałów. Rodzina powinna być bezpieczna, przynajmniej na razie. A potem przyjdą Francuzi i Anglicy, a wojna szybko się skończy.

Chwieduszko stwierdził, że muszą się przespać. Zapadał zmrok, było względnie ciepło. Uznali, że mogą spędzić tę noc pod gołym niebem, po czym ułożyli się wygodnie na łące za domem Juraja. Pierwsi mieli spać Kiljan i Bronek, a Chwieduszko – stanąć na warcie. Po trzech godzinach miał się zmienić z Zaniewskim.

Nie minęły jednak nawet dwie godziny, gdy z chaty wyszedł Tibor.

– *Bezpečný!* – krzyknął, nie kryjąc zadowolenia. Chwieduszko szturchnął nierozbudzonego warszawiaka i zerwał się na nogi. Po chwili byli we wnętrzu chałupy.

Spocony Juraj mył ręce. Odwrócił się do Polaków i wyglądał, jak gdyby czekał na zapłatę za wykonaną usługę.

– *Dziekuiim. Dekuim...* Kurwa, dziękuję – powiedział Chwieduszko.

Znachor wytarł ręce w ręcznik, wyszczerzył zęby i bez słowa udał się do drugiej izby.

Bronek dokładnie obejrzał kapitana Obelta i powiedział:

– Chyba ten dziad wyciągnął z niego wszystkie kule.

– „Ten dziad” uratował mi życie, więc może tytułujmy go jakoś lepiej – niespodziewanie przemówił łamiącym się głosem Obelt.

– Kapitanie Beł! – Kiljan, którego w pośpiechu zostawili chrapiącego przed domem, wbiegł do chaty, usłyszawszy głos dowódcy.

– Kiljan... – Obelt popatrzył na niego jednym okiem. – Jakim cudem przeżył taki cuchnący odchód krowy jak ty?

Chwieduszko zdał kapitanowi raport. W wyniku nalotu kompania została rozbita. Z tego, co wiedzieli, przeżyła tylko ich czwórka. Udali się na południe w poszukiwaniu jakiejś wsi, gdzie znaleźliby pomoc.

– Dlaczego, do kurwy nędzy, nie poszliście do sojuszniczej... – Obelt przerwał i zasyczał z bólu – ...Rumunii?

– To był mój pomysł, panie kapitanie. Udupiliby tam nas na dłużej, a nadal bylibyśmy za linią wrogą, więc nie zmieniłoby to naszej sytuacji. Zanim przierzuciliby nas gdzieś, o ile w ogóle by to zrobili, minęłyby wieki – powiedział Broniek.

– Zaniewski, proszę cię, oświeć mnie. Kto ci kiedykolwiek powiedział, że nosząc mundur sierżanta, jesteś uprawniony do myślenia?

Następnego ranka Obelt wyglądał względnie dobrze, szczególnie biorąc pod uwagę, jak poważne rany odniósł. Po dalszych paru godzinach mógł nawet usiąść, choć z dużym trudem. Był blady, ale nie gorączkował, co było cudem i dawało nadzieję, że bardzo szybko dojdzie do siebie. Na prawym policzku, od oka aż do żuchwy miał głęboką ranę, która niewątpliwie pozostawi na całe życie złowieszczą bliznę.

Oficer oświadczył, że z racji przyjętej przez nich polityki marnotrawstwa czasu na szukanie pomocy medycznej dla jednego żołnierza, stracili mnóstwo godzin. Front musiał już przesunąć się daleko na północ. Zatem kolejnego dnia o świcie muszą ruszyć z powrotem w kierunku Polski. Spróbują dołączyć do jakiegokolwiek oddziału kierującego się w stronę Lwowa.

– Dziś wcześniej się połóżcie, bo słaniacie się na nogach jak dziwki wykończone całonocną pracą.



*Si leonina pellis non satis est, vulpina addenda.
– Jeśli nie wystarczy skóra lwa, wdziej jeszcze lisią..*

ERAZM Z ROTTERDAMU

OKOLICE WARSZAWY, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Tego dnia Staszek i Maria w towarzystwie Holzera pieszo opuścili stolicę. Poszli na zachód, ale okrężnym szlakiem, omijając wsie Jelonki i Szeligi. Gdyby kierowali się głównymi drogami prosto na zachód, wyszliby naprzeciw dwóm potężnym armiom niemieckim. Czołgi i artyleria nie pytałyby o dokumenty.

Zaopatrzyli się w suchy prowiant, trochę wody i kilka paczek papierosów. Holzer zabrał też parę małych butelek wódki, tak upychając je po przepastnych kieszeniach, by nie były widoczne. Taszczyli również sprzęt fotograficzny, w końcu udawali dziennikarzy. Oczywiście, mieli przy sobie przerobione dokumenty Austriaków. Zgodzili się co do tego, że nie mogą zabrać zbyt wielkich zapasów, bo wzbudziłoby to podejrzenia. Musieli wyglądać na reporterów zajmujących się dokumentowaniem przebiegu walk, a nie na uciekinierów wojennych.

Od momentu opuszczenia Warszawy Staszek nazywał się Gottwin Stöxen, Maria – Gina Henckel von Donnersmarck, a Holzer – Fabio Wendt. Staszek nie omieszkał uczynić Marii kilku docinków z powodu jej nowego – i bardzo wyrafinowanego – nazwiska.

Prawdziwi Gottwin Stöxen i Gina Henckel von Donnersmarck byli reporterami austriackiej gazety „Neue Stimme”, którzy mieli udokumentować spreparowane przez Niemców prowokacje graniczne, do których doszło tuż przed pierwszym wrześniem. W ten sposób cały świat miał się dowiedzieć, że to Polacy są w tej wojnie agresorami, a Niemcy jedynie bronią swoich obywateli mieszkających na terytorium Polski.

Teraz wszakże fałszywi Austriacy znajdowali się głęboko w głębi terytorium Polski, w samym centrum działań wojennych. A że Staszek i Maria nie mieli na to wystarczająco wiarygodnego wytłumaczenia, mieli nadzieję, że nie napotkają nikogo na tyle dociekliwego, by dogłębnie

sprawdził ich bajeczkę.

A Holzer odgrywał rolę redakcyjnego fotografa, choć mało kto uwierzyłby, że takie indywiduum pracuje w gazecie.

Gdy umówionego dnia Staszek i Maria stawili się w wyznaczonym miejscu, Holzer poprowadził ich wiadomą sobie trasą w stronę frontu. Od razu zapytał:

– I jak, chłopcze, nauczyłeś się czegoś po niemiecku?

– *Halt die Klappe* – odparł młodzieniec z grobową miną i potwornym akcentem.

Holzer się roześmiał.

– Poczucie humoru to ty może i masz. Byleby tylko zadziało na Niemców.

Maria zdążyła nauczyć Staszka perfekcyjnej wymowy jedynie swojego imienia i nazwiska oraz pozdrowienia „*Heil Hitler!*”. Musiał powtarzać je kilkadziesiąt razy, zanim osiągnął efekt zadowalający narzeczoną. Nie były to najmilsze lekcje w jego życiu.

Zarówno Staszek, jak i Maria żywili wobec Holzera pewne obawy, choć z różnych przyczyn. Kobieta w obecności znajomego jej sekret bandyty cały czas czuła się morderczynią. Wprawdzie siłacz zainkasował odpowiednią sumę za załatwienie sprawy z ciałem jej ojca, a potem nigdy nie wrócił do tego tematu, nie mogła być jednak pewna, że kiedyś nie wykorzysta swojej wiedzy przeciwko niej. Na dodatek teraz miał przez najbliższe tygodnie, a może miesiące, przebywać ze Staszkiem. Gdyby z jakiegoś powodu wyjawiał tajemnicę, czuła, że byłby to koniec jej narzeczeństwa. Strach przed tym sprawił, że znów obsesyjnie zaczęła myśleć o ojcu. Była o to zła na samą siebie, bo przez ostatnie lata udało jej się upchnąć to wspomnienie w najgłębszych zakątkach niepamięci, a nawet pogodzić się z tym, co zrobiła. „Musiałam, nie było innego wyjścia. Albo matka, albo on”. A teraz wszystko powróciło.

Zaniewskiemu natomiast w ogóle nie podobał się pomysł udziału Holzera w ucieczce. Twierdził, że przy pierwszej okazji, kiedy ich dwójka przestanie mu być potrzebna, ten szemrany typ da nogę. A że z pewnością nie będzie chciał zostawiać za sobą świadków ani śladów, po prostu ich zabije.

Mimo to oboje doszli do wniosku, że do granicy niemieckiej cała trójka jest sobie wzajemnie potrzebna. Pośród ich dokumentów znajdowało się upoważnienie wydane przez Ministerstwo Propagandy, Oświecenia Narodowego i Informacji Rzeszy. Ten papier był kluczowy dla ich bezpieczeństwa, bo zawierał krótką adnotację na temat państwowych wytycznych, które dostali z samego Berlina – i dzięki temu mógł otworzyć wiele drzwi albo uratować im życie. A że zostały w nim wymienione trzy nazwiska, które teraz przyjęli jako swoje, nie powinni się rozdzielać. I Holzer też nie powinien się na to zdecydować.

Gdyby jednak drab zaczął stwarzać większe problemy, mieli zamiar potajemnie go opuścić. W razie wpadki powiedzieliby Niemcom, że ich kompan po prostu znikł w zawierusze wojennej. Został zabity albo pojmany. Problemem było wszakże to, że Holzer mówił płynnie po niemiecku, przez co uwiarygodniał ich historię, zatem lepiej było go mieć u swego boku. Gdzie tak dobrze nauczył się obcego języka, nie wiedzieli, ale podejrzewali, że spędził sporo czasu za zachodnią granicą, prowadząc nielegalne interesy.

Po opuszczeniu terenów podwarszawskich udali się w kierunku Sochaczewa. Liczyli na to, że

uda im się bez żadnych przeszkód dotrzeć do tego miasta jeszcze pierwszego dnia marszu. Linia frontu znajdowała się, póki co, w bezpiecznej odległości.

Po drodze mijali wielu ludzi, którzy, spakowawszy cały dobytek do furmanek, albo na ręczne wózki, uciekali na wschód. Właśnie – każdy spotkany uchodźca kierował się w stronę przeciwną do kierunku ich marszu. Im byli dalej na zachód, tym wyczuwało się większe napięcie. Ludzie barykadowali się w domach, czekając na nadchodzący powiew śmierci.

Unikali głównych dróg i większych skupisk ludzkich. A gdy się dało, poruszali się przez niezaludnione tereny. Kilka razy przemierzali rozległe pola uprawne, ale wtedy byli przeganiani przez chłopów, którzy nie byli zadowoleni z przechadzek po ich własności.

Ze względu na obrany szlak nie mieli ani jednej okazji skorzystania z jakiegokolwiek środka transportu, zatem szli na własnych nogach. Myśleli, żeby kupić konie od jakiegoś rolnika, ale tak naprawdę tylko Staszek dobrze jeździł konno, poza tym trójka pieszych zwraca mniejszą uwagę niż trójka jeźdźców.

Holzer w zasadzie się nie odzywał, szedł przodem, wskazując drogę. Przez cały czas na jego twarzy malowała się złowroga mina, aż Staszek doszedł do wniosku, że to chyba naturalny wyraz oblicza bandyty. Młodzi czujnie obserwowali drogę i sprawdzali swoje położenie na mapie. Szli w sporej odległości za Holzerem, by móc swobodnie rozmawiać.

Pierwszą przerwę zrobili po piętnastu kilometrach. Podniecenie związane z rozpoczęciem podróży spowodowało, że do tego momentu nie czuli większego zmęczenia. Ocenili, że znajdują się gdzieś pomiędzy Ożarowem a Błoniami. Nie mieli możliwości zweryfikowania swoich przypuszczeń, bo wielu wsi, które mijali, nie było nawet na niezłej mapie, w którą się przezornie zaopatrzyli. Szli od czterech godzin.

Skręcili z nieutwardzonej, wiejskiej drogi, aby odpocząć w cieniu kilku drzew.

– Dobrze, dzieciaki. Jak tak dalej pójdzie, wyrobimy dzienną normę. A za tydzień postawimy nogę na niemieckich terenach.

Pokiwali głowami i upili kilka łyków wody z manierek.

– Gino Henckel von Donnersmarck – zwrócił się Staszek do Marii najpoważniejszym tonem, jaki potrafił przyjąć. – Czy mogłaby damulka łaskawie dobrać papierosy ze swego zacnego plecaka?

Uśmiechnęła się, wyjęła papierosa, włożyła go do ust i zapaliła. Dym wypuściła prosto na twarz ukochanego, a paczkę schowała.

– Koza – stwierdził młodzieniec i zaczął ją łaskotać, próbując zdobyć papierosa.

Holzer przyglądał się temu obojętnie, a przynajmniej na takiego wyglądał. W duchu zastanawiał się: „Kurwa mać. Te dzieci nie dadzą sobie rady z najmniejszym zagrożeniem. Zginę przez nich”. Odczekał chwilę, rozkoszując się cieniem drzew, po czym wstał i powiedział:

– Dosyć tego gżenia się, idziemy.

Plan ich podróży – snuty w chłodnej warszawskiej kamiennicy – zakładał, że dziennie będą przemierzać czterdzieści kilometrów. W ten sposób w ciągu dziesięciu dni mieli znaleźć się pod granicą niemiecką. Po drodze mieli minąć Łódź, potem pewnie Kalisz. Chcieli korygować trasę w zależności od ruchów niemieckich wojsk, by nie wychodzić naprzeciw żadnemu większemu

oddziałowi.

Rzeczywistość szybko zweryfikowała ich zamiary. Pierwszą z napotkanych przeszkód były upały panujące w pierwszych dniach września. Tego dnia przeszli jeszcze zaledwie piętnaście kolejnych kilometrów, gdy zaczął zapadać zmrok, a oni zupełnie opadli z sił.

– Starczy na dziś, jutro nadrobimy – mruknęła Maria.

– Gównu nadrobisz – odparł Holzer. Mimo że wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć, postanowił wyrazić swoje niezadowolenie.

Zaniewski popatrzył na niego gniewnie, mimo to rzekł spokojnie:

– Mamy odciski, z których śący się już krew. Przeszliśmy dziś trzydzieści kilometrów. Padamy z nóg. Co więcej, zapada mrok. Nie będziemy się skradać po nocy, bo to należy do uciekinierów, nie reporterów.

– Hrm – wyartykułował Holzer i podniósł górną wargę, obnażył zęby, a jednocześnie zmarszczył nos.

Staszek zauważył, że robi tak zawsze, kiedy odczuwa negatywne emocje. „Dzięki, jesteś jak otwarta książka” – pomyślał. W przyszłości nie będzie ignorował takich sygnałów ostrzegawczych.

– W takim razie postanowione, szukamy miejsca na nocleg – powiedziała Maria.

Zaczęli pytać napotkanych ludzi o miejsce do spania. Jeśli już trafiali na jakąś życzliwą duszę, to kierowano ich do domostw oddalonych o kilka kilometrów. A ich niespecjalnie interesował dalszy marsz.

W końcu im się poszczęściło. Starsza kobieta, która przedstawiła się jako Henryka, powiedziała, że chętnie przyjmie ich w swoim domu, gdzie mieszka z mężem. „Dwaj synowie wyjechali bronić Ojczyzny” – wyjaśniła. Nosiła kolorową chustę, a ubrana była w niemniej barwną koszulę, ozdobioną na kołnierzu starannie utkaną koronką. Z pewnością taka garderoba musiała pochodzić z własnego warsztatu tkackiego. Twarz staruszki była cała pomarszczona, ale pogodna – pani Henryka uśmiechała się do nich z prawdziwą przyjaźnią.

– Dzięki, babinko – rzucił Holzer i poklepał ją po zgarbionych plecach.

Kiedy weszli do gospodarstwa, mąż staruszki nie był zadowolony z przybycia niezapowiedzianych gości. Ulokowała ich w opustoszałej stajni, wcześniej zapewniając im w domu gorący posiłek oraz wręczając sienniki i puchowe kołdry.

Nie narzekali. Pierwszą noc w swojej podróży mieli spędzić w niemalże komfortowych warunkach. Oczywiście, zważając na okoliczności.

Holzer zasnął błyskawicznie, tuż po wypiciu w dwóch haustach dawki nasennej w postaci ćwiartki wódki.

– Nie raczył nas poinformować, że chrapie jak słoń – cicho powiedział Staszek.

– Myślę, że nie raczył nas poinformować o wielu rzeczach. – Maria wskazała na niechlujnie rzuconą w kąt torbę, która przeznaczona była do przenoszenia sprzętu fotograficznego. Nie zawierała go jednak, była za to wypchana reichsmarkami.

Zaniewski popatrzył najpierw na torbę, potem na narzeczoną. Skinęła głową.

Wstał ostrożnie z siennika, po czym powoli i spokojnie zaczął kierować się w stronę Holzera. Musiał go minąć, by dostać się do torby.

Bandyta kilka razy nerwowo chrapnął, jak gdyby się czymś dławił. Młodzieniec zamarł. Wbił wzrok w śpiącego. Ten po chwili obrócił się na drugi bok, więc Staszek podszedł do torby i zajrzał do środka.

Znajdowała się w niej masa pieniędzy, trochę alkoholu i papierosów. Ze sprzętu fotograficznego ostał się tylko jeden lichej aparat, kilka jednorazowych żaróweczek do lampy błyskowej i dwa obiektywy. Holzer musiał jeszcze przed wyruszeniem pozbyć się wyposażenia uwiarygodniającego ich bajkę o austriackich reporterach.

– Co jest kurwa? – nagle odezwał się siłacz. Maria zerwała się na równe nogi.

Holzer błyskawicznie usiadł na sienniku, jednocześnie wyciągając spod niego mały niemiecki pistolet 38 H firmy Sauer i wycelował w Staszka. Niebezpieczny towarzysz podróży miał przekrwione oczy, był wyraźnie pijany. Uniósł górną wargę i zmarszczył nos, po czym kilka razy zamrugął oczami.

RAWICZ, 5 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– *Herr hauptmann*, melduję, że wszystko gotowe. Żołnierze czekają na pański rozkaz do ataku.

Christian Leitner patrzył w dal. Przeniósł wzrok na swojego zastępcę i kiwnął głową.

Ostatnich kilka dni spędził na krótkich potyczkach z Polakami. Nie zadali jego oddziałowi na tyle dotkliwych strat, by pokrzyżować jego plany. Wyglądało to tak, jakby prowadzili walkę partyzancką.

Sprawą honoru było dla niego odbicie z polskich rąk Rawitscha, skąd w pierwszym dniu wojny go przegonili. Stanowiło to dla niego osobistą ujmę, choć podchodził do sprawy z właściwym sobie spokojem.

Już podczas odwrotu zaczął obmyślać plan, który kilkanaście godzin później się wykrystalizował. Teraz miał wreszcie szansę wcielić go w życie, bo do jego kompanii dołączył kolejny pluton. Teraz zwycięstwo było realne. Na dodatek burmistrz Richarz dostarczył wiele cennych informacji na temat rozmieszczenia i liczebności polskich sił. Dzięki obrażeniom, jakie nosił na twarzy po uderzeniu Leitnera, Polacy uznali go za „swojego”, mimo że pochodził z mniejszości niemieckiej.

„Kwestia czasu. Jeśli żołnierze sumiennie wykonają moje rozkazy, za godzinę miasto będzie nasze” – pomyślał kapitan.

Wcześniej rozkazał, by przed rozpoczęciem akcji oberleutnant Heinle, wraz z niewielkim oddziałem, obszedł miasto. Ludzie porucznika zostali wyposażeni w kilka karabinów maszynowych i trzy granatniki. Kluczem było to, aby pozostali niezauważeni. Mieli zająć pozycje po wschodniej stronie Rawitscha, aby równo o godzinie 23:00 rozpocząć ostrzał miasta. Głównym zadaniem tego małego oddziału nie było osłabienie przeciwnika, a narobienie jak największego zamieszania. Chodziło o zasłonę dymną. Właściwy atak miał nastąpić z innej strony. Równocześnie inny mały oddział miał zająć pozycję przy kościele na granicy miasta i podłożyć pod niego ogień. Wybuchy spowodowane ostrzałem z granatników, przy akompaniamencie karabinów maszynowych, powinny zrobić swoje. A jeśli nie, wielka łuna

ognia będzie dobitnie pokazywała, że zaczął się atak.

„Polacy nie spodziewają się nas od wschodu. Pomyślą, że ich okrążyliśmy lub że inne oddziały przyszły nam z pomocą”.

Eliminowaniem wrogich sił miała się zająć pozostała część kompanii. Aby kierować wszystkim, Christian od pewnego momentu będzie przebywał na tyłach. I wróci zarazem do roli strzelca wyborowego, z której zasłynął w trakcie dotychczasowej służby wojskowej.

Obserwując ukształtowanie terenu i budynki po zachodniej stronie miasta, znalazł dogodne miejsce, z którego będzie mógł oddawać śmiertelne strzały.

Dał rozkaz rozpoczęcia misji.

Zgodnie z planem, gdy Polacy usłyszeli ostrzał grupy porucznika Heinlego, przenieśli większość swoich sił na wschodnią stronę miasta, pozostawiając swoją drugą flankę znacznie osłabioną. Leitner nie czekał długo. Nakazał atak swoim oddziałom. Początkowo uczestniczył w bezpośrednim starciu, lecz kiedy Polacy zaczęli wycofywać się ku centrum miasta, zajął wcześniej upatrzone stanowisko.

Spokojnie wyciągnął swój karabin z lunetą i zaczął robić to, do czego został stworzony.

Celował w głowę. Był pewny swych umiejętności. Nie wątpił, że trafi za każdym razem.

Co chwilę kierował lufę na kolejnego Polaka i oddawał strzał. Każdy przeciwnik padał od razu. Hauptmann wypatrywał szczególnie oficerów i bez wahania pozbawiał ich życia. Nie myślał o ich rodzinach ani planach na przyszłość. Była wojna. Oni, gdyby mieli okazję, zrobiliby z nim to samo. Także z zimną krwią.

Polacy całkiem szybko zorientowali się w taktyce Leitnera i zarządzili powrót na wcześniejsze stanowiska. Było już jednak za późno. Niemcy obsadzili strategiczne pozycje i uderzyli z dwóch stron. obrońcy nie mieli żadnych szans.

Christian polował na dowódcę Polaków, chciał go zranić, a po zakończeniu natarcia przesłuchać. Miał nadzieję, że jego żołnierze nie rzucą się w bezmyślny wir walki i będą pamiętać o wzięciu najważniejszego z przeciwników żywcem. „Dowódca jeniec jest lepszy niż dowódca trup” – zwykł mawiać do swoich podwładnych. Poza tym liczył, że będzie miał okazję spojrzeć prosto w oczy człowiekowi, który wcześniej przegonił go z miasta.

Tak jak planował, w przeciągu godziny bitwa była zakończona. Ponownie wkroczyli do Rawitscha. Ludność zamykała się w swoich domach. Choć rozumiał obawy Polaków, powinni być świadomi honoru żołnierza Wehrmachtu, który nie krzywdzi cywili.

Jego pierwszy dowódca w niemieckim wojsku, wówczas zwanym Reichswehrą, wprowadził w oddziale żelazną dyscyplinę. Zarówno młody szeregowy Leitner, jak inni żołnierze, zostali przez niego ukształtowani w duchu honorowego prowadzenia bitew. Niestety, sam Leitner nie mógł powiedzieć tego samego o wielu dzisiejszych młodych szeregowych, a nawet żołnierzach wyższych stopniem.

Miał jednak nadzieję, że udawało mu się utrzymywać w kompanii właściwą dyscyplinę, poza tym obowiązywały rozkazy, które pozwalały na wymierzenie żołnierzom Wehrmachtu srogich kar za jakiegokolwiek popełnianie przez nich niegodziwości.

Ponownie wszedł do biura burmistrza w ratuszu miasta i od razu spostrzegł, że brakuje

polskiego godła na ścianie – choć sądził, że Polacy przywrócą je na dawne miejsce. Gdyby był na ich miejscu, byłaby to pierwsza rzecz, którą by zrobił.

Zauważył też, że Polacy, mimo iż uciekali w wielkim pośpiechu, zabrali z biura burmistrza wszystkie przedmioty przedstawiające jakąkolwiek wartość.

Nie wiedział, że to porucznik Heinle wraz z jednym z sierżantów zawitał do ratusza tuż po odejściu Polaków. Postanowili, nim nadciągnie reszta kompanii pod wodzą Leitnera, ogołocić kilka pokoi budynku z drogich lub interesujących rzeczy. A wychodząc z biura burmistrza, Heinle krzyknął do sierżanta:

– Bierz to! – I wskazał na godło polskie.

Niedługo potem, stojąc za jedną z kamienic, rzucili godło na ziemię i oddali na nie mocz.

Wieczorem dołączył do kapitana Markus Richarz. Został wezwany już wcześniej, ale upłynęło trochę czasu, zanim się zjawił.

– *Heil, mein Führer!* – powiedział dumnym głosem, chcąc oddać należny szacunek *hauptmannowi*.

Ten wstał z krzesła, wyszedł zza biurka i wolnym krokiem okrążył wyprostowanego na baczność burmistrza. Kiedy znalazł się za jego plecami, chwycił go za włosy i uderzył głową Richarza o blat biurka. Okularnik wydał tylko krótki jęk bólu. Christian z powrotem usiadł za biurkiem i powiedział głosem pozbawionym wyrazu:

– Słowami *Mein Führer* można się zwracać tylko i wyłącznie do jednej osoby: naszego Wodza, kanclerza Rzeszy.

– Przepraszam, *Herr hauptmann*.

Richarz otarł czoło z potu i krwi.

– Zapamiętaj to, burmistrzu. A gdzie byłeś, kiedy cię wzywałem?

Burmistrz coraz bardziej bał się tego wysokiego blondyna, który najwyraźniej był wariatem, choć swoje szaleństwo potrafił starannie ukrywać.

– Ja... musiałem sprawdzić, co z moją rodziną. Proszę wybaczyć, ale oni są dla mnie wszystkim.

– Rozumiem. Jednak następnym razem najpierw przyjdź, kiedy cię zawołam, a potem załatwiaj własne sprawy.

– Tak, *Herr hauptmann* – posłusznie odparł Richarz.

Leitner wstał i gestem zaprosił burmistrza do zajęcia należnego mu miejsca. Ten nieśmiało i z pewną obawą zasiadł za biurkiem, nerwowo rozglądając się po biurze. *Hauptmann* stał przy oknie i patrzył w niebo, nastąpiło kilka minut zupełnej ciszy. „O czym on tak myśli?” – pomyślał Richarz i już otwierał usta, by przerwać ciszę, kiedy odezwał się oficer:

– Mówiłeś o więzieniu, które cieszy się ponurą sławą. W jakim stopniu jest zapełnione?

– Wypuściliśmy... – cywil przerwał i momentalnie zlał go zimny pot.

Christian popatrzył na niego martwym wzrokiem i zmarszczył czoło. Wykonał ruch ręką świadczący o tym, by kontynuował.

Burmistrz odchrząknął i mówił dalej niepewnym głosem:

– Polacy wypuścili... w dniu ataku naszych sił... wszystkich, którzy popełnili drobne

przestępstwa. Wypuścili też więźniów politycznych. Mieli uczestniczyć w obronie miasta. Zostali tylko poważniejsi przestępcy.

„Cóż za niecywilizowana taktyka. Jeśli zostali skazani, powinni odsiedzieć karę. Wojna nie zmywa win” – pomyślał Leitner i dodał:

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie.

Gdyby kapitan miał jakiegokolwiek poczucie humoru, z pewnością bawiłyby go reakcje Markusa Richarza, który wypowiadając kolejne zdania, był tak przerażony, że zakrawało to na śmieszność. „Tak czy inaczej, przyda się” – skostatował oficer, po czym powiedział:

– Złóż tam zatem wizytę jako nowy burmistrz. Dowiedz się, ilu schwytanych jeńców możemy tam umieścić. Potem wróć tutaj, przedstawisz mi dokładne statystyki. A jeśli masz do mnie jakieś prywatne prośby, przedstaw je teraz.

Okularnik nerwowo zamrugał oczami, podrapał się za uchem, potaknął ruchem głową, po czym bez słowa poszedł wypełnić rozkaz.

DAWNA GRANICA POLSKO-SŁOWACKA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Po pożegnaniu z Tiborem oraz szamanem, jak ochrzcił go szeregowy Kiljan, niedobitki kompanii kapitana Obelta skierowały się na północ. Podążali ku miejscu, które niegdyś stanowiło granicę pomiędzy Polską a Słowacją.

Poruszali się z zachowaniem największej ostrożności. Nie wiedzieli, czy udało im się już przekroczyć granicę, krajobraz wyglądał wszędzie tak samo. Góry albo delikatne wzniesienia, albo niezbyt rozległe doliny. Bronek, Chwieduszko i Kiljan nie zapamiętali drogi, którą doszli na Słowację, bo byli wtedy w zbyt wielkim szoku po nalocie Luftwaffe. Na mapie też nie mogli określić swojego położenia. Nie obejmowała zbyt szczegółowo terenu przygranicznego po stronie słowackiej. Szli więc za wskazówką kompasu. Na północ.

Kapitan nie omieszkał uraczyć ich kanonadą inwektyw z tytułu „orientacji w terenie na poziomie pierdolonego woła”. Zaniewski próbował tłumaczyć, że w głowach nadal odbijały im się jeszcze echem dźwięki wybuchających bomb i serii z działka samolotu. Obelt zbył to milczeniem.

Musieli robić częste postoje z racji skrajnego wyczerpania dowódcy. Gdyby zajmował się nim jakikolwiek wykwalifikowany lekarz, zapewne zakazałby mu wstawania z łóżka przez tydzień. Szaman też wydawał się protestować, kiedy oficer podniósł się i zaczął przywdziewać mundur. Ale nie mogli być tego pewni, bo z ust Słowaka lał się strumień niezrozumiałych dla nich słów.

Zatrzymali się w zupełnie niezamieszkaney okolicy, po czym, idąc pod górę, weszli w gąszcz drzew iglastych. Planowali zrobić tam dłuższą przerwę w marszu.

– Chyba na pewno tędy nie szliśmy – odezwał się Kiljan.

Obelt popatrzył na niego z rezygnacją i powiedział:

– Szeregowy.

– Tak?

– „Chyba na pewno” to wieść o ciąży twojej matki była największą niespodzianką w całej okolicy i spowodowała wzmożone poszukiwania osła lub bawoła, który był za to

odpowiedzialny.

Chwieduszek się uśmiechnął. Kiljan otworzył szerzej oczy i wyglądał na zdezorientowanego.

– Panie kapitanie, on ma rację. Z pewnością nie mijaliśmy tego lasu – dopowiedział Bronek.

Dowódca położył się, zamknął oczy i położył głowę na mchu. Nagle poklepał się po kieszeni spodni, po czym skrzywił się i zapytał:

– Macie jakieś papierosy?

– Chorąży ma, przemycone – odezwał się Kiljan.

– Sąd połowy jutro rano. Ale póki co, daj jednego, Chwieduszek – odparł Obelt.

Wyciągając paczkę, chorąży stwierdził, że zostały mu dwie sztuki. Poczęstował kapitana i przypalił.

Zaniewski skorzystał z okazji i wziął od dawnego adwersarza jednego lucky strike'a. Powiedział, że idzie sprawdzić okolicę i oddalił się w las, by się załatwić. Kucając pod drzewem, zastanawiał się, ile by oddał za kawałek papieru toaletowego.

Potem, idąc powolnym i niedbałym krokiem w głąb lasu, myślał o Maniurze. Przed oczyma pojawił mu się upiorny obraz zmasakrowanej twarzy kumpla.

Wrócił myślami do momentu, kiedy się poznali.

Kilka lat temu, Wołyń. Dopiero co przybył do obozu szkoleniowego Korpusu Ochrony Pogranicza. Ułożył się właśnie na prycy. Usłyszał głośne sapanie. Zwrócił spojrzenie w stronę wejścia do baraku koszarowego. Widniał tam spocony, trochę zbyt pulchny – jak na żołnierza – niski człowieczek o rozwichrzonej czuprynie. Za nim stał podoficer, który powiedział:

– No, a teraz do środka i będziecie tak długo biegać, kadecie, aż spalicie te pierdolone złoża tłuszczu.

Bronek podszedł do zmęczonego przybysza i nalał mu trochę wody.

– Podziękował. Wacek Maniura, miło poznać.

Tak wyglądał początek żelaznej przyjaźni. Ilekroć coś groziło jednemu z nich, drugi nie tracił czasu na perswazję czy rozwiązania polubowne – w ruch szły pięści. Z czasem zaczęli traktować się jak bracia, co niewątpliwie pomogło im w przetrwaniu trudów szkolenia. Wstawali, brutalnie budzeni, o szóstej nad ranem i musieli zebrać się w kilka minut. Potem czekała ich musztra na placu apelowym. Czasem zrywano ich w środku nocy i nakazywano błyskawicznie przywdziewać sprzęt na wypadek ataku chemicznego. Bywało też, że od samego rana maszerowali w pełnym ekwipunku. Nie było łatwo, ale wspólne ciężkie przeżycia wzmacniają więzi.

Przyjaźń uformowała się ostatecznie, gdy trafili na wschód Polski, do jednego z posterunków przy granicy łotewskiej, której przekraczaniu miał zapobiegać ich oddział. Pewnej nocy Bronek z Maniurą pełnili wartę w okolicach Brasławia. Usłyszeli odgłos szybkich kroków, który po momencie przerodził się w tupot. Ocenili, że biegnie od trzech do pięciu ludzi. Od strony Łotwy w głąb Polski. Zaniewski puścił się pędem za nielegalnie przekraczającymi granicę, a Maniura wrócił, by zaalarmować oficera dyżurnego.

Kiedy Bronek dogonił grupę emigrantów, wycelował w nich swój karabin i nakazał się zatrzymać. Miał na muszce czwórkę ludzi – dwóch mężczyzn, kobietę i dziecko. Mówili coś w języku, którego nie rozumiał. Mężczyźni krzyczeli, kobieta płakała i lamentowała, przyciskając dziecko do piersi tak mocno, że Zaniewski obawiał się, że je udusi.

Nie był świadomy tego, że tuż za nim stoi jeszcze jeden mężczyzna. Dzierżył w ręce kamień. Broniek odwrócił się dopiero, gdy usłyszał wystrzał. Stojący za nim człowiek runął, a kamień potoczył się obok jego nieruchomiejącego powoli ciała. Niedaleko stał przerażony Maniura, wciąż celując z karabinu. Pozostali emigranci skorzystali z okazji i uciekli, zostawiając zwłoki kompana.

Tej nocy Wacek uratował Zaniewskiemu życie. Ten nigdy o tym nie zapomniał.

Dopiero teraz, gdy Broniek zapalił papierosa od chorążego, uświadomił sobie, że podczas pierwszego ataku Słowaków, Maniura wetknął mu do kieszeni kartkę. Pospiesznie odpiął guzik od kieszeni i wyciągnął list. Zawahał się, zastanawiając, czy może otworzyć pismo przeznaczone dla kogoś innego. Nie wiedział jednak, do kogo jest adresowane, więc stwierdził, że nie ma innego wyjścia.

1 września Roku Pańskiego 1939

Matulu,

niech się matula o mnie nie troska tylko zajmuje sprawami matuli. I ojcu powie, że walczyłem dzielnie jak mówił cały czas.

Broniek nie mógł rozczytać dalszej części. Maniura pokreślił tak, że Zaniewski, mimo usilnych prób, nie mógł rozszyfrować pojedynczych słów. Przeczytał pozostałą część.

Jestem dalej na granicy, ale teraz ze Słowacjom zamiast z Rumuniom. Pewno zaraz zaatakują to pisze. Jakbym poszedł do królestwa niebieskiego niech matula z ojcem wymodli mój wieczny odpoczynek w pokoju.

Mam tu przyjaciół i jednemu dam ten list co pisze. Broniek się nazywa. Pomagał i jest dobry człowiek.

Niech się nim zaopiekują nakarmią i tak dalej. Jak go przyniesie.

To będzie znaczyło, że ja już na tej ziemi kroku nie zrobię.

Ale tam z góry będę na nich patrzył.

Na matule i ojca.

– Kurwa mać – mruknął warszawiak. Osunął się plecami po pniu drzewa, o które przed chwilą się opierał. Z wściekłością uderzył pięścią w ziemię.

Otarł łzy.

WOJEWÓDZTWO WARSZAWSKIE, OKOLICE SOCHACZEWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Holzer trzymał Staszka na muszce sauera.

– Kradniesz, sukinsynu? Kradniesz, kurwa? Ty... – bełkotał nerwowo.

– Holzer! Uspokój się! – krzyknęła Maria, ostrożnie zbliżając się do narzeczonego. Ten powstrzymał ją spokojnym, acz zdecydowanym ruchem ręki.

– Wiedziałem, że z was parszywe, kurwa, kmioty. Złodzieje.

Zaniewski oprzytomniał, rozłożył ręce w geście bezbronności i powiedział:

– Zauważyliśmy górę pieniędzy w twojej torbie. Co ty byś zrobił?

Chwila ciszy przeciągała się w nieskończoność. Bandyta wciąż się nie odzywał. Mierzył w Staszka. Nagle zamknął prawe oko, celując. Potem zmarszczył czoło.

„Zastanawia się. Byleby był na tyle trzeźwy, by zdać sobie sprawę, że jestem mu potrzebny” – pomyślał młodzieniec.

Wtedy rozległo się pukanie w drzwi stajni. Weszła Henryka, zaniepokojona krzykami w środku nocy. Holzer pospiesznie schował sauera pod siennik, zanim gospodyni zdążyła go zobaczyć.

Kobiecina zapytała, czy wszystko w porządku, po czym troskliwie przykryła Holzera kołdrą i oświadczyła, że puchowe nakrycia, pod którymi śpią, to robota jej córki, która wyjechała do sąsiedniej wioski po ślubie z jakimś draniem.

Popatrzyła na stojących Staszka i Marię.

– Połóżcie się, drogie dzieci. Już środek nocy, musicie się wyspać. Przyniesie wam gorącego mleka.

Mimo ich protestów zrobiła, jak powiedziała. Wróciła do domu dopiero po tym, jak upewniła się, że cała trójka leży starannie przykryta. Holzer niemiłosiernie się wiercił, kiedy starała się go opatulić. Zaniewskiemu wydawało się, że kłął siarczyście pod nosem, na szczęście stara gospodyni zapewne miała kłopoty ze słuchem, więc nie dotarły do niej obraźliwe słowa.

Kiedy wyszła, siłacz powiedział:

– Jak jeszcze raz złapię was na grzebaniu w moich rzeczach, upierdole łeb.

– Nie ruszałbym twojej torby, gdyby nie to, że miał być w niej sprzęt fotograficzny. Co to za kasa?

– Nie twój główniany interes, chłopcze.

Maria myślała chwilę, po czym zrozumiała.

– To są nasze pieniądze, tyle że wymienione na marki. Nasze i wujka Emanuela, którymi zapłaciliśmy ci za dokumenty. Ty szumowino, okradłeś swojego najbliższego przyjaciela.

Holzer wbił w nią wzrok.

– Nie okradłem. Wisiał mi o wiele więcej. Was zresztą też nie obrobiłem, bo to przecież nasz wspólny fundusz. Taszczymy go razem.

– To czym zapłaciłeś za papiery? – zapytał Staszek.

Bandyta roześmiał się. Zrozumieli, że wiedząc, iż nigdy nie wróci do Warszawy, dopuścił się ostatniego przekrętu. Nie wiedzieli jednak, że wcale nie był to przekręt. Ceną dokumentów okazały się nie pieniądze, a kilka ciał, które wylądowały w Wiśle wskutek ostatnich działań Holzera. Jak zapowiadał, spalił za sobą mosty.

– Nie rozumiesz, bęcwale, że przy pierwszej kontroli stracimy życie, jak ktoś zajrzy ci do torby? – powiedziała Maria.

– Hola, panienko Herensztad, hola. Nie tym, kurwa, tonem.

– Gadaj do ściany – westchnęła.

Siłacz zamknął oczy i beknął, odchylając głowę do tyłu. Szyja schowała mu się za drugim

podbródkiem.

– Jak ktoś będzie chciał dotknąć torby, dostanie w łapę pokaźną sumkę i na tym się skończy.

Nie przekonały ich jego słowa, wszak ktoś z Wehrmachtu widząc, że w torbie znajduje się mnóstwo pieniędzy, nie zadowolili się samą łapówką.

Nie poruszyli też tematu broni, którą zabrał i nic im o niej nie powiedział. Wprawdzie nie omawiali tej sprawy przed wyruszeniem, niemniej było to dosyć nierozważne. „Jaki reporter nosi ze sobą pistolet? O tyle dobrze, że niemiecka” – pomyślał Staszek.

Nie spał całą noc.

Po dwóch godzinach bezmyślnego leżenia i przysłuchiwania się chrapaniu Holzera, delikatnie zdjął rękę z talii Marii i, uważając, by jej nie zbudzić, wyszedł przed stajnię.

Wyciągnął papierosy marki Silesia i zapalił jednego. Wypuścił dym w górę, w stronę Księżyca. Utkwił w nim wzrok. Był w pierwszej kwadrze. „Półksiężyc”. Oświetlał nieliczne chmury, tworząc w ten sposób niezwykle obraz na niebie.

Gdzieś z oddali doszedł tępy odgłos wybuchu lub wystrzału. Był ledwie słyszalny, jednak dotarł aż tutaj z powodu panującej wokół kompletnej ciszy. Staszek rozejrzał się, nigdzie wszakże nie było widać żadnego zwiastuna niemieckich wojsk.

Wrócił do stajni i położył się obok Marii.

Rankiem Henryka przyniosła im po talerzu gorącej zupy i trochę chleba. Kiedy wyszła, Maria spytała narzeczonego, wyciągając swój nowy dowód tożsamości:

– Jak myślisz, kim byli ci ludzie?

– Pewnie kundlami na łańcuchu NSDAP – wtrącił Holzer, który na kacu rozkoszował się zwyczajną zupą niczym najwykwintniejszym daniem.

– Możliwe, że działali na polecenie hitlerowców. Ale równie dobrze mogli nie wiedzieć, co się szykuje – odparł Staszek.

– Hrm. No i byli tam, gdzie akurat naziści urządzili sobie prowokację?

Zaniewski wzruszył ramionami.

– Pomyśl, Holzer. Redakcja mogła ich wysłać do Stodół, żeby zrobili reportaż o czymkolwiek, chociażby o mniejszościach narodowych. Nie musiała ich informować, że staną się świadkami prowokacji.

– A ja to mam w dupie – siłacz popatrzył na pusty talerz po zupie i skonstatował: – Stara jędra wkurwia, ale zupę daje dobrą.

– Trochę wdzięczności. Za parę dni będziesz marzył o takim gospodarzu – stwierdziła Maria, zniesmaczona tym, jak towarzysz podróży odnosi się do przyjaznej starszej kobiety.

Z ich trójki tylko Staszek nie był wypoczęty i gotowy do drogi. Ale nawet on nie narzekał na bolesne zakwasy w mięśniach po przejściu poprzedniego dnia tylu kilometrów. Narzeczeni uściskali Henrykę i obcałowali ją kilkakrotnie w oba policzki. Śmiejąc się, machnęła ręką i pobłogosławiła ich na drogę, gdziekolwiek zmierzają.

Opuścili jej gospodarstwo dopiero koło południa. Mimo to zamierzali pokonać pięćdziesiąt kilometrów, nadrabiając dziesięć, których nie zdołali przejść wczoraj.

Ruszyli nieutwardzoną drogą prowadzącą przez pola, które należały do męża Henryki.

Momentami zbliżali się do większych szlaków, na szczęście nie widzieli żadnych sił niemieckich. Po dwóch godzinach marszu stwierdzili, że najwyraźniej wroga jeszcze nie ma w okolicy, więc skierowali się na główną drogę prowadzącą do Sochaczewa. Tam przywitał ich warkot silników i tętent kopyt. W pierwszej chwili, przerażeni, ukryli się za pobliskim płotem.

Szybko zorientowali się, że odgłos dobiega ze wschodu.

– Nasi – stwierdził Staszek, a cała trójka głośno odetchnęła.

Minęło ich kilka oddziałów Wojska Polskiego. Wstali i zaczęli głośno klaskać. Po chwili kolumna się zatrzymała.

Siedzący na koniu żołnierz skierował wzrok na Staszka, Marię i Holzera. Kiwnął im głową, po czym powiedział do jednego z kompanów:

– Pewnie znowu cywile zatarasowali drogę.

Niedługo potem wojsko znów ruszyło.

Wędrowcy szybko stracili z oczu kolumnę obrońców ojczyzny i, podbudowani ich obecnością, kontynuowali podróż w kierunku Sochaczewa. Po przejściu paru kilometrów zobaczyli, dlaczego żołnierze musieli się co jakiś czas zatrzymywać. Ciągnęła wielka fala uciekinierów z zachodu. Wielu wiozło znaczną część swojego dobytku, inni dzierżyli tylko małe torby podróżne, wypchane zapewne jedzeniem.

Wielka kolumna uchodźców zarządziła postój na pobliskim polu ziemniaków, kilkaset metrów przed Staszkiem, Marią i Holzerem. Ci stwierdzili, że dołączą do nich, być może uda się uzyskać jakieś informacje z frontu. Rozdzielili się, żeby jak najlepiej zorientować się w kwestii ruchów wojsk niemieckich, co byłoby dla nich bardzo przydatne w dalszej podróży. Staszek z Holzerem ruszyli w głąb odpoczywającej grupy, Maria natomiast podeszła do mężczyzny około czterdziestoletniego, który chwilę wcześniej niósł na plecach małe dziecko, a teraz siedział przy drodze.

Po krótkim przywitaniu, wyjaśniła mu, że z przyjaciółmi zamierza uciec na zachód.

– Młodość – westchnął. – Nikt w moim wieku nie zdecydowałby się na takie szaleństwo. Poginiecie tam.

– Myślę, że damy sobie radę. A pan skąd idzie?

– Z Sieradza. Ale idę dopiero od kilkunastu kilometrów, wcześniej udawało mi się złapać jakiś transport.

Przypatrzyła się mu. Miał podkrążone oczy, zapewne nie spał od wielu nocy, był skrajnie niedożywiony i zupełnie załamany psychicznie. Mówił powoli, przeciągając słowa. Co chwila wbijał wzrok w jakiś punkt w oddali. Zapytała:

– Jak tam jest, na zachodzie?

– Zachód Polski już nie istnieje – powiedział smutno. – Teraz to wschód Rzeszy. Istne piekło. Jeśli życie wam miłe, zawróćcie i chodźcie z nami. A zresztą... – urwał.

W końcu opowiedział o tragedii, jaka spotkała jego rodzinę. Niemcy zamordowali żonę oraz starszego syna. Teraz próbował ratować młodszego. Poinformował ją, że z tego, co słyszał ostatnio, Niemcy zajęli Poznań i podeszli pod Łódź. Ciągłe przesuwanie się w kierunku Warszawy, a uciekinierzy niemalże czują na plecach ich oddech.

Spotkali się po godzinie. Maria zrelacjonowała przebieg rozmowy z napotkanym

człowiekiem, a Staszek zdobył informacje, że padł Kraków, Katowice i Kielce.

– Są już prawie w centrum kraju. – Dodał też plotki o tym, że z północy nadciąga plaga śmierci pod postacią kilku innych niemieckich armii. A Brytyjczycy i Francuzi, mimo wypowiedzenia wojny, do tej pory nie wysłali ani jednego żołnierza do Polski. Ich wcześniejsze przypuszczenia zaczęły się potwierdzać: jesteśmy sami na tej wojnie.

Holzer nie zebrał żadnych przydatnych informacji. Bawił się tylko w drobny handel.

W efekcie wiedzieli, że nie powinni napotkać niemieckich sił przez następne mniej więcej sto trzydzieści kilometrów.

Około dziesiątej wieczorem dotarli do Sochaczewa.

Znów przeszli około trzydziestu kilometrów. Mimo iż drugi dzień z rzędu nie wyrobili normy, jaką sobie narzucili, byli zadowoleni.

Miasto wydawało się spokojne, choć głównie dlatego, że co najmniej w połowie zostało opuszczone. Znaleźli dogodne miejsce do odpoczynku w jednym ze szpitali, bo Staszek przedstawił się jako absolwent medycyny i wynegocjował, że będą mogli ułożyć się w kotłowni.

Na ulicach miasta pojawiało się coraz więcej polskich żołnierzy. A że trójka wędrowców widziała rosnący z godziny na godzinę ruch ludności na wschód, Staszek stwierdził:

– Coś się szykuje w okolicy.

– Panienko, aleś znalazła sobie wybitnego myśliciela – odparł Holzer i wyszedł ze szpitala, rzucając na odchodne, że musi pokręcić się po mieście. Zauważyli, że wziął sauera.

– Aleś sobie znalazła... – uśmiechnęła się Maria i pocałowała ukochanego.

– Lepiej nie mogłaś trafić – odpowiedział przekornie i dodał: – Musimy się stąd zwijać jak najszybciej, bo chyba nasi gotują się do jakiejś większej akcji.

Spali około ośmiu godzin. Maria wstała o dziesiątej rano i zbudziła Staszka. Holzera nie było w pobliżu. Znikły też wszystkie jego rzeczy, łącznie z torbą pełną pieniędzy.

RAWICZ, 7 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Około drugiej w nocy czarne BMW 327 zaparkowało przy jednej z mniejszych i nawet za dnia nieuczęszczanych ulic Rawitscha. Z samochodu wysiadło dwóch ludzi ubranych w szare mundury z insygniami SS. Nosili koszule w podobnym kolorze, zwieńczone wysokim, czarnym kołnierzem.

Początkowo funkcjonariusze przechadzali się w towarzystwie trzyosobowej obstawy, ale potem gdzieś ją wysłali.

Dwaj esesmani chodzili wolnym, spokojnym krokiem, bacznie obserwując okoliczne domy. Wchodzili do niektórych i po krótkim czasie je opuszczali. Gdyby ktoś ich obserwował, zapewne stwierdziłby, że szukają czegoś lub kogoś.

Hauptmann Christian Leitner siedział za biurkiem w swoim nowym gabinecie w ratuszu. Zdecydował się zająć dawne pomieszczenie burmistrza, a Richarza oddelegować piętro niżej. Zdążył już się przyzwyczaić do tych czterech ścian, poza tym miał stąd dobry widok na rynek.

Nie miał ochoty kłaść się spać, przeglądał raporty z frontu. Żałował, że otrzymał rozkaz

pozostania w Rawitschu. Było tu spokojnie, a oberleutant poradziłby sobie z utrzymaniem porządku w mieście. Dlatego zamiast kierować się wraz z Ósmą Armią w kierunku Warszawy, bębnił palcami w duże mahoniowe biurko na rubieżach tego, co niegdyś było terytorium Polski.

Zeszłego dnia mianowany przez niego burmistrz dostarczył mu informację, że tutejsze więzienie jest wypełnione jedynie w trzydziestu procentach. Właśnie na taką wiadomość liczył. Nie zamierzał też urządzać czystek wśród miejscowej ludności. „Jeśli ktoś sobie na to zasłuży, trafi do odizolowanej celi, a tych jest ponoć dostatek. Czyny świadczą o człowieku, nie jego krew” – pomyślał.

Wstał zza biurka i stanął przy oknie. Często tak robił, by patrząc na niebo, móc w spokoju rozmyślać o swojej żonie, Johannie i synu Maximilianie. Malec miał pięć lat. Był wesołym, wysokim jak na swój wiek blondynem. Leitner nadal zastanawiał się, czy jego żona i syn powinni przenieść się do Rawistcha. Wciąż miał co do tego wątpliwości, choć przypuszczał, że już niedługo nawet ta nowa część Rzeszy stanie się tak samo swojska, jak każda inna.

Przerwał rozważania, gdy zobaczył dwóch mężczyzn w szarych mundurach, którzy z jednej z kamienic wyciągali małego chłopca. Wybiegł za nim jakiś człowiek. Jeden z ludzi noszących insygnia SS obrócił się i oddał strzał z pistoletu. W świetle księżycy zamigotał na palcu strzelca srebrny pierścień ozdobiony trupią czaszką.

Esesman trafił mężczyznę prosto w skroń. Drugi funkcjonariusz złapał ciało, by jego upadek nie narobił hałasu. Christian nie usłyszał też dźwięku wystrzału.

„Tłumik. Niecodzienne” – pomyślał, marszcząc czoło. Kątem oka zauważył wyłaniające się zza zakrętu czarne BMW. „Model 327. Pięćdziesiąt pięć koni mechanicznych, rozwija prędkość do 125km/h. Wytrawny samochód”.

Założył czapkę oficerską i opuścił biuro. Zamierzał dowiedzieć się, co się dzieje w jego mieście.

Kiedy znalazł się na rynku, podszedł do dwójki esesmanów, trzymając dłoń na kaburze pistoletu.

Popatrzyli mu najpierw w oczy, po czym przenieśli wzrok na jego rękę. Nie odzywali się dłuższą chwilę.

– Kapitan Christian Leitner, dowódca kompanii stacjonującej w Rawitschu – przedstawił się.

– *Heil Hitler* – odparł jeden z nich.

Leitner kiwnął głową i zmrużył oczy.

– Wiemy, kim pan jest – powiedział drugi.

– Ja natomiast nie wiem, kim jesteście wy. I co robicie w tym mieście?

Bez słowa podali mu dokumenty i kartkę papieru.

Christian przeczytał na głos:

– SS-Untersturmführer Heinz Stubbe i SS-Oberscharführer Dietmar Woznik.

Popatrzył na nich – żadnej reakcji. Po chwili dodał:

– Polskie nazwisko?

– Nie – odparł Woznik.

Leitner stwierdził, że wolałby konwersować z drzewem.

– Co to za kartka? – Wskazał na dokument, który mu wręczyli wraz z dowodami tożsamości.

– Rozkazy.
– Dla mnie? Od SS? – zapytał ostrym tonem.
– Nie.
– To w jakim celu mi je dajecie? – Spojrzał na funkcjonariusza wyższego stopniem.
– Proszę przeczytać – powiedział tamten krótko i rozkazał swojemu podwładnemu odprowadzić chłopca do samochodu.
– *Halt* – zaoponował hauptmann i nakazał ruchem ręki, by Wozniak się nie ruszał. – Najpierw zobaczymy, czym się chwalicie. Co to za chłopiec?
– Proszę przeczytać – powtórzył untersturmführer Heinz Stubbe.
Christian otworzył i przeczytał dokument. Na dole widniał podpis samego Heinricha Himmlera, szefa SS i zwierzchnika wszystkich rodzajów policji Rzeszy. „Co tu się dzieje, do cholery?” – pomyślał, choć nie zwykł przeklinać, nawet w myślach.
Oddał papier dwójce funkcjonariuszy i powiedział:
– Możecie iść.
Jednocześnie umieścili swoją prawą dłoń na klatce piersiowej, na wysokości serca, po czym wyprostowali ręce w geście hitlerowskiego pozdrowienia. Leitner odniósł wrażenie, że musieli ćwiczyć to razem wielokrotnie. Inaczej nie osiągnęliby takiego stopnia synchronizacji. Odeszli bez słowa.
Hauptmann odprowadził ich wzrokiem, po czym wrócił do swojego gabinetu i zasiadł za mahoniowym biurkiem. Otworzył papierośnicę od Johanny i wyciągnął salemę gold. Obracał go długo między palcami, ale w końcu odłożył na biurko i znów stanął przy oknie.

ZACHODNIE BIESZCZADY, NA POŁUDNIE OD SANU, TEREN OKUPOWANY PRZEZ WOJSKA NIEMIECKIE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Chwieduszko pogładził się po szerokich wąsach, starając się delikatnie podkreślić ich końce. Oddychał ciężko. Przed chwilą kapitan Obelt rozkazał mu położyć się na trawie, uspokoić oddech, odsapnąć. Bronek i Kiljan mieli nawet obawy, że Chwieduszko udusi się z zadyszki.

Po wielogodzinnej przeprawie dotarli wreszcie na szczyt góry, której nazwy nie znali. Obelt chciał znaleźć się na jej wierzchołku, by wreszcie mogli wyznaczyć swoją pozycję. Do tej pory przedzierali się przez lasy porastające wyższe lub niższe wzniesienia i kotliny. Nie mieli możliwości odnalezienia jakiegokolwiek punktu odniesienia, za pomocą którego wyznaczyliby swoje położenie na mapie.

– Zaniewski, mapa – rozkazał Obelt. Bronek wyciągnął ją z mapnika i podał kapitanowi.

Dowódca chwilę studiował ich położenie, spoglądając raz na mapę, raz na krajobraz. Zaniewski też się rozejrzał.

Gdzie okiem sięgnąć, otaczały ich góry i wzgórza, wszystkie pokryte soczystozielonym lasem. Tylko gdzieniegdzie widać było szare skały, urozmaicające monotonię zieleni. A pod własnymi nogami zauważył dziwne rośliny, których kwiaty układały się w szerokie kielichy, czasem czerwone, a czasem żółte. Nigdy nie sądził, że rosną tutaj takie dziwactwa, bardziej spodziewałby się ich gdzieś w Afryce czy Ameryce. Zerwał jedną z tych roślin i zaczął ją

oglądać. Łodyga była gruba i mięsista.

Otaczała ich pogrążona w spokoju natura. Nigdzie nie było widać najmniejszego śladu konfliktu.

Bronek obracał w dłoniach kwiat, póki nie poczuł się trochę niemęsko. Odłożył go na trawę.

– Halicz – stwierdził Obelt.

Podkomendni wyglądali na dezorientowanych, więc kapitan kontynuował:

– Jesteśmy w Polsce... – słysząc to, wszyscy się uśmiechnęli – ...na górze Halicz. 1333 metry nad poziomem morza.

Chwieduszko wreszcie podniósł się z ziemi.

– Gratuluję zdobycia tego niebosiężnego szczytu, chorąży – ironicznie stwierdził Obelt.

– Gdzie Niemcy? – spytał Kiljan.

– Szeregowy. Równie dobrze możecie spytać mnie o przepis na zrobienie bryndzy.

Kiljan podrapał się po czubku głowy.

– Panie kapitanie, daleko do Lwowa? – zapytał Bronek. Chciał spojrzeć na mapę, ale oficer ją złożył i odparł:

– Ze sto pięćdziesiąt kilometrów.

– Olaboga, jak daleko – westchnął Kiljan.

– Może wcześniej uda się nam znaleźć jakieś nasze oddziały – wtrącił Chwieduszko, który uspokoił wreszcie oddech.

– Taki jest plan. Poza tym, szeregowy, nikt nie proponuje, byśmy popierdalali całą drogę *per pedes*.

Zrobił pauzę, rozejrzał się po okolicy i dodał:

– Skręcamy na wschód. W stronę Wołowego Garbu.

– Na wschód? Do Rumunów? – zdziwił się warszawiak.

– Nie sierzancie, do naszych.

– Z tego, co wiem, to nasi... – odezwał się Roman Kiljan, ale przerwał, czując na sobie świdrujący wzrok kapitana.

– Nasi są na północy, szeregowy. Bardzo dobrze. Świetnie. Wybitna wiedza taktyczno-wojskowa. – Obelt zaklaskał. – Póki co, idziemy na tę kopę. – Wskazał ręką na Wołowy Garb. – Gdzieś tam rozbijemy się na noc. Rano ruszymy do wsi Beniowa. Mapa pokazuje, że tuż przy niej przebiega trasa kolejowa do Lwowa i Przemyśla.

Kiljan odetchnął z ulgą. Nie był przyzwyczajony do tak długotrwałego noszenia ciężkich żołnierskich butów. Już wiele kilometrów temu jego stopy pokryły się pęcherzami, które w końcu pękły, a od pewnego czasu nawet sączyła się z nich krew. Był pewien, że takie rany „chyba na pewno” nigdy się nie zagoją.

Kiedy dotarli do Wołowego Garbu, byli tak wyczerpani, że od razu ułożyli się na jego stoku. Nie było potrzeby przedsięwzięcia jakichkolwiek środków ostrożności, gdyż po drodze ani nie widzieli, ani nie słyszeli wroga. „Niemcy są teraz zajęci ważniejszymi sprawami” – pomyślał Obelt.

Zaniewski przesuwiał wzrokiem po imponującej rzeźbie terenu. „Jak to możliwe, że trochę dalej toczy się wojna?”. Zasnął.

Wraz ze świtem rozpoczęli morderczą wędrówkę. Kończyły się im zapasy. Na brak wody nie mogli narzekać, ale z jedzeniem było krucho. Wprawdzie przed opuszczeniem Ražnamu Tibor ofiarował im na drogę trochę chleba, jednak zjedli już prawie cały.

W okolicy nie było żadnego utartego szlaku, musieli więc przedzierać się przez leśny gąszcz. Szybko pożałowali, że zdecydowali się na tak śmiałą trasę, na której czekało ich mnóstwo stromych podejść i śliskich zejść. Wykończeni, dopiero po kilku godzinach dotarli w okolice wsi Bukowiec, leżącej niedaleko Beniowej. Minęli Bukowiec bokiem i idąc dalej ścieżką, po pół godzinie dotarli do celu. Padali ze zmęczenia, ale nie mogli jeszcze teraz szukać noclegu.

Idący przodem Broniek wskazał na opuszczony posterunek straży granicznej, który jeszcze kilka dni temu zajmowali żołnierze z Korpusu Ochrony Pogranicza.

Zajęli pozycję na niewielkim wzgórzu, by ocenić sytuację we wsi.

Zaniewski wyciągnął lornetkę i relacjonował:

– Niemców nie widać. Jest opuszczony posterunek policji. Zabite konie i bydło, sporo bezpiecznych krów. Trochę zniszczonych wozów czy furmanek, cholera wie co to. Kilka ciał na ulicach.

Szczególnie uderzył go widok dziwnie zachowujących się krów. Ludzie przyzwyczajeni są do widoku spokojnie pasącego się na łące i powoli przeżuwanego kolejne kęsy trawy bydła. Natomiast krowy biegające w tę i w tę po wsi, nie należą do widoków normalnych. Sygnalizują, że dzieje się coś złego.

– Pokaż – przerwał mu Chwieduszko i chwycił za lornetkę. – Trzy spalone chałupy. Ogień dawno ugaszony, bo już nawet nie dymią.

Obelt zamknął oczy i opuścił głowę, po czym powiedział:

– Czyli Niemcy albo Słowacy przeszli jakiś czas temu. Ruszamy.

Skierowali się do nienaruszonego dworku, stojącego na obrzeżach wsi. Po drodze nie spotkali żywej duszy, wszyscy najwyraźniej uciekli lub zabarykadowali się w domach. Po wrogich żołnierzach też nie było śladu.

Zapukali do głównych drzwi dworku i czekali. Nikt się nie odezwał, więc zapukali ponownie, a Kiljan krzyknął, że są żołnierzami Wojska Polskiego. Obelt natychmiast go uciszył w obawie, że gdzieś niedaleko mogą znajdować się Niemcy.

Drzwi uchyliły się i wyszedł z nich – powoli i ostrożnie – dystyngowany, siwy mężczyzna z wąsem i niewielką bródką. Nosił znoszoną brązową marynarkę, białą koszulę, czarny krawat oraz czarne spodnie. Popatrzył na nich, po czym powiedział cicho:

– Witam panów. Osmund Kremmer, właściciel tego przybytku.

– Kapitan Obelt, Druga Brygada Górská. Są w pobliżu Niemcy?

– Od kilkunastu godzin nie. Panowie, chodźcie do środka, porozmawiamy w spokoju.

Weszli do jasnej sieni. Kiljan chciał wziąć jedno z jabłek leżących na komodzie przy wejściu, ale kiedy przypadkowo popatrzył na Bronka, ten skarcił go wzrokiem.

Gospodarz zaprosił ich do przestronnej jadalni i polecił kobiecie, która obserwowała ich wejście z kuchni, by poczęstowała „bohaterów naszej armii” ciepłym posiłkiem.

Niedługo przyniosła duszoną kaczkę. Przybyszom oczy otworzyły się szeroko jak chyba jeszcze nigdy w życiu. Tego wcale się nie spodziewali. Łapczywie rzucili się na jedzenie. Jako

jedyny przygotowanego dania nie ruszył Obelt.

– Panie Kremmer, kto spustoszył wieś? – spytał.

– Niemcy, panie kapitanie, Niemcy.

– Tak? A stawiałem na Słowaków. Dziwne, że Wehrmacht ma czas na płądrowanie wiosek. Myślałem, że powinno im się spieszyć na północ, do Lwowa.

– Zaiste, zaiste. Gdyż to nie Wehrmacht, szanowny panie.

Chwieduszko zaprzestał jedzenia i wtrącił:

– To kto?

Kremmer pogłodził siwy wąs i bródkę.

– Nie mogę być całkowicie pewien. Stanowczo nie mogę.

– A co pan przypuszcza? – zapytał Obelt.

– Cóż, w moim skromnym przekonaniu mogły to być jakieś siły specjalne.

– Po czym pan to wnosi? – kapitan musiał ciągnąć go za język.

– Otóż, drogi panie kapitanie, po pierwsze, nie nosili zwykłych mundurów wojska niemieckiego. Ich stroje były szare, koszule też. Na jednym rękawie widniała naszywka, romb z literami SD. Tak.

„Sicherheitsdienst. Służba bezpieczeństwa SS” – pomyślał Bronek, kiedy Kremmer przerwał swój wywód i zawiesił głos.

– A po drugie? – dopytywał się Obelt.

– Ach tak – gospodarz odchrząknął i ciągnął dalej, jak gdyby wygłaszał wyuczoną przemowę:

– Po drugie natomiast, pozostali na tyłach oddziałów frontowych i dopiero po ich przejściu zaczęli działać. Efekt ich starań panowie widzieli.

Oficer chwilę się zastanawiał, po czym zapytał:

– Gdzie się udali?

– W lasy. W przeciwnym kierunku, niż ten, z którego szanowni panowie raczyli przybyć.

Gospodarz znów się zamyślił, kontemplując żyrandol na suficie, po czym dodał:

– Szukają Żydów, którzy uciekli ze wsi na wieść o ich przybyciu.

– Rozumiem. A regularna armia dokąd poszła? – spytał oficer.

– W stronę Turki.

– Kogo, kurwa? – wyrwało się Chwieduszce.

Osmund Kremmer popatrzył na niego z dezaprobatą i nieukrywanym zdziwieniem.

– Szanowny panie, jest to miejscowość położona na północny wschód od Beniowej. Stamtąd zapewne dołączą do jakiegoś większego oddziału niemieckiego i uderzą na Lwów. Zapewne. Tak.

– Zauważył pan coś jeszcze? – dopytywał kapitan.

– A owszem, owszem. Zanim wojsko niemieckie odmaszerowało równym krokiem ku Turce, jeden z oficerów wydał rozkaz któremuś z tych oddziałów, tych w szarych mundurach. Mój niemiecki kuleje, ale co nieco zrozumiałem. Nieznane było jedno słowo, które powtórzył kilkakrotnie – ajnsacgrupyn. Tak, coś w tym guście.

– *Einsatzgruppen* – wtrącił Bronek. – Grupy Operacyjne.

– Wiesz coś na ten temat, Zaniewski? – zdziwił się Obelt, obracając się energicznie w stronę sierżanta.

– Nie, panie kapitanie. Po prostu przetłumaczyłem, co to słowo znaczy po niemiecku.

Chwieduszko popatrzył na niego z obrzydzeniem, po czym nabił na widelec kolejny kawałek duszonej kaczki.

Po kolacji Bronek, Chwieduszko i Kiljan zostali zaprowadzeni do pokoi gościnnych na piętrze. Warszawiak, biorąc prysznic, nie mógł się nadziwić, ile szczęścia może dać zwykła woda. Zmył z siebie brud całego tygodnia. Nie wiedział, ile kilometrów przeszli, ale był skrajnie zmęczony. A teraz, po napełnieniu żołądka, ogarnęła go senność, której nie mógł przewyciężyć. Oczy same mu się zamykały. Położył się na łóżku w jednej z koszul gospodarza, które ten wspinałomyślnie użyczył gościom. Zasnął po minucie.

Tymczasem pan Kremmer zaprosił Obelta do swojego gabinetu, by – jak to określił – „deliberować przy blasku księżyca oraz szklance wybornego trunku”. Kapitan najchętniej znalazłby się w łóżku, jednak z szacunku dla gospodarza nie odmówił. Zresztą zdążył polubić starszego ziemianina.

– Kto zacnego pana kapitana tak urządził? – zapytał gospodarz, wskazując na ranę na twarzy Obelta.

Oficer roześmiał się.

– Bombowiec Luftwaffe.

– Zostanie zatem blizna świadcząca o pańskim heroizmie.

Kremmer nalał im po szklance whisky i kontynuowali rozmowę na inne tematy. Gospodarz postanowił opowiedzieć gościowi historię wsi.

– Otóż, szanowny panie, Beniowa została ulokowana na prawie wołoskim w połowie XVI wieku. Większość z nas, badaczy historii tutejszych terenów, jest zdania, iż stało się to między 1549 a 1554 rokiem, niemniej jednak należy zaznaczyć, iż...

Obeltowi zaczęły opadać powieki.

ZACHODNIE MAZOWSZE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Maria i Staszek wyszli z kotłowni sochaczewskiego szpitala bocznym wyjściem i usiedli na schodach. Udało im się zdobyć kawę, którą przelali do termosu i teraz rozkoszowali się jej smakiem. Zaniewski zapalił papierosa. Siedzieli zamyśleni.

– Damy radę bez niego? – spytała w końcu Maria.

– Dać, damy. Tylko nasza historia stała się trochę mniej wiarygodna.

– Możemy powiedzieć, że zabili go Polacy, kiedy ruszyliśmy ze Stodół w kierunku Niemiec.

– Wiem. Ale Holzer nie jest największym problemem. Stodoły leżą sporo na zachód od naszej pozycji.

Popatrzyła pytająco.

– Trochę się przeliczyliśmy w kwestii tempa natarcia niemieckiego.

Staszek spędził z Holzerem trochę czasu na studiowaniu mapy. Z ich wyliczeń wynikało, że uda im się przekroczyć linię Stodół przed tym, jak pojawi się zagrożenie zatrzymania przez

Niemców. Ale ci posuwali się bardzo szybko, więc okazało się, że wędrowcy nadal byli zbyt daleko na wschodzie.

– Dlaczego wczoraj mi o tym nie powiedziałaś? – Przybrała jedną ze swych groźniejszych min.

– Nie wiem. Holzer też milczał, a pewnie zdawał sobie z tego sprawę. I dlatego zwiął.

Pokręciła głową i szturchnęła go w ramię.

– Czyli jeśli zatrzyma nas dociekliwy niemiecki żołnierz...

– To ciężko będzie mu uwierzyć, że zamiast wracać do Niemiec czy Austrii, poszliśmy na północny wschód, w głąb Polski.

Wyciągnął kolejnego papierosa, a Maria sięgnęła po paczkę perfumowanych egipskich.

– Faj – stwierdził.

– A spadaj – odparła z papierosem w ustach.

Wrócili do kotłowni i zebrali swoje rzeczy, po czym wyszli ze szpitala, dziękując personelowi za udostępnienie miejsca do przespania nocy. Kiedy już wyszli, na ulicy zauważyli Holzera z całym swoim ekwipunkiem, prowadzącego pod rękę jakąś kobietę. Szedł delikatnym zygzakiem.

Narzeczeni wymienili się spojrzeniami.

– Gdzie ty, do cholery, byłeś? – niemal krzyknęła Maria. Zaniewski nic nie mówił.

– Tu i tam. Potem wróciłem, bo potrzebowałem kasy na pewne nocne sprawy. Spalicie jak dwa...

Odbiło mu się potężnie.

– I zabrałeś przy okazji wszystkie swoje rzeczy? – przerwała mu Maria.

– Nie będę nocował po kotłowniach jak byle, kurwa, szcur. A swoich rzeczy nie zostawiam wśród złodziei. Mam swoje zasady.

Staszek odwrócił się i odszedł kilka kroków. Miał dosyć tego człowieka, a jakkolwiek dyskusję z nim uważał za zupełnie bezcelową.

– Mogłeś nam o tym powiedzieć. Jeszcze chwila, a poszlibyśmy bez ciebie.

– Hrm – odparł Holzer i pożegnał się ze swoją towarzyszką. – Znalazłem sobie przytulną... norcę na noc. – Wskazał na oddalającą się kobietę i wyszczerzył zęby.

– Kanalia z ciebie, Holzer.

Zaniewski westchnął i wtrącił się w rozmowę oznajmiając, że powinni ruszać, jeśli chcą choć raz wyrobić normę. Maria przytaknęła. Zebrali rzeczy ze schodów i ruszyli na zachód. Postanowili, że jeśli nadarzy się okazja na jakąkolwiek podwózkę, skorzystają z niej. Zgodnie uznali, że sytuacja wydaje się na tyle spokojna, że nie muszą zachowywać szczególnych środków ostrożności.

Wyszli z miasta i zanim przeszli pięć kilometrów, natknęli się na transport sanitarny. Udało im się zatrzymać jedną z ciężarówek. Nie było łatwo przekonać jadących nią sanitariuszy, by zabrali ich na zachód. W końcu dopięli swego dzięki sile uroku osobistego Marii.

Wysiedli w okolicach Krzyżanowa. Sanitariusze ostrzegli ich, że za kilka dni będzie gorąco, bo nastąpi natarcie sił polskich na którąś armię niemiecką, chyba Ósmą, aczkolwiek sami nie

byli tego pewni.

Tego dnia, dzięki złapaniu okazji, trójka uciekinierów przebyła około siedemdziesięciu kilometrów. Byli nadzwyczaj zadowoleni, nawet Holzer wydawał się pogodny. O ile w jego przypadku było to w ogóle możliwe.

Niedługo potem dobiegł ich z oddali odgłos artyleryjskiej kanonady. Podczas gdy oni niespiesznie szli w kierunku Rzeszy, gdzieś trwała bitwa, a ludzie tracili życie.

W ciągu popołudnia i dwóch godzin po zapadnięciu ciemności udało im się przejść czterdzieści kilometrów. Zatrzymali się we wsi Tarnówka i rozpoczęli poszukiwania domostwa, w którym świeciło się jeszcze światło.

Niestety, nawet jeśli takowe znajdowali, niełatwo było przekonać gospodarzy, by po zmroku otworzyli drzwi nieznanym przybyszom. Znaleźli w końcu opuszczoną stodołę i ułożyli się na sianie. Zasnęli bardzo szybko.

Rano, kiedy jeszcze leżeli i snuli plany dalszego marszu, Staszek oznajmił z uśmiechem, wyciągając papierosa:

- Chyba cierpię na abazję.
- Hę? – burknął od niechcenia Holzer.
- Utrata zdolności chodzenia.
- To nawet nie jest prawdziwa choroba, chłopcze – odparł towarzysz.

Nagle przerwali rozmowę i popatrzyli w kierunku drzwi. Doszły ich słowa rozmowy prowadzonej po niemiecku. Zamarli.

Holzer powoli sięgnął po pistolet, Staszek zamarł w bezruchu, a Maria najciszej jak umiała zakradała się do drzwi stodoły. Przyłożyła oko do szczeliny między deskami i zobaczyła pięciu ludzi. Na prawej piersi ich mundurów widniał orzeł ze swastyką. Kierowali się niespiesznie w kierunku stodoły. Dziewczyna zdrętwiała.

Bandyta, od razu zorientował się w sytuacji, energicznie wstał i skierował się do wyjścia.

Maria nadal obserwowała hitlerowców, a Staszek popatrzył na Holzera z przerażeniem, nie rozumiejąc, co ten wyczynia. Nie zdążył go zatrzymać.

Siłacz otworzył wrota stodoły, przeciągnął się i głośno ziewnął.

Naziści rzucili na ziemię jabłka, które właśnie jedli i wycelowali w niego swoje karabiny.

Maria, obserwując to przez szparę w ścianie, pomyślała: „Jesteśmy martwi.” Popatrzyła na narzeczonego, który zamarł jak słup soli – z wyciągniętą ręką, którą chciał nakazać Holzerowi, by się zatrzymał.

OKOLICE RAWICZA, 10 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– *Herr hauptmann*, dlaczego chodzi pan z nami na patrole?

Młody szeregowy Wehrmachtu w końcu odważył się zadać swojemu dowódcy pytanie, które dręczyło go od kilku dni.

Christian Leitner popatrzył na niego, po czym podniósł wzrok na korony drzew podrawiczańskiego lasu. Był zaskoczony, że mimo narzuconej żołnierzom dyscypliny, szeregowi decydują się na zadawanie mu niesłużbowych pytań. Stwierdził jednak, że w przypadku tego

młodego chłopaka zrobi wyjątek.

– Nie uważam, by zadaniem kapitana było obserwowanie z oddali, co robi jego kompania.

Przybrał trochę ostrzejszy ton, niż zamierzał. W efekcie szeregowy uznał, że niepotrzebnie się wychylił.

Leitner dodał po chwili już łagodniejszym głosem:

– Jestem żołnierzem Wehrmachtu, tak samo jak ty, *Schütze*. Przybyłem tutaj, żeby uczestniczyć w walce, a nie siedzieć całymi dniami w ratuszu i jedynie na mapie obserwować ruchy wojsk.

Skończyli patrol, nie napotkawszy żadnego oporu ze strony ludności ani armii polskiej. Kiedy wrócili do Rawitscha, *hauptmann* odesłał szeregowców do ich oddziału, po czym udał się do gabinetu. Popatrzył na wizerunek Adolfa Hitlera, który zawiesił na ścianie w miejscu polskiego godła.

Zauważył na biurku nowe dokumenty, więc przejrzał je pospiesznie. Wczoraj jedna z armii polskich zaatakowała niemieckie siły nad Bzurą. Trzecia Armia zajęła Wyszaków. Poznań upadł. Polacy rozbili pod Warszawą Czwartą Dywizję Pancerną. W kierunku polskiej stolicy nadciągają liczne siły niemieckie. Leitner pokiwał głową zamyślony.

Błyskawiczne postępy Wehrmachtu napawały go dumą, mimo kilku niepowodzeń. Stwierdził, że jeszcze nigdy w historii świata żadna armia tak szybko nie zajmowała nowych terenów. Żałował, że jego udział w kampanii zakończył się pierwszego września w tym małym mieście. Miał wszakże nadzieję, że w nadchodzących dniach otrzyma rozkaz wymarszu, dlatego trzymał żołnierzy w pełnej gotowości.

Kontemplując potęgę niemieckich sił zbrojnych, usłyszał hałas na dziedzińcu ratusza. Po chwili rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu.

– Wejść.

Pojawił się jeden z żołnierzy podległych jego zastępcy, oberleutnantowi Ernstowi Heinlemu.

– *Heil Hitler! Herr hauptmann*, melduję, że zatrzymaliśmy grupę polskich dywersantów. Zamierzali podłożyć ogień pod jeden z budynków, gdzie zakwaterowani są nasi żołnierze.

– Ilu?

– Piętnaście mężczyzn i, co dziwne, trzy kobiety.

– Piętnastu.

– Tak jest.

– Przekaż porucznikowi, że zaraz będę na dole. Niech do mojego przyjścia nic nie robi.

– Tak jest. – Żołnierz zasalutował i wyszedł.

Kiedy pojawił się na dziedzińcu, zauważył Heinlego, który z odległości kilku centymetrów krzyczał na całe gardło prosto w twarz jednemu z Polaków.

– Heinle – spokojnie powiedział Leitner.

Oberleutnant obrócił się migiem w stronę kapitana, zasalutował, po czym zameldował:

– Ujęliśmy bandę polskich świń. Podejrzewam, że część z nich może być brudnymi Żydami. Christian westchnął.

– Którzy?

– Ten, ten, ten i ta. – Heinle wskazał po kolei trzech mężczyzn i kobietę.

– Skąd wiadomo, że to Żydzi?

– Widać po nich.

– Słucham?

– *Herr hauptmann*, proszę spojrzeć na ich twarze, na ich nosy. Na pierwszy rzut oka widać, że nie płynie w nich czysta krew.

Leitner popatrzył na ujętych ludzi. Byli przerażeni, co więcej, od razu było widać, że to nie przebrani żołnierze, a cywile.

Cywile, którzy próbowali odbić swoje miasto. „Nieroztropnie z ich strony. Ale wykazali się niemałą odwagą” – pomyślał.

– *Herr hauptmann*, uważam, że powinniśmy ich na miejscu rozstrzelać.

Kapitan popatrzył na porucznika jak na swojego psa, który właśnie załatwił się tam, gdzie nie wolno.

– Nic z tych rzeczy, Heinle – odpowiedział i podszedł do jednego z jeńców, który wyglądał na najmniej przestraszonego. Miał około trzydziestu lat i twarz pokrytą kilkudniowym zarostem.

– Ale panie kapitanie! Nalegam. To rozsądne rozwiązanie.

– Poruczniku Heinle, ze mną.

Leitner odszedł na bok.

– Jeszcze raz usłyszę, jak kwestionujesz przy żołnierzach moje rozkazy, a własnoręcznie wrzucę cię do tutejszego więzienia za niesubordynację. To zachowanie niegodne oficera. Nie mówiąc już o tym, że świadczy o kompletnym braku rozumu. Pokażę ci, jak należy postępować w takiej sytuacji. Obserwuj.

Oberleutnant przyjął nienaganną postawę zasadniczą, prostując się jak struna.

– Tak jest, *Herr hauptmann*.

Christian wrócił do jeńca, przy którym stał wcześniej.

– Jak się nazywasz? – zapytał po niemiecku.

Mężczyzna nie odpowiadał. Kapitan skinął na Heinlego.

– Poruczniku, przyprowadzić tu Richarza.

Po chwili na dziedzińcu zjawił się wezwany burmistrz. Leitner nakazał mu tłumaczyć.

– Jak się nazywasz? – spytał Richarz jeńca.

– Mateusz Katner, ty zdradziecka kupo gówna – burmistrz przetłumaczył tylko imię i nazwisko, jednak Christian dopytał, co oprócz tego powiedział jeńiec. Potem rozkazał Richarzowi tłumaczyć dokładnie, bez względu na treść.

– Ilu was jest? Działacie w zorganizowanej grupie? Kto nakazał wam podłożyć ogień?

Katner milczał.

– Powtórz pytanie i poinformuj go, że jeśli nie dostanę odpowiedzi w ciągu minuty, straci życie – rzekł Leitner.

– Niczego się ode mnie nie dowiecie. – Polak splunął w twarz burmistrza, który odskoczył, jakby został rażony prądem.

– Uznaję to za odpowiedź odmowną – spokojnie powiedział kapitan, nie czekając na tłumaczenie. Markus Richarz wycierał twarz, cały czerwony ze złości.

Hauptmann, patrząc na resztę jeńców, oświadczył grobowym tonem, że zachowanie tego człowieka jest przejawem odwagi, ale także lekkomyślności.

– Za chwilę straci życie. Na własne życzenie. To wszystko spotka także was, jeśli nie będziecie udzielać odpowiedzi na moje pytania.

Richarz przetłumaczył, a wtedy Christian wyciągnął pistolet i przyłożył do skroni Katnera.

Popatrzył w oczy każdemu z jeńców, po czym obniżył rękę z pistoletem i oddał strzał w kolano jeńca.

Katner zawył z bólu i padł na ziemię. Leitner rozkazał dwóm żołnierzom podnieść go i przytrzymać w pozycji pionowej, po czym strzelił w drugie kolano. Z gardła Polaka wydobył się zwierzęcy ryk.

Hauptmann popatrzył na swoją ofiarę i przez dłuższą chwilę trwał w zupełnym bezruchu. Wtedy Katner zaczął panikować.

– Powiem! Powiem! – krzyczał przez zaciśnięte zęby.

Leitner wycelował broń w jego głowę i wypalił. Heinle i Richarz obserwowali tę scenę zdezorientowani, nie rozumiejąc, dlaczego kapitan rozstrzelał jeńca, który był gotów mówić.

Kiedy odprowadzono jeńców do miejskiego więzienia, Christian powiedział do Heinlego:

– Taki sposób działania zapewni nam pełną współpracę reszty. Wybrałem tego człowieka, ponieważ wydawał się najtwardszy. Tacy powinni służyć jako przykład dla innych, gdyż zazwyczaj, mimo tortur, nie podają informacji.

– Rozumiem, *Herr* hauptmann.

– Ten okazał się mniej wytrzymały niż sądziłem. W każdym razie pozostała część grupy od razu zdała sobie sprawę, że nie mogą odmawiać odpowiedzi na moje pytania. A nawet jeśli zmienią zdanie, będzie za późno.

– Dziękuję za tę lekcję, *Herr* hauptmann.

WIEŚ BENIOWA NAD GÓRNYM SANEM, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bronek i Chwieduszek siedzieli w sali, w której wczoraj gospodarz podjął ich obfitym posiłkiem. Zbliżało się południe.

– Chwieduszek... Co to w ogóle za nazwisko?

– Wał się. Moniuszki też byś się czepił?

– On przynajmniej czymś tam się wsławił.

Dogryzali sobie jeszcze chwilę, ale temat szybko się wyczerpał i siedzieli przy stole bez słowa. W końcu chorąży odezwał się tonem już poważniejszym.

– Co wiesz o tych *Einsatzgruppen*?

– Zupełnie nic. Ale jeśli noszą mundury SD, mamy do czynienia z najbardziej zaufanymi oddziałami Hitlera.

Nagle dostrzegli Kiljana, który wbiegł z dworu do sieni i popędził na górę.

– Panie kapitanie! – szeregowy bez pukania wpadł do pokoju oficera – największego z pokoi gościnnych i pełnego antyków wartych fortunę.

– Czego? – jęknął Obelt, jeszcze nie do końca rozbudzony i odczuwający skutki wypicia sporej ilości whisky.

– Panie kapitanie, Niemcy! – Kiljan wyraźnie uległ panice.

Oficer skoczył na równe nogi i w pierwszym odruchu sięgnął po kaburę z pistoletem, ale zaraz rozejrzał się po pokoju, jakby szukając owych Niemców, i powiedział:

– Szeregowy, po pierwsze: nie krzyczeć. Po drugie: bez paniki. Po trzecie: ilu?

– Nie wiem. Dużo.

Obelt pokręcił głową.

– Gdzie są?

– We wsi, widać ich z mojego pokoju. Kręcą się jakby bez celu i śmieją.

Oficer udał się do pokoju Kiljana, a jemu kazał sprowadzić resztę i zbudzić Kremmera. Po chwili wszyscy stali przy oknie pokoju szeregowego.

Kapitan przypatrywał się Niemcom przez lornetkę.

– Niewielki oddział, sześćoosobowy, szare mundury i naszywki z literami SD.

– Mamy naszą Grupę Operacyjną – powiedział Broniek, po czym dodał z uśmiechem: – Panie kapitanie, idziemy na żniwa?

– Ostudź zapał, Zaniewski. Chwieduszko, weź Kiljana i idźcie na zwiad. Macie być czujni, zrozumiano?

– Tak jest.

– Obejdźcie wioskę dookoła, sprawdźcie, czy ten oddział nie jest liczniejszy. Jeśli was zobaczą, radźcie sobie sami, nikt nie będzie za was kantu dupy nadstawiał.

– Tak jest, panie kapitanie – powtórzył Chwieduszko i wraz z Kiljanem poszli wykonać rozkaz.

Broniek popatrzył niemalże z żalem na kapitana, wyczekując poleceń dla siebie. Po chwili Obelt spojrział na niego i dodał:

– Ty siedzisz na tyłku.

Chwilę później Kremmer zaprowadził kapitana i sierżanta na strych, gdzie wskazał niewielkie okno dachowe.

– Zacni panowie, oto najlepszy punkt obserwacyjny w całej wsi – znajdujemy się na wzniesieniu.

Gospodarz zostawił ich na moment samych, a oni usadowili się tak, by we dwóch mieć widok na Chwieduszkę i Kiljana. Ich sposób poruszania się w terenie nie budził większych zastrzeżeń Obelta, Niemcy nie powinni ich zauważyć. Co chwilę znikali za drzewami lub budynkami, głowy bez przerwy obracały im się w lewo lub w prawo, jak publice na meczu tenisowym. Gdy Kremmer wrócił, z dumą uniósł dzierzony w dłoni karabin myśliwski, jakby prezentował swoje najcenniejsze trofeum.

– Podobno to coś dobrego – powiedział zadowolony z siebie.

– Strzela pan? – rzucił Obelt, wyrывая broń z rąk starszego człowieka.

– Niestety, takowe umiejętności są dla mnie zupełną abstrakcją. Karabin należał do mojego brata, był zapalonym entuzjastą myślistwa. Jeśli mnie szanowny pan kapitan zapyta, to uważam, iż to wybitnie niegodziwy sport.

– Mosin, wzór 1891/30. Luneta PE – wtrącił młody sierżant, wbijając wzrok w karabin rosyjskiej produkcji.

– Niewykluczone – odparł Kremmer, mrużąc oczy.

Oficer zwrócił się do Bronka:

– Zaniewski, ilu zdążysz stąd zdjąć, zanim się zorientują, co jest grane?

– Ilu? Może jednego. O ile będę miał szczęście.

– Dobrze. Strzelałeś kiedyś z karabinu wyborowego albo snajperskiego?

– Kilka razy, wołę zwyczajny karabin, bez celownika optycznego.

– Trudno, bierz to. – Obelt podał mu mosina z podstawką pod lunetę oraz celownik do niego. Trafił im się bardzo niecodzienny sprzęt i grzechem było z niego nie skorzystać.

Bronek sprawdził lunetę na karabinie.

– Panie kapitanie. Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Jeśli strzelasz tak dobrze na odległość kilometra, jak stu metrów, to dobry.

– Właśnie w tym problem. Celować potrafi każdy, ale tu trzeba uwzględnić, że dolatując do celu, kula opadnie o metr, może więcej. Ponadto wiatr spowoduje jej dryft w którymś kierunku.

– Do rzeczy, sierżancie.

– Tyle wiem i umiem. Ale wiem też, że jest od groma innych czynników, których nie znam, a które wpływają na lot pocisku.

– Trudno, musisz sobie poradzić. Zostaniesz tutaj i będziesz prowadził ostrzał. Nawet jeśli nikogo nie trafisz, narobisz zamieszania. Zanim zdadzą sobie sprawę, że strzela nie żaden strzelec wyborowy, tylko cipa, my dawno ich dopadniemy.

– Tak jest – odparł Zaniewski z uśmiechem. Przyłożył oko do lunety, obserwując niemiecki oddział. Uważał, by nie wystawić lufy za okiennice.

Zauważył, że Chwieduszko i Kiljan wracają. Nie uszło to także uwadze Obelta.

– Póki co, obserwuj. Idę na dół, przyślę później kogoś z rozkazami. Bądź gotowy – powiedział kapitan, po czym spojrzał wymownie na Kremmera i ruchem ręki zasugerował, by do niego dołączył.

W sieni Chwieduszko złożył dowódcy raport:

– Sześciu odpoczywa przed domami. Czterech łązi na południe od wioski. Kolejnych pięciu jest na północ od niej.

– Zbyt wielu. Czekamy – zdecydował Obelt.

Bronek odłożył karabin, zdjął lunetę i obserwował przez nią, co robią Niemcy. „Jeśli teraz zdecydują się sprawdzić dworek, nie pochodzimy już długo po tej ziemi” – pomyślał i przypomniał sobie list Maniury. Poklepał się po kieszeni munduru. Wcześniej obiecał sobie „choćby skały srały, a mury pękały, dostarczę to jego matce”. W tej chwili nie był pewien, czy mu się uda.

Nagle sześciuosobowa einsatzgruppe stanęła na baczność. Czterech pozostałych zmierzało w ich stronę. Wyciągnęli ręce w hitlerowskim pozdrowieniu.

Z ust jednego padły jakieś rozkazy. Z tej odległości warszawiak nie mógł stwierdzić, co mówią.

Podzielili się na dwie grupy. Jedna weszła do niewielkiego domu po lewej, a druga do

większego domu na wprost. Zaniewski miał doskonały widok na oba budynki, żałował tylko, że nie wie, co się dzieje w ich środku.

Zastukał trzy razy w podłogę, dając umówiony znak, że Niemcy zmienili pozycję.

Obelt i Chwieduszko wbiegli na strych. Kiljan stał po drugiej stronie dworku, starając się wypatrzeć pięcioosobową grupę znajdującą się na północ od wsi, bo jakiś czas temu stracili ich z oczu.

– Raportuj – powiedział kapitan, a Bronek zrelacjonował to, co zobaczył.

Po chwili nawet bez lunety można było ujrzeć preludium dramatu, jaki miał rozegrać się w wiosce.

ZACHODNIE MAZOWSZE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Staszek i Maria z przerażeniem obserwowali Holzera. Po teatralnym ziewnięciu i przeciągnięciu się, znalazł się na celownikach żołnierzy Wehrmachtu. Patrząc na nich, zmarszczył nos i uniósł górną wargę.

– *Heil Hitler* – powiedział nienagannym niemieckim.

Sprawił wrażenie pewnego siebie, zupełnie niezaskoczonego obecnością uzbrojonych ludzi. Jego zachowanie nie zdradzało nawet cienia strachu.

– Zidentyfikować się – powiedział jeden z żołnierzy.

– Fabio Wendt, „Neue Stimme”. Pokazałbym dokumenty, ale trzymacie mnie na muszce.

Niemcy zauważyli Staszka, który starał się wyjrzeć zza drzwi.

– Wychodzić! – krzyknął jeden z nich.

– O, a to mój kompan, Gottwin Stöxen. Jesteśmy austriackimi dziennikarzami. W środku jest jeszcze nasza koleżanka. – Holzer zwrócił wzrok w kierunku stodoły i powiedział: – Gino, weź ze sobą nasze dokumenty.

– *Heil Hitler* – odezwał się Zaniewski. Również i jemu udało się zachować stoicki spokój.

Maria wyszła ze stodoły, trzymając w ręku dokumenty. Na pierwszy rzut oka widać było, że jest zdenerwowana. Żołnierze wzięli papiery i zaczęli je studiować. Jeden utkwiał wzrok w dziewczynie.

– Co pani taka nerwowa?

Nie odpowiedziała. Wyciągnęła papierosa z paczki Staszka i zapaliła.

– Odpowiadać!

Popatrzyła na niemieckiego żołnierza, a w jej wzroku było widać pretensję.

– Jestem nerwowa, bo nie podoba mi się takie zachowanie Wehrmachtu.

Jeden z Niemców uniósł karabin. Drugi położył mu rękę na barku.

– Jesteśmy tutaj z rozkazu Ministerstwa Propagandy, Oświecenia Narodowego i Informacji Rzeszy. Nie mam zamiaru znosić traktowania nas jak jakichś polskich świń.

Żołnierz przeglądający dokumenty oddał je Holzerowi. Najwyraźniej był tutaj najwyższym stopniem, choć jego wiek świadczył o tym, że nie znajduje się nawet w korpusie podoficerów.

– W porządku. Musieliśmy sprawdzić. Dokąd się kierujecie?

– Na zachód. Zanim wrócimy do Austrii, chcemy zrobić materiał o naszych wojskach rozbijających w pył polską armię.

Niemcy wydawali się usatysfakcjonowani.

– To może jakiś mały reportażyk o nas? – zapytał jeden z nich.

– Interesują nas reportaże wojenne. A tutaj wojny już nie ma, Rzesza opanowała te terytoria. Ale ustawcie się o tam. – Maria wskazała palcem przewrócony wóz drabiniasty.

– Fabio, weź aparat. Zrobimy parę ujęć bohaterom Rzeszy. Niech panowie podniosą karabiny w geście triumfu. Dobrze, dobrze. Świetnie! A teraz niech panowie udają, że strzelają do bandy polskich szczurów.

Po wykonaniu kilkunastu zdjęć, żołnierze pożegnali się i odmaszerowali.

Staszek odetchnął, a Holzer popatrzył na niego mrużąc oczy i powiedział:

– Fart, że trafił nam się oddział młokosów. Gdyby choć trochę zainteresowali się naszym kolegą Stöxenem, byłoby po nas.

– Co proponujesz? Mam się nauczyć niemieckiego w kilka dni?

– Nie wiem. Może powiemy, że tak nas wkurwiałeś swoją paplaniną, chłopcze, że upierdoliliśmy ci język. A ty będziesz po prostu milczał.

– Holzer. – Zaniewski popatrzył na niego spode łba. – Jeśli zatrzyma nas jakiś rozgarnięty żołnierz Wehrmachtu, Gestapo czy innego sapa, tak czy inaczej będziemy skończeni.

– Hę?

– Zastanów się. Mówisz po niemiecku, ale bez jakiegoś konkretnego akcentu. Tak samo Marysia. A z której strony by nie patrzeć na nasze dokumenty, pochodzimy z okolic Innsbrucku i tam też pracujemy. Nie przyszło ci do głowy, że tam mówią trochę inaczej?

– A tam, o to się nie martw. Żeby o tym pomyśleć, ten ktoś musiałby być rozgarnięty ponad przeciętną.

– O tym właśnie mówię. – Staszek uśmiechnął się, a Holzer dopiero po chwili zrozumiał, o co mu chodzi.

Zaniewski podszedł do ukochanej i przytulił ją. Po czym mrugnął do niej okiem, zabrał jej papierosa i się zaciągnął.

– Jak możesz być takim cholernym stoikiem? Hajlhitlernąłeś z takim spokojem... a gdyby ten żołnierz zapytał cię, która jest godzina, rozdziawiłbyś usta i patrzył w niebo.

– Gdybym umiał cokolwiek po niemiecku, stresowałbym się, czy dobrze to wymawiam. A tak mam spokój, martwić musicie się wy.

– Barani łeb – stwierdziła Maria i zmierzwiła mu włosy.

– Zbierajcie dupy – odezwał się Holzer, zakręcając butelkę wódki.

Szli dalej na zachód. Nad ich głowami od czasu do czasu przelatywały samoloty. W oddali rozbrzmiewały wybuchy, jednak lekko dosłyszalne.

W pewnym momencie dostrzegli kobietę ślaniającą się na nogach, która z trudem stawiała kroki i powoli zmierzała w ich kierunku. Nie widziała ich. Holzer stanął, wyciągając pistolet, a Staszek i Maria podbiegli do kobiety, która oparła się o przydrożne drzewo.

– Co pani jest? – zapytała Maria, a Zaniewski złapał nieznajomą, kiedy straciła równowagę,

i ułożył ją na trawie.

– Nic, nic... Ja tylko... proszę mnie nie krzywdzić.

Miała około trzydziestu pięciu lat, rozczochrane blond włosy i liczne siniaki na twarzy. Omiatała niebo niewidzącym wzrokiem.

– Musimy uciekać. Niemcy... – powiedziała.

– Gdzie są? – zapytał Staszek.

– Za mną.

Młodzieniec zawołał Holzera i kazał, by pomógł mu podnieść kobietę. Bandyta niechętnie się zgodził, po czym, prowadząc ją, odbili od drogi na południe. Sądziła, że skoro Niemcy nadciągają z zachodu, w ten sposób zjedną niebezpieczeństwu z drogi.

Po przejściu kilku kilometrów ze Staszka i Holzera łączyła się strumienie potu. Znaleźli się na środku rozległego pola rzepaku. Maria na chwilę przestała myśleć o kobiecie i wojsku niemieckim, rozkoszując się widokiem ciągnącego się niemalże po horyzont dywanu żółtych roślin. „Jak kapusta może być tak piękna?” – pomyślała.

Ułożyli nieznaną na ziemi, umieszczając pod jej głową torbę z pieniędzmi. W pierwszej chwili Holzer zaproponował, ale Staszek zauważył, że półprzytomna kobieta raczej nie ograbi go z fortuny. Dali jej trochę wody i obmyli twarz, a Zaniewski zmierzył jej puls.

Doszła do siebie dopiero go godzinie.

– Dziękuję. Naprawdę byli tuż za mną.

– Jak się pani nazywa? – zapytał młodzieniec.

– Basia. Basia Ibielska.

– Miło mi w chuj – odparł Holzer, po czym odwrócił się i odszedł kawałek. Wyglądał na zdenerwowanego, że urządzili tak długi postój.

Basia patrzyła na jego oddalające się plecy i wydawała się zdezorientowana. Narzeczeni usiedli przy niej.

– Proszę się nim nie przejmować – powiedziała, uśmiechając się, Maria. – Co się pani stało?

– Uratowaliście mi życie, to możemy chyba przejść na ty – niepewnie odwzajemniła uśmiech.

Basia zamknęła oczy i wzięła głęboki oddech. Otworzyła je i, marszcząc brwi, rzekła:

– Uciekłam z Wrześni. Razem z mężem. Bomby spadły na nas pierwszego września. Niedługo potem pojawili się niemieccy żołnierze. Myśleliśmy, że uda się nam przedostać na wschód, że tam będziemy bezpieczni – przerwała i znów zamknęła oczy.

Patrzyli na nią, zdając sobie sprawę, że odczuwany przez nią ból fizyczny jest i tak mniejszy od psychicznego. Po chwili mówiła dalej:

– Szliśmy z grupą innych ludzi. Po dwóch dniach dogonili nas Niemcy. To była masakra – znów przerwała, a oni jej nie poganiali. Holzer najwyraźniej przysłuchiwał się relacji Basi, gdyż odwrócił się i zrobił w jej kierunku kilka kroków.

– Udało nam się z mężem uciec. Ale przez wiele dni nie mieliśmy ani wody, ani jedzenia. Kiedy tylko kogoś spotkaliśmy, pomagał nam. W końcu przyjęło nas pewne małżeństwo w jednej z wsi, do której trafiliśmy. Byli bardzo mili i...

– Do rzeczy kobieto – ostro ponaglił ją siłacz.

Narzeczeni popatrzyli na niego z dezaprobatą, ale nie zdążyli nic powiedzieć, gdyż Basia

kontynuowała:

– Obserwowaliśmy stamtąd, jak drogą przechodzą Niemcy. Potworny widok. Te wszystkie czołgi, tylu ludzi. I tylko po to, żeby nas zniszczyć. Szarańcza.

Staszek pokiwał głową.

– Kiedy nas minęli, do wsi weszły jakieś mniejsze oddziały. Zaczęli wyrzucać ludzi z domów i zabierać zapasy. Kiedy wtargnęli do domu, w którym się znajdowaliśmy, mój mąż, Janek, próbował ich zatrzymać i krzyknął do mnie, żebym uciekała. Nie wiem, co się z nim stało.

– Nad czym się tu zastanawiać? Dostał kulę w łeb – powiedział Holzer.

Staszek wstał i podszedł do niego, po czym powiedział cicho:

– Słuchaj...

– Dobra, dobra. Potrafię sobie dopowiedzieć resztę twojego kazania, chłopcze.

– Chyba jednak nie. – Młodzieniec podwinął rękawy.

– Ooo, chłoptaś chce mi wymierzyć karę? – zapytał rozbawiony bandyta i pociągnął nosem.

– Nie, zwyczajnie mi gorąco – Zaniewski uśmiechnął się i odwrócił. Był zadowolony, że udało mu się opanować chęć przywalenia temu parszywcowi w nos.

Nagle poczuł ból w tyle głowy. Zrobiło mu się ciemno przed oczami. Usłyszał jeszcze krzyk Marii, dochodzący jakby zza ściany. Nie mógł odróżnić poszczególnych słów. Upadł twarzą w rzepak.

POŁUDNIOWA CZĘŚĆ WOJEWÓDZTWA POZNAŃSKIEGO, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Oberleutnant Ernst Heinle siedział w prowizorycznej kwaterze oficerskiej. Obecni byli tam wszyscy oficerowie prócz ich zwierzchnika, kapitana Leitnera. Nigdy zresztą nie pojawiał się na spotkaniach towarzyskich.

Ernst razem z dwójką innych grał od kilku godzin w karty, popijając wódkę i paląc ogromne ilości papierosów. Gdyby ktoś wszedł teraz do tego pomieszczenia, miałby trudności z przebicciem się przez ścianę dymu. Heinle przegrał ostatnią partię i rzucił kartami o podłogę, po czym odezwał się:

– Powinniśmy ich wszystkich zabić. Żadna polska świnia nie podniosłaby już w tym mieście swojej brudnej ręki na Niemca.

– Daj spokój, Ernst. Nie możemy zabijać każdego, kto krzywo na nas popatrzy – rzekł jeden ze współgraczy.

– No, wsadzilibyśmy kij w mrowisko – dodał drugi.

– Chyba w chlew – zauważył Heinle.

Zapalił kolejnego papierosa. Stłumił odruch wymiotny. Czuł, jak głowa kiwa mu się nieznacznie w przód i w tył.

– Niech was chuj – powiedział z trudem.

– Lepiej ciebie! – krzyknął, śmiejąc się, jeden z towarzyszy, a drugi dodał:

– Tylko dwóch z tych ludzi, których przyprowadziłeś na dziedziniec, próbowało podłożyć ogień. Wiem, bo widziałem. Skąd wzięłeś resztę?

– Połąziłem po domach. Zgarnąłem tych, co wyglądali na Żydów. Ten Katner, którego zlikwidował hauptmann... – Heinlemu opadły powieki, a broda powędrowała w kierunku klatki piersiowej. – No?

– ...był jednym ze znaleźnych – zdołał dopowiedzieć, delikatnie podnosząc głowę.

Cała trójka się roześmiała.

Christian Leitner obserwował zachód słońca, następnie wrócił do kwatery, zdjął mundur i powiesił go starannie w szafie, by nie spowodować żadnych zagięć materiału. Ściągnął zegarek i ułożył go na szafce nocnej, po czym poprawił, gdyż stwierdził, że nie leży równolegle do jej krawędzi. Uzupełnił papierośnicę papierosami marki Salem Gold i położył się do łóżka.

Wszystko w jego życiu musiało mieć swoje miejsce. „Konsekwencja i porządek to podstawy sprawnego funkcjonowania” – tak zwykł pouczać swojego syna. Próbował wpoić mu zasady, którymi powinien się kierować cywilizowany człowiek. Kiedyś na dobranoc opowiedział mu bajkę o jaskiniowcach, którzy po powrocie do jaskini rzucili wszystkie swoje rzeczy, gdzie popadło. Potem kreślił słowami krótką drogę ewolucji człowieka i malował w umyśle chłopca wizję człowieka ubranego w biały garnitur, który, wracając wieczorem do domu po pracy, odkłada wszystko na swoje miejsce. Takimi opowiastkami Leitner wyrabiał w synu poczucie porządku i pełnej konsekwencji.

Owe bajki były dużym uproszczeniem jego filozofii życiowej, niemniej uznał, że od czegoś trzeba zacząć edukację syna.

Kiedy zamknął oczy, ujrzał twarz człowieka, którego niedawno pozbawił życia na dziedzińcu ratusza. Katner. Będzie pamiętał to nazwisko do końca życia. Wiedział, że zrobił to, co nakazywały zasady prowadzenia zwycięskiej kampanii wojskowej. „Trzeba działać zdecydowanie lokalnie, jeśli chce się odnieść zwycięstwo globalnie. Jeśli stosuje się pobłażliwość wobec elementów dywersyjnych, te będą się mnożyć i działać w coraz większej opozycji do nowych władz”.

Nie mógł sobie na to pozwolić, miał w tym mieście utrzymać porządek. *Ordnung* – pomyślał, po czym zasnął.

Wstał wcześniej, a pierwszą jego myślą było postanowienie wybrania się na kilkukilometrowy bieg po okolicznych lasach. Po chwili skarcił sam siebie: „Zaczynasz czuć tu się zbyt bezpiecznie”.

Udał się do biura. Po wejściu przywitał wzrokiem wiszący na ścianie wizerunek Adolfa Hitlera, a potem zasiadł za biurkiem. Zaczął przeglądać mapy, starając się przewidzieć postępy niemieckich wojsk.

Około południa rozbrzmiał telefon stojący na biurku. Kapitan ożywił się – wiedział, że to musiało być coś ważnego.

Podniósł słuchawkę.

– Hauptmann Christian Leitner.

– *Heil Hitler*. Stabsfeldfel Uwe Dehmel.

– *Heil Hitler*. Słucham.

– *Herr hauptmann*, przekazuję bezpośredni rozkaz od dowództwa Ósmej Armii: bezzwłocznie

udać się w kierunku Kutna i w okolicach Ozorkowa wzmocnić zachodnią flankę 30. Dywizji Piechoty.

Leitner zastanawiał się przez chwilę.

– Bez pisemnego potwierdzenia?

– To dyspozycja o najwyższym priorytecie od samego generała Blaskowitza. Nie ma czasu na odpowiednie dokumenty, nic więcej nie wiem.

– Rozumiem. Proszę przekazać, że wyruszymy za godzinę.

Nie tracąc czasu, Christian wezwał oficerów i wydał odpowiednie rozkazy. Dzięki porządkowi, jaki narzucił swoim oddziałom, byli gotowi do wymarszu w rekordowo szybkim czasie.

Ruszyli zgodnie z planem dowódcy, kierując się w stronę Kalisza. Zarówno oddziałowi Leitnera, jak i innym ściągającym z okolicy, zorganizowano transport pociągiem po niezniszczonych w tym rejonie trasach kolejowych.

Dokładnie studiując wieści z frontu, hauptmann wiedział, że nie dojadą daleko. Pamiętał, że nieco dalej na zachodzie tory zostały wysadzone przez niemieckie oddziały, które bohatersko wdzierały się w głąb Polski.

Na drodze nie napotkali nawet resztek polskich oddziałów. Cały zachód dawnej Polski należał teraz do Rzeszy.

BENIOWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bronek obserwował, jak członkowie einsatzgruppe wywlekają rodziny z ich domów. Był tak wstrząśnięty, że gdyby za jego plecami nie stał Obelt, puściłby się biegiem w stronę Niemców.

Mocniej złapał karabin i zaczął przesuwać palec w kierunku spustu...

– Spokojnie, sierżancie – rozległ się cichy głos kapitana.

Zaniewski zignorował rozkaz. Zaczął mierzyć do celu. Nie potrafił ocenić siły wiatru, więc skupił wzrok na liściach drzew. Dzięki temu dowiedział się, że pocisk zniesie dość mocno na prawo. Ale nie miał pojęcia jak bardzo.

– Sierżancie – głośniejszym głosem powtórzył oficer i dotknął ramienia podkomendnego.

Bronek nadał nie odpowiadał. Jeden z Niemców uderzył w twarz jakiegoś mężczyzny, który upadł na ziemię.

– Strzelaj, jeśli chcesz nas wszystkich zabić – powiedział Obelt. – Ale i tak nie pomożesz tym ludziom. Niemcy zabiją najpierw ich, a potem nas. Albo w odwrotnej kolejności.

– Ściągnę trzech. Pan, Chwieduszko i Kiljan ustawicie się za budynkami na...

– Zaniewski, masz nasrane we łbie – wtrącił się Chwieduszko. – Jest ich dziesięciu, a nas trzech. Z czego Kiljan narobi w spodnie, zanim odda strzał. Za wsią kręci się następnych pięciu, a nie wiemy czy w pobliżu nie ma innych.

Zaniewski odsunął głowę od lunety i spojrzał na Obelta. Ten kiwnął głową, potwierdzając słowa chorążego, po czym stwierdził:

– W dodatku nie sądzę, by poruszali się piętnastoosobowymi oddziałami. Piętnastka to zbyt wielu jak na samodzielną jednostkę do zadań specjalnych. Bardziej prawdopodobne, że

patrzemy na dziesiątkę tworzącą cały jeden oddział. A pozostała piątka, którą widzieliśmy wcześniej, należy do innego. Jeśli tak jest, mamy do czynienia z co najmniej dwudziestką ludzi.

Bronek zacisnął zęby i cofnął palec z powrotem na kabłąk spustowy.

– Co teraz? Będziemy po prostu patrzeć, jak ich wyrzną w pień? – spytał.

– Musimy czekać. Jeśli nadarzy się okazja, zaatakujemy.

Obelt zrobił pauzę, po czym mówił dalej:

– Sierzancie, o niczym teraz nie marzę tak bardzo, jak o skopaniu dupy kilku Niemcom. Ale zrobimy to tylko wtedy, jeśli będzie ku temu sposobność.

– Tak jest, panie kapitanie.

Do pokoju na strychu wszedł Kiljan.

– Melduję, że ci z ejn.. ajn.. z tej grupy operacyjnej znikli za wzniesieniem i nie pojawili się od dłuższego czasu. Niedaleko stoi samochód wojskowy. Może w środku zostawili jakiś sprzęt.

– Co to za raport, szeregowy? – powiedział Chwieduszko.

Roman Kiljan popatrzył na niego niepewnym wzrokiem.

– Tak się możesz zwracać do jednej z krów, które chodziły we wsi. Najlepiej do tej, która cię wysrała na świat.

– Chorąży, wystarczy – powiedział Obelt groźnym tonem. Chwieduszko momentalnie zamilkł. Stwierdził, że przedobrzył, ale sytuacja była napięta i wszystkim puszczały nerwy.

Często w takich okolicznościach zdarzało mu się przekraczać granicę, dlatego nawet jeśli nawiązywał jakieś przyjaźnie, nie trwały one długo. Po pewnym czasie zaniechał prób zjednywania sobie ludzi. Zdawał sobie sprawę, że w całej kompanii Obelta nie było osoby, która darzyłaby go sympatią.

A najgorszy był ten cholerny sierżant, który zachowywał się tak, jak gdyby był już oficerem. A na pewno nim zostanie, nie tylko ludzie z kompanii wieszcyli mu szybki awans. Nawet Chwieduszko zdawał sobie sprawę, że Zaniewski posiada prawie wszystkie cechy, które powinny charakteryzować dobrego oficera. O ile wcześniej nabierze rozumu.

Mimo to myślał o sierżancie z zawiścią. Ten chłopak niedługo przeskoczy go o kilka stopni, podczas gdy on służy w wojsku od wielu lat i jest bardziej doświadczony. Kiedyś będzie musiał słuchać rozkazów tego nerwusa i kobieciarza, szczyła w gorącej wodzie kąpanego.

Do pierwszego spięcia między nimi doszło podczas pobytu kompanii na poligonie garnizonowym w Obozie Ćwiczeń w Baranowiczach, na wschód od Białegostoku. Chwieduszko był zadowolony, że kompania została tam ulokowana. O Baranowiczach mówiło się jako o „małej Warszawie”, nie bez powodu zresztą, jak się szybko przekonał. Gdzie nie pójść, napotykało się na jakąś kawiarnię, a życie kulturalne kwitło dzięki kilku kinematografom, wielu księgarniom oraz nadającej od roku rozgłośni radiowej.

Przy ulicy Szosowej znajdowała się kawiarnia „Szaja”, do której chadzali podoficerowie. Chwieduszko był wtedy aspirantem, dopiero później został chorążym. Zazwyczaj siadywał sam przy stoliku, rzadko zamawiając coś innego niż kawa lub herbata.

Inni pili tam na umór, o ile dostali przepustkę. A Zaniewski, ze względu na dobre układy jego ojca z dowódcą garnizonu, dostawał przepustki znacznie częściej niż Chwieduszko.

Warszawiak często zabierał do „Szai” tego grubawego żołnierza o zabawnym nazwisku, który

niebawem irytował Chwieduszkę. Była to jednakże irytacja połączona z pewną dozą sympatii. W przypadku Zaniewskiego było inaczej: Chwieduszko nie odczuwał do niego nawet grama pozytywnych uczuć.

W „Szai” pracowała kelnerka, która od razu wpadła Chwieduszcze w oko. Nazywała się Aniela Błahoś. Była śliczną, dwudziestoletnią dziewczyną o długich, rudych włosach, których nie wiązała i pozwalała im opadać swobodnie na ramiona i plecy. Miała wyraźne zarysowane kości policzkowe i uśmiech, który rozbrajał wszystkich żołnierzy przesiadujących w knajpie. Niektórzy przychodzili tam tylko po to, by zamienić z nią kilka słów.

Aspirant długie kilka tygodni rozmyślał, jakimi słowami się do niej odezwać. Odrzucił wszystkie sztampowe zwroty. W końcu zdobył się na odwagę. Poczekał, aż podejdzie, aby przyjąć od niego zamówienie.

– Kawki czy herbatki dla aspiranta? – spytała, a wschodnie zaciąganie dodawało jej tylko uroku. Zazwyczaj starała się przy turystach operować neutralną polszczyzną, ale nie zawsze z powodzeniem.

– Może dzisiaj dla odmiany to ja pani coś zaproponuję po pracy?

– Po pracy to ja idę pieszkami do domu. Może mnie odprowadzić.

– O, bardzo chętnie. – Chwieduszko zmieszał się, nie wiedząc, co dalej powiedzieć.

– Już mnie gadano, że aspirant na mnie łypie co wieczór prawie. Nie ma się co wstydzić.

– Ach tak, dobrze... To ja poproszę tę herbatkę.

– No. Eto wsio?

– Tak, wszystko, dziękuję.

Mimo początkowego sukcesu, za jaki uznał odprowadzenie Anieli do domu, później niewiele zmieniło się w ich relacjach. Za to przesiadując w „Szai”, aspirant zauważył, że kelnerka często kieruje swój wzrok ku innej osobie.

„Ten cholerny Zaniewski. Kiedyś mu przypierdolę tak, że nie wstanie” – myślał wtedy Chwieduszko.

Warszawiakowi, mimo że chadzał do kawiarni w towarzystwie Maniury, który to grubasek skutecznie odstraszał kobiety, często udawało się wyjść z lokalu w towarzystwie jakiejś dziewczyny. I za każdym razem była to inna pannica. Aniela patrzyła wtedy za nim niewesołym wzrokiem, co doprowadzało Chwieduszkę do szewskiej pasji.

Stojąc teraz na strychu, Chwieduszko popatrzył na Bronka, który jeszcze przed chwilą gotów był oddać strzał, który oznaczałby dla nich śmierć.

„Cholerny furia, niemal nas pozabijał” – pomyślał chorąży.

ZACHODNIE MAZOWSZE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Maria spoglądała z niepokojem na Staszka, kiedy wstał i skierował się w stronę Holzera. Chciała go powstrzymać, kiedy podwijał rękawy, ale zaraz stwierdziła, że za dobrze go zna, by sądzić, że naprawdę rozpocznie bójkę. Mimo to odetchnęła, kiedy zobaczyła, że narzeczony odwraca się od Holzera i z uśmiechem zaczyna iść w jej stronę.

W tym momencie bandyta wymierzył mu potężny cios w potylicę. Młodzieniec upadł.

– Ty skurwysynu! Gnido! – Podbiegła do Staszka, ciskając kolejnymi inwektywami w stronę Holzera. – Gdzie twój honor?!

Obróciła narzeczonego na plecy. Potrząsnął delikatnie głową i otworzył oczy.

– Co się...

– To się stało chłopcze, że mnie się nie grozi. Przetraw tę lekcję pokory. I wysraj z niej jakieś wnioski.

Maria rzuciła się na Holzera i uderzyła go zamkniętymi pięściami w pierś. Nic sobie z tego nie robił. Złapał ją za nadgarstki i przyciągnął do siebie. Tak mocno śmierdział alkoholem i starym potem, zrobiło się jej się niedobrze.

– Zajmij się lepiej swoim chłoptasem.

Puścił jej ręce i odszedł kilkanaście kroków, po czym usiadł pośród rzepaku, zwrócony do niej plecami. Wyjął butelkę wódki i zaczął opróżniać ją szybciej, niż powinien. Dziewczyna chwilę stała w miejscu, po czym wróciła do Staszka, który już wstał.

– Nawet po Holzerze bym się nie spodziewał, że uderzy bezbronnego człowieka od tyłu.

– Co?! – krzyknęła.

– Powiedziałem, że...

– Wiem, co powiedziałeś! A nie powinienesz nic mówić, tylko pobiec do tego gnoja i odpłacić mu dokładnie tym samym!

– Marysiu...

– Nie marysiuj! Czy ty nie masz żadnych męskich odruchów?! – Obróciła się na pięcie i podeszła do Basi.

Staszek wyciągnął paczkę silesii, zapalił i popatrzył na ciągnącego wódkę Holzera. Tak, chciał mu oddać, również dlatego, że czuł, iż stracił w oczach ukochanej jako mężczyzna. Ale rozum nakazywał mu wstrzymanie się. Do odpowiedniej chwili. Mógł zaatakować bandytę teraz, kiedy ten był odwrócony tyłem – ale to byłoby niehonorowe. Mógłby też wyzwać go na pojedynek twarzą w twarz – ale nie miał żadnych szans, Holzer był trzy razy potężniejszy i na pewno obity w walce na pięści. Staszek musiał czekać. Zdawał sobie sprawę, że jego chłodna analiza najprawdopodobniej doprowadziłyby Marię do szewskiej pasji.

Podszedł do Holzera i usiadł obok. Siłacz popatrzył na niego i wyciągnął w jego kierunku butelkę wódki. Staszek ani drgnął.

– Boli łepetyna?

Nie odpowiedział.

– Szybko doszedłeś do siebie po tym ciosie.

Bandyta znów nie uzyskał odpowiedzi. Siadając z butelką tyłem do Staszka, sądził, że ten bez wahania wykorzysta okazję i zechce mu oddać, tymczasem chłopak usiadł obok i przyjął strategię traktowania go jak powietrze. „Co siedzi w głowie tego gnojka?” – pomyślał Holzer.

Basia, zaniepokojona całą sytuacją, zapytała Marię, jak czuje się Staszek i kim jest człowiek, który zaatakował go od tyłu. Zamiast odpowiedzi, zbyła ją nic nie znaczącą odpowiedzią i poprosiła, by Basia skończyła swoją opowieść.

– Biegłam przez wieś tak szybko, jak tylko potrafiłam. Słyszałam krzyki. Niemcy byli coraz

bliżej – mówiąc, co chwilę zamykała oczy i nabierała powietrza. – Nie oglądałam się za siebie. W końcu poczułam na ramieniu mocny uchwyt. Ktoś rzucił mną o ziemię. Upadłam głową na pień. Nie zdążyłam dojść do siebie, kiedy obrócono mnie na plecy.

Głośno westchnęła, na jej twarzy odmalował się ból i przerażenie. Maria wzięła ją za rękę.

– Zobaczyłam obrzydliwie uśmiechniętą twarz mężczyzny. Miał dość długie włosy na wierzchołku głowy. Starannie zaczesane. Boki wygolone do skóry. Nigdy nie zapomnę tego widoku. Mówił coś po niemiecku. Usłyszałam kolejne głosy. Śmiechy. Rozerwali mi sukienkę. Próbowałam się bronić.

Zrobiła długą pauzę.

– Nie mów, jeśli nie chcesz – powiedziała Maria.

– Nie... – Basia zawiesiła głos. – Muszę. Wiesz, nie mogę spać w nocy, wszędzie widzę tego człowieka.

Zamilkła, po czym znów zaczęła mówić szybko, przyciszonym głosem.

– Uderzył mnie w twarz, żebym nie krzyczała. Kopałam go i drapałam, ale nie miałam dość siły, by go zrzucić. Zgwałcił mnie.

Maria przytuliła ją. Z twarzy Basi trudno było wyczytać jakiegokolwiek emocje. Miała obojętną minę.

– Kiedy skończył, śmiał się. Powiedział coś do innych i wskazał na mnie. Kolejnych dwóch biłam z całej siły. Inni musieli mnie przytrzymywać. Wszystko mnie bolało i krwawiłam. Im to nie przeszkadzało.

Maria zakryła oczy dłonią.

– Przy czwartym już nie protestowałam. Byłam bezradna. I właśnie tego nie mogę sobie wybaczyć.

– Przestań.

– Co powiedziała by mój mąż?

Holzer wstał, zniechęcony zupełną obojętnością Staszka. „Ten chłoptaş ma nasrane we łbie” – stwierdził, po czym podszedł do kobiet. „A te dwie zaraz się rozryczą. Za jakie, kurwa, grzechy mam ich na łbie? No, za jakie?”

– Idziemy – powiedział oschłym tonem. Gdyby wzrok Marii można było odczuć fizycznie, skuliłby się z bólu.

Po chwili wzięła Basię pod rękę i zapytała ją, czy chce iść z nimi.

– Nie mogę tam wrócić. Uważajcie na siebie – odparła tamta i zaczęła zbierać się do dalszej podróży na wschód. Maria próbowała ją zatrzymać i przekonać, że z nimi będzie bezpieczniejsza. Za to Holzer stwierdził kategorycznie, że niepotrzebna im kula u nogi. Basia pożegnała się ze Staszkiem i Marią, Holzera ominęła szerokim łukiem, po czym udała się w swoją drogę.

Dalej szli w milczeniu. Dziewczyna myślała o tym, co przydarzyło się Basi i modliła się w duchu, by jej nigdy takie bestialstwo nie spotkało. Staszek sądził, że głębokie zamyślenie Marii wynika z jego reakcji – a raczej jej braku – na cios Holzera.

Tymczasem sam Holzer po prostu szedł. W czasie długiego marszu odezwał się ledwie kilkakrotnie. Gdy zapadł zmrok, wyperswadował Marii odpoczynek. Stanowczo stwierdził, że

stracili „kupę cennego czasu na jakąś głupią Stasię”. Tym razem nie sprzeciwili się. Dalsza wędrówka zamieniła się szybko w morderczy marsz. Wszyscy byli wykończeni.

Nieustannie słyszeli wybuchy. W oddali nocne niebo przybierało co chwilę żółto-pomarańczowy kolor.

W końcu zatrzymali się w okolicach miejscowości Rychwał. Ułożyli się na łące pod gołym niebem. Maria początkowo starała otrząsać się z obchodzących jej ciało owadów, ale po chwili nie miała już siły nawet na to. Zasnęła.

WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Christian Leitner wraz ze swoją kompanią miał pieszo przemierzyć kilka kilometrów do punktu, gdzie zgodnie z planem czekał na nich transport w kierunku rzeki Bzury.

Wysłał Heinlego na przód formacji. Przede wszystkim miał dosyć swojego zastępcy, ale chciał też, aby ten przepatrywał teren, bo w okolicy wciąż mogli znajdować się polscy żołnierze, których nie dosięgło ostrze pierwszego niemieckiego ataku.

Poza tym kapitan przypuszczał, że pobliskie tereny roją się od cywili, którzy gotowi są rzucić się w ich kierunku z kosami lub czymkolwiek, co mogłoby posłużyć jako narzędzie w desperackiej walce.

W oddali zauważył kilka postaci, które chwiejnym krokiem zbliżały się w ich stronę. Nakazał kompanii stanąć i bez zdziwienia odnotował, że idący przodem Heinle nie zauważył jeszcze osób zdążających dokładnie na wprost nich. Oberleutnant stał zdezorientowany na przedzie i rozglądał się na wszystkie strony, nie wiedząc, dlaczego dowódca zarządził postój.

Christian podszedł do niego.

– Poruczniku, pójdzie pan sprawdzić, co to za ludzie. – Wskazał mu kierunek.

– Tak jest.

Po upływie piętnastu minut Heinle wrócił w towarzystwie trzech żołnierzy. Leitner już z oddali widział, że noszą mundury Wehrmachtu.

Kiedy stanęli przed nim, prostując się i wykonując gest hitlerowskiego pozdrowienia, zapytał ich o powód obecności tutaj oraz dlaczego oddalają się od linii frontu.

– *Herr hauptmann*, te polskie świnię przegoniły nas znad Bzury.

– Co takiego?!

– Proszę zapytać dowódcę plutonu, jedzie transportem zaraz za nami.

– Dokąd się kierujecie?

– Do punktu sanitarnego, dwa kilometry na północny zachód stąd.

– Rozumiem. Kto jest waszym dowódcą?

– Leutnant Marvin Rodemeyer.

Christian uśmiechnął się, prezentując śnieżnobiałe zęby. Podwładni popatrzyli na niego zdumieni. Rzadko widzieli, by kapitan się uśmiechał.

Leitner dobrze znał podporucznika Marvina Rodemeyera. Poznali się podczas studiów, jeszcze za czasów istnienia Republiki Weimarskiej, kilka lat przed powstaniem Rzeszy Wielkoniemieckiej. Studiowali filozofię na uniwersytecie we Frankfurcie nad Menem, który od

1932 roku nosił imię Johanna Wolfganga Goethego, wybitnego poety i pisarza związanego z miastem.

Christian zrezygnował po roku i zaciągnął się do wojska. Miał już wyższe wykształcenie, a poszedł na filozofię tylko z zamiłowania. Z kolei powodem jego odejścia z instytutu była ostra sprzeczka z jednym z wykładowców. Młody Leitner bez ogródek artykułował swoje specyficzne, nacjonalistyczne poglądy, natomiast większość kadry naukowej na uniwersytecie identyfikowała się ze światopoglądem lewicowym. Podczas wykładu z historii filozofii politycznej, Christian stwierdził, że Niemcy jako kraj mają wszelkie predyspozycje, by zjednoczyć pod własnym przywództwem całą Europę. Dodał, że jeśli jest to niemożliwe na drodze pokojowej, powinna dokonać tego armia.

Takie sformułowania w początkach istnienia Republiki Weimarskiej były na uniwersytecie o lewicowym charakterze nie do przyjęcia. Na mocy traktatu wersalskiego Niemcy obowiązywała demilitaryzacja. Ograniczała ona do niezbędnego minimum liczebność wojska, a w niektórych rejonach w ogóle zakazywała jego stacjonowania. Leitner uważał traktat za splunięcie na godność Rzeszy, dlatego później, w 1936 roku, przepełniała go duma, kiedy Adolf Hitler wprowadził niemieckich żołnierzy na tereny zdemilitaryzowanej Nadrenii.

A wracając do czasów frankfurckich: wywiązała się ostra kłótnia między Christianem a profesorem, po której Leitner wstał z miejsca i bez słowa opuścił salę. Jego noga więcej nie stanęła na schodach gmachu uczelni.

Tymczasem Marvin Rodemeyer ukończył studia z wyróżnieniem i dopiero wtedy poszedł w ślady przyjaciela, zaciągając się do wojska. Ale nie miał tam łatwo, bo w prawicowym środowisku, w którym obracał się Leitner, mówiło się otwarcie, że Rodemeyer jest „przyjacielem” Żydów.

Christianowi taka opinia nie przeszkadzała, zresztą nie uważał jej za prawdziwą. Jeszcze w czasach studenckich mieszkał u Rodemeyerów i przyjaźnił się z nimi. Nigdy też nie słyszał, by z jakąś szczególną sympatią wypowiadali się o Żydach. Z racji tej przyjaźni Leitner zaczął być przez swoje środowisko źle postrzegany, nie podejmował się tym jednak i nawet nie zdążył odbyć męskiej rozmowy na ten temat ze znajomymi, gdyż niedługo potem opuścił Frankfurt.

Leutnant Marvin Rodemeyer, idąc w kierunku kompanii Leitnera, już z daleka rozpoznał przyjaciela. Nienaganna fryzura, jakby wprost od jednego z najlepszych stylistów w Berlinie. Idealnie wyprostowana sylwetka. Głowa lekko uniesiona. Kamienny wyraz twarzy. „Przecież to Leiner”.

„Leiner” było mało przyjemnym przezwiskiem, które przyłgnęło do Leitnera podczas jego rocznej przygody ze studiami filozoficznymi. „Leiner” oznaczało „samotny rodzic”, a znajomi nadali mu je, gdyż twierdzili, że jeśli kiedykolwiek znajdzie się dziewczyna na tyle głupia, by wydać na świat jego potomstwo, zaraz potem i tak go porzuci. Mało kto akceptował trudny charakter Leitnera, który na dodatek rzadko się uśmiechał i we wszystkim przejawiał denerwującą stanowczość.

Rodemeyer popatrzył na przyjaciela, nie mogąc powstrzymać uśmiechu. Spojrzał też na jego naramiennik.

– *Heil Hitler*, hauptmann Christian Leitner – powiedział.

– *Heil Hitler*, Marvin. Nadal leutnant? – odparł przyjaznym głosem Leitner.

– Chyba umrę jako podporucznik. – Rodemeyer nadal się uśmiechał, najwyraźniej brak awansu nie był dla niego dokuczliwy.

BENIOWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bronek masował czoło, przyglądając się, jak grupa hitlerowców odzianych w szare mundury gromadzi w centrum wsi kilka rodzin. Wszyscy esesmani byli młodzi i wyglądali niemalże identycznie, jakby zostali dobrani tylko ze względu na swoje cechy fizyczne.

Oddzielili mężczyzn od kobiet i dzieci, po czym ustawili ich pod jednym z ceglanych budynków.

Kobiety płakały, większość dzieci nie wiedziała, co się dzieje. Kiedy jedna z matek starała się zasłonić oczy swojemu dziecku, natychmiast podszedł któryś z żołnierzy i brutalnie odepchnął rękę niewiasty, grożąc, że następnym razem je odetnie.

Niemcy podchodzili po kolei do każdego z mężczyzn ustawionych pod murem i grozili im bronią, wykrzykując prosto w twarz obraźliwe słowa. Polaków było dziesięciu, najstarszy miał około pięćdziesiątki, najmłodszy dwudziestki. Stali prosto i odchylali do tyłu głowy przed lufami, które członkowie einsatzgruppe trzymali tuż przed ich twarzami. Jeśli któryś ze schwytanych zamknął oczy, zaraz dostawał cios w głowę.

Pojawił się biegnący w ich kierunku ksiądz. Kiedy mijał jeden z domów, któryś z Niemców wysunął lufę karabinu wprost pod nogi duchownego, który upadając rozbił głowę o kamień. Bezwładnie przetoczył się jeszcze dwa metry.

Pozostali żołnierze z nieukrywaną dezaprobatą spojrzeli na esesmana, który spowodował upadek duchownego. Najwyraźniej mieli wobec księdza inne plany. Stojący w środku wsi Polacy przeżegnali się, po czym zaczęli odmawiać modlitwę. Obrazek upadającego przewodnika duchowego ich wspólnoty wstrząsnął nimi bardziej niż wisząca nad nimi samymi groźba śmierci.

Widząc, co się dzieje, Niemcy wpadli we wściekłość. Wystarczyło kilka ciosów, by kobiety umilkły i tylko cicho płakały. Esesmani dłużej okładali stojących pod ścianą mężczyzn, choć i ci szybko zaprzestali głośnych modlitw.

Członkowie einsatzgruppe śmiali się i co chwilę wskazywali palcami na kogoś z jeńców, po czym wybierali jednego spośród siebie, jakby bawili się w jakąś grę. Związali wszystkich mężczyzn i kazali im usiąść pod ścianą. Trzech żołnierzy celowało do nich z karabinów.

Reszta podeszła do niewiast i dzieci. Kobiety umierały szybką śmiercią – od strzału w głowę. Kiedy upadło ciało pierwszej, małe dziecko rzuciło się w jego stronę i zaczęło delikatnie potrząsać ręką matki. Inna niewiasta podniosła i przytuliła malca, sama zanosząc się płaczem. Najbliższy Niemiec strzelił jej w kolano. Upadła, a wraz z nią dziecko. Esesman podszedł i z całej siły uderzył kolbą karabinu w głowę malucha, roztrzaskując czaszkę.

Mężczyźni krzyczeli z wściekłości, próbując wyswobodzić się ze sznurów. Nie zważali na wycelowane w siebie lufy. Jednemu z nich po ciosie w twarz wypadło z ust kilka połamanych zębów. Nie przestał wydawać przepęnlonych nienawiścią jęków.

Padło kilka strzałów, kiedy innemu z mężczyzn udało się przerwać więzy i zaczął biec w kierunku kobiet.

Bronek poderwał się na równe nogi, chcąc pobiec tym ludziom na ratunek. Siłą zatrzymali go Obelt i Chwieduszko. Kiedy zaś Niemcy zastrzelili małe dziecko, które próbowało zbudzić swoją nieżywą matkę, Kiljan zwymiotował na podłogę.

– Idziemy – w końcu martwym głosem powiedział Obelt. Nawet w najczarniejszych przypuszczeniach nie zakładał, że esesmani będą zdolni do czegoś takiego.

Chwieduszko popatrzył na niego pytającym wzrokiem, Kiljan wydawał się bardziej przerażony niż wcześniej, tylko Zaniewski od razu skierował się do wyjścia, ściskając karabin.

– Czekaj – rzucił w jego stronę oficer. – Zrobimy to z głową.

– Tak jest, panie kapitanie.

– Kiljan, powiadom Kremmera, żeby poszedł odpalić samochód Niemców i pogazował nim, jak daleko się da. Niech narobi huku, muszą słyszeć, że ktoś kradnie im wóz. Chorąży Chwieduszko, ustawicie się z Kiljanem w pobliżu środka wsi i pozostaniecie w ukryciu. Macie powystrzelać do nogi tych Niemców, pobiegną sprawdzić, co się dzieje z ich samochodem.

Obelt popatrzył na Bronka.

– Zaniewski, weźmiesz to... – wskazał na karabin z lunetą. Wydawanie dalszych rozkazów przerwał Obeltowi dźwięk wystrzału z pistoletu.

Obrócili głowy w stronę okna. Jeden z członków einsatzgruppe zastrzelił jednego z mężczyzn. Wyglądało na to, że przyłożył mu lufę pistoletu do oka, bo teraz na głowie ofiary znajdowała się wielka dziura. Niemcy wyglądali na rozbawionych.

– Chorąży, ruszać się, już! – Obelt wydał rozkaz rozpoczęcia akcji, patrząc na Chwieduszkę ponaglającym wzrokiem.

Kiedy Chwieduszko i Kiljan udali się po Kremmera, kapitan zaczął pospiesznie zbierać swój sprzęt.

– Zaniewski, zostaniesz tutaj i będziesz zdejmował jednego gnoja za drugim. Ja zajmę pozycję w tym budynku na prawo. Dźwięk silnika będzie sygnałem. Minutę po nim rozpoczniesz ostrzał, jasne?

– Tak jest.

Obelt spojrzał Bronkowi prosto w oczy i zobaczył, że maluje się w nich zwierzęce pragnienie krwi. „Dobrze, tego nam teraz trzeba. Trochę twojego szaleństwa, furiacie” – pomyślał oficer. Gdy schodził, usłyszał jeszcze:

– Panie kapitanie.

– Co jest, sierżancie?

– Chcę ich zabić wszystkich.

Obelt nie odwrócił się. Uniósł tylko prawy kącik ust w ponurym grymasie.

Bronek wybrał pierwszą ofiarę. Wysoki chłopak, który wcześniej roztrzaskał głowę maluchowi. Warszawiak postanowił celować w klatkę piersiową. Nigdy nie strzelał na tak duży dystans, więc wolał nie mierzyć w tak mały cel jak głowa. Poza tym strzał w głowę od razu położyłby esesmana trupem, a Zaniewski chciał, by Niemiec długo cierpiał, nim zapuka do bram piekła.

Mieszkańcy Beniowej, którzy zostali wywleczeni ze swych domów na pewną śmierć, stracili

już całą nadzieję. Umilkły prośby o litość, pełne nienawiści okrzyki i przeraźliwy płacz dzieci. Zapadła przejmująca cisza.

Powietrze rozdarł ryk silnika. Głośne rżenie świadczyło o tym, że Kremmer przyłożył się do swojej roli. Następna minuta była najdłuższą w życiu Bronka. Co rusz spoglądał na zegarek, obawiając się, że sekundnik się zaciął.

W oddali usłyszał wystrzały. „Chwieduszek” – pomyślał. Zaraz potem minuta dobiegła końca.

Nie musiał przymierzać. Cały czas miał cel w obiektywie lunety. Wiedział też dokładnie, gdzie skieruje lufę po oddaniu strzału do wysokiego chłopaka.

Wystrzelił. Esesmanowi rozerwało brzuch, a wnętrzności rozbryznęły się wokół.

– Zdychaj w męczarniach! – krzyknął Broniek, bez przerwy celując i strzelając. Zabił aż trzech żołnierzy, zanim ci zorientowali się, co się dzieje i z której strony padają strzały. Jego atak był nadspodziewanie zabójczy.

Skośna ściana strychu w mgnieniu oka zamieniła się w ser szwajcarski. Jeden z niemieckich pocisków musnął ramię Bronka, ale tylko zadrasnął skórę. Zaniewski rzucił się na podłogę i przetoczył kawałek. Ogień nie ustawał.

Zbiegł na piętro dworku, cały czas dzierżąc karabin z lunetą. W kaburze przy pasie miał też nieodłącznego kompana, ukochanego visa, a w kieszeniach dwa granaty zaczepne wzór 24. Były wykonane z cienkiej blachy, więc po wybuchu siały metalowymi odłamkami na wszystkie strony.

Słyszał, że w kierunku strychu nadal padają niemieckie strzały, przeszywając szczyt dworku. „Dobrze. Walcie, gdzie mnie już nie ma” – pomyślał.

Wyjrzał ostrożnie z okna na piętrze i zauważył, że dwóch Niemców stoi pod wejściem do domu, w którym ulokował się Obelt. Nie zastanawiając się długo, cisnął w ich stronę granat. Schował się i usłyszał wybuch. Wyjrzał. Drzwi chaty były roztrzaskane na drobne kawałki, runął też kawałek ściany. Zauważył powykręcane ciało jednego z Niemców. Drugiego nie było. „Zdażył się schronić w budynku, skurwieli”.

Puścił się pędem w dół, na parter. Znów usłyszał salwę. Szkło posypało się z kilku okien na piętrze dworku. „Cały czas jestem o krok przed wami”.

Zanim postawił nogę na parterze, wyjrzał znad krawędzi schodów, aby ocenić, czy dowódca Niemców wysłał tutaj ludzi. Stwierdził, że jest czysto.

Zszedł i ruszył w kierunku bocznych drzwi. Miał zamiar wyjść w miejscu, gdzie nikt nie powinien się go spodziewać, a potem naokoło podejść do pozostałych Niemców.

Wyszedł z dworku i puścił się pędem we wcześniej obranym kierunku. Spojrzał zza jednej z chałup na miejsce, gdzie przed chwilą doszło do masakry mieszkańców. Nie zauważył żadnych żywych Niemców. Połowa składu ich oddziału leżała martwa, a dwóch znajdowało się w przedśionku śmierci. Wydawali ciche jęki.

Ostrożnie przeszedł pod budynek, w którym miał znajdować się Obelt. Odgarnął trochę gruzu i udało mu się wejść do środka. Z góry dobiegły go odgłosy szamotaniny. Najszybciej jak mógł ruszył wąskimi, drewnianymi schodkami na strych chałupy.

Zobaczył Obelta przyciskanego do podłogi przez Niemca. Esesmanowi właśnie udało się unieruchomić jedną rękę oficera pod swoim kolaniem. Broniek zauważył, że napastnik krwawi

z oczodołu – prawdopodobnie kapitan próbował wydłubać mu oko. Niemiec, jedną ręką przytrzymując nadgarstek kapitana pod swoją nogą, drugą wyjął sztylet o czarnej rękojeści ozdobionej runami SS.

Bronek wypalił z visa wprost w tył głowy Niemca.

Kiedy spotkali się z Chwieduszką i Kiljanem u wejścia do budynku, który został zniszczony granatem Zaniewskiego, szybko policzyli trupy wrogów. Nikt z członków einsatzgruppe nie zdołał uciec.

Kapitan utykał. Nie ukrywał, że lewa noga bardzo go boli. Dostał postrzał od jednego z Niemców, kiedy tuż po szaleńczej kanonadzie Bronka sam zabił dwóch żołnierzy SS. Chwieduszko i Kiljan nie odnieśli żadnych obrażeń. Z ich relacji wynikało, że zaczęli się w krzakach i czekali na Niemców wysłanych sprawdzić, co się dzieje z samochodem. Kremmer zrobił, co do niego należało. Kiedy zobaczył biegnących w kierunku wozu dwóch esesmanów, wrzucił wsteczny i odjechał. Niemcy byli tak zaskoczeni kradzieżą samochodu, że nie zauważyli zaczajonych polskich żołnierzy. Chwieduszko od razu celnym strzałem pozbawił życia swoją ofiarę, a Kiljan trafił swoją w klatkę piersiową. Mężczyzna w szarym mundurze umierał dość długo.

– Sierzancie, ty psychopato – powiedział Chwieduszko, kiedy Bronek zdał relację, że zabił pięciu wrogów. W głosie chorążego brzmiał nieukrywany podziw.

Obelt rozkazał zająć się mieszkańcami wioski, którym udało się przeżyć, a potem zebrać ciała Niemców. Gdy skończyli, wysłał Kiljana na obchód okolicy, żeby sprawdził, czy czegoś nie przeoczyli. Młody szeregowy, powłócząc nogami i klnąc pod nosem, udał się na zachód. „Pewnie, wszyscy teraz odpoczywają i palą niemieckie fajki, ale ty, Kiljan, zapierdzielaj na obchód, bo może jakiś szkop się ostał. Cudnie jak cholera” – pomyślał i westchnął. Gdy jednak opuścił Beniową i przeszedł kilkaset metrów nieutwardzoną drogą, nagle zamarł. Jego oczom ukazała się niewielka ciężarówka Opla z czarną plandeką. Szeregowy przez moment się zastanawiał, omiatając zdezorientowanym wzrokiem wóz zaparkowany pod lasem, po czym potrząsnął głową i puścił się biegiem z powrotem do Beniowej.

– Panie kapitanie! – krzyknął, kiedy zobaczył Obelta zajętego rozmową z Kremmerem. Stali przed wzniesieniem, na którym znajdował się dworek i obaj dzierżyli w dłoniach wypchnione szlachetnym trunkiem szklanice z grubego szkła.

– Co jest, szeregowy? – zapytał Obelt.

– Znalazłem jakiś niemiecki wóz, stoi pod lasem – odparł Kiljan, a Obelt momentalnie wsadził Kremmerowi w rękę swoją szklanę, po czym zakomenderował, by młody szeregowy natychmiast zaprowadził go w to miejsce.

Powoli, ostrożnie i z wyciągniętą bronią obeszlili opła, choć Obelt nie sądził, by ktokolwiek się w nim ukrywał. Jego wyliczenia liczebności einsatzgruppe były precyzyjne, jednak nie zaszkodziło się upewnić.

– Stań z boku i odsłoń plandekę – rozkazał dowódca.

– Tak jest – odparł Kiljan i ostrożnie ustawił się w wyznaczonym miejscu, podczas gdy kapitan stanął na wprost samochodu i wycelował swoją broń. Nie było jednak potrzeby oddania strzału – na pacy opła nie było żywej duszy. Za to znajdował się tam propagandowy arsenał.

– Co do cholery... – zaczął Obelt, opuszczając broń. Podpierając się o skraj naczepy, wskoczył

do środka. Znajdowały się tam liczne zwinięte transparenty, cała gama galowych mundurów oraz charakterystyczne, czerwone flagi przedstawiające swastyki w białych okręgach.

– Co to jest, panie kapitanie?

– Hitlerowskie zabawki – burknął Obelt, podnosząc jeden z transparentów. Mimo nieznajomości języka, mógł stwierdzić, że ich przesłanie jest jedno – Rzesza weszła na tereny polskie, a ludność miast i wsi ochoczo wita swojego nowego wodza.

– Zaczynj to pakować – dodał, wskazując na elegancko skrojone czarne mundury. – Przyślę ci zaraz do pomocy Zaniewskiego, a potem zanieście to na strych w dworku.

– A co z resztą tego szmelcu?

– Puścić z dymem – oznajmił kapitan, po czym energicznie wyskoczył z naczepy.

Po wykonaniu rozkazów dowódcy, Bronek stał przed dworkiem w towarzystwie Chwieduszki, paląc zdobyczne papierosy. Wprawdzie Kremmer zdobył dla nich we wsi machorkę, ale własnoręcznie skręcane gnieciuchy przegrywały na starcie z dobrym niemieckim tytoniem. Musieli palić na zewnątrz, bo gospodarz stanowczo zakazał im „uskuteczniania tego ohydneho i ordynarnego nałogu” we własnym domu.

Przez dłuższy czas nie odzywali się.

– Myślałem ostatnio o Baranowiczach – powiedział w końcu Chwieduszko.

– Ta? – odparł Zaniewski, zaskoczony melancholijnym tonem głosu chorążego.

– Zastanawiam się, co tam się teraz dzieje.

– Pewnie nic wielkiego. Życie toczy się jak zawsze, a w „Szai” nadal chleją na umór.

– Może i tak. W końcu to daleko od frontu.

Warszawiak zgasił papierosa i poszedł do swojego pokoju. Przez pół nocy nie mógł zasnąć, myśląc o Anieli.

OKOLICE RYCHWAŁA, WIELKOPOLSKA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Maria Herensztad poczuła na twarzy coś mokrego. Półprzytomnie potarła to miejsce ręką i starała się spać dalej. Po chwili jednak poczuła, że jej czoło znów jest mokre.

Kiedy otworzyła oczy, ujrzała niebo całkowicie zasłonięte ciemnymi chmurami. Padał lekki deszcz.

Był chłodny, wrześniowy ranek. Kątem oka zauważyła, że Holzer przechadza się po łące paląc papierosa, a Staszek dopiero podnosi się z trawy.

– Nie ma to jak zostać obudzonym przez deszcz – powiedział na powitanie.

Wstała i kilkakrotnie przejechała dłonią po jego mokrych włosach. Wyszła z tego niecodzienna fryzura.

– No, teraz wyglądasz jak przystało na zmokłą kurę... A raczej koguta.

Pocałowała go czule, po wczorajszym krótkim śpięciu nie było już śladu.

Stanęła na nogi, sycząc z bólu. Nie mogła już doliczyć się warstw odcisków, które ciągle od nowa robiły się na stopach. Mięśnie też odmawiały posłuszeństwa, mimo to poprzedniego dnia

przeszli prawie czterdzieści kilometrów. Taki nieprzerwany, morderczy wysiłek sprawił, że Maria nie mogła bez bólu zrobić jednego kroku.

Popatrzyła na narzeczonego:

– Staszek, dziś nie dam rady daleko zejść.

Kazał jej ściągnąć buty. Zaoponowała, ale zdołał ją przekonać. Kiedy zdejmowała lewy but, zawyla z bólu. Aż Holzer odwrócił się w jej stronę.

Staszek ostrożnie ściągnął jej skarpetkę i dotknął małej gułki na stopie. Jęknęła.

– Co to jest? – zapytała.

Zmarszczył czoło i chwilę się zastanawiał.

– Wygląda, że masz ganglion.

– Że co?

– Torbiel galaretowata.

– Niebezpieczne to?

– Nie, ale powoduje przykre objawy. Jak dotkliwy ból.

Popatrzył na Holzera i powiedział:

– Podaj apteczkę z mojej torby.

Deszcz padał dalej, choć nie był uciążliwy. Każde z nich w duchu było zadowolone z kropel świeżego deszczu, które spadały na ich niemyte od kilku dni ciała.

Zaniewski wyjął z apteczki igłę i strzykawkę.

– Nakłuję to teraz i odessę płyn, nie powinno boleć.

Wymierzył igłą w guzek wielkości fasolki. Maria nic nie poczuła, a po chwili po torbieli pozostał tylko nadmiar skóry. Narzeczonego wytarł jej stopę, obandażował i ostrożnie włożył do buta. Delikatnie zawiązał sznurowadła, by nie powodować nadmiernego ucisku. Dla pewności, sprawdził również jej drugą stopę, z ulgą zauważając, że wszystko z nią w porządku.

– Ale to nie rozwiązuje problemu. Twoja noga nadaje się tylko do leczenia.

– Ty cały nadajesz się do leczenia, a jakoś nie wysyłam cię do lekarza.

Holzer się uśmiechnął, choć trwało to najwyżej ułamek sekundy, po czym zapytał:

– Możesz iść?

– Kategorycznie nie. Ganglion świadczy o tym, że przeciążyła ścięgna. Musi jakiś czas odpocząć – odparł Staszek.

– Daj mi godzinę, a będę śmigać jak gazela po sawannie.

– Nie ma mowy.

Chłopak poszedł odłożyć apteczkę, a Holzer udał się za nim.

– Ile musi odpoczywać?

Zaniewski nie odpowiedział. Potężny mężczyzna odczekał chwilę i gdy stwierdził, że nie otrzyma odpowiedzi, rzekł:

– Chcesz się zachowywać jak przedszkolaczek, to się zachowuj. Ale jeśli ona nie może chodzić, to mamy poważny problem. Będziemy tu siedzieć jak kaczkę i czekać, aż upoluje nas jakiś niemiecki patrol.

Nadał nie słyszał odpowiedzi.

– Groźna jest ta gangrena?

– Ganglion. Nie.

Staszek odwrócił się i odszedł w kierunku narzeczonej.

Przenieśli dziewczynę pod pobliskie drzewo, by osłonić ją przed deszczem, który padał coraz mocniej. Narzeczoną z troską wygodnie ją ułożył.

– Mogę już chodzić – powiedziała, przyjmując stanowczy ton.

– Chyba na rękach. Na pewno nie na tej nodze.

– Już nie boli – skłamała.

– Marysiu, to co miałaś na stopie, mogło być odczynem zwyrodnieniowym pochewek...

– Ahaaa. Co jeszcze mi powiesz?

Pokręcił głową.

– Że naprawdę powinnaś odpocząć. Chociaż parę godzin.

Niechętnie na to przystała, ale po trzech godzinach wstała i, kuśtykając, zebrała swoje rzeczy.

– Towarzyszu, w drogę! – krzyknęła do Staszka. Holzer zmarszczył nos.

Ruszyli.

Przejście kilku kilometrów zabrało im dwa razy więcej czasu niż zwykle. Holzer nie omieszkał kilkakrotnie wyrazić swojego niezadowolenia. Jak zawsze, wybierali mniej uczęszczane trasy, przecinając lasy i pola. Po pewnym czasie stwierdzili jednak, że nie wiedzą, gdzie się znajdują.

Skręcili na zachód, bo przypuszczali, że właśnie tam znajduje się główna droga.

Błądzili jeszcze pół godziny, nim wreszcie ją znaleźli. Wyszli wprost na grupę dwudziestu ludzi.

– Kurwa, znowu uciekinierzy – mruknął Holzer.

– A ty kim jesteś? – zapytała Maria. – Po prostu idziesz w innym kierunku.

Popatrzył na nią i pokręcił głową.

Grupa idąca z zachodu urządziła właśnie postój. Dwóch starszych mężczyzn siedziało nad mapą, a kilku chłopców zaglądało im zza pleców.

Maria zaczęła pewną kobietę, która stała na uboczu. Dowiedziała się od niej, że Niemcy są zarówno na zachodzie, jak na północy i wschodzie. Nieznajoma jeszcze wczoraj słuchała w radiu komunikatów, więc Staszek zapytał:

– A wie pani, co z Warszawą?

– Okrążona, tyle wiem na pewno. Podobno Niemcy już zajęli niektóre dzielnice.

Maria zacisnęła pięści.

– Ale niedaleko stąd, gdzieś w okolicach Sochaczewa, nasi zmiażdżyli niemiecką zarazę! – dodała kobieta głosem przepełnionym dumą. Kilka osób stojących nieopodal pokiwało ochoczo głowami.

Ich entuzjazm nie udzielił się Staszce. Jak wynikało z informacji, które zebrali od momentu opuszczenia Warszawy, Polska powinna przestać istnieć w ciągu kilku dni.

WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Christian patrzył na swojego dawnego przyjaciela. Marvin był ranny w nogę, musiał podpierać się karabinem niczym kulą. Na jego twarzy widniała zaschnięta krew. Jednak najbardziej rzucał się w oczy stan jego munduru – zabrudzonego w stopniu niegodnym oficera.

Odeszli kilka kroków od maszerujących żołnierzy.

– Co tam się stało, Marvin?

– Zepchnęli nas na południe. Uderzyło kilka dywizji piechoty, osłanianej na prawej i lewej flance przez kawalerię.

– Kto dowodził?

– Polakami?

– Nie, naszymi oddziałami.

– Blaskowitz.

– Była tam tylko Ósma Armia?

– Nie, jeszcze Dziesiąta. W każdym razie ściągnęliśmy posiłki ze wschodu, które już podchodziły pod Warszawę. Nie wiem, kto nimi dowodził. A co ty robisz tak daleko od frontu?

– Dostałem rozkaz, żeby siedzieć w Rawistchu.

– Co? W jakim celu?

– Pytaj mnie, a ja ciebie, możemy tak do nocy. Nie mam pojęcia, nie kwestionuję rozkazów.

– Cały Leiner – skonstatował Rodemeyer, a Christian zbył milczeniem przezwisko ze studenckich czasów.

Rozmawiali jeszcze chwilę, gdy nagle usłyszeli wołanie radiotelegrafisty:

– Hauptmann Leitner! Szukać kapitana Leitnera! Niech ktoś znajdzie kapitana!

Rodemeyer chciał już popędzić, mimo rany, w kierunku radiotelegrafisty, ale spojrzał na Leitnera i stwierdził, że byłoby niestosownie, gdyby porucznik wyprzedził kapitana. „No tak, stary Leiner. Choćby się pod nim paliło, będzie stąpał powoli i spokojnie” – pomyślał.

Kiedy telegrafista dostrzegł dowódcę, podbiegł do niego i zrelacjonował, sapiąc:

– *Herr hauptmann*, nowe rozkazy z dowództwa. Mamy zostać na obecnej pozycji.

Leitner wydawał się niewzruszony, choć się w nim gotowało. Nie dość, że w pierwszym dniu wojny ktoś postanowił, że ma siedzieć w mieście oddalonym od frontu, to kiedy wreszcie zaczął się do niego zbliżać, został zatrzymany.

– Pisemne potwierdzenie?

– Tak, w poczcie polowej.

– Podali powód? – zapytał spokojnie.

– Tak. W rejon walk wysłano Luftwaffe. Przerwano bombardowania na innych terenach działań. Z Sochaczewa kierowane jest kontrnatarcie.

– Rozumiem.

Christian usiadł na pniu drzewa i odłożył swojego mausera z celownikiem optycznym. Rodemeyer z zazdrością popatrzył na broń.

– Niezła luneta.

- Spełnia swoją rolę.
- Co teraz, panie kapitanie?
- Z tego, co pamiętam, miałeś iść do punktu sanitarnego. Ja czekam na potwierdzenie rozkazu i dalsze wytyczne.
- Chciałbyś tam być, co?
- Idę tam, gdzie wysyła mnie dowództwo. Moim zadaniem nie jest zastanawianie, czy to dobry kierunek.
- Tak, tak, Leiner. – Uśmiechnął się Marvin. – Słyszałem, że nasza prasa pisze o tym, co się dzieje pod Sochaczewem jako o „największej bitwie wszech czasów”.
- Dziennikarze przesadzają.
- Muszą, jakoś trzeba przyciągnąć czytelnika. Ale wydaje mi się, że podczas tej kampanii większej już nie stoczymy.
- Możliwe, opór Polaków słabnie.
- *Herr hauptmann!* – znów rozległ się krzyk radiotelegrafisty. Tym razem Rodemeyer odniósł wrażenie, że żołnierz zdarł sobie gardło. Biegł przy tym, ile miał sił w nogach.
- Nowe rozkazy? – spytał Christian.
- Panie kapitanie... – żołnierz dyszał bardziej, niż poprzednio. Twarz miał czerwoną. – Rosjanie weszli do Polski od wschodu!

BENIOWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Bronek obudził się z jedną myślą: największym problemem mężczyzn nie jest wojna, tylko kobiety. Od momentu kiedy bombowiec Luftwaffe przeleciał nad ich głowami, siejąc zniszczenie, niemal każdą noc zdrowo przesypiał. Wczoraj zaś pozbawił życia pięciu ludzi, nie czuł jednak wyrzutów sumienia.

Wystarczyło tylko, by Chwieduszek wspomniał słowem o Baranowiczach, a Bronek pogrążył się w myślach o Anieli. I w nocy nie mógł zmrzyć oka. Doszło nawet do tego, że złamał zakaz palenia wydany przez Kremmera i, otworzywszy okno, palił w swoim pokoju, by jakoś dojść do siebie.

Przypominał sobie pamiętny wieczór w kawiarni „Szaja”, kiedy coś zaiskrzyło między nim a Anielą. Miesiąc później musiał opuścić Baranowicze, gdyż „Kompania Bełtowa” – jak mawiali o niej inni żołnierze, miała udać się na polsko-łotewską granicę w okolice Brasławia.

- Piwka sierżantowi? – zapytała Aniela.
 - Hmm. Może dziś coś poważniejszego, z okazji awansu na starszego sierżanta.
 - Niech się już tak nie chwali na lewo i prawo – powiedział z uśmiechem Maniura.
 - To niech okaże szacunek wyższemu stopniem – odparł, śmiejąc się, Bronek.
 - Wódkie?
 - Poprosimy. O ile siądziesz z nami.
- Popatrzyła na Zaniewskiego i bez słowa oddaliła się na zaplecze.

– Szefie, ja została zaproszona do stolika. Mogę sionść na pietnaście minut? – spytała właściciela „Szai”, Janusza.

– Ech... A porządnny?

– Dla mnie przystojny, tyle na razie wiem.

– Bronek, tak? Nachomtoli, nachomtoli i tyle będzie. Ale niech idzie, jak musi. Pietnaście minut.

Aniela wybiegła z zaplecza, ale przekraczając próg sali zwolniła kroku, wzięła do ręki butelkę wódki, nalała do trzech kieliszków i zaniósła je do stolika.

– To jak, usiądziesz? – zapytał Bronek.

– A usiende – odparła.

Rozmawiali przez godzinę. Janusz spoglądał na nich co chwilę. Początkowo chciał podejść do stolika i kulturalnie przeprosić podoficera, po czym zaserwować Anieli poważną reprimendę na zapleczu, ale kiedy popatrzył na nich, zauważył, że są tak pochłonięci rozmową, że nie zdają sobie sprawy nawet z obecności przy stoliku jakiegoś pulchnego żołnierza. Co dopiero z upływu czasu. Patrzyli sobie głęboko w oczy i co chwilę się śmiali. Stwierdził, że dawno nie widział Anieli tak szczęśliwej, więc postanowił, że na ten wieczór da jej wolne.

Maniura opróżnił więcej kieliszków wódki, niż dyktował to zdrowy rozsądek. Czując, że jego głowa stopniowo zbliża się do powierzchni stołu, w pewnym momencie skrzyżował ręce na blacie i położył na nich czoło.

– Będzie rano chodził jak czumut – Aniela wskazała na Maniurę.

– Nie wiem, co to znaczy, ale pewnie tak – odpowiedział Bronek.

– Hrrmmmpfff – Wacek wydał z siebie bełkot.

– No. Idziem na berbeluche nad jezioro? – zapytała dziewczyna, odgarniając rudy kosmyk z czoła i patrząc warszawiakowi prosto w oczy.

– Na co?

– Na berbeluche.

– Yyy... No dobra.

– Wino – wyjaśniła, na co Bronek się roześmiał i kiwnął głową. Przed wyjściem upewnił się, że jeden z żołnierzy odprowadzi Maniurę do obozu.

Po wyjściu z „Szai” skierowali się do sklepu po butelkę wina. A potem poszli nad Jezioro Żłobińskie.

Nagle Aniela popchnęła Bronka w przydrożne krzaki i powiedziała stanowczym głosem:

– Kitraj się.

Zdezorientowany, stwierdził w duchu, że przecież nie powiedział nic obraźliwego, by dziewczyna obrzucała go przekleństwami.

Zauważyła jego pytający wzrok i dodała:

– Chowaj się, no! Mój ojciec na horyzoncie!

Nie zastanawiając się dłużej, czmychnął w krzaki, skąd przysłuchiwał się rozmowie Anieli z ojcem. Zapewniła go, że wyszła się przewietrzyć i właśnie wraca do kawiarni. zaproponował, że ją odprowadzi. Zgodziła się, a kiedy Bronek wyjrzał ze swej kryjówki, zobaczył tylko jej

oddalające się plecy.

Czekał pół godziny, prawie kompletnie trzeźwiejąc. W końcu zjawiała się zdyszana i wyjaśniła, że spieszyła się jak mogła, ale najpierw musiała odesłać ojca do domu i wytłumaczyć szefowi, czemu ciągle pojawia się i znika.

Tego wieczoru spędzili ze sobą prawie sześć godzin, które upłynęły na nieustającej rozmowie. Aniela często „przełączała się” na polszczyznę znaną Bronkowi, ale wtedy od razu namawiał ją, by mówiła po kresowiacku. W końcu jedyne lekcje w życiu, które go interesowały, dotyczyły nauki języków obcych. I tylko w tym zakresie mógł poszczycić się jakimikolwiek osiągnięciami.

Opanował angielski, niemiecki i francuski. Próbował też nauczyć się hiszpańskiego i norweskiego, ale mimo usilnych poszukiwań matki nie udało jej się odnaleźć w bibliotekach wystarczających materiałów. Rodzina i znajomi uważali go za kompletnego nieuka i osobę bez potencjału umysłowego... w przeciwieństwie do młodszego brata – Staszka. Prawda była taka, że Bronka nauka zwyczajnie nie interesowała. Z wyjątkiem języków.

Cały wieczór czekał na odpowiedni moment, by spróbować pocałować Anielę. Pod koniec spotkania nachylił się, by wyszeptać jej coś do ucha i powędrował ustami w kierunku jej ust.

Odsunęła się gwałtownie ze śmiechem i powiedziała:

– Ot, jaki namolny! – Uderzyła się otwartą dłonią po kolanie i zaserwowała żołnierzowi zniewalający uśmiech.

Uniósł wzrok w geście niewinności.

– I zaraz mi się tu jeszcze rozeszpili.

– Co znowu zrobię?

– Rozbierzesz się, ech.

Nie okazał niezadowolenia, więc także resztę wieczoru spędzili w miłej atmosferze. Potem odprowadził ją prawie pod dom. Odprawiła go, kiedy znów spróbował ją pocałować. Cmoknęła go w policzek na do widzenia i poleciła:

– Zaleci jutro do „Szai”.

– Pewnie, dobranoc.

TERENY MIĘDZY WARTĄ A PROSNĄ, WIELKOPOLSKA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Grupa uciekinierów, która zatrzymała się niedaleko drogi prowadzącej do Rychwała, z otwartymi rękoma przyjęła trójkę ludzi, którzy w początkach września ruszyli z Warszawy w szaleńczy marsz ku zachodniej granicy. Z zainteresowaniem wysłuchano relacji Marii z ich podróży. Kiedy skończyła mówić, sami zaczęli się przekrzykiwać, by zrelacjonować własną drogę przez mękę.

Staszek, Maria i Holzer dostali od nich skromną ilość wody i jedzenia. Zaniewskiemu udało się również zdobyć trochę antybiotyków i środków odkażających. Uciekinierzy z zachodu nie mieli wielkich zapasów, ale podzielili się z tym, czym mogli.

W pewnym momencie rozległ się cichy odgłos silników. Dochodził z oddali. Kiedy Staszek stwierdził, że nadlatuje samolot, cała grupa momentalnie rozpiezchła się po okolicy. Każdy

szukał schronienia dla siebie i najbliższych, świadom, że jeśli lotnicy wypatrzą większe zbiorowisko uciekinierów, zrzucą bomby.

Holzer wskazał na głązy znajdujące się nieopodal. Schowali się za nimi i przykryli słomą, której na okolicznych polach leżało mnóstwo. Staszek zsunął trochę słomy z twarzy, by widzieć, co się dzieje. Zauważył cztery samoloty w kluczu, lecące niczym bociany, które poszukują myszy na polu.

Na drogę wyskoczył nagle jeden z uciekinierów i zaczął wołać do pozostałych:

– Lecą z północy! Anglicy, Anglicy!

Po chwili rozległ się głos kogoś innego:

– Alianci!

Ludzie zaczęli opuszczać swoje kryjówki. Maria chciała wstać, ale Staszek pociągnął ją za rękę i nie pozwolił się ruszyć.

Jeden z samolotów wyłamał się z formacji.

Ludzie zaczęli podskakiwać i machać rękoma w jego kierunku. Obrócił się kilkakrotnie wokół własnej osi, co spowodowało jeszcze większą, powszechną radość.

Kiedy ciężki, dwusilnikowy meserszmit Bf 110 znalazł się niedaleko grupy ludzi, otworzył ogień z dwóch działek o kalibrze 20 milimetrów. Pociski bez trudu rozrywały na strzępy ciała ludzi stłoczonych w dużej grupie.

Maria skryła głowę głębiej w słomę.

Zewsząd dochodziły krzyki i potworne jęki. Dzieci krzyczały za rodzicami, by po chwili umilknąć na zawsze. Samolot wykonał jeszcze dwa kręgi, po czym wrócił do formacji, pozostawiając za sobą pole śmierci.

Holzer wstał. Popatrzawszy na odlatujące samoloty splunął, mruknął coś pod nosem i oddalił się w kierunku ciał. Staszek odczekał jeszcze chwilę, po czym wygrzebał Marię ze słomy. Sporo źdźbeł wplotło się w jej włosy. W normalnej sytuacji młodzieńca rozbawiłby ten widok, ale teraz nie było mu do śmiechu. Dziewczyna była w głębokim szoku.

Miała szeroko otwarte oczy i wbijała wzrok w chłopca, któremu kula z działka oderwała lewą rękę.

– Marysiu – Zaniewski musiał kilkakrotnie powtórzyć, nim potrząsnęła głową i zdała sobie sprawę, że przeżyli nalot. Kilka innych osób wyłaniało się z kryjówek i podchodziło do zwłok.

Starszy towarzysz narzeczonych wrócił z dwoma pistoletami.

– Znalazłem. Chodźmy stąd – oświadczył krótko.

Staszek powiedział Marii, by usiadła i postarała się uspokoić. Sam poszedł szukać tych, którzy przeżyli i mogli potrzebować pomocy. Natknął się na kobietę, która mimo że została trafiona w brzuch licznymi odłamkami, wydawała się poruszać oczami.

Sprawdził puls – było za późno. Na pomoc, na żal, na wszystko.

Postanowili wrócić do lasu, z którego wyszli na drogę. Po tym przeżyciu żadne z nich nie miało ochoty wędrować uczęszczanymi trasami. Postanowili, że nawet jeśli okolica będzie wydawała się spokojna, będą przemierzać tylko te tereny, na których Wehrmacht ani Luftwaffe nie mają czego szukać.

Weszli około kilometra w głąb lasu, by mieć pewność, że oddalili się od zagrożenia. Widzieli

wokół siebie głównie buki – drzewa o wąskich pniach z jasną korą. Gdzie nie sięgnęli wzrokiem, wszędzie było ich pełno.

Staszek i Maria usiedli pod jednym z drzew i wyciągnęli pojemnik z wodą. Holzer usadowił się naprzeciwko nich. Odezwał się jako pierwszy:

– I na tyle nasze fałszywe dokumenty są przydatne.

– Meserszmit nie pytał o tożsamość, ale żołnierze Wehrmachtu z pewnością to zrobią – odpowiedziała Maria.

Staszek ziewnął ze zmęczenia i rozprostował ręce, po czym wykonał kilka ruchów głową w przód i w tył.

W tej samej chwili usłyszeli ostrą i zdecydowaną komendę wydaną donośnym głosem:

– *Hände hoch!*

Cała trójka obróciła się jednocześnie w kierunku człowieka, który stał za nimi, celując z karabinu w ich plecy. Za nim stała dwójka innych żołnierzy Wehrmachtu.

Holzer chciał sięgnąć po sauera, ale Maria, opanowując pierwsze przerażenie, zaczęła po niemiecku:

– Jesteśmy austr...

– *Halt die Klappe!* Polska świnio, każde słowo po niemiecku w twoich brudnych ustach brzmi jak obelga.

Staszka zlał zimny pot. „Słyszeli, jak rozmawiamy po polsku”.

Holzer szybkim ruchem ręki wyjął pistolet, wypalił i zranił żołnierza w lewe ramię. Pozostali Niemcy od razu strzelili do Polaka. Trafiony w pierś, padł na ziemię. Nie ruszał się.

Żołnierze wycelowali karabiny w Staszka i Marię.

– Stop. Zabawimy się z nimi – powiedział ranny Niemiec. – Znacnie niemiecki? To dobrze: bierzcie to i kopcie sobie groby.

Maria trzęsa się ze strachu. Spojrzała na ukochanego, który wydawał się spokojny, ale może dlatego, że patrzył na ciało Holzera, a unikał wzroku żołnierzy. Może oceniał stan starego bandyty. Wiedziała jednak, że Staszek przeżywa to wszystko równie mocno, co ona sama.

Kiedy żołnierze rzucili im dwie saperki, Zaniewski popatrzył na nie, a potem spokojnie przeniósł wzrok na rannego Niemca, który najwyraźniej dowodził tą grupą.

– No już, zabierać się do kopania.

Posłuchali, ale wymienili się spojrzeniami, które dla osoby postronnej nic nie znaczyły. Dla nich jednak wyrażały mniej więcej tyle, że w chwili obecnej nie mają innego wyjścia. Muszą kopać – przynajmniej będą mieli w ręku coś, co może posłużyć za broń.

Przez pół godziny ryli w ziemi. Nie wykopali głębokich ani kształtnych dziur. Niemcom zresztą najwyraźniej nie zależało na grobach. Chcieli zwyczajnie zobaczyć, jak wyglądają ludzie, którzy sami szykują sobie miejsce wiecznego spoczynku.

– Wystarczy – powiedział dowódca i złapał dziewczynę za włosy. Cisnął nią na ziemię.

Staszek poderwał się, by ją ratować, ale poczuł cios kolbą karabinu w skroń. Starał się utrzymać na nogach, ale potężne uderzenie go powaliło.

Niemcy posadzili go pod jednym z cieńszych buków i przywiązali ręce z tyłu drzewa. Jeden trzymał go za głowę, by Polak musiał patrzeć na to, co ranny żołnierz miał zamiar zrobić

z Marią.

Rzucona z impetem na ziemię, próbowała się odczołgać. Niemiec postawił stopę na jej plecach i przycisnął do ziemi.

Podniósł ją za włosy, obrócił twarzą do góry i pocałował. Wtedy przypomniała sobie wszystko, o czym opowiadała jej Basia. Ugryzła go w dolną wargę najmocniej, jak umiała. Odsunął się, krzycząc coś po niemiecku. Uderzył ją pięścią w twarz.

Poczuła krew lejącą się z nosa. Chciała kopnąć żołnierza w krocze, ale ten złapał jej nogę. Znów się przewróciła, uderzając o ziemię tyłem głowy.

Niemiec zaczął rozpinąć rozporek. Śmiał się. Z jego dolnej wargi lała się krew, skapując po brodzie.

OKOLICE PLESZEWA, WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Mateusz Katner stał nad nim, ściskając w dłoni sztylet ociekający krwią. Uśmiechał się szyderczo. Stopą przygniatał mu bark do ziemi. Na skroni Katnera widniała dziura po kuli.

Sztylet miał czarną rękojeść z metalowym orłem trzymającym swastykę. Na górze widniał emblemat SS. Ostrze ozdobione było gotyckim napisem: *Meine Ehre heißt Treue* – „Mój honor to wierność”.

Leitner próbował się ruszyć, ale stwierdził, że Polak pozbawił go wszystkich kończyn. Pozostał z niego wyłącznie korpus i głowa. Katner zaśmiał się złowrogo i wtedy zaczęły wypadać mu zęby. Leciały na twarz Christiana niczym rześisty deszcz. Ledwo zauważył sztylet zbliżający się nieuchronnie do lewego oka. Był bezsilny, nie miał żadnej nadziei na ratunek.

Obudził się zlany potem w środku nocy. Rozejrzał się i stwierdził, że wszyscy wokół śpią. „Dobrze” – westchnął z ogromną ulgą. Nie mógł przecież okazywać słabości w obecności własnych żołnierzy.

Od chwili, kiedy w Rawitschu zamordował Mateusza Katnera, by dać przykład pozostałym dywersantom, nawiedzały go podobne sny. Określał je „koszmarami katnerowskimi”, bo był przekonany, że jeśli nada im nazwę i zaakceptuje, będzie miał nad nimi kontrolę.

Nikomemu się z nich nie zwierzał, zresztą – komu mógłby? Z żadnym spośród żołnierzy w jego kompanii nie łączyła go nawet najcieńsza nić przyjaźni.

Wrzesień 1939 roku zapamiętał nie tylko jako początek długiej wojny, którą Rzesza wkrótce musiała stoczyć z połową świata, ale także jako miesiąc, w którym zaczęły się „koszmary katnerowskie”, towarzyszące mu już do końca życia.

Był zły na siebie i swoją „podświadomość”, jak to określali modni psycholodzy. Nieustannie ćwiczył umysł, by nie zawiódł go w sytuacjach stresowych. Ale z winy tego przekłętą Polaka właśnie owa podświadomość przejmowała nad nim władzę wtedy, kiedy był najbardziej bezbronny – podczas snu.

Otarł czoło z potu i z powrotem się położył. Zасыpiając, starał się uzyskać kontrolę nad własnymi snami, przywołując obraz Lüttendorfu, swojej rodzinnej wsi. Dwa lata temu postawił tam dom – z myślą o wspólnym życiu na uboczu z żoną Johanną i synem Maximilianem. Oczywiście, kiedy zakończy służbę.

Rankiem, zanim udał się do poczty polowej, odprawił swój codzienny rytuał. Wojna nie była żadnym pretekstem, który zwalniałby go z tego obowiązku.

Wyszedł przed namiot i zrobił trzydzieści pompek, po czym sześćdziesiąt brzusków i czterdzieści przysiadów. Jeszcze kilka lat temu sekwencje były znacznie dłuższe, ale od tamtego czasu pojawiło się parę siwych włosów i lekarz zalecił Christianowi, by nie przeciążał organizmu.

Rytuał kończony był na przemian biegiem na sześć kilometrów bądź spacerem. W miarę możliwości co najmniej dwugodzinnym. Dziś wypadła dzień spaceru, Leitner stwierdził jednak, że najpierw sprawdzi nowe informacje dotyczące frontu wschodniego. Ponadto chciał dowiedzieć się czy przyszły jakieś rozkazy. Wciąż liczył na to, że jego kompania zostanie rzucona w wir walki i będzie miała okazję zapisać się na chlubnych kartach historii Rzeszy.

– *Herr hauptmann*, nie dostaliśmy nowych rozkazów.

– Rozumiem. A jak sytuacja na wschodzie?

– Mamy niepełne informacje. Rosjanie ruszyli w kierunku Wilna i Brześcia, przypuszczalnie też dalej na południe.

– Polacy?

– Mają rozkaz nie otwierania do nich ognia.

Leitner uniósł brwi w zdziwieniu.

– Rozumiem. Dziękuję.

Kiedy skończył rozmawiać z telegrafistą i udał się w kierunku naprędce zorganizowanego sztabu, spotkał Marvina Rodemeyera.

– Wiedziałeś, że Rosjanie uderzyli dwukrotnie większą liczbą samolotów i czołgów niż my? – zagadnął go.

– Gorsza strategia wymaga większego nakładu środków.

Leitner popatrzył na przyjaciela z dezaprobatą.

– Co? – zapytał Marvin.

– Przy innych żołnierzach powinieneś zwracać się do mnie, nie zapominając o randze.

Rodemeyer uśmiechnął się.

– Tak jest, *Herr hauptmann*. Proszę mi wybaczyć to *faux pas*.

– A co do Rosjan: postępują jak hieny. Czekali, aż pokonamy główne siły polskie i dopiero wtedy wkroczyli.

Usiedli na pniu, z dala od reszty żołnierzy, wymieniając uwagi na temat honoru Stalina i taktyki wojsk ZSRR. Oceniali, że Wehrmacht dotrze do Wilna prędzej niż Rosjanie, ale utrzymanie dobrych relacji z nimi będzie wymagało zapewne ustępstw terytorialnych.

– Czyli zdobędziemy całą Polskę, a potem oddamy im jej część... Jaki w tym sens, Christian?

– Realpolitik. Pragmatyzm.

– I dla Realpolitik nasi żołnierze oddają życie?

– Nie, oddają je dla wielkiej idei zjednoczenia Europy pod naszym przewodnictwem.

– Za dużo się naczytałeś o aryjskiej rasie panów.

– Przeciwnie. To nie ma nic wspólnego z jakąkolwiek rasą.

Marvin wydawał się zmieszany.

– Z czym więc?

– Rzesza jest kontynuacją cesarstwa rzymskiego. Ono zajęło cały basen Morza Śródziemnego – czyli cały ówczasnie znany świat. Dzisiejszy zaś świat pograży się prędzej czy później w zupełnym chaosie, jeśli Rzesza nie wystąpi w roli współczesnego Rzymu.

Rodemeyer był zaskoczony. Wprawdzie Christian zawsze popierał nacjonalistyczne i prawicowe poglądy, ale nigdy tak skrajne. Marvin nie podzielał ich wtedy i nie miał zamiaru podzielać teraz. Zawsze uważał Leitnera za człowieka o konserwatywnym światopoglądzie, racjonalnego, na pewno nie fanatyka. Sam wstąpił do wojska tylko po to, by uciąć plotki o prożydowskich sympatiach swojej rodziny.

– Skoro jesteśmy nowym cesarstwem rzymskim, to dlaczego nasza stolica jest w Berlinie, a nie w Rzymie? – spytał, chcąc sprowokować rozmówcę.

– Ależ nie jesteśmy tym samym. Odróżnia nas chociażby to, że Niemcy nigdy nie podzielą się na część wschodnią i zachodnią. Chodzi o ideę.

– Nie wiem czy warto umierać dla jakiegokolwiek idei.

Leitner rozważał słowa przyjaciela. Bulwersowały go tak, że miał ochotę zdzielić go kolbą karabinu po głowie, by przemówić mu do rozsądku, ale zamiast tego poradził:

– Takie opinie lepiej zachowaj dla siebie.

Christian nie lubił, gdy ktoś przerywał mu cykl jego porannego rytuału. Tego dnia zaś najpierw musiał iść do radiotelegrafisty, a potem spotkał Marvina Rodemeyera. Gdyby był to jakikolwiek inny człowiek, zbyłby go półsłówkiem i zajął się swoimi sprawami. Nie mówiąc o koniecznym wymierzeniu kary za kwestionowanie koncepcji Hitlera.

Postanowił, że kilkukilometrowy spacer odbędzie w kierunku północnym. Był bezpieczny, wszędzie aż roilo się od niemieckich żołnierzy. Ponadto wiedział, że Ernst Heinle patroluje właśnie tamte okolice. „Może uda mi się niepostrzeżenie zobaczyć, na ile sumiennie mój porucznik wykonuje rozkazy” – pomyślał, po czym zabrał manierkę z wodą i ruszył.

Był zdenerwowany zachowaniem zarówno przyjaciela, jak i swoim. Powinien zareagować bardziej stanowczo. To, że Marvin jest bliską mu osobą, nie usprawiedliwia jego niewiary w ideały Rzeszy Wielkoniemieckiej.

Po pół godzinie marszu i intensywnych rozważań, usłyszał krzyk, więc przyspieszył kroku.

BENIOWA, WRZESIEŃ 1939 ROKU

– Zacny panie kapitanie! – Kremmer pukał mocno do drzwi pokoju Obelta.

– Proszę, gospodarzu, niech pan wchodzi. To pana dom.

– A tak, tak. Ale wypada.

– Co się stało?

– Spłynęła na mnie niebywała łaska fortuny! Udało mi się odebrać sygnał radiowy.

– Co mówią? – Ożywił się oficer. Potarł nogę, w którą postrzelił go jeden z esesmanów.

– Niech szanowny pan sam posłucha. I zarządzi zbiórkę towarzyszy broni w moim gabinecie.

Po chwili żołnierze i Kremmer w pełnym skupieniu słuchali nadawanych informacji.

Gospodarz stał z poważną miną i wyglądał, jakby szczylił się tym, że wiadomości te są mu już znane. Radio co jakiś czas powtarzało ten sam przekaz:

„Armia Czerwona z pogwałceniem prawa międzynarodowego rozpoczęła niczym niesprowokowany atak na terytorium Rzeczypospolitej. Prezydent nie ogłasza stanu wojny. Warszawa i Lwów bohatercko się bronią przed niemieckim najeźdźcą”.

Spiker podawał szereg innych informacji, relacjonując działania wojenne. Dowiedzieli się między innymi, że Armia „Karpaty”, w skład której zostali wcieleni, rozpoczęła odwrót już drugiego września.

Mimo że komunikat miał podbudowywać morale słuchaczy, tak naprawdę rysował smutny obraz w umyśle kogokolwiek, kto miał pojęcie o wojnie. „To koniec. Przepadliśmy” – pomyślał Obelt i zacisnął pięść.

Po usłyszeniu informacji o ataku Rosjan, Broniek przestał dalej słuchać. Zbladł i zrobiło mu się niedobrze. Myślał z przerażeniem o wkraczających do Baranowicz żołnierzach Armii Czerwonej.

Baranowicze leżały tuż przy wschodniej granicy Polski. Na pewno były jednym z pierwszych celów Rosjan.

Przeklinał swoją bezsilność. Nie mógł nic zrobić, by obronić Anielę.

Reakcja Chwieduszki była jeszcze bardziej emocjonalna. Stał, wpatrując się martwym wzrokiem w ten sam punkt, w który patrzył przed usłyszeniem informacji o agresji ZSRR. Jego przyspieszony oddech słyszalny był w sąsiednim pokoju. Przełykał nerwowo ślinę i wyglądało na to, że zaraz padnie trupem.

Kiljan usiadł na podłodze i ranną dłonią przeczesywał włosy. Jasno zdał sobie sprawę z tego, że już nie mają dokąd iść. Nie rozumiał tylko, że na jego oczach dokonuje się kolejny rozbiór Polski.

Po zakończeniu komunikatu usłyszeli głos Edwarda Śmigłego-Rydza, najwyższego dowódcy kraju – marszałka Polski:

„Sowiety wkroczyły. Nakazuję ogólne wycofanie na Rumunię i Węgry najkrótszymi drogami. Z bolszewikami nie walczyć, chyba w razie natarcia z ich strony lub próby rozbrojenia oddziałów. Zadanie Warszawy i miast, które miały się bronić przed Niemcami – bez zmian. Miasta, do których podejść bolszewicy, powinny z nimi pertraktować w sprawie wyjścia garnizonów do Węgier lub Rumunii”.

Obelt cisnął o ścianę szklanką, którą trzymał w dłoni. Roztrzaskała się w drobny mak.

– Drogi panie! – zaoponował zdumiony gospodarz.

– Pan wybaczy, panie Kremmer.

Wybuch złości oficera sprowadził Bronka na ziemię.

– Co teraz, panie kapitanie? – spytał głosem pozbawionym jakiegokolwiek iskry i woli działania.

– Słyszałeś, Zaniewski. Mamy wycofać się na Rumunię albo Węgry.

– I nie oddać nawet jednego strzału do Rosjan? Przecież oni nas, kurwa, napadli! Oddajemy im kraj bez walki!

– No i Niemcy... – chciał wtrącić Kiljan, ale Obelt, nie zwracając na niego uwagi, odparł:

- Nie kwestionuj rozkazów marszałka Polski, sierżancie.
- Nie kwestionuję. Ja mam je w dupie.

Obelt otworzył szeroko oczy, Kiljan i Chwieduszko też popatrzyli zdziwieni na warszawiaka. Niesubordynacja wobec rozkazu oficera była niedopuszczalna. A formułowanie takich słów względem samego marszałka wiązało się z ostrymi konsekwencjami.

Dowódca sięgnął do kabury z pistoletem, co widząc Broniek szybko dodał:

– Panie kapitanie, nie po to nosimy mundury, by chować się po sąsiednich krajach, zamiast walczyć.

- Zgadzam się z nim – odezwał się Chwieduszko, ale Obelt zupełnie go zignorował.
- Zaniewski. Staniesz przed sądem polowym tak szybko, jak to możliwe. A teraz oddaj broń.
- Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić, panie kapitanie.
- Sierżancie, otrzymałeś bezpośredni rozkaz. – Oficer odpiął kaburę.
- Panowie, panowie! – wtrącił się Kremmer. – Dajmy spokój, to nie jest potrzebne.

Obeltem targały mieszane uczucia. Z jednej strony podzielał obiekcje Bronka i ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, było opuszczenie Polski i zaprzestanie obrony kraju. Z drugiej jednak strony Zaniewski otwarcie przeciwstawił się rozkazom najwyższych władz wojskowych. Sprawę dodatkowo komplikował fakt, że ten cholerny podoficer dopiero co uratował mu życie. „Same problemy z tym sukinkotem. Bije innych podoficerów, kwestionuje rozkazy” – pomyślał dowódca, choć gdyby wypowiedział te słowa na głos, nawet nieuważny słuchacz odnalazłby w nich nutę sympatii. Nagle go olśniło. Odkrył złoty środek.

– Dopóki nie dostaniemy potwierdzenia nowych rozkazów, obowiązują poprzednie o obronie kraju. Nie ma zatem podstaw, by pociągnąć sierżanta Zaniewskiego do odpowiedzialności karno-wojskowej.

Zapiął kaburę.

Wszyscy przez chwilę patrzyli zdezorientowani na Obelta. Warszawiak odetchnął.

Po wysłuchaniu audycji usiedli przy dużym stole w salonie. Kapitan rozłożył mapę i w zamyśleniu przesuwiał po niej palcem. Nikt o nic nie pytał. Broniek, Chwieduszko i Kiljan czekali, aż dowódca sam zabierze głos, a Kremmer kręcił się po pokoju z rękoma założonymi za plecami. Minęło piętnaście minut.

Obelt odchrząknął i przejechał palcem po bliźnie na twarzy, która była pamiątką po pierwszym dniu wojny. Wszyscy skupili wzrok na dowódcy.

– Musimy się uporać z dwoma problemami. Pierwszy: niedługo ktoś zauważy zniknięcie Einsatzgruppe i wyśle tutaj kolejną. Drugi: co zrobić z „niepotwierdzonym” rozkazem odwrotu.

Broniek wiedział, że kapitan przygotował już w głowie plan, który rozwiąże oba problemy. Chwieduszko w ogóle nie myślał, tylko z uwielbieniem spijał każde słowo z ust Obelta.

– Pierwszy jest o tyle poważny, że oddział, który tu dotrze i znajdzie ślady walki, wymorduje pozostałych wieśniaków. A wcześniej podda ich torturom, by ustalić, co się stało. A że to my zabiliśmy tych żołnierzy, więc i my będziemy mieć polską krew na rękach, jeśli zostawimy mieszkańców tej wsi na pożarcie hitlerowskim żmijom.

- Będziemy tu siedzieć całą wojnę? – zapytał Kiljan.
- Nie, szeregowy. Zaniewski, przymierz jeden z tych mundurów, które znaleźliśmy w oplu.

Bronek popatrzył na dowódcę wzrokiem wyrażającym obrzydzenie do samego pomysłu założenia niemieckiego munduru, mimo to udał się na strych.

Kiedy schodził po schodach, Kiljan miał wrażenie, że mundur został uszyty specjalnie dla warszawiaka.

– Haj hitla – powiedział rozbawiony szeregowiec, ale zaraz Chwieduszko trzasnął go otwartą dłonią w tył głowy. Kiljan pisnął z bólu, ale i zaśmiał.

Zaniewski rozłożył ręce i popatrzył na widniejący na jego lewym ramieniu czerwony pasek ze swastyką wpisaną w biały okrąg. Ubrany był w czarny mundur, pod którym miał beżową koszulę. Obrazu dopełniał czarny krawat i czapka w tym samym kolorze, na froncie ozdobiona metalową trupią czaszką.

Bronek początkowo czuł obrzydzenie i miał wrażenie, że mundur jest ciężki, jak gdyby był z ołowiu. Teraz jednak dostrzegł w tej sytuacji pewną dozę czarnego humoru, więc popatrzył na Obelta i zameldował:

– SS-Untersturmführer Bronislaus von Zaniewski do usług polskiej armii.

– Pięknie – powiedział kapitan, unosząc jeden kącik ust do góry i mrużąc oko, po czym dodał:

– To rozwiąże w mniejszym lub większym stopniu pierwszy problem.

– Jak? – spytał Kiljan. – Przecież nikt...

– Zaniewski mówi płynnie po niemiecku, wystąpi w roli przynęty i kreta. Najpierw odwróci podejrzenia od mieszkańców wioski, a potem ułatwi nam wyrżnięcie kolejnej einsatzgruppe. Na razie wystarczy, będziecie tyle wiedzieli.

Warszawiak pokiwał głową.

– A drugi problem? Co z nami będzie? – spytał Kiljan.

– Nie ma dobrego rozwiązania. Dlatego zastanowimy się nad tym po załatwieniu sprawy z kolejną einsatzgruppe.

– Może się nie zjawia...

– Szczerze w to wątpię, szeregowy.

TERENY MIĘDZY WARTĄ A PROSNĄ, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Maria modliła się o pomoc, widząc jak ranny żołnierz rozpina rozporek i patrzy na nią wzrokiem wyrażającym zarówno nienawiść, jak i pożądanie.

„Boże, ześlij anioła, by mnie uratował. Albo pozbawił życia”.

Staszek próbował zerwać krępujące go więzy. Żołnierz, który stał za nim i trzymał jego głowę, by Polak obserwował ten dramat, złapał go mocniej za czoło i przycisnął głowę do pnia drzewa. Drugi uderzył Zaniewskiego z całej siły w żebra.

Staszek pierwszy raz widział swoją narzeczoną modlącą się. Zdawała się już nie dostrzegać niczego wokół, całą uwagę skupiała na cicho wypowiedzanych słowach.

Kiedy Niemiec zaczął nachylać się nad dziewczyną, warszawiak już wiedział, że nie uda mu się oswobodzić. „Przepraszam” – wykrzyczał w duchu.

– *Heil Hitler.* – Zaniewski usłyszał za sobą spokojny i lekko zachrypnięty głos. Ranny

żołnierz odwrócił się od Marii. Wyglądał niezbyt regulaminowo z rozpiętym rozporkiem.

Nagle zwolnił się uścisk tego Niemca, który trzymał głowę Staszka. Polak natychmiast odwrócił ją, by zobaczyć, kto wywołał taką konsternację wśród żołnierzy Wehrmachtu.

Jego wzrok spotkał się ze spojrzeniem Christiana Leitnera.

BENIOWA, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Starszy sierżant Broniek Zaniewski wziął głęboki oddech, po czym szybko wypuścił powietrze. Czynność tę powtórzył jeszcze dwa razy. Popatrzył na grupę żołnierzy odzianych w szare mundury.

Dotknął sztyletu SS – „jest na miejscu”. Pistolet marki Walther P.38 – „na miejscu”. Sprawdzał każdą część wyposażenia, choć doskonale wiedział, że wszystko jest tam, gdzie być powinno.

Popatrzył na swastykę stanowiącą wątpliwą ozdobę jego lewego przedramienia. Skrzywił się.



*Eripe me, Domine, ab homine malo.
– Wybaw mnie, Panie, od człowieka złego.*

„KSIĘGA PSALMÓW”

Cieszyło go to, że SS, w przeciwieństwie do Wehrmachtu, nie nosiło na klamrach od paska do spodni napisu *Gott mit uns*. Założenie takowego uwłaczałoby jego systemowi wartości ukształtowanego przez ojca. Gdyby miał skomentować taki grawerunek, zapewne spytałby, jakim prawem ta armia bezbożników uzurpuje sobie prawo do wsparcia Boga.

Przypomniał sobie odwieczny problem żołnierza – „jeśli Bóg jest z nami, to kto jest przeciwko nam?” i zaczął zastanawiać się, dlaczego Hitler, przeciwnik wszelkich religii, pozwala swoim żołnierzom nosić taką dewizę na klamrach.

Od tygodnia przygotowywał się do tej misji. Powtarzał na głos niemieckie zwroty, których z pewnością będzie musiał użyć. W myślach rozwijał wszelkie możliwe scenariusze, by być na nie przygotowanym. Ćwiczył ataki sztyletem, choć najchętniej przetopiłby go na cokolwiek, co nie napawałoby go nienawiścią. Popielniczka byłaby w sam raz, ewentualnie łyżka do butów.

Wraz z chorążym Chwieduszką, szeregowym Kiljanem i Osmundem Kremmerem wielokrotnie przerabiali plan ułożony przez kapitana Obelta. Każdego dnia wypatrywali przybycia następnej einsatzgruppe.

Na pierwszą trudność natknęli się, kiedy stanęli przed zadaniem nadania nowego imienia i nazwiska Bronkowi. Miał wystąpić w roli SS-Untersturmführera, czyli podporucznika w Schutzstaffel, najbardziej zaufanej formacji Hitlera.

Tak błaha sprawa stała się przedmiotem długiej dysputy, która zajęła im pół wieczoru. Nie znali zbyt wielu imion niemieckich, a z nazwiskami było jeszcze gorzej. Zapożyczenie ich od jakiegoś popularnego Niemca, chociażby aktora, nie wchodziło w grę, gdyż wzbudziłoby niepotrzebne zainteresowanie. Aby akcja się powiodła, nikt nie mógł mieć choćby cienia wątpliwości co do jego nowej tożsamości. Pierwszym krokiem ku temu było wiarygodnie brzmiące imię i nazwisko. Drugim – sprawienie, aby stał się blondynem.

– Hans Appel – powiedział Kiljan.

– Kto?

– Taki piłkarz, panie kapitanie. Grał w Berliner SV 92. Rok temu zakończył karierę w reprezentacji Niemiec. Albo Sepp Herberger, trener niemieckiej kadry, wcześniej piłkarz. Może być Paul Janes, obecny kapitan reprezentacji, technikę ma niebia...

– Wystarczy, szeregowy – powiedział Obelt, bezwiednie unosząc lewy kącik ust w geście irytacji. – Nikt znany.

– Kiljan, nie wiedziałem, że jesteś piłkarską skarbnicą wiedzy. Trzeba było robić zakłady, a nie pchać do wojska – wtrącił Bronek.

Obelt dostrzegł szansę w wiedzy szeregowego. Rozkazał Kiljanowi rozpocząć edukację Bronka w dziedzinie niemieckiego futbolu. Mieli na tym spędzać godzinę dziennie, każdego poranka. Zapamiętywanie nazwisk, dat i nazw klubów było dla Zaniewskiego udręką. A Roman Kiljan okazał się fanatykiem piłki nożnej, nawet w wydaniu niemieckim.

– Reinhold Winterberg – powiedział w końcu Bronek.

– Kim jest? – spytał kapitan.

– Nikim. Imię wzięłem od autora jednej z książek, z której uczyłem się niemieckiego. Nazwisko pożyczyłem od pewnej Austriaczki, którą kiedyś spotkałem w Warszawie. Nie bez powodu zapadła mi w pamięć...

– Oszczędź nam szczegółów, Zaniewski – odezwał się Chwieduszko.

– Może być – krótko stwierdził Obelt, którego już zaczynało denerwować, że tyle czasu przeznaczyci na wymyślenie zwykłego imienia i nazwiska.

Przez cały tydzień, oprócz przygotowywania się do misji, wieczorami sączyli wyjątkowo dobre trunki zgromadzone w piwnicy gospodarza. Uraczył ich między innymi starą szkocką whisky old smuggler. Przed wojną, czyli jeszcze pół miesiąca wcześniej, interesy Kremmera miały się świetnie. Zarówno Beniowa, jak i sąsiedni Bukowiec z racji dobrej infrastruktury kolejowej stanowiły modny teren wypadów zamożnych mieszkańców centralnej Polski. Kremmer posiadał nieopodal pensjonat i restaurację, gdzie gościł turystów przyjeżdżających na kilka, a nawet kilkanaście dni.

Kapitan wielokrotnie wyrzucał sobie, że szybciej mógł wydać rozkaz ataku na einsatzgruppe. Dzięki temu zginęłoby mniej wieśniaków. Ale wiedział, że i tak postąpił nieregularnie, z tak małymi siłami uderzając na liczniejszego przeciwnika. Gdyby zaś ściśle trzymał się podręcznika wojskowości, powinien przesiedzieć na strychu Kremmera całe zdarzenie. Na szczęście uległ emocjom i podjął inną decyzję.

Nie ukrywał przed sobą, że do działania zmobilizowało go zachowanie sierżanta Zaniewskiego. Młody rwał się do walki od momentu, kiedy Niemcy wyciągnęli pierwsze rodziny z domów.

Analizując sukces resztek swojej dawnej kompanii i brak strat w ludziach po swojej stronie, czuł wyrzuty sumienia i sam zaczynał wątpić we własne kompetencje dowódcy. Z nikim nie podzielił się tymi przemyśleniami, ale inni zauważali, że chodzi niewyspany i często jest jakiś taki nieobecny.

Najtrudniejszym pod względem technicznym elementem przygotowań do nowej zasadzki na Niemców, którą wymyślił kapitan, było przefarbowanie Bronka na blondyna.

Długo chodzili po Beniowej i szukali kobiety, która posiada odpowiednią wiedzę w tym względzie. Kiedy nie znaleźli nikogo, kto mógłby im pomóc, Obelt wysłał Chwieduszkę do okolicznych wiosk.

Pewnego dnia wrócił z dobrymi wiadomościami.

– Panie kapitanie, jest jakaś pomarszczona kobieta we wsi Potasznia, która wie, jak to zrobić.

– Jak? – spytał zaciekawiony Bronk, choć przefarbowanie się na blond nie było jego marzeniem.

– Myślisz, że zapamiętałem cały jej bełkot? Potrzebne jest milion składników do jakiegoś wywaru. A że części z nich nie ma, musimy je jakoś zdobyć.

– Czarownica – wtrącił Kiljan. Roześmieli się, bo chłopak wyglądał na bardzo zaniepokojonego.

– Znamy twoje obawy, szeregowy – rzekł Zaniewski, przypominając sobie reakcję Romana na znachora w słowackiej wsi.

Chwieduszko miał spis niezbędnych składników, więc kiedy zdobyli je w Beniowej, wyruszyli do Potaszni, gdzie powitała ich delegacja mieszkańców. Po okolicy rozniosła się już wieść, że grupa polskich żołnierzy eliminuje hitlerowców. Obelt zaklął pod nosem, obawiając się, że takie pogłoski mogą zniszczyć cały jego plan. „Plotki pędzą szybciej niż lokomotywa luxtorpeda. Do Niemców też dotrą” – pomyślał.

Znachorka na widok Bronka tylko pokręciła głową i pociągnęła parę razy nosem. Stwierdziła, że szkoda zachodu, bo ma włosy czarne jak kruk. Dała się jednak przekonać sołtysowi wsi, który powiedział, że „bohaterom należy się wszelka pomoc”.

Słowa Chwieduszki, że czarownica jest cała pomarszczona, nie miały się z prawdą. Była też silnie zgarbiona i chodziła o lasce. Prawie całą nienaturalnie pociągną twarz zakrywała wyblakła chusta, spod której widać było tylko dolną połowę porytego zmarszczkami oblicza.

Wzięła stary garnek i wrzuciła do niego kilka kwiatów bzu, nagietka, rumianku i kilku ziół. Dodała skórki jakichś owoców oraz mnóstwo innych rzeczy – tak dziwnie wyglądających, że żołnierze woleli nie wiedzieć, co to jest. Zrobiła się z tego breja, którą gotowała pod przykryciem przez godzinę. Uzyskaną gęstą ciecz wtarła we włosy Bronka kościstymi palcami, po czym nałożyła mu na głowę chustę i kazała czekać.

Reszcie żołnierzy oświadczyła, że mogą sobie odmaszerować, bo cały proces zajmie sporo czasu.

Kiljan, który z góry powiedział, że nie przekroczy progu chaty więdmy, czekał na Obelta i Chwieduszkę przed domem staruszki. Teraz wszyscy trzej udali się z powrotem do Beniowej.

Po trzech godzinach Zaniewski zaczął się niecierpliwić, ale kobieta kazała mu siedzieć cicho. Gdy wreszcie ściągnęła mu z głowy chustę, zaczęła wcierać w jego włosy kolejną miksturę, tym razem z roztartych kwiatów wielu roślin. Bronk czuł zapach lipy i rumianku, a także wiele nieznanych mu woni.

Wieczorem wrócił do dworku Kremmera, wciąż nosząc na głowie chustę. Powiedział kolegom, że teraz codziennie przed snem musi wcierać we włosy wywar z łusek jakiejś rośliny, który sam miał przygotować, gotując je.

Widząc sierżanta w chuście, Kiljan aż popłakał się ze śmiechu, a Chwieduszko powiedział krótko:

- Pomogę babuszce przekroczyć próg. – Po czym podbiegł do Bronka i wziął go pod rękę. Ten westchnął i w duchu powtarzał sobie: „Dla Ojczyzny. Dla Ojczyzny”.

Kiedy parę dni później patrzył na oddział SD, który zjawił się w Beniowej, przypomniał sobie tę kobietę. Oddałby wszystko, by móc teraz siedzieć w jej śmierdzącej chacie i doświadczać wątpliwej przyjemności dotyku kościstych palców na własnej głowie.

Pół godziny temu przyszedł do dworku jeden z miejscowych chłopaków, mających obserwować drogi dojazdowe do wsi. Zameldował z pełną powagą, prężąc w parodii wojskowej postawy „na baczność” swoje chude, piętnastoletnie ciało, że „panowie w szarych ubraniach się zbliżają”.

Obelł natychmiast wydał ostatnie rozkazy, po czym Chwieduszko, Kiljan i Kremmer rozbiegli się w pośpiechu na swoje pozycje.

- Tylko, do cholery, nie improwizuj, Zaniewski – oficer przykazał na odchodnym Bronkowi.

Warszawiak dotknął jeszcze raz sztyletu i pistoletu, po czym ruszył w stronę einsatzgruppe.

TERENY MIĘDZY WARTĄ A PROSNĄ, WRZESIEŃ 1939 ROKU

Christian spojrzął na rozpięty rozporek porucznika Heinlego, po czym przeniósł wzrok na jego ranę i krew sączącą się z dolnej wargi. Młodszy oficer szybko zapiął spodnie i wyprostował się jak struna.

- Oberleutnant Heinle, co tu się dzieje?

– Znaleźliśmy tych Polaków, jak ukrywali się w lesie i planowali akcję dywersyjną, *Herr hauptmann*. Jednego zabililiśmy po tym, jak oddał strzał w moim kierunku.

Leitner przybrał srogą minę. Nie miał zamiaru tolerować zachowania, jakiego najwyraźniej dopuścił się jego zastępca. Przez chwilę się nie odzywał, miażdżąc wzrokiem Heinlego.

Staszek nadał tkwił z obróconą głową, wgapiając się w Leitnera. Dziękował Bogu, że dostał od Niego jeszcze chwilę, by wymyślić coś, co uratuje jego narzeczoną.

Przybysz, który wywołał takie poruszenie, najwyraźniej był tutaj najwyższy stopniem. Sprawiał wrażenie człowieka zasadniczego, ponadto wyraźnie nie był zadowolony z zachowania swoich podwładnych. Zaniewski miał nadzieję, że zachowa się w sposób honorowy i nie pozwoli na gwałt.

Nawet jednak wtedy ich sytuacja była zła. Po tym, jak Holzer postrzelił jednego z żołnierzy, spoczywał na nich ciężar zaatakowania Niemca. Co więcej, wiadano już, że są Polakami, bo przyłapano ich na rozmowie po polsku. Jeśli zaś sprawdzą dokumenty, nie będą mieli cienia wątpliwości, że to fałszywki. Staszek zdał sobie sprawę z tego, że są już martwi.

Leitner wyciągnął szybkim i zdecydowanym ruchem ręki pistolet i wymierzył go w Heinlego.

- *Herr haup...* – porucznik próbował oponować, zdziwiony zachowaniem kapitana.
- Rzuć broń.

Heinle, widząc stanowczy wzrok Leitnera, nie miał wątpliwości, że jeśli będzie protestował, w jego czole pojawi się dziura.

Powoli ściągnął kaburę i położył na ziemi.

– Na kolana – powiedział krótko Leitner suchym głosem.

Kiedy Heinle klękał, jego przełożony nakazał dwóm innym żołnierzom związać mu ręce za plecami i podnieść go, po czym powiedział:

– Gwałt dokonany przez żołnierza Wehrmachtu jest karany śmiercią. Odprowadzić porucznika do obozu i przekazać podporucznikowi Rodemeyerowi, by zaprowadził go przed sąd polowy.

Heinle był zdezorientowany, a zarazem wściekły. Zaciskał zęby tak mocno, że czuł, jak jeden się przesunął. Wiedział, że jakiegokolwiek próby tłumaczenia nie trafią do jego dowódcy. „Cholerny służbista” – pomyślał.

Maria była w szoku i z niedowierzaniem patrzyła na rozwój wydarzeń. Po chwili zaczęły docierać do niej pojedyncze słowa. Ten, do którego zwracali się *Herr hauptmann*, uratował ją! Nie mogła wydusić z siebie słowa. Popatrzyła na Staszka i zauważyła, że przesuwa wzrokiem po różnych punktach w okolicy. „Zastanawia się, jak wyjść z tego cało”. Ledwo zauważalnie odwróciła głowę, by sprawdzić, co z Holzerem. Leżał bez ruchu na ziemi, jego krew wsiąkała w mech.

Leitner zaczął przyglądać się jej i Staszce. Wziął bez słowa ich torbę i wyrzucił całą zawartość na ziemię. Chwilę się jej przyglądał, po czym uniósł brwi i podniósł dwa austriackie paszporty.

– Gina Henckel von Donnersmarck, Gottwin Stöxen. „Neue Stimme”, Innsbruck – przeczytał spokojnie.

Podszedł do Marii. Obawiała się, że bez zadawania jakichkolwiek pytań zastrzeli ich za posiadanie fałszywych dokumentów. Nie dość, że ten żołnierz, który chciał ją zgwałcić, powiedział już, że są Polakami, to jeszcze wspomniał coś o organizowanej przez nich akcji dywersyjnej.

– Wszystko w porządku? – spytał Leitner.

Otwierała usta, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– Spokojnie – podał jej swoją manierkę z wodą.

Pociągnęła kilka łyków, a resztę wylała sobie na twarz. „Otrząśnij się, dziewczyno, możesz jeszcze nas uratować. Ten człowiek chyba nie ufa własnemu podwładnemu” – pomyślała, po czym wreszcie udało jej się odezwać nienagannym niemieckim.

– Dziękuję, *Herr hauptmann* – jej głos był przepełniony smutkiem, mrużyła oczy, jakby cierpiała na nieznośny ból głowy.

– Co to za dokumenty?

– Nasze. Jesteśmy dziennikarzami „Neue Stimme”. Próbowałam to wytłumaczyć temu... – urwała.

– Twierdzi, że słyszał, jak mówicie po polsku.

– To częściowo prawda – stopniowo nabierała odwagi. – Ćwiczyliśmy parę polskich zwrotów. Zawsze to robimy, by móc pozyskać przewodnika lub pomoc miejscowych, kiedy jesteśmy za granicą. Nasza trójka już robiła zagraniczne reportaże. Ostatnio w Czechach.

Leitner popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– Ktrdy do Warszawy – powiedziała najbardziej koślawym polskim, na jakim było ją stać, a kiedy Leitner popatrzył na nią pytająco, marszcząc czoło, dodała po niemiecku:

– Którędy do Warszawy.

Kiwnął głową, ale nie mogła wyczytać niczego z wyrazu jego twarzy.

Staszek obserwował ich uważnie i nie umknęło jego uwadze to, że Maria zaczyna rozmawiać z Niemcem tonem, w którym stopniowo można było wyczuć coraz więcej zdecydowania. Wprawdzie nie rozumiał ani słowa, poza wymienionymi przez Leitnera nazwiskami, ale domyślał się, że jego narzeczona właśnie stara się zbudować wiarygodną bajeczkę, wyjaśniającą ich obecności w Polsce.

Nawet gdyby jej się to udało, dużym problemem pozostawał sam Staszek. Umiał wypowiedzieć po niemiecku kilka słów. Dostanie kulę w łeb przy pierwszym pytaniu zadany przez tego wysokiego blondyna.

Przypomniał sobie, że przed opuszczeniem z Warszawy uzgodnili, że w przypadku zatrzymania przez Wehrmacht będą konsekwentnie twierdzić, że Polacy zatrzymali ich we wsi Hochlinden i przewozili na przesłuchanie w głąb kraju, kiedy udało im się uciec. „Nie improwizuj, trzymaj się tej wersji” – pomyślał.

– Co tu robicie? – spytał kapitan głosem pełnym wątpliwości.

– Mielśmy dokumentować... pewne zdarzenie w okolicy przygranicznej. Proszę przeczytać – wskazała na złożoną kartkę, która wypadła z torby, kiedy Leitner wysypał jej zawartość.

Podniósł dokument i przeczytał treść. „Upoważnienie z PROMI? Departament VII Ministerstwa Propagandy, Oświecenia Narodowego i Informacji Rzeszy... Papier od samego Goebbelsa. Co to za ludzie?” – pomyślał.

– Zabity został nasz fotograf, Fabio Wendt.

Leitner spojrział na leżącego Holzera i dłuższą chwilę wpatrywał się w leżącego obok niego sauera. „Niemiecki, na wyposażeniu policji i Wehrmachtu”.

Niepokojąco długo milczał, oceniając sytuację. Maria postanowiła kontynuować.

– *Herr hauptmann*, mam nadzieję, że ten człowiek poniesie karę – powiedziała z pogardą w głosie.

– Oczywiście, popełnił czyn, który karany jest śmiercią – sucho odparł oficer, po czym dodał:

– Co to za broń?

– Sauer. Fabio zabierał go ze sobą, kiedy trafialiśmy na niebezpieczne tereny – zrobiła pauzę, po czym dodała: – W październiku tamtego roku przydał się nam w Sudetach.

Dzięki temu, że rok temu, podczas zajmowania czeskiego Sudetenlandu przez Niemców spędziła sporo czasu na debatowaniu ze Staszkiem w „Café Adria” o działaniach militarnych Rzeszy, czuła się przygotowana na każde pytanie Leitnera w tej kwestii. Już wtedy oboje zdawali sobie sprawę z tego, że Hitler nie poprzestanie na przyłączeniu do Niemiec przygranicznych obszarów Czechosłowacji.

– Broń jest legalna. Fabio miał pozwolenie, powinno być w jego kieszeni – spoglądając na ciało Holzera, próbowała sprawić, by w jej oczach pokazały się łzy.

Leitner milczał.

Stwierdziła, że ten człowiek uważa ich za Polaków udających Austriaków, a nie reporterów „Neue Stimme”, którzy zostali mylnie wzięci za obywateli polskich. Prowadziła monolog, nie otrzymywała żadnej odpowiedzi. Mimo to postanowiła kontynuować:

– Obawiam się, że pan kapitan nie jest przekonany co do naszej tożsamości.

Zgodnie z jej przewidywaniami, pokręcił głową.

– Proszę mnie zrozumieć...

– Niestety, nie rozumiem. Ma pan w dłoniach nasze dokumenty i upoważnienie z ministerstwa – powiedziała, podnosząc głos.

– Dokumenty można sfałszować. Choć te wyglądają na prawdziwe.

– Więc proszę uwolnić mojego kolegę Stöxena. On nie może się komunikować.

Christian popatrzył na nią pytającym wzrokiem.

– Jest głuchoniemy, posługuje się wyłącznie językiem migowym. – Wykonała kilka przypadkowych gestów rękoma w stronę Staszka. Starła się, by wyglądały wiarygodnie. Kiwnęła głową i uniosła brwi, starając się nadać swojemu spojrzeniu pytający wyraz.

Narzeczony najwyraźniej zrozumiał, o co jej chodzi i pokiwał głową, nie wydając z siebie żadnego odgłosu. Wzruszył ramionami i popatrzył na swoje barki, dając do zrozumienia, że nie może ruszać rękoma.

– Do komunikacji potrzebuje rąk, a ma je związane.

„Jeśli ten oficer choćby raz w życiu widział język migowy, już nie żyjemy” – pomyślała, ale postanowiła brnąć dalej.

– Jego orężem jest słowo pisane, nie mówione. Powinien pan przeczytać jego ostatni artykuł w „Neue Stimme” zatytułowany *Vielzahl von Vorherrschaft in Europa*. Arcydzieło dziennikarstwa.

– Z pewnością tak zrobię, kiedy tylko wykonam telefon do państwa gazety.

Maria zamarła.

– Musi mnie pani zrozumieć. W takiej sytuacji jedynym rozwiązaniem jest potwierdzenie państwa tożsamości u źródła. Mimo że mam w rękach dokumenty, znajdują się państwo w... przedziwnym miejscu. Dodatkowo, jedno z was oddało strzał do mojego żołnierza.

Podszedł do ciała Holzera, kiedy nadbiegło czterech żołnierzy.

– *Herr hauptmann!* Przysłał nas leutnant Rodemeyer.

– W jakim celu?

– Nie powiedział.

Najwyraźniej jego przyjaciel chciał, by Leitner miał obstawę. W duchu niemalże się uśmiechnął, po czym odparł:

– Rozwiązać tego człowieka i zaprowadzić oboje do obozu. Wziąć również to ciało i traktować je z szacunkiem.

– Tak jest.

Leitner podniósł sauera i schował go do torby Staszka. Włożył tam też dokumenty, pozostawiając resztę rzeczy, które wcześniej wysypał, na ziemi.

BERLIN, 7 WRZEŚNIA 1939 ROKU

- Cerber.
- Eisenhut.
- Zidentyfikować się.
- SS-Untersturmführer Heinz Stubbe.
- Mów.
- Mieliśmy niewielki problem w Rawitschu.
- Jaki?

– Zauważył nas pewien kapitan *Heer*. Dotarliśmy do miasta w środku nocy, wszystko odbyło się zgodnie z procedurą. Dostrzegł nas przez przypadek. Musieliśmy się wylegitymować. Puścił nas dopiero, kiedy zobaczył dokument od reichsführera.

- Nazwisko?
- Christian Leitner.
- Widział, jak zabieracie dziecko?
- Tak.

Zasiadający za biurkiem człowiek odłożył słuchawkę telefonu bez jakiegokolwiek odpowiedzi. Poglądził się po gęstej, siwej brodzie. Po pięćdziesięciu sześciu latach spędzonych na tym świecie na jego głowie pozostał jedynie pas siwych włosów na potylicy, resztę odebrał mu czas. Nosił małe, okrągłe okulary, przez co sprawiał wrażenie miłego, starszego pana. Jego podwładni wiedzieli jednak, że jest bezwzględny i pozbawiony skrupułów szefem. W relacjach z nim nie było miejsca na rozmowę o pogodzie czy rodzinie. Oczekiwał dokładnie tego, czego zażądał. Sam również nie był wylewny, a częściej sygnalizował wzrokiem, czego oczekuje, niż się odzywał.

Kiedy zadzwonił jeden z jego podwładnych, siedział w swoim biurze w Nowej Kancelarii Rzeszy przy Voßstraße i przeglądał dokumenty dotyczące ruchów wojsk niemieckich na terytorium Polski. Wszystko szło zgodnie z planem, a działania wojenne Rzeszy miały zapisać się wielkimi literami na kartach historii. „Dominacja nad światem i usunięcie z jego powierzchni podludzi jest kwestią czasu”.

Na ścianie naprzeciwko jego biurka widniał ogromny portret Hitlera ubranego w jasnobrązowy mundur NSDAP i z Krzyżem Żelaznym pierwszej klasy przypiętym do piersi. Po obu stronach obrazu wisały długie czerwone płótna ze swastykami.

Człowiek z brodą ponownie podniósł słuchawkę.

- Z SS-Sturmscharführerem.

Po chwili oczekiwania odezwał się głos, w którym można było rozpoznać służalczy ton:

- Co mogę dla pana zrobić?
- Christian Leitner, hauptmann. Dostarczyć mi wszystkie informacje o tym człowieku.
- Tak jest.

Po upływie godziny, którą człowiek z brodą przeznaczył na rozmowę z przełożonymi o sprawach dużej wagi, niemal zapomniał o kwestii kapitana Leitnera. Wtedy jednak do drzwi jego gabinetu zapukał rozmówca, któremu szef zlecił znalezienie danych na temat Christiana.

– Wejść – powiedział oschle.

– *Heil Hitler*. Christian Leitner, hauptmann, *Heer*, rasa aryjska, urodzony 17 marca 1901 roku w Lüttendorfie, żonaty od piętnastu lat z Johanną *de domo* Heidenreich. Syn Maximilan. Ukończył studia na...

– Do rzeczy.

– Otwarcie artykułuje podziw dla Führera. Zrezygnował z edukacji na Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem z racji konfliktu z komunistycznymi wykładowcami.

– Żona?

– Również rasa aryjska.

– Jeden człowiek do obserwacji Leitnera.

– Tak jest.

– Informować tylko w ważnych sprawach.

– Tak jest.

– Wyjść.

Kiedy sturmscharführer wyszedł z gabinetu, człowiek z brodą potarł się po łysinie i wyciągnął paczkę pall malli. Odczuł satysfakcję z faktu, że brytyjski producent tych pierwszych na świecie papierosów z filtrem wprowadzi je do szerszego obiegu dopiero w przyszłym roku, a on, siedząc teraz w stolicy Rzeszy, już może je palić.

BENIOWA, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek, patrząc na funkcjonariuszy SD, miał nadzieję, że wśród nich nie znajduje się nikt przewyższający rangą jego obecne *alter ego* – Reinholda Winterberga.

Dopiero kiedy zrobił kilka kroków w ich stronę, zauważyli, że się zbliża. Wszyscy obrócili wzrok w jego kierunku. Poczuli, jakby każda para oczu przenosiła na jego barki ciężar mierzony w dziesiątkach ton.

Członkowie einsatzgruppe wyprostowali się i czekali na niego w miejscu, gdzie ich poprzednicy urządzili krwawą rzeź mieszkańcom wioski. Bronek ocenił, że może sobie pozwolić na niewielką dozę optymizmu, bo żaden z nich nie chwycił za broń. Nikt też nie ruszył pospiesznie w jego kierunku, niesiony wątpliwościami co do jego obecności tutaj. Najwyraźniej wszyscy czekali na jego ruch.

Szybkim spojrzeniem omiótł ich insygnia funkcyjne, niestety, nic mu nie mówiły. Nadal nie był przekonany, czy przewyższa ich stopniem.

Jeśli znalazłby się wśród nich choćby jeden wyższy stopniem oficer, Bronek bez wątpienia stanąłby przed obowiązkiem wylegitymowania się. Ale w przeciwnym wypadku nikt nie miał prawa prosić go o dokumenty.

Kiedy podszedł, uniósł lekko brodę, by okazać swoją wyższość, po czym powiedział doniosłym głosem, z delikatną nutą irytacji w głosie:

– *Heil Hitler*. Którą grupą jesteście i co tu robicie?

Mówiąc to, miał nadzieję, że einsatzgruppen identyfikują się za pomocą numerów. Tak naprawdę nie miał pojęcia, czy w ogóle istnieje jakaś identyfikacja. Ale takie posunięcie było

koniecznym ryzykiem.

Przed grupę wyszedł jeden z ludzi, stuknął głośno obcasami i zsalutował.

– *Heil Hitler, Herr SS-Untersturmführer.* Einsatzkommando 4/I pod dowództwem SS-Sturmbannführera Brunnera. Mamy sprawdzić działalność polskiej grupy dywersyjnej operującej na tym terenie i ją wyeliminować. Dotarły do nas informacje, że rozbiła jeden z naszych oddziałów.

– Nazwisko i stopień – odparł Bronek, który sprawiał wrażenie, że nudzi go wysłuchiwanie odpowiedzi żołnierza. W duchu pomyślał: „No to rozmawiasz właśnie, chłopie, z jedną czwartą tej grupy dywersyjnej”.

– Unterscharführer Alexander Klaas.

– Plutonowy? – zapytał ostrzejszym głosem Zaniewski. – Jesteście najwyżsi stopniem?

– Tak, *Herr SS-Unter...*

– Przysłali mi oddział na czele z plutonowym? – przerwał mu, mówiąc bardziej do siebie, niż do Klaasa.

– Nie dostaliśmy informacji, że będzie pan nas oczekiwał.

– Właśnie dostaliście, plutonowy.

– Tak jest.

Alexander Klaas przypatrywał się dłuższą chwilę mundurowi Bronka.

– Co się tak gapisz, żołnierzu?

– Przepraszam. Zastanawiałem się tylko, dlaczego chodzi pan w mundurze galowym.

Bronka zatkało.

Obelt przypatrywał się temu przedstawieniu przez lornetkę, zajmując swoją pozycję. Wszystko szło lepiej, niż zakładali. Póki co, Zaniewski nikomu nie salutował, za to inni salutowali jemu. Zauważył jednak, że sierżant dłuższy czas nic nie mówił, wodząc wzrokiem po okolicznych budynkach.

– Widzisz to? – Bronek wskazał na jeden ze spalonych domów.

– Tak, panie poruczniku.

– Byłem w tym domu, dając nauczkę jednej z polskich świń, kiedy podłożyli ogień. Spalili swój własny dom, zwierzęta. Wszyscy ponieśli śmierć, ale w trakcie pożaru ucierpiał mój mundur polowy.

Ściągnął czapkę oficerską i przecesał blond włosy.

– Zwierzęta – przytaknął Alexander Klaas, po czym Bronek nakazał mu zebrać oddział w jednym z budynków i oświadczył, że przejmuje dowodzenie.

– Tak jest, *Herr SS-Untersturmführer.*

– Odmaszerować.

– Gdybym jeszcze mógł...

– Co jeszcze, plutonowy? Byłoby szybko, chcę jak najprędzej złapać tę polską grupę dywersyjną.

– Mówiono nam, że dołączy do nas oficer, ale miało się to stać dopiero jutro.

– Stało się dziś. Aaa, i chcieliście zabawić się w tej wiosce, dopóki nie ma oficera?

– To nie tak, *Herr...*

– Milcz. Będzie czas na przyjemności, kiedy rozprawimy się z przestępcami, którzy kręcą się po okolicy.

Bronek miał plecy tak mokre od potu, że obawiał się odwracać tyłem do *einsatzgruppe*, sądząc, że zauważą jedną wielką plamę, która zdradzi jego zdenerwowanie.

„Cholerny Zaniewski. Dyryguje nimi. Udało mu się” – pomyślał Obelt.

Kiedy zebrali się w jednej z mniejszych chałup, Bronek rozkazał im stanąć na baczność w szeregu. Przechadzał się przed nimi i co rusz poprawiał części ekwipunku któregoś żołnierza. Wydawał się ekstremalnie niezadowolony ze stanu przygotowania żołnierzy, nad którymi objął dowództwo.

Kiedy skończył, odezwał się sucho:

– Nazywam się Reinhold Winterberg. Z rozkazu dowództwa obejmuję dowodzenie nad waszym oddziałem.

Wszyscy milczeli i czekali na dalsze słowa przełożonego. Choć Bronek już wiedział, że wśród nich znajdują się sami funkcjonariusze niskiego rangą, nadal obawiał się, że popełni jakiś błąd.

– W okolicznych wsiach działa grupa polskich bandytów. Udało mi się ustalić, że składa się z zaledwie kilku byłych żołnierzy. Są dobrze wyszkoleni, więc dzięki ohydny podstępom udało im się wyeliminować członków mojego oddziału.

W oczach niektórych pojawiła się czysta nienawiść, a Bronek kontynuował:

– Miałem nadzieję, że otrzymam doświadczonych żołnierzy. Ale dostałem was. Będziecie musieli wznieść się na wyżyny swoich umiejętności, byśmy mogli pomścić naszych braci.

Kilku pokiwało głowami.

– O świcie ruszymy tam, gdzie według ostatniego raportu mieli działać bandyci.

– *Herr untersturmführer* – odezwał się jeden.

Zaniewski kiwnął głową w jego kierunku, przerywając swój wywód.

– Dostaliśmy rozkaz, by zlikwidować osobę figurującą na liście wrogów Rzeszy, która mieszka w tej wsi.

– Kogo?

– Właściciela tutejszego dworku, Kremmera. Mimo że miał przodków Niemców, po ponownym sprawdzeniu okazał się zdrajcą, który gościł u siebie Żydów z miasta Łódź.

– Zlikwidowany. Tym upuściłem krew z jego gardła. – Bronek wyciągnął sztylet SS w stronę dworku. Popatrzył po żołnierzach, po czym dodał ostro:

– Czy któryś z was przelał już krew w imię Rzeszy?

Rozległa się cisza.

– Tak myślałem. Podczas gdy wy suszyliście swoje pieluchy, ja w pojedynkę urządziłem w tej wsi rzeź podludzi.

Znów cisza. Zaniewski wyłapał spojrzenie Alexandra Klaasa, który wpatrywał się w niego z uznaniem.

– Szczerze mówiąc, nie mam pewności, czy jesteście oddani Rzeszy i Führerowi. Nie wiem,

czy jesteście gotowi na zadanie, jakie was czeka.

Wszyscy nagle się wyprostowali, a kiedy jeden z nich chciał coś powiedzieć, Bronek szybko dodał:

– Milczeć, nie udzieliłem głosu. Gdybym miał więcej czasu, posłałbym po bardziej doświadczony oddział. Będziecie musieli mi udowodnić w walce z podludźmi, że jesteście godni noszenia dumnego symbolu czystości rasy. – Wskazał na swastykę widniejącą na swoim ramieniu.

Kiedy zasalutował, odchodząc, jego nowy oddział w pełnej synchronizacji wykonał hitlerowskie pozdrowienie, jak gdyby chciał dowieść tym swojej wartości.

„Chyba ich kupiłem” – pomyślał Bronek, jednocześnie odczuwając absurdalny niedosyt, że nie spotkał funkcjonariusza wyższego stopniem. Ułożyli na taką ewentualność szczegółowy scenariusz, który zawierał między innymi wykorzystanie w luźnej rozmowie świeżo nabytej wiedzy o niemieckiej piłce nożnej. Po chwili oprzytomniał i odrzucił głupią tęsknotę za niepotrzebnym ryzykiem, po czym wyszedł z domu, nie wydając żadnych rozkazów. Czuł, że nogi ma jak z waty.

OKOLICE PLESZEWA, TERENY OKUPOWANE PRZEZ RZESZĘ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Kiedy Niemcy rozwiązywali Staszka, Maria nadal zachowywała czujność, mimo że udało się jej przedłużyć ich szansę na przeżycie. Narzeczony patrzył na nią ze smutkiem, zaś ona dostrzegła w jego oczach ogrom pretensji, którą musiał czuć w stosunku do samego siebie. „Nie twoja wina, barani łbie, nie mogłeś nic zrobić” – pomyślała. I wtedy cała zdrętwiała, bo przypomniała sobie o czymś.

„Torba Holzera. Z pieniędzmi i dwoma pistoletami”.

Zauważyła, jak dwóch ludzi podnosi ciało bandyty i zabiera torbę, która wprawdzie nie wyglądała podejrzanie – ot, zwykła torba na sprzęt fotograficzny – ale jej zawartość była dla nich wyrokiem śmierci.

Przekłęła pod nosem Holzera i jego chciwość, po czym sama się upomniała i stwierdziła, że o zmarłych należy mówić albo dobrze albo wcale.

Niemcy zaprowadzili ich do namiotu, który spełniał funkcję punktu sanitarnego, poczty polowej i szpitala dla kilkunastu żołnierzy. W powietrzu unosił się zapach jedzenia i kawy. Trafili najwyraźniej na porę posiłku, bo żołnierze, w większości ranni, siedzieli przy stołach lub na ziemi i zajadali się kartoflanką z kapustą. Niektórzy z lubością pożerali długie pęta kiełbasy.

Maria poczuła, jak w brzuchu otwiera jej się tunel prowadzący do nicości. Stopniowo schodziło z niej napięcie i stwierdziła, że jeśli zaraz czegoś nie zje, zemdleje.

Po drodze do obozu próbowała nawiązać kontakt z tym rozsądnie wyglądającym kapitanem. On jednak nie przejawiał ochoty na rozmowę. Interesowało go tylko, co tutaj robią, skąd przyszli i gdzie zmierzają. Mimo wszystko udało się jej przejść z oficerem na „ty”. Kątem oka obserwowała żołnierzy, którzy nieśli Holzera i torbę fotograficzną, a w oddali przed nimi nikły sylwetki dwóch ludzi prowadzących Heinlego przed sąd polowy.

Staszek szedł w pewnej odległości za nią. Korzyść z odgrywania roli głuchoniemego była

taka, że nie musiał udawać, iż nic nie rozumie.

– *Herr hauptmann*, on chyba żyje – nagle powiedział jeden z Niemców niosących Holzera.

Leitner rozkazał im zatrzymać się i położyć rannego na ziemi.

– Jeszcze żyje – poprawił swojego podkomendnego i popatrzył na Marię, po czym dodał:

– Bardzo mi przykro z powodu całej tej sytuacji, Gino.

– Mnie również.

– Natychmiast przenieść go do punktu sanitarnego – rozkazał kapitan. Dwójka przysłanych przez Rodemeyera żołnierzy poderwała nosze z ziemi, po czym popędziła do obozu. I tak właśnie trafił do pachnącego kielbasą i zupą szpitala polowego.

Leitner zastanawiał się nad wiarygodnością dwójki reporterów. Ich dokumenty były w porządku, w dodatku mieli upoważnienie od Goebbelsa. Tyle że Christian powoli zaczynał mieć dosyć tajemniczych papierów, które zawierały podejrzane rozkazy. Najpierw dwóch gestapowców w Rawitschu z pismem od Himmlera, a teraz ci. Z jednej strony nie miał powodu, by wątpić w ich tożsamość. Owszem, strzelali do Heinlego. Znając jednak swojego podwładnego wiedział, że człowiek, który teraz umierał, mógł działać w samoobronie. Miejsce, w którym spotkał reporterów, również było dosyć dziwne, ale dziennikarze mają to do siebie, że szukają sensacji. Czasem bezmyślnie rzucając się w wir walk.

Z drugiej strony, miał wątpliwości. Intuicja podpowiadała mu, że coś tu nie gra. Postanowił, że do momentu, kiedy nie udowodni, że jest inaczej, będzie ich traktował jak ludzi, za których się podają.

W ferworze rozmowy z tą piękną reporterką z Innsbrucka zupełnie zapomniał o jej niepełnosprawnym kompanie, ale był pod wrażeniem jej witalności i wewnętrznej siły. Mimo że prawie została zgwałcona, a w dodatku jej twarz nosiła wyraźne ślady przemocy ze strony Heinlego, wystarczyło, by obmyła sobie twarz wodą, a mogła konwersować z nim w zupełnym spokoju.

„Wyjątkowa kobieta” – skostatował krótko.

W pewnym momencie obrócił się do Staszka i powiedział:

– Panie Stöxen, wszystko w porządku?

Staszek zmieszał się, nie miał bladego pojęcia, co oficer powiedział. Na wszelki wypadek kiwnął głową i wykonał kilka gestów dłońmi w stronę Marii.

– Mówi, że tak. Choć zastanawia się, czy ma się czegoś obawiać z pańskiej strony.

– Nie rozumiem.

– Gottwin doświadczył wiele nieprzyjemności ze strony wojska, kiedy byliśmy w Sudetach. Zapewne wie pan, jak niektórzy funkcjonariusze władz Rzeszy traktują osoby niepełnosprawne...

– zawiesiła głos.

Leitner zwrócił się do warszawiaka i powiedział:

– Nic panu nie grozi.

Maria pokazała dłońmi jakieś skomplikowane figury, a Staszek odpowiedział jej podobnie.

– Pragnie panu podziękować i mówi, że w Wehrmachcie potrzeba więcej takich ludzi jak pan.

Widząc brak reakcji Leitnera na jakiegokolwiek komplementy uznała, że nie będzie próbowała więcej takich sztuczek. Do niczego nie prowadziły, bo ten człowiek najwyraźniej kierował się

wyłącznie zdrowym rozsądkiem. Nie zdołałby nim manipulować, grając na jego próżności.

Tymczasem Staszek gotował się od środka. Rozmowa Niemca z Marią była dla niego całkowicie niezrozumiała. Kompletny bełkot i szwargotanie. Najgorsze było jednak to, że nie mógł niczego wyczytać z twarzy kamiennolicego oficera. Musiał w pełni polegać na ukochanej i jej zdolności do improwizowania. Ufał jej umiejętnościom i wiedział, że do tej pory udało jej się przedstawić wiarygodną historię. Gdyby było inaczej, właśnie by zakopywano ich ciała.

„Ta sytuacja nie potrwa długo, teraz albo nigdy” – pomyślał Zaniewski i zwolnił kroku, by znaleźć się nieznacznie za Leitnerem. Ten był zajęty rozmową z Marią.

Rozważał przez chwilę różne możliwości. Musiał to zrobić szybko i sprawnie, bo niewątpliwie jeśli pozostawi Niemcowi trochę czasu, przegra ten pojedynek.

Odrzucił wszelkie scenariusze, w których cicho skręca Niemcowi kark, bądź pokonuje go jakąś inną wymyślną metodą.

W końcu zdecydował, że zwolni jeszcze bardziej, po czym z całej siły rzuci się Niemcowi na plecy i postara się uderzyć jego głową o ziemię, kiedy obaj będą upadać.

Marvin Rodemeyer odeskortował Ernsta Heinlego do chwilowego aresztu. Nidoszły gwałciciel siedział teraz ze związanymi rękoma w naturalnym dole za latrynami. Pilnowało go dwóch żołnierzy wyznaczonych przez Rodemeyera.

Podporucznik stwierdził, że nie zaszkodzi dowiedzieć się, co zaszło.

– Co pan zrobił, oberleutnant? – spytał wyższego stopniem Heinlego.

– Wymierzałem sprawiedliwość, kiedy przerwał mi hauptmann Leitner.

– Doprawdy?

– Tak. Źle zinterpretował to, co widział. A teraz albo mnie uwolnić, albo spieprzyć, podporuczniku.

Rodemeyer zasalutował i się oddalił. Po chwili zauważył swoich żołnierzy niosących kogoś na noszach. Wyraźnie się spieszyli. Poszedł za nimi do namiotu oddziału sanitarnego.

Człowiek leżący na noszach sprawiał wrażenie, jakby miał zaraz wyzionąć ducha. A jednocześnie wyglądał na kogoś, komu lepiej nie wchodzić w drogę, kiedy jest w pełni sił.

Podporucznik przyjrzał się dwóm ranom w jego klatce piersiowej, ale zaraz potem sanitariusze wyprosilili go z namiotu i zaczęli przygotowywać się do wyjęcia kul.

Marvin stanął przed namiotem i poczekał na Leitnera. Był ciekaw, co dokładnie wydarzyło się w lesie. Patrzył na swoje buty, gdyż coś chodziło mu po głowie i nie dawało spokoju.

„Twarz rannego. Skądś kojarzę tę twarz”.

OKOLICE BENIOWEJ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Starszy sierżant Wojska Polskiego lub tego, co z niego zostało, siedział na zwalonym przez wiatr pniu drzewa ze swoim nowym podwładnym, plutonowym SS Alexandrem Klaasem. Kiedy dowiedział się, gdzie ich grupa miała oddać się pod rozkazy czekającego na nich oficera, ominął to miejsce szerokim łukiem.

Bronek postanowił wykorzystać wiedzę, jaką przekazał mu Kiljan, by zdobyć zaufanie

swojego hitlerowskiego podwładnego. Nadal odnosił się do wszystkich członków grupy z wyższością i był opryskliwy, ale stwierdził, że nie zaszkodzi polepszyć relacji z jednym z nich. „Może uda mi się wyciągnąć z niego więcej informacji” – pomyślał, wiedząc, że nie może pozwolić sobie na zadawanie niektórych pytań wprost. Jako porucznik SS powinien znać na nie odpowiedź.

– Co w niemieckiej piłce? – zapytał.

– Niestety, panie poruczniku, nie interesuję się sportem – odparł Klaas, zaskoczony, że dowódca pyta o tak błahe sprawy.

– Szkoda. Dawno nie było mnie w kraju, jeszcze przed wojną przygotowywałem tu, na miejscu, listę wrogów Rzeszy – stwierdził Zaniewski. Dowiedział się o owej liście dopiero podczas spotkania z einsatzgruppe, mimo to stwierdził, że ktoś zapewne musiał wykonywać w Polsce tę krecią robotę. Alexander Klaas znów popatrzył na niego z uznaniem.

Broniek ani razu nie spostrzegł podążającego śladem einsatzkommanda Obelta, choć doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dowódca jest gdzieś w pobliżu. Kapitan naprawdę znał się na podchodzeniu wroga.

Zaniewski musiał przyznać, że odczuwał niemałą satysfakcję z wydawania rozkazów grupie hitlerowców. Miał też świadomość, że poszczęściło mu się znacznie bardziej, niż zakładali. Razem z Obeltem wyobrażali sobie dziesiątki przeszkód, które napotka, przy czym większość wynikała z założenia, że Niemcami będzie dowodził funkcjonariusz wyższy od niego stopniem. I rzeczywiście, ten wraz z obstawą musiał być gdzieś w okolicy, czekając na swój nowy oddział, ale na chwilę obecną nie stanowił zagrożenia.

Broniek czuł się coraz lepiej w swojej roli. Od początku mistyfikacji udało mu się sprawiać wrażenie człowieka pewnego siebie i zdecydowanego, od czasu do czasu jednak jego myśli uciekały w kierunku Baranowicz i Anieli.

Choć z nikim nie podzielił się swoimi planami, po zakończeniu tej akcji i zapewnieniu bezpieczeństwa mieszkańcom Beniowej, zamierzał udać się na północ Polski i odszukać Anielę.

Marzył o zabraniu jej w bezpieczne miejsce i przeczekaniu tam wojny. Jednak myśląc realnie, mógł mieć spore problemy nawet z dotarciem w okolice Baranowicz.

Analizował swoje zamiary długo i stwierdził, że polska armia albo już została pokonana, albo niedługo do tego dojdzie. Zupełna, bezwarunkowa kapitulacja. Gdy usłyszał wiadomość o wejściu Sowietów nie miał co do tego wątpliwości. Zatem jego zobowiązania wobec armii wygasną niedługo, jeżeli jeszcze w ogóle jakieś istnieją.

Wtedy będzie mógł z czystym sumieniem popędzić do Baranowicz.

Choraży Chwieduszko przeczłogał się na pozycję, którą miał zająć, czekając na einsatzgruppe. Przez lornetkę dostrzegał już grupę Bronka, choć widział ją jeszcze niewyraźnie, bo Niemcy byli zbyt daleko.

Zaniewski nie wiedział, że Chwieduszko go obserwuje. Nie zdawał sobie również sprawy z tego, że choraży snuje takie same jak on plany przedarcia się do Baranowicz. Tyle że starszy podoficer nie dopuszczał do siebie myśli, że Wojsko Polskie może przestać istnieć. Na ten temat odbył nawet kilka dni temu rozmowę z Obeltem.

– Panie kapitanie, co zrobimy, jak wyrzniemy tych hitlerowców?

– Co masz na myśli? Mamy rozkazy. Niejasne, ale jednak rozkazy.
– Nie popiera ich pan. Może powinniśmy...
– Nie od tego jestem. Pójdziemy do Rumunii, połączymy z innymi oddziałami, przegrupujemy i zorganizujemy uderzenie na Niemców.

Oficer dłuższy czas wbijał wzrok w ścianę, po czym dodał:

– O ile mamy jeszcze armię.
– Nie wierzę, by rozbili całe nasze siły.
Obelt kiwnął głową i chciał uciąć dyskusję, wstając z miejsca.
– Panie kapitanie.
– No co jest, Chwieduszek? Widzę, że coś ci leży na wątrobie, więc gadaj.
– Tak myślałem, że może... taka mała grupa jak nasza może narobić wiele szkód.
– Najwyraźniej to możliwe, w końcu wybiliśmy cały oddział hitlerowców. Jeśli chcecie mi serwować takie odkrycia, to idę spać, chorąży.
– Chodzi mi o to, że moglibyśmy działać dalej. Posuwać się na północ. Kilku żołnierzy trudniej namierzyć niż liczny oddział.
– Idę spać.
– Panie kapitanie, już wiemy, jak walczyć z ukrycia. Powinniśmy to wykorzystać jako oddział dywersyjny. Będziemy systematycznie kosić mniejsze grupy niemieckich żołnierzy, zasiejemy w nich strach.
– Pomyślę.

Chwieduszek odniósł wrażenie, że utrafił w temat, o którym dowódca myślał jeszcze przed ich rozmową. Walka dywersyjna była lepszym rozwiązaniem niż ucieczka do Rumunii. Ale pozostawała jeszcze kwestia rozkazów marszałka.

Bronek rozkazał oddziałowi zatrzymać się. Oświadczył podkomendnym, że niemal dotarli do rejonu, gdzie grasuje grupa polskich kundli, której szukają.

Gdy przeszli ostatnie kilka kilometrów, powiedział, że od tej pory mają iść w całkowitej ciszy i sam dał przykład, jak mają się skradać. Niedoświadczeni żołnierze patrzyli na niego z uznaniem.

Kiedy schodzili z jednego ze wzgórz, Bronek zauważył w oddali trzech ludzi.

– Stać – rozkazał, a cały oddział zamarł. Zaniewski wyciągnął rękę, aby podano mu lornetkę. Spojrzał przez nią i zrobiło mu się słabo. Zobaczył ludzi w szarych mundurach.
„Jeszcze jedna grupa esesmanów?” – pomyślał z rezygnacją. Chciał nakazać odwrót, kiedy Alexander Klaas krzyknął, że to Niemcy. Bronek pokiwał głową i nakazał kontynuować marsz, tym razem w kierunku trójki ludzi, którzy też już ich zobaczyli.

Obelt i Chwieduszek znajdowali się bliżej drugiej grupy Niemców aniżeli oddziału Bronka. Zajęli pozycje po dwóch stronach drogi, którą mieli iść ludzie Zaniewskiego. Nie leżeli dokładnie naprzeciwko siebie, ale bez trudu mogli się dojrzeć.

Kiedy kapitan zauważył drugi oddział SS, zadziwiająco nieliczny, zaczął się zastanawiać. Nie widział powodu do nadmiernego niepokoju, bo Bronek miał teraz niemiecką eskortę, która dodawała mu wiarygodności. Jednak trzech kolejnych esesmanów mogło się okazać bardziej

doświadczonymi lub inteligentniejszymi ludźmi niż młodzi członkowie grupy Zaniewskiego.

Obelt wykonał umówiony gest w kierunku Chwieduszki, by ten się przygotował. Przestał jednak wierzyć, że w takich okolicznościach uda im się zrealizować plan. A plan ten był starannie wymyślony i przygotowany, zaś każdy ruch oddziału Bronka przewidziany. Niestety, tych trzech nowych esesmanów mogło zburzyć całą misternie ułożoną konstrukcję.

OKOLICE PLESZEWA, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Christian i Maria wymieniali się uwagami na temat ruchów niemieckich wojsk. Udawała żywo zainteresowaną tematem, bo odkryła, że pasjonuje on Leitnera. Z chęcią opisywał – teraz już powszechnie znane i niestanowiące tajemnicy wojskowej – decyzje dowódców poszczególnych armii. Powstrzymywał się jednak przed ich oceną. Maria próbowała namówić go, by opowiedział, jak sam by postąpił w takich sytuacjach, ale chłodno oświadczył, że to nie należy do jego kompetencji.

Powiedział za to, że najszybciej jak to możliwe postara się potwierdzić ich tożsamość w redakcji „Neue Stimme”. Postanowił ulokować ich na noc w swoim namiocie, którego mieli pilnować strażnicy. Gdy przeprosił Marię za przedsięwzięcie takich środków ostrożności, kobieta zdała sobie sprawę, że mimo tego, iż nosi niemiecki mundur, odnosi się do kobiet – nawet podejrzanych – z wielkim szacunkiem.

Potem zwróciła uwagę, że Staszek znów błędnie wodzi wokół wzrokiem. Zaczęła się obawiać, że szykuje jakieś ryzykowne posunięcie, ale wiedziała równocześnie, że, jak zwykle, będzie się kierował logiką i chłodno oceni sytuację. Naszła ją dziwna refleksja, że w innych okolicznościach Christian i jej narzeczony mogliby się stać dobrymi znajomymi.

Staszek zwolnił nieznacznie kroku, co nie uszło uwadze zarówno Leitnera, jak i Marii.

Teraz wiedziała już na pewno, że ukochany coś kombinuje. Zapewne ocenił, że skoro obecnie pilnuje ich tylko jeden Niemiec, a kiedy dotrą do obozu, będzie ich setka lub więcej. Racjonalnie rzecz ujmując, powinni próbować ucieczki teraz. Maria miała jednak dobre przeczucia co do Christiana Leitnera i sądziła, że nie jest on jednym z zaślepionych żołnierzy, wielbiących Hitlera bezgranicznie. W przyływie optymizmu stwierdziła, że może nawet gdyby dowiedział się, że są Polakami, puściłby ich wolno.

Odwróciła się do Staszka i wykonała w jego kierunku kilka gestów, udając język migowy. Kiedy zwróciła głowę w jego stronę tak, by Leitner nie widział wyrazu jej twarzy, rozszerzyła nienaturalnie oczy, aż zabolowały ją powieki. Staszek poruszył kilka razy dłońmi, kreśląc linie w powietrzu.

Wróciła do rozmowy z Leitnerem, a ten nie spytał o jej konwersację z towarzyszem.

Kiedy Rodemeyer ujrzał Leitnera w towarzystwie pięknej kobiety i jakiegoś cywila, podszedł do nich energicznym krokiem i zsalutował kapitanowi.

– Marvin, twoja troska była niepotrzebna – powiedział Christian, mając na myśli żołnierzy wysłanych mu do lasu jako eskorta.

– *Herr hauptmann*, przynajmniej miał kto taszczyć nosze z tamtym człowiekiem.

– Nazywa się Fabio Wendt – wtrąciła Maria. Leitner wytłumaczył przyjacielowi, kim są

spotkani ludzie.

- Co z nim? – spytała Herensztad, mając na myśli Holzera.
- Będą wyjmować mu kulę. Druga przeszła na wylot – odparł Marvin.
- Przeżyje?
- Są na to raczej nikłe szanse. Przykro mi.

Opuściła głowę, po czym wykonała kilka gestów w stronę Staszka. Ten, widząc wyraz jej twarzy, przybrał równie smutną minę. Był niezadowolony, że za pomocą samego wzroku odwiodła go od pomysłu powalenia Niemca na ziemię i ucieczki. Znajdowali się teraz pośród całego zastępu hitlerowców. Podczas drogi tutaj stwierdził, że skoro Maria najwyraźniej zorientowała się w jego zamiarach i próbowała od nich odwieść, musiała mieć jakiś plan.

Omiótł wzrokiem obóz i stwierdził, że tutaj będą czekać na śmierć. Kiedy człowiek, który wybawił ją od gwałtu pokusi się o sprawdzenie ich tożsamości, dojdą do krańca swej drogi na tym świecie. Staszek się skrzywił.

– Coś nie tak? – zapytał Rodemeyer, widząc, że człowiek przedstawiony mu jako Gottwin patrzy na zgromadzonych żołnierzy i się krzywi.

- Nie ma dobrych wspomnień związanych z obecnością tyłu żołnierzy – odpowiedziała Maria. Rodemeyer pokiwał głową, choć nie do końca rozumiał.

Leitner odprowadził ich do swojego namiotu, po czym nakazał jednemu z żołnierzy przynieść dwójce wędrowców coś do jedzenia, drugiemu natomiast pilnować wejścia. Sam udał się do namiotu sanitarnego.

- Co z panem Wendtem? – spytał.
- O tyle miał szczęście, że jedna z kul przeszła na wylot. – Sanitariusz wskazał miejsce na prawej piersi Holzera. – Nie trafiła w płuca, inaczej byłby już martwy.
- A druga?
- Minęła serce i aortę. Spowodowała krwotok, ale go powstrzymaliśmy.
- Prognoza?
- Trudno stwierdzić, *Herr hauptmann*. I tak dziwię się, że ten człowiek jeszcze żyje. Nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo taki stan rzeczy się utrzyma.
- Rozumiem.

Leitner wyszedł i podszedł do Rodemeyera. Teraz, kiedy większość rannych żołnierzy z jego oddziału zakończyła posiłek, przy stole było sporo wolnych miejsc. Marvin siedział i jadł zupę.

Kapitan przekazał przyjacielowi wszystko, czego dowiedział się od reporterów „*Neue Stimme*”. W końcu zapytał:

- Co myślisz o tych ludziach, Marvin?
- A co niby mam myśleć?

Christian milczał. Wyciągnął papierosa i poprosił funkcyjnego o zupę, więc Rodemeyer dodał:

- Mają dokumenty ze zdjęciami. Mają rozkaz z ministerstwa.
- I znajdują się w samym środku działań wojennych.
- Jak to dziennikarze. Hieny czekające na garść sensacji.
- Może. Ale postrzelili Heinlego.

– Wiesz, Leiner... gdybym miał okazję, sam bym go postrzelił. Nie mówiąc już o tym, że udusiłbym go gołymi rękami, gdyby chciał zgwałcić moją towarzyszkę.

– Przewiduję dla niego wyrok śmierci – powiedział Christian. Znów poczuł niesmak, gdy przypomniał sobie zajście w lesie. Żołnierz, który miał tego dnia wachtę w kuchni, postawił przed kapitanem talerz zupy, a ten kiwnął głową i zabrał się do jedzenia.

– Nie będę go żałować – odparł podporucznik.

– Mógłbyś zająć jego miejsce w mojej kompanii.

– Jako twój zastępca? Nie, dziękuję. Trzymasz taką dyscyplinę, że twoi żołnierze chodzą, jakby połknęli kije.

– Nie żartuj, to poważna propozycja.

– Może i bym chciał. Ale to nie zależy od nas.

Leitner kiwnął głową i stwierdził, że porozmawia z odpowiednimi osobami.

– Słuchaj, Christian, pewna rzecz nie daje mi spokoju.

– Słucham – odparł, nabierając zupę na łyżkę.

– Skądś kojarzę twarz człowieka, którego postrzelił Heinle. Nie mogę sobie przypomnieć gdzie, ale jestem przekonany, że gdzieś już tę twarz widziałem. Jest zresztą dosyć charakterystyczna.

– To prawda, ten fotograf wygląda jak urodzony bandyta. Spróbuj sobie przypomnieć.

Marvin Rodemeyer podrapał się po głowie.

Staszek i Maria odetchnęli, gdy Leitner opuścił namiot. Rzucili się sobie w ramiona. Dziewczyna wtuliła się w narzeczonego, a ten poczuł, że po raz pierwszy, od kiedy zatrzymał ich oddział Wehrmachtu, mogą się cieszyć odrobiną bezpieczeństwem. Mocniej przytulił ukochaną.

– Jaki masz plan? Musimy działać szybko – zapytał szeptem.

– Jaki plan?

– Myślałem, że wymyśliłaś coś w tej swojej pięknej główce – nieznacznie podniósł głos, za co pstryknęła go w nos.

– Jakoś mi się wydaje, że ten Leitner może nas z tego wyciągnąć.

Streściła mu pokrótce, o czym rozmawiała z oficerem i jaką wersję wydarzeń przedstawiła.

– Dobre. Działasz w stresie jak pantera w lesie – powiedział, a Maria się uśmiechnęła, doceniając prosty wierszyk.

Chwilę potrwało, zanim wymyślili znaki, dzięki którym Staszek będzie wiedział czy ma przybrać grobową minę, czy się śmiać, czy też płakać. Nagle Marię opanowała wesołość – wyobraziła sobie, jak cała ta sytuacja wyglądała z perspektywy jej narzeczonego: otaczający go ludzie mówią w niezrozumiałym języku, a ona „przemawia” do niego machnięciami rąk, które tak naprawdę nic nie znaczą.

– Kiedy ma sprawdzić naszą tożsamość? – spytał Staszek.

– Nie wiem, ale pewnie zrobi to dość szybko, bo wygląda na takiego, który nie traci czasu.

– Musimy więc jeszcze dziś dać stąd nogę.

– A widzisz na to jakąś szansę?

Zastanawiał się dłuższy czas, wodząc wzrokiem po ścianach namiotu.

– Bez problemu wytniemy w tym dziurę.

– Jasne, tylko że wyjdziemy wprost w chmurę Niem..

Przerwała, gdyż rozchyliło się wejście do namiotu i pojawił się Leitner.

– Miło mi poinformować, że wasz towarzysz Wendt żyje.

– Dzięki Bogu! – powiedziała Maria. Kapitan obdarzył ją spojrzeniem, którego znaczenia nie mogła odczytać. Z pewnością jednak nie było przyjazne.

– Bóg nie ma z tym nic wspólnego. Sanitariusze wyciągnęli drugą kulę, która nie trafiła w żaden żywotny organ. Nie wiedzą jednak czy wasz fotograf przeżyje nadchodzące godziny.

Christian uklonił się i wyszedł, pozostawiając strażnika na posterunku.

OKOLICE BENIOWEJ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek ściągnął czapkę oficerską i przecesał palcami swoje nowe blond włosy. Z niepokojem obserwował zbliżających się trzech ludzi. Kiedy stanęli przed nim, nastąpiła chwila ciszy, która przeciągała się w nieskończoność. „Cholera, wyżsi stopniem, czekają na salut”.

– *Heil Hitler* – powiedział i nienagannie wykonał hitlerowskie pozdrowienie.

– *Heil Hitler*. Untersturmführer, kim jesteście i co tutaj robicie? Nie dostałem informacji o innych naszych oddziałach w okolicy – odparł człowiek około czterdziestoletni, noszący insygnia SD na rękawie oraz wpinę z trupa czaszką w klapie kurtki mundurowej. „Żelazna dyscyplina mundurowa” – pomyślał Bronek.

– Klaas – Zaniewski skinął na podwładnego, który przedstawił cel ich marszu oraz zidentyfikował oddział.

– Ten oddział miał być pod innym dowództwem i znajdować się w innym miejscu – stwierdził rozmówca. – Przedstawić się.

– SS-Untersturmführer Reinhold Winterberg. W ostatniej chwili zmieniono rozkazy.

Alexander Klaas popatrzył niepewnie na swojego przełożonego, który wydał mu się nieco zdenerwowany spotkaniem trójki funkcjonariuszy SD.

– SS-Obersturmführer Blankenburg.

Bronek zauważył poruszenie w swoich szeregach. To nazwisko najwyraźniej z jakiejś przyczyny budziło respekt. Zauważył również, że porucznik nosi broń inną, niż wszyscy inni esesmani, których do tej pory spotkał.

– Nie doszły do mnie takie rozkazy – zauważył przybyły oficer.

– Tak właśnie pracują w sztabie, panie poruczniku – rzekł Bronek.

Usłyszał odgłos silnika i w oddali zauważył zbliżający się samochód ozdobiony na drzwiach dwoma błyskawicami.

– To prawda. Zaraz potwierdzimy to telefonicznie i będziecie mogli kontynuować marsz.

– Tak jest.

Zaniewski zaczął ostrożnie rozglądać się w poszukiwaniu ratunku. Stali na polnej drodze, ale w niedalekiej odległości, po obu stronach, widniały ściany lasu. Gdzieś w tym gąszczu ukryli się

Obelt i Chwieduszko, którzy mieli powystrelać jego einsatzgruppe. Ale akcję mieli rozpocząć dopiero gdy ludzie Bronka przekroczą punkt wyznaczony przewróconym konarem na obrzeżu drogi.

Sytuacja się skomplikowała. Przybyło trzech Niemców, a z tego, co widział Zaniewski, w zbliżającym się samochodzie siedziało kolejnych dwóch. Kluczem do sukcesu planu Obelta było zupełne zaskoczenie i błyskawiczne zebranie krwawych żniw. Gdyby pierwszy ostrzał okazał się nieskuteczny, przewaga liczebna przeciwnika oznaczałaby porażkę polskich żołnierzy.

– Póki co, dokumenty – Blankenburg zwrócił się do Bronka znudzonym głosem.

Najwyraźniej wcale nie bawiło go sprawdzanie zwyczajnego oddziału kierującego się śladami polskiej grupy dywersyjnej, ale musiał to zrobić.

– Oczywiście, panie poruczniku.

Bronek zaczął przeszukiwać kieszenie, po czym wtrącił:

– Też szukacie tych polskich partyzantów?

– Tak. Słyszeliśmy, że mają bazę we wsi Beniowa. Z ostatnich rozkazów wynikało, że wy macie tam czekać, podczas gdy my mieliśmy się z nimi rozprawić w terenie i zagnać niedobitki wprost na was. Potem miała nastąpić egzekucja wrogów Rzeszy.

Zaniewski głośno wciągnął powietrze, przytrzymał je chwilę w płucach i równie głośno wypuścił nosem. Lekko się uśmiechnął.

Blankenburg popatrzył na niego podejrzliwie, ale że właśnie nadjechał samochód SS, rozkazał swoim ludziom nawiązać kontakt z dowództwem Einsatzkommando 4/I. Jednocześnie zaczął się niecierpliwić, gdyż jego rozmówca nadal szukał dokumentów. Zdziwiło go też, że paraduje w mundurze galowym, choć sam też często łamał dyrektywy odnośnie ubioru i wyposażenia.

Czuł dumę, że do widniejącego na jego mundurze niemieckiego orła dzierżącego swastykę dołączył trupa czaszkę, mimo że nie zalecano ich noszenia. Także wbrew regulaminowi nosił belgijski pistolet marki Browning, którym wykonał już wiele egzekucji ludzi znajdujących się na liście wrogów Rzeszy – a przecież wojna dopiero się zaczęła. Pozbawiając życia kolejne osoby, czuł satysfakcję, ale tak naprawdę nie była ona wielka – to było tak, jakby rozgniatał butem mrówki. By poczuć prawdziwe emocje, potrzebował godniejszych przeciwników.

Przed wojną uczestniczył w przygotowaniu list proskrypcyjnych, oficjalnie nazywanych *Specjalnymi księgami Polaków ściganych listem gończym*. Początkowo zawierały wykazy nazwisk ludzi, którzy byli ważni dla obronności Polski bądź po prostu narazili się Niemcom. Ale z dniem pierwszego września zostały uzupełnione o artystów, inteligencję, szlachtę, duchownych czy polityków. Żydów nie trzeba było na nich umieszczać – ich nazwiska widniały na oddzielnych wykazach.

Blankenburg nie był zadowolony, że wysłano go akurat tutaj. W tej głuszy nie mieszkało zbyt wielu ludzi figurujących na listach. Szczęśliwie jednak rozkazy były tak ogólne, a jego kompetencje tak szerokie, że mógł wedle własnego uznania likwidować wszystkich, którzy wydali mu się podejrzani.

Ale tak naprawdę poczuł, że jest w swoim żywiole, gdy dostał informację o działalności w okolicy jakiejś polskiej grupy dywersyjnej. „Wreszcie coś się dzieje” – pomyślał i za punkt honoru postawił sobie ujęcie i zlikwidowanie tych ludzi.

Obelt obserwował z rosnącym niepokojem spotkanie Bronka z trzema nowymi ludźmi. Jego rozważania nie trwały długo, gdyż zwrócił uwagę na to, że Zaniewski nerwowo przeszukuje kieszenie. „Kurwa, kazał mu się wylegitymować” – pomyślał kapitan.

Chwieduszko, siedzący po drugiej stronie drogi, był trochę bliżej Niemców i nawet słyszał rozmowę. Wprawdzie nic nie rozumiał, ale widział, że oficer wyższy stopniem był wyraźnie znudzony i woli szybko wrócić do swych zajęć, niż zajmować się spotkaną einsatzgruppe. Jego nadzieja prysła, kiedy zobaczył, że Broniek szuka dokumentów.

Chorąży popatrzył w stronę Obelta, ale nie mógł go dojrzeć. „No tak, kapitan zakamuflował się wprost idealnie. Trzeba działać, inaczej ten cholerny Zaniewski zaraz będzie gryzł piach” – stwierdził.

„Gdyby nie ten samochód, sytuacja byłaby jeszcze do uratowania” – pomyślał tymczasem Obelt. Cały jego plan legł w gruzach. Nie dość, że Niemcy kilkakrotnie przewyższali ich liczebnością, to parkując samochód akurat w tym miejscu, postawili zaporę, która uniemożliwi Polakom celny ostrzał.

Zauważył, że nowo przybyły oficer kieruje swoją rękę ku kaburze pistoletu. Popatrzył na Bronka, który najwyraźniej tego ruchu nie zauważył. Był pochłonięty penetrowaniem wewnętrznych kieszeni kurtki w poszukiwaniu nieistniejących dokumentów.

Warszawiak nie mógł zebrać myśli. Jedyne na co wpadł, to zyskać chwilę czasu, udając, że nadal szuka papierów. Wszystko to trwało nie więcej niż minutę, ale wydawało mu się, że stoi przed Blankenburgiem pół dnia. Ogarniała go panika. Stwierdził, że Obelt zaraz otworzy ogień, to jednak nie zwiększało jego szans na przeżycie. Porucznik SD zapewne najpierw strzeli do niego, a dopiero potem zajmie się ukrytymi wrogami.

Pomyślał o Anieli. Był to znak, że jego umysł pogodził się z losem i nie próbował już stworzyć scenariusza wyjścia z sytuacji.

Zdyszany Roman Kiljan podbiegł do Kremmera.

– Panie Kremmer, niechże pan rusza!

– Ale gdzie, szanowny panie szeregowy? Nie otrzymaliśmy sygnału do rozpoczęcia natarcia.

– I nie otrzymamy, sierżant jest udupiony.

– Ależ takie sformułowania nie przystoją zacnemu...

– Panie Kremmer, oni zaraz go ubiją! Gazu! – krzyknął Kiljan, przerywając wywód Kremmera.

– Apeluję o spokój. Nie jest mi znany cel, do którego mamy się kierować. Wszak drogę tarasuje tamten samochód.

– Panie Krrremmerrr! – krzyknął Kiljan i wskazał mu kierunek ranną ręką.

– To doprawdy nierozważne – odparł ziemianin, ale czym prędzej wykonał polecenie.

Obelt przymknął jedno oko i wycelował w głowę Blankenburga. Wziął głęboki oddech. Miał nadzieję, że Chwieduszko w tym samym momencie celuje do esesmana stojącego za Bronkiem.

OKOLICE PLESZEWA, PUNKT SANITARNY WEHRMACHTU, DRUGA POŁOWA

WRZEŚNIA 1939 ROKU

Po odprawieniu codziennego rytuału, składającego się z pompek, brzuszków i przysiadów, Christian Leitner udał się na sześciokilometrowy bieg po lesie, w którym wcześniej znalazł Heinlego, próbującego osiąść Ginę wbrew jej woli.

Kiedy kapitan wracał do obozu, musiał przyznać przed samym sobą, że myśli o kobiecie więcej niż powinien. W jakiś sposób go fascynowała. Nie mogła równać się urodą z jego żoną, Johanną, a mimo to nie potrafił wyrzucić jej z myśli.

Nigdy nie zdradził żony i nawet jeśli czasem, mimo jego chłodnego obejścia, jakaś kobieta zachęcała go do zawarcia bliższej znajomości, zbywał ją samym wzrokiem, nie musząc wypowiadać ani jednego słowa.

Gina Henckel von Donnersmarck stanowiła więc dla niego intrygujący wyjątek, ale nigdy nie pozwoliłby sobie na przekroczenie pewnej granicy. Nie pozwalał mu na to jego żelazny system wartości. Jednak od kiedy spotkał intrygującą dziennikarkę, nie było mu łatwo utrzymać myśli na wodzy.

Wczoraj nocował w innym namiocie, a swój udostępnił Ginie i temu głuchoniememu, Gottwinowi. Nie obyło się bez „koszmarów katnerowskich”, które towarzyszyły mu za każdym razem, gdy kładł się spać.

Tym razem Katner występował w roli średniowiecznego kata. Umieścił Leitnera na kole znajdującym się metr nad drewnianym podłożem. Kapitan był nagi, a jego kończyny zostały rozciągnięte na narzędziu tortur tak, że ręce i nogi wystawały poza koło. Polak trzymał narzędzie przypominające młot i po kolei uderzał w wystające części ciała, gruchocząc kości. Wokół zebrał się rozentuzjasmowany tłum, który domagał się jeszcze większego okrucieństwa.

Gdyby nie poranny rytuał Leitnera, który doprowadzał go do porządku i przypominał o tym, że nocne przeżycia są jedynie wytworem wyobraźni, zapewne podejrzewałby, że ma zachwianą psychikę. Zresztą, kto wie – musiał przyznać, że był trochę rozkojarzony. Oceniał jednak, że koszmary nie wpływają na jego przydatność dla armii jako żołnierza.

Wciąż był pełen podejrzeń wobec reporterów „Neue Stimme”, ale powoli zaczynał sądzić, że jego wątpliwości nie mają żadnej uzasadnionej przyczyny. Skonstatował, że każdy inny żołnierz puściłby ich wolno i miał problem z głową. Jednak Christian nie zostawiał żadnej sprawy niedokończonej, szczególnie jeśli pojawił się choć cień wątpliwości.

Nie udało mu się jednak skontaktować z redakcją gazety. Kiedy został połączony z centralą, dyżury łącznościowiec stwierdził, iż żałuje, ale nie może obciążać linii tego typu połączeniami. Miał jasne rozkazy, by wykorzystywać ją jedynie do celów wojskowych.

Złożył potem wizytę radiotelegrafistom, aby zebrać wszelkie dostępne informacje o przebiegu działań wojennych. Nie musiał nawet o nie pytać, żołnierz odpowiedzialny za komunikację wiedział, co sprowadza Leitnera.

– Witam, *Herr hauptmann*. Wcześniej pan wstaje, a mimo to już mam dla pana nowe rozkazy.

– Słucham.

– Dowództwo zdecydowało, że ma pan uzupełnić swoją kompanię i skierować się z powrotem do Rawitscha.

– Że co proszę?

– Niestety, radiotelegrafistom więcej nie mówią.

– Nawet tego, kim uzupełnić szeregi? Mam sobie dowolnie przebierać wśród żołnierzy?

Radiotelegrafista był skonsternowany, zaczął przerzucać kartki leżące obok odbiornika. Podał Christianowi oznaczenia dwóch kompanii, które zostały przetrzebione i oświadczył, że ich niedobitki mają zostać wcielone do jego pododdziału. Oficer westchnął i pokiwał głową.

– Miło mi również zameldować, że nasz Führer wkroczył triumfalnie do Danzig, który na powrót znalazł się w granicach Rzeszy – dodał żołnierz.

– Było to tylko kwestią czasu – stwierdził Leitner z nieukrywaną satysfakcją w głosie. – Co jeszcze?

– Zwycięstwo naszych sił nad rzeką Bzurą. Oprócz związanych bojem oddziałów nieopodal Tomaszowa Lubelskiego, Polacy nie mają już oddziałów, które mogłyby stanowić dla nas zagrożenie. Armia Czerwona podeszła pod Lwów i rozpoczęła szturm miasta. A na zachód od niego stoją już siły Wehrmachtu.

– Jak daleko dotarli Rosjanie?

– W okolice Grodna i Wilna. Oraz, jak mówiłem, Lwowa.

– Rozumiem. Posuwają się jak czerwone ślimaki.

– Tak jest, panie kapitanie. – Radiotelegrafista się uśmiechnął.

Leitner skierował się do swojego namiotu, by sprawdzić, czy reporterzy już wstali, ale rozważając sens otrzymanego rozkazu, zmienił kierunek swoich kroków. Poszedł do namiotu Marvina. Został go śpiącego na pryczy.

Podniósł kubek z zimną wodą i wylał na starego przyjaciela.

– Co do... – Rodemeyer urwał, kiedy zobaczył nad sobą Christiana. Roześmiał się i otarł wodę z twarzy.

– Wstawać, poruczniku – mruknął kapitan.

– Tak jest, *Herr hauptmann*. W dobrym humorze dziś, widzę.

– Może.

– Ta cała Gina wpływa na ciebie wyjątkowo dobrze, Leiner.

Leitner popatrzył na niego z dezaprobatą. Nie życzył sobie, by ktokolwiek, nawet w żartach, sugerował, że może czuć coś do innej kobiety niż Johanna.

– Poważnie. Nigdy nie widziałem, byś dopuścił się nawet tak starego i kiepskiego numeru, jak wylanie zimnej wody na śpiącego żołnierza. Normalny Leiner powinien raczej szturchać mnie lufą karabinu.

– Marvin, daj spokój. Przypomniało ci się, skąd znasz tego fotografa?

– Niestety. Myślałem o tym, zanim poszedłem spać, ale niczego sobie nie przypomniałem.

– W porządku – powiedział Christian, ukrywając rozczarowanie i wyszedł z namiotu, by udać się do Giny i Gottwina.

Maria jeszcze się nie obudziła. Staszek siedział obok i wpatrywał się w oblicze ukochanej. Widział, jak pod powiekami jej gałki oczne ruszały się energicznie na wszystkie strony. Stwierdził, że pewnie śni się jej coś złego. Zastanawiając się czy faktycznie nękają ją koszmary, wstał i zapalił papierosa. Wypuścił dym w kierunku dachu namiotu.

Było koło szóstej rano, wokół panowała cisza. Zaniewski po raz kolejny nie mógł się wyspać, mimo że obok nie było Holzera z sauerem pod poduszką. Ale jego miejsce zastąpiła zgraja

Niemców, którzy zachowywali się, jakby byli u siebie.

Gdzieś w oddali świergotały ptaki, jak gdyby nic złego na świecie się nie działo.

A przecież Rzesza właśnie rozciągnęła swe macki na terytorium Polski. Do tej pory Staszek był tak skupiony na konsekwentnym realizowaniu planu przedarcia się na zachód, że nie myślał o innych sprawach. Skupiał całą uwagę na tym, by znajdowali miejsce na sen i posuwali się naprzód.

Tego ranka po raz pierwszy dotarło do niego, że w ciągu kilku dni stanie się człowiekiem bez ojczyzny. Polska przestanie istnieć. Nawet więc jeśli uda im się trafić do rodziny Marii we Francji, nie będą mieli dokąd wracać.

Usłyszał odgłos kroków. Ktoś cicho odsunął płachtę wejściową namiotu i bezszelestnie wsunął głowę do środka.

Christiana zaskoczyło, że Gottwin jest o tej porze na nogach, choć nie czekają na niego żadne obowiązki. Ukłonił mu się i nie wiedząc, jak nawiązać z nim kontakt, ze zmieszaniem obrócił się na pięcie i wyszedł. Udał się do namiotu swojej kompanii, by poinformować żołnierzy o rozkazie powrotu do Rawitscha. Uzupełnienie jej o niedobitki innych pododdziałów odłożył na później.

Nie mógł przeboleć dyspozycji o wycofaniu się na zachód. Choć musiał przyznać, że wojska Rzeszy postępowaly naprzód i nic nie wskazywało na to, by jakiegokolwiek polskie oddziały mogły je powstrzymać. I najwyraźniej dlatego ktoś w dowództwie uznał, że obecność jego kompanii nie jest potrzebna na froncie.

Leitner od pierwszego dnia wojny nie miał wątpliwości, że dość szybko opanują terytorium Polski, ale gdy Wehrmacht starł się z polskimi siłami w okolicach Kutna, w jego umyśle zarysowały się pewne obawy. Sprawę jednak ostatecznie przypieczętowało wkroczenie wojsk rosyjskich. Polacy nie byli w stanie przeciwstawić się siłom samej Rzeszy, więc co dopiero mówić o walce na dwa fronty.

Maria spała jeszcze kilka godzin, a Staszek kręcił się bez celu po namiocie. Cały ranek upłynął mu na rozmyśleniach o utraconym kraju, o walczącym gdzieś bracie i rodzicach, którzy zostali w Warszawie.

Nie bał się o los matki, która dysponowała odpowiednimi funduszami, by zapewnić sobie bezpieczeństwo, a w razie czego przekupić odpowiednio wysoko postawionych Niemców. Z pewnością nie pójdzie na barykady, kiedy wróg wtargnie do stolicy. Ponadto wuj Marii, Emanuel, obiecał ją odwiedzać i dbać o jej bezpieczeństwo.

Z ojcem było inaczej – Władysław Zaniewski zawsze był pierwszy, kiedy chodziło o obronę ojczyźnej ziemi. Wraz z wybuchem wojny został ponownie powołany do służby i skierowany do oddziału obrony przeciwlotniczej. Wedle informacji z pierwszego września znajdował się gdzieś na Okęciu, gdzie spadły pierwsze niemieckie bomby.

Kiedy Maria się obudziła, opowiedział jej o porannej wizycie Christiana.

– Jak wyglądał?

– Jak to Leitner. Kamień wyraża więcej emocji. Zresztą, wsadził tylko głowę i po chwili się wycofał.

– Ale nadal żyjemy. Czyli albo nie sprawdził naszych tożsamości, albo w redakcji udzielili mu

informacji tylko takich, że istniejemy i jesteśmy w terenie.

– Zapytaj go o to przy śniadaniu.

– Dobra.

Kiedy się ubrała, opuścili namiot i poszli za zapachem jedzenia. Zobaczywszy jednak, że wszystkie miejsca w namiocie przeznaczonym do spożywania posiłków są zajęte, oddalili się i poczekali, aż większość żołnierzy skończy jeść.

OKOLICE BENIOWEJ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Obelt odliczył od trzech do jednego i strzelił. Rozległ się huk i tylko Broniek z Chwieduszką wiedzieli, z której strony nadleciała kula.

– Kurwa mać. Przecież to niemożliwe – zaklął na głos kapitan.

Człowiek, do którego celował, zrobił nieznaczny unik, kiedy tylko usłyszał odgłos wystrzału.

Chwilę później rozległ się ryk silnika i samochód prowadzony przez Kremmera pojawił się po drugiej stronie drogi. „Kiljan, dzięki Bogu” – pomyślał Obelt.

Wraz z wystrzałem oddanym przez Obelta odezwał się karabin Chwieduszki. Chorąży zdjął jednego z trójki funkcjonariuszy, którzy zatrzymali grupę Bronka. W tym czasie Blankenburg rzucił się na ziemię i przetoczył w stronę swojego samochodu. Schował się za nim i wyciągnął belgijski pistolet, szukając w ścianie lasu celu, na który mógłby skierować ogień. Kiedy zorientował się, że jego niedoszły zabójca jest zbyt dobrze ukryty, ostrożnie sięgnął do samochodu i wyjął karabin oraz lornetkę, przez którą zaczął przepatrywać linię drzew.

Nie liczył się dla niego napotkany podporucznik ani chaos, który opanował oddział młodych esesmanów. Chciał tylko dopaść człowieka, który śmiał próbować go zabić.

Gdyby nie wieloletni trening, polegający na wyćwiczeniu mięśni do natychmiastowego ruchu na odgłos nawet niespodziewanego wystrzału, byłby już martwy. „Przez jebanego partyzanta, który jak tchórz chowa się w lesie” – pomyślał.

Roman Kiljan siedział z tyłu samochodu, na prowizorycznie urządzonym stanowisku strzeleckim. Z trudem mógł wycelować w kogoś z Niemców, strzelał więc niemal na oślep, mając nadzieję, że Zaniewski padnie na ziemię. I będzie tak czekał, aż Niemcy zostaną skoszeni w ogniu krzyżowym przez szeregowego z jednej strony, a Chwieduszkę i Obelta z drugiej.

Kiljan krzyczał i oddawał kolejne salwy, ledwo wytrzymując odrzut karabinu. Kremmer, zgodnie z planem, starał się prowadzić samochód możliwie nieprzewidywalnym zygzakiem, by utrudnić Niemcom trafienie. Przez to jednak szeregowy miał coraz większe trudności z celowaniem. Choć po prawdzie, był tak zdenerwowany, że nawet gdyby stał w miejscu, zapewne waliłby na oślep.

Tymczasem Chwieduszko zaczął oddawać kolejne celne strzały. Gdy trafił kilku Niemców, stwierdził, że jak najszybciej musi zmienić miejsce, bo przeciwnicy szybko zorientują się, gdzie leży. Cudem będzie, jeśli zaraz nie rzucą w jego kierunku kilku granatów. Strzelił jeszcze raz, po czym przetoczył się parę metrów w prawo i, zachowując pełną ostrożność, przeczołgał jeszcze kawałek dalej.

Obelt próbował namierzyć człowieka, który w niezrozumiały sposób uchylił się przed pociskiem z jego broni. Nie potrafił go jednak wypatrzeć, więc stwierdził, że Niemiec musiał

przetoczyć się za samochód. Kapitan nie miał wątpliwości, że przeciwnik nie jest na tyle głupi, by wyściubiać nos za osłonę, jaką oferował pojazd. Wziął więc do ręki granat obronny wzór 33, wypełniony trotylem. Leżąc, cisnął nim w stronę samochodu.

Po kilku sekundach rozległ się głośny wybuch. Z samochodu nie pozostało nic prócz smaganego językami ognia poskręcane metalu.

Zadowolony z efektu polski oficer skierował uwagę na członków einsatzgruppe. Banda młodych hitlerowców wpadła w panikę. Uciekali na wszystkie strony, szukając jakiegokolwiek osłony przed ostrzałem. Niektórzy strzelali w kierunku Kremmera i Kiljana, ale niecelnie. Inni próbowali szczęścia, waląc w stronę Chwieduszki i Obelta, na szczęście nawet nie wiedzieli dokładnie, gdzie ci leżą.

Obelt najpierw zabił dwóch Niemców uciekających na drugą stronę drogi, a dopiero potem spojrzał na cholernego Zaniewskiego, by ocenić jego stan.

Bronek leżał bez ruchu i starał się wtulić głowę w ziemię. Czuł, jakby pociski świstały tuż nad nim, choć w rzeczywistości żaden nie przeleciał w pobliżu. Najwyraźniej uratowali go Kiljan i Kremmer, którzy zachowali się na tyle przytomnie, by wjechać na drogę po drugiej stronie – tam, gdzie nie blokował jej samochód esesmanów.

Czekał na odpowiedni moment, by wstać i puścić się pędem w stronę drzew, skąd Chwieduszko i Obelt prowadzili nieprzerwany ostrzał.

Chwilę po tym, jak ustały strzały chorążego, rozległ się przeraźliwy huk i powietrze przeszył świst o wiele głośniejszy niż ten spowodowany pociskami.

„Wysadzili samochód” – pomyślał Zaniewski. Nie czekając dłużej, zerwał się z ziemi i ruszył pędem w stronę Obelta, po drodze wyciągając walthera. Celował w Niemców, którzy pośpiesznie starali się zająć dogodne pozycje, by wreszcie móc odpowiedzieć ogniem partyzantom chowającym się w lesie. Polak wiedział, że postępuje nierozważnie – stanowił łatwy, choć ruchomy, cel. Biegając i strzelając, ściągał na siebie uwagę hitlerowców, stwierdził jednak, że musi podjąć ryzyko.

Wreszcie dotarł do kapitana, który rzucił krótko na przywitanie:

– Dzięki, teraz wiedzą, gdzie strzelać.

Nie narzekając dłużej, wsadził sierżantowi do ręki mosina z lunetą.

– Pędem na zachód. Ukryj się dobrze i wal do nich.

Zaniewski zerwał się i ruszył we wskazanym kierunku. Ulokował się za drzewem o potężnym pniu. Zaczął celować.

Chwieduszko zajął nową pozycję i widząc, że Bronkowi udało się uciec z pola walki, chwycił za granat i cisnął nim w stronę Niemców. Rozległ się huk i uniósł się tuman kurzu, z którego wyleciała ku niebu oderwana od ciała noga.

Esesmani już zdążyli znaleźć kryjówek i teraz trudno było trafić któregokolwiek. Chorąży ocenił, że zabili większą część einsatzgruppe Bronka i co najmniej dwóch z trzech napotkanych funkcjonariuszy SD.

Obelt, mimo niemądrego postępu Bronka, nie zmienił swojego położenia. Był tak dobrze ukryty, że oddanie do niego celnego strzału graniczyło z cudem. Sam natomiast mógł swobodnie przeczesywać wzrokiem drogę. Tyle że nie dostrzegał żadnego ruchu.

„Niemożliwe, żebyśmy wybili ich wszystkich” – pomyślał. Raczej zamarli w bezruchu

i zastanawiali się, jak wyjść cało z zasadzki urządzonej przez Polaków.

Chwilę wcześniej Kiljan i Kremmer odjechali. Spełnili swoją rolę, a teraz ich pojazd stanowiłby zbyt łatwy cel dla Niemców, którzy zajęli już pozycje dogodnie do ostrzału.

Obserwując uważnie drogę, Broniek wypatrzył wojskową czapkę, której fragment raz po raz wychylał się nieznacznie zza sporego kamienia. Stwierdził, że leżący tam esesman co chwila wyściubia nos, próbując wypatrzeć położenie przeciwników.

Zaniewski przyłożył oko do lunety i starał się ocenić warunki do oddania strzału. „Bezwietrznie” – stwierdził z ulgą. Osłona lasu rosnącego po obu stronach drogi powodowała, że snajper nie musiał zbyt przejmować się tym, co dotąd sprawiało mu największą trudność, czyli oceną dryftu pocisku pomiędzy momentem wystrzelenia a chwilą dotarcia do celu.

Wycelował do chowającego się człowieka, kiedy ten kolejny raz wychylił głowę z kryjówki. Kula odbiła się z hukiem od kamienia i poszybowała w dal. Zaniewski zaklął pod nosem. Zmarnował jedyną szansę, by trafić wroga, który teraz będzie już ostrożny.

Nie miał pojęcia, ilu Niemców ostało się przy życiu. Był też pewien, że ani kapitan Obelt, ani Chwieduszko nie mogli tego stwierdzić w całym tym zamieszaniu. Ważne jednak, że nadal mieli przewagę, dyktowali warunki gry. Przeciwnicy byli osaczeni z trzech stron i – na szczęście – nie wiedzieli, że polska grupa liczy zaledwie czterech żołnierzy i jednego starego człowieka.

Tymczasem Obelt cały czas próbował wypatrywać Niemców. I wtedy poczuł coś zimnego na potylicy.

ZACHODNIA POLSKA, TERENY OKUPOWANE PRZEZ RZESZĘ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Sprawdził pan już naszą tożsamość? – Maria spytała Leitnera, kiedy wraz ze Staszkiem usiadła obok oficera podczas śniadania.

– Dzień dobry, pani Gino.

– Witam, panie kapitanie – powiedziała, po czym podała mu dłoń do pocałunku. – Proszę wybaczyć, że zacznam rozmowę w taki sposób.

– Nie szkodzi, cenię sobie konkrety. Niestety, nie udało mi się uzyskać połączenia z Innsbruckiem.

– Wielka szkoda. Zatem nadal będzie pan traktował nas jak oszustów?

– Skądże. Ale proszę mnie...

– Tak, tak. Zrozumieć. *Herr* hauptmann, oczywiście rozumiem, jednak jest to dosyć irytujące, by obywatele Rzeszy byli tak traktowani.

Christian wydawał się wręcz zakłopotany tym, że musi potwierdzić tożsamość reporterów.

– Proszę zajrzeć do swojego kolegi, Wendta. Jest przytomny, choć niemal zupełnie pozbawiony sił. Zapowiedziałem mu państwa przybycie.

– Oczywiście. Jeśli pan pozwoli, zrobimy to od razu.

Maria wykonała kilka gestów w stronę Staszka i wstała. Narzeczony uczynił to samo i ukłonił się Leitnerowi, który wskazał im drogę do namiotu oddziału sanitarnego.

Kiedy weszli do środka, Holzer nieznacznie podniósł głowę i popatrzył na nich bez wyrazu.

– Fabio, jak się czujesz? – zapytała Maria po niemiecku. W namiocie roило się od żołnierzy, którzy odnieśli rany, jak również sanitariuszy.

– W porządku – odparł.

Wykonała kilka gestów do narzeczonego, a ten kiwnął głową i złożył dłonie w dziwnej pozycji.

Holzer patrzył na nich zmieszany, nierozumiejącym wzrokiem, więc dodała:

– Gottwin mówi, że się o ciebie martwił.

We wpół otwartych oczach bandyty pojawiło się zrozumienie. Wyszeptał coś, czego Maria nie zrozumiała. Nachyliła się nad nim i usłyszała:

– Tylko spróbujcie mnie tu, kurwa, zostawić. Pierwsze, co zrobię, to przedstawię im Staszka Zaniewskiego i Marię Herensztad. A jak już was złapią, poinformuję twojego chłopca o tym, że wbiłaś swojemu ojcu nóż w plecy.

Odsunęła szybko głowę i odparła po niemiecku:

– Nie masz się czym przejmować, Fabio. Jesteś pod dobrą opieką.

– Gdzie moja torba?

Maria rozejrzała się po namiocie i stwierdziła, że żołnierze musieli ją zabrać. Jeśli do tej pory nie podnieśli larum, znaczyło to, że albo jej nie otworzyli, albo zrobili to i postanowili zachować pieniądze dla siebie. Zapewne niejeden żołnierz pokusiłby się o przywłaszczenie sobie takiej sumy. Powiedziała o tym Holzerowi, po czym wymienili jeszcze kilka ogólnych uwag na temat stanu jego zdrowia.

Siłacz, najpierw obserwując zachowanie lekarzy, a potem widząc, że jego towarzysze nadal żyli, stwierdził, że mistyfikacja się powiodła. Nie miał pojęcia, jakim cudem tej dwójce dzieciaków udało się wybrnąć z sytuacji, która wydawała się tragiczna. Ostatnie, co pamiętał, to obraz żołnierzy Wehrmachtu, którzy patrzyli na niego z nienawiścią i strzelali. Potem zrobiło mu się ciemno przed oczami i nie mógł się poruszyć. Słyszał jakieś głosy i śmiechy, ale nie był w stanie skupić się na tyle, by je rozpoznać. Co chwilę odpływał.

Kiedy narzeczeni wyszli z namiotu, zauważyli duże poruszenie. Wyglądało na to, że żołnierze przygotowywali się do wymarszu. Christian Leitner stał wyprostowany, jedną rękę trzymając za plecami, a w drugiej dzierżąc papierosa. Wyglądał jak trener zespołu piłki nożnej, który nadzoruje czy jego podopieczni realizują przyjętą strategię. Kiedy zobaczył Polaków, ruchem ręki zachęcił ich do podejścia.

– Pójdziecie z nami do Rawistcha – oświadczył sucho.

– Słucham? Jesteśmy teraz jeńcami? – Maria udała oburzenie.

– Ależ skąd, pani Gino.

– Zabrzmiało to tak, jak byśmy nie mieli wyboru.

– W takim razie przepraszam. Mogą państwo udać się z moją kompanią na zachód albo zostać w obozie z resztą żołnierzy.

– Czyli jednak jesteśmy jeńcami.

– W żadnym wypadku – ostrym tonem zaproponował Leitner. Nie lubił się powtarzać. – Niestety, nie możemy państwa wypuścić bez potwierdzenia tożsamości. Proponuję jednak, byście udali się ze mną. Jak sama pani wie, większość żołnierzy nie akceptuje osób

upośledzonych – dodał i popatrzył na Staszka.

– Dobrze, *Herr hauptmann*, udamy się z panem do Rawitscha. Czy jednak mogę spytać, w jakim celu pan tam zmierza?

– Sam chciałbym to wiedzieć – odparł Christian i ruszył w stronę szeregowca, który niechlujnie zawiązał swoje buty. Maria uznała to za znak zakończenia rozmowy.

Marvin był zaskoczony, gdy dowiedział się, że przyjaciel załatwił mu przeniesienie do własnej kompanii. Nie mogło być lepiej – nie dość, że za przełożonego będzie miał człowieka, z którym łączy go bardzo dobre relacje, to na dodatek znajdzie się daleko od działań wojennych.

Nie mógł jednak zrozumieć, czym kierowało się dowództwo, wydając im rozkaz powrotu do tamtego małego miasta. Miał sporo wątpliwości i nie obawiał się ich wypowiedzieć w towarzystwie Christiana. Ten jednak konsekwentnie odmawiał udziału w dysputach, które dotyczyły sensu rozkazów.

Dzisiejszego ranka Rodemeyer otrzymał informację, którą prędzej czy później będzie musiał przekazać Leitnerowi.

Odszukał go, gdy ten walił kolbą karabinu w stopy jednego żołnierza.

– *Herr hauptmann* – powiedział Marvin, przyjmując służbowy ton.

Zauważywszy przyjaciela, dowódca oświadczył stojącym wokół szeregowcom, że Marvin zajmie miejsce Ernsta Heinlego jako jego zastępca.

– Nie sądzę, by było to możliwe, panie kapitanie – powiedział Rodemeyer, po czym szybko dodał: – Właśnie przysłała wiadomość, że oberleutnant Heinle został oczyszczony z zarzutów.

Kapitan nie zareagował na to oświadczenie. Jego wyraz twarzy nawet minimalnie się nie zmienił. Mimo to Rodemeyer zdawał sobie sprawę, że Christian w myślach ciska piorunami w marionetkowy sąd polowy i samego Heinlego. Dowódca stwierdził tylko:

– Nie zostałem wezwany na świadka.

– Sąd uznał, że nie uczestniczył pan w zdarzeniu.

Leitner nadal tkwił w kamiennej pozie.

– Kogo wezwali?

– Tych żołnierzy, którzy patrolowali z porucznikiem las. Sąd uznał, że nie można oskarżyć go o gwałt, bo do niego nie doszło.

– Przekaż tę wiadomość pani Ginie – powiedział Leitner, kończąc konwersację i wskazując na dziennikarzy.

– Tak jest – odparł Rodemeyer z uśmiechem i puścił oko do przyjaciela, ale tak, by nie widzieli tego podkomendni.

Dwójka Polaków była gotowa do wymarszu w ciągu kilkunastu minut. Wcześniej Christian kazał jednemu ze swoich żołnierzy udać się do lasu i zebrać wszystkie rzeczy, które wcześniej wysypał z bagażu reporterów. Byli więc spakowani, brakowało tylko torby fotograficznej Holzera, w której znajdowały się dwa zdobyczne pistolety oraz tona pieniędzy.

Maria długo zastanawiała się, co zrobić z tym fantem. Nie miała okazji porozmawiać na ten temat ze Staszkiem, gdyż w pobliżu ciągle kręcili się przygotowujący się do wymarszu Niemcy.

W końcu podjęła decyzję. Stwierdziła, że Leitner jest na tyle porządnym człowiekiem – o ile

pominąć fakt, że jest niemieckim najeźdźcą – by nie pokusić się o otwieranie ich rzeczy osobistych teraz, kiedy już w pewnym stopniu uwierzył w ich tożsamość. Odnalazła go, kiedy osobiście dokonywał inspekcji ciśnienia opon w dwóch ciężarówkach.

„Niesamowity pedant” – skonstatowała i nie mogła powstrzymać uśmiechu.

– *Herr hauptmann*, czy moglibyśmy odzyskać torbę naszego fotografa? Miał tam kilka moich rzeczy osobistych – oświadczyła Maria i zrobiła krótką pauzę. – Kobięce sprawy.

– Oczywiście – odparł oficer i skinął na jednego z żołnierzy, po czym wydał mu rozkaz, by odnalazł torbę i dostarczył ją pani Ginie.

Szeregowiec wrócił po pół godziny, kiedy cały sprzęt kompanii został już załadowany do ciężarówki blitz marki Opel.

– *Herr hauptmann*, szukałem wszędzie. Najwyraźniej ta torba gdzieś się zgubiła.

– Zgubiła? Jak to świadczy o niemieckim żołnierzu?

– Słucham? Panie kapitanie, ja...

– Nie mówię o tobie – Christian westchnął i dodał: – Wstyd mi za poziom dyscypliny i porządku w tym oddziale. Będziemy musieli go podnieść po powrocie do Rawitscha.

– Tak jest – odpowiedział szeregowiec i odmaszerował.

Kompania ruszyła na zachód, a mniej więcej w środku formacji niespiesznie jechała ciężarówka ze sprzętem, zaś niedaleko za nią szli Staszek i Maria. Holzer znajdował się gdzieś na końcu kawalkady, razem z innymi rannymi.

OKOLICE BENIOWEJ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

„Co za pierdoła” – pomyślał Chwieduszek, kiedy pocisk wystrzelony przez Bronka odbił się od kamienia i nie wyrządził żadnych szkód Niemcowi.

Przymierzył ze swojego karabinu, ale doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że oddanie strzału będzie bezcelowe. Nie trafiłby w tak daleki cel. Nie miał takiego oka jak warszawiak, więc chybiłby jeszcze bardziej. Mimo to stwierdził, że Zaniewski niepotrzebnie próbował – trafienie tego człowieka graniczyło z cudem, nawet gdy miało się w dłoni porządny sprzęt myśliwski.

Usłyszał w oddali jakiś odgłos i zwrócił wzrok w kierunku, z którego nadeszła grupa Bronka. Od Beniowej coś nadlatywało lub nadjeżdżało, nie mógł dokładnie zidentyfikować co to było, ale szybko rozpoznał warkot silnika.

– *Sprechen Sie Deutsch?* – Obelt usłyszał za sobą niemal rozbawiony głos.

– Kurwa mać.

– *Nein?* – z entuzjazmem upewnił się człowiek przyciskający lufę pistoletu do potylicy oficera, po czym dodał ostrzejszym tonem:

– *Raus, polnische Schwein!*

Kapitan poczuł, że lufa przesuwana się nieznacznie do góry. Znak, żeby się podniósł. Nie widząc innej możliwości, wstał powoli. Poczuł jeszcze mocniejszy nacisk i zrozumiał, że musi wyjść na drogę, albo straci życie.

Powoli i ostrożnie stawiał kroki, a człowiek noszący na mundurze nieprzepisową wpinkę z trupią czaszką szedł za nim, szeroko się uśmiechając.

Kiedy wyszli na drogę i zostali zauważeni przez resztę, Niemcy zaczęli opuszczać swoje kryjówki. Jeden z żołnierzy wyrwał się pędem w stronę Blankenburga trzymającego na muszce polskiego kapitana. Pospiesznie powiedział coś po niemiecku, po czym stanął po prawej stronie swojego dowódcy. Ten rozkazał dwóm innym żołnierzom zająć miejsca z tyłu oraz po swojej lewej. W ten sposób zapewnił sobie ludzką tarczę przed strzałami pozostałych partyzantów.

Bronek czuł, jak zapłonął mu każdy mięsień, kiedy zobaczył Obelta prowadzonego na śmierć. Zaczął mierzyć do Blankenburga, kiedy tylko ten przekroczył z zakładnikiem linię lasu. Sierżant otworzył lewe oko, którego nie przystawiał do lunety, by ocenić sytuację. Stwierdził, że Niemcy opuszczają kryjówki i z triumfalnymi minami podchodzą do swojego dowódcy.

Ponownie zamknął lewe oko. Wycelował w głowę niemieckiego oficera.

W tej samej chwili wstał zza dużego kamienia człowiek, do którego Zaniewski mierzył ledwie chwilę wcześniej. Plutonowy Alexander Klaas, który wydał się Bronkowi najbardziej ludzkim członkiem einsatzgruppe, stanął po prawej stronie Blankenburga. Wiedział, że właśnie z tamtego kierunku ktoś strzelał, więc osłonił oficera przed możliwym zagrożeniem.

Postąpił słusznie – Bronek mógł jednym pociskiem wyeliminować najważniejszego z hitlerowców, a zarazem uratować Obelta. Teraz jednak musiałyby najpierw zabić Klaasa. A wtedy Blankenburg zastrzeliłby kapitana.

Niemcy doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że niespodziewanie zyskali w tym rozdaniu asa. Wystarczyło tylko chronić oficera i liczyć na to, że Polacy nie są barbarzyńcami i nie poświęcą życia swojego towarzysza.

Chwieduszko nie mógł uwierzyć, że do tego doszło. Przed momentem wszystko wskazywało na to, że jeśli będą dostatecznie cierpliwi i wytrwali, rozgromią kolejną einsatzgruppe i dodatkowo zabiją trzech funkcjonariuszy SD, którzy im się nawinęli. Przypuszczał, że prędzej czy później poukrywani Niemcy zaczną popełniać błędy, a wtedy oni szybko ich wyeliminują.

Tymczasem zobaczył, jak jeden z Niemców – ten, który zamierzał wylegitymować Bronka – prowadził Obelta, trzymając go na muszce pistoletu.

Kapitan miał wściekłą minę, ale najwyraźniej nie dlatego, że mógł stracić życie. Był rozsierdzony, że jego ujęcie spowodowało drastyczną zmianę reguł gry. Teraz Niemcy dyktowali warunki.

– Reinhold Winterberg! – radosnym głosem krzyknął Blankenburg. Odpowiedziała mu cisza.
– Czekamy tutaj na ciebie!

Bronek popatrzył po Niemcach. Razem z człowiekiem, który celował do Obelta, zostało ich tylko pięciu. Zaklął w duchu, uzmysławiając sobie, jak blisko byli osiągnięcia celu. Gdyby nie ten oficer, wraz z towarzyszami byłby teraz zajęty zakopywaniem ciał Niemców jak najdalej stąd.

Plan Obelta zakładał między innymi, że aby odciągnąć uwagę od Beniowej, powinni przewieźć ciała Niemców gdzieś na wschód od wioski, a następnie skrzętnie ukryć w ziemi.

Zaniewski powiódł wzrokiem do Kiljana i Kremmera. Szeregowy stał na masce samochodu i przez lornetkę obserwował rozwój wydarzeń. On i ziemianin byli dość daleko i Bronek domyślił się, że chcieli zająć bezpieczną pozycję, skąd Kiljan mógłby kontynuować ostrzał.

Teraz jednak, z lornetką przyklejoną do oczu, obserwował drogę, zaś Kremmer siedział w samochodzie i wyglądał na przerażonego, co sierżant widział nawet z tej odległości.

Umysł Bronka pracował na pełnych obrotach. Podobnie jednak jak wtedy, kiedy Blankenburg poprosił o dokumenty, nie mógł ułożyć żadnego planu działania, dzięki któremu mogliby ująć z życiem, jednocześnie ratując Obelta.

– Otworzyć ogień! – niespodziewanie ryknął kapitan.

Wydał na siebie wyrok. Zamknął oczy i z trudem przełknął ślinę.

Choć Niemcy nie zrozumieli komendy, stojący za Obeltem Blankenburg wyciągnął sztylet i przyłożył go do gardła polskiego dowódcy, a potem wyszwargotał coś, czego jeniec nie rozumiał. Kapitan zacisnął zęby i czekał, aż rozlegnie się kanonada.

Nigdy nie sądził, że zginie w takich okolicznościach. Wydając rozkaz Chwieduszcze, Zaniewskiemu i Kiljanowi, popełniał samobójstwo. Równie dobrze mógłby przyłożyć sobie pistolet do głowy i pociągnąć za spust.

Ocenił jednak sytuację i stwierdził, że albo zginie sam, albo cały oddział. A czuł się odpowiedzialny za tych ludzi.

Poza tym nikt o zdrowych zmysłach nie mógł liczyć na to, że esesmani potraktują go jak jeńca wojennego. Zapewne czekałyby go tortury, a po nich śmierć. To samo spotka też resztę, jeśli zdecydują się poddać, by ochronić jego życie.

W głowie Chwieduszki odbijały się echem słowa Obelta. Machinalnie uniósł wyżej karabin i wycelował w Niemca, który trzymał nóż na gardle dowódcy. Otrzymał jasny rozkaz. Zdawał sobie sprawę, że otwarcie ognia do przeciwników oznacza śmierć kapitana, ale nie po to był szkolony przez tyle lat, by w sytuacji kryzysowej nie wykonać polecenia.

Niemcy jeszcze ciaśniej zgromadzili się wokół Obelta, więc chorąży nie miał wątpliwości, że wybicie tej grupy nie stanowiłoby żadnego problemu. Wraz z Zaniewskim zakleszczą ich w ogniu krzyżowym, a kiedy Kremmer odpali samochód, Kiljan wykończy resztę. Racjonalnie rzecz biorąc, było to jedyne rozwiązanie. Mogliby też spróbować odbić Obelta w inny sposób, ale wynik mógłby być jeszcze gorszy – zginęliby zarówno Niemcy, jak i kapitan, a dodatkowo Chwieduszko naraziłby na niebezpieczeństwo trójkę ludzi, za których właśnie stał się odpowiedzialny.

Gdyby walczyli z Wehrmachtem, nie zawahałby się podnieść karabinu nad głowę i wymaszerować z lasu. Poddanie się regularnemu wojsku mogłoby mieć sens, ale ci kaci, mordujący bez żadnych skrupułów, poderznąliby im wszystkim gardła na dzień dobry, a na dobranoc zmasakrowaliby ciała.

„Dostałem rozkaz i muszę go wykonać – pomyślał i wycelował w głowę Obelta. – Lepiej, żeby zginął od mojej kuli, niż sztyletu tego gnoja”.

Bronek spodziewał się, że dowódca nakaze otwarcie ognia, dlatego z góry postanowił zignorować wszelkie instrukcje, które wyda kapitan. Stwierdził, że jeśli kiedykolwiek stanie przed sądem polowym za niesubordynację, odpowie, że przecież rozkaz ten został wydany przez Obelta pod naciskiem Blankenburga.

Był to jednak tak optymistyczny scenariusz, że sierżant prawie się do siebie uśmiechnął.

Popatrzył na samochód, z maski którego niespiesznie i trochę niezadarnie schodził Kiljan. Szeregowiec był zbyt daleko, by usłyszeć rozkaz dowódcy. Problem stanowił Chwieduszko,

który wprawdzie słuchał Obelta jak ojca, niemniej dla chorążego priorytetem zawsze było wykonywanie rozkazów.

Zaniewski klął w duchu jak szewc, złorzecząc na Blankenburga i jego nieprawdopodobny wyczyn, dzięki któremu uniknął śmierci po strzale kapitana Obelta.

Wciąż słyszeli warkot silnika. Coraz głośniejszy. Chwieduszek oderwał wzrok od głowy Obelta i starał się wypatrzeć zbliżający się pojazd, który był źródłem dźwięku.

DAWNE WOJEWÓDZTWO POZNAŃSKIE, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Na krótko przed zapadnięciem zmroku kompania Leitnera dotarła do małego miasta. Staszek ze smutkiem zauważył, że na granicy stoi nowa tabliczka z napisem „Koschmin”. Nazwa „Koźmin” zniknęła wraz z Polską.

Mimo że oddział został wyposażony w kilka pojazdów, które umożliwiały sprawne przetrzucenie kompanii do Rawitscha, nie poruszali się z zawrotną prędkością, bo wioząca sprzęt ciężarówka opla mogła na wiejskich okolicznych drogach rozwinąć prędkość najwyżej 35 kilometrów na godzinę.

Nowo powołane władze okupacyjne Koschmina umieściły kompanię na dziedzińcu średniowiecznego zamku, którego wnętrza świeciły pustkami. Całe miasto zresztą wyglądało na splądrowane i opustoszałe. Zaniewski nie miał wątpliwości, że przetoczyły się przez nie oddziały żądnych krwi Niemców. Powyłamywane z zawiasów drzwi i stopy szkła z wybitych okien świadczyły, że miała tutaj miejsce masowa grabież wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość.

Zamek był położony dwieście metrów na południowy zachód od rynku. Miał jasną fasadę i ciemny dach. Przy strzelistej wieży wartowni kręciło się kilku żołnierzy obserwujących, co dzieje się na rynku i w okolicy. Obok baszty powiewała ogromna flaga z białym okręgiem i wpisaną weń czarną swastyką. Czerwone tło wyglądało jak plama krwi.

„Jesteśmy w centrum piekła” – pomyślał Staszek.

Christian Leitner dopilnował, by oddział odpowiednio rozlokował się na noc. Obrzucił spojrzeniem średniowieczne mury zamku i stwierdził, że dobrze się czuje w takim otoczeniu.

Znajdowali się już na terytorium włączonym do Rzeszy. Wojska Wodza organizowały nową administrację nawet na terenach położonych daleko na wschód od Koschmina. Leitner wiedział, że dopiero na granicy z Mazowszem i Małopolską mają się zaczynać obszary ziem podbitych, które nie wejdą bezpośrednio w skład Niemiec.

W odczuciu kapitana kręciło się po zamku zbyt wielu ludzi noszących mundury odmienne od Wehrmachtu. „Gestapo, SD i inne formacje” – ocenił ponuro i westchnął. A dowiedziawszy się, że w okolicy organizowane jest więzienie dla kobiet, stwierdził, że jeśli esesmani będą mieli nad nim kontrolę, szybko zapanuje tu samowola, a nadużycia władzy będą na porządku dziennym.

Gdyby to od niego zależało, odesłałby wszystkie służby specjalne i tajną policję z powrotem do Rzeszy. Nie widział dla nich miejsca na wojnie. Wprawdzie większość esesmanów działała na tyłach regularnej armii, jednak w jego przekonaniu ich obecność bardziej szkodziła sprawie nowej władzy, niż pomagała.

Wiedział, że aby doprowadzić do supremacji Niemiec w Europie, trzeba stosować albo

skrajny terror – co w efekcie uszczupli populacje poddanych krajów i spowoduje zapaść gospodarczą – albo zjednać sobie podbite społeczeństwa. Wolał to drugie rozwiązanie. Wprawdzie nie dopuszczał myśli o daleko idących ustępstwach wobec przegranych – wszak są przegrani – twierdził jednakże, iż należy przede wszystkim zaprowadzić porządek i przekonać ludność, że rozwój i dostatnie życie jest możliwe wyłącznie pod władzą niemiecką.

Esesmani natomiast robili wszystko, by zniechęcić miejscowych nie tylko do idei przewodnictwa Rzeszy w Europie, ale także do niej samej jako do państwa idealnego. „Róbcie tak dalej, a Polacy będą mieli coraz większą motywację do oporu” – pomyślał.

Oddziały SS były najbardziej zaufanymi formacjami Führera, ale Leitner uważał, że nie spełniają swojej roli. Zapewne miały w sposób dyskretny usuwać jednostki szczególnie wrogie nowej władzy, tymczasem dopuszczały się aktów zwykłego bandytyzmu, kradnąc, gwałcąc i zabijając bez powodu.

Christian mimowolnie przypomniał sobie widok Mateusza Katnera, padającego na ziemię po wystrzale z jego lugera. „To było co innego. Tego wymagała przemyślana taktyka” – pomyślał.

Dwójce młodych Polaków udało się zlokalizować pojazd sanitarny, w którym znajdował się Holzer. Maria stanęła na straży tuż obok i miała donośnie zakaszczyć, jeśli któryś z Niemców znajdzie się w pobliżu. Sanitariusze zajęci byli porządkowaniem sprzętu, który wyciągnęli z ciężarówki i przenoszeniem rannych do zamku. W średniowiecznych komnatach, nawet ogołoconych z mebli, panowały lepsze warunki do zajęcia się pacjentami niż na wyłożonym brukiem podwórca.

Maria zajrzała za plandekę samochodu, po czym stanęła obok, ostrożnie rozglądając się na wszystkie strony.

- Mądra decyzja, dzieciaki – powiedział siłacz na widok Staszka.
- Nie nasza – cicho odparł Zaniewski.
- Nie mieliście jak spierdolić i zostawić biednego Holzera na łasce tych psów?
- Niestety.

Bandyta zmarszczył nos i lekko uniósł górną wargę. Odchrząknął, po czym powiedział:

- Dawaj papierosa.
- Mhm – wyartykułował młodzieniec, nie poruszywszy się ani o centymetr.
- To się wal. Czasem mi się wydaje, że naprawdę jesteś głuchoniemy jak... – Holzer chwilę się zastanowił, po czym machnął ręką. – Jaki macie plan?
- Trudno w tej sytuacji mieć jakikolwiek. Nocujemy w zamku, nie ma szans na ucieczkę. Na wieży jest kilku wartowników, a wokół horda Niemców.

– Przesrane.

– Może kiedy dotrzemy do Rawicza, sytuacja się poprawi. Pod warunkiem, że w „Neue Stimme” potwierdzą naszą historię. Leitnerowi może wystarczyć prosta informacja, że trójka dziennikarzy faktycznie została wysłana do Polski. Jeśli nie zacznie drążyć sprawy, możemy wyjść z tego cało.

– Znaczący, że co, chłopcze?

– Może dostaniemy jakąś kwaterę bez straży, bo nie będą już mieli powodu, by nas pilnować. Niedługo potem powiemy, że musimy ruszać dalej. Koniec historii.

– No, to by nawet było dobre.

Staszek zaczął się zbierać do odejścia.

– Czekaj no. Co z moją, kurwa, torbą?

– Zaginęła. Przypuszczam, że jakiś szeregowy czy inny niski rangą żołnierz przeżywa teraz najszcześniejsze chwile swojego życia i raczej nikomu nie wyjawia, że nagle się wzbogacił ani skąd pochodzi jego fortuna.

Holzer odpowiedział na tę wiadomość kanonadą przekleństw, skupiając się głównie na pochodzeniu matki hipotetycznego człowieka, który przywłaszczył sobie torbę z pieniędzmi.

– Zwinął ją pewnie ten Lajter.

– Leitner.

– No mówię.

– Nie sądzę. Choć z drugiej strony trudno mi uwierzyć w to, że nie sprawdził jej zawartości. Jest uosobieniem sumienności.

Rozległ się kaszel Marii, więc ucięli rozmowę.

Kiedy Christian odchylił plandekę, zobaczył niemowę wyciągającego paczkę papierosów w stronę rannego. Leitner uśmiechnął się do obu i skinął im głową, po czym popatrzył na trzymane przez dziennikarza papierosy marki Silesia. Natychmiast wyciągnął z kieszeni swoją papierośnicę.

– Proszę się poczęstować, panie Wendt. Salemy, bardzo dobre. W przeciwieństwie do tych polskich.

– A dziękuję – odparł fotograf.

– Cieszę się, że widzę pana w lepszym stanie. Miałem zamiar o coś zapytać.

– No słucham? – Holzer zajął się papierosem i zwracał minimalną uwagę na Leitnera.

– Czy znane jest panu nazwisko Rodemeyer? Marvin Rodemeyer?

– Nie, a co?

– Nic takiego, to jeden z moich żołnierzy. Wydaje mu się, że gdzieś już pana spotkał.

– To się myli.

– Możliwe. Choć mało prawdopodobne, stąd też moje pytanie.

– Ja go w każdym razie nie znam.

– Może fotografował pan żołnierzy Wehrmachtu przy innej okazji?

– Fotografowałem ich tyłu, że nie pamiętam twarzy. Co dopiero nazwisk.

Holzer popatrzył znaczącym wzrokiem na papierośnicę Leitnera.

– Cóż, w takim razie możliwe, że wtedy się spotkaliście. Pańska twarz jest... raczej łatwa do zapamiętania.

– No tak, tak. Już z taką mordą się urodziłem.

Stojąca tuż przy samochodzie Maria uśmiechnęła się promiennie.

Christian zostawił rannemu jednego papierosa na później i poprosił Ginę oraz Gottwina, by z nim poszli.

Skierował ich do jednego z namiotów, które na dziedzińcu zamku rozstawili żołnierze. Pozostawił ich pod strażą, za co przeprosił po raz kolejny, i zapewnił, że kiedy tylko przybędą do

Rawitscha, to uniedogodnienie zniknie.

Kiedy zostali sami, Maria szeptem zrelacjonowała narzeczonemu rozmowę Leitnera z Holzerem.

- Jak ktokolwiek tutaj może go kojarzyć? – spytał Staszek najciszej, jak mógł.
- Nie wiem, ale po Holzerze można spodziewać się wszystkiego.
- Może robił jakieś interesy z Niemcami? Albo kiedyś zdezerterował z Wehrmachtu?

Dziewczyna zaśmiała się, kilkakrotnie wypuszczając powietrze nosem.

– Nie zdziwiłabym się.

– Chyba że...

– Co?

– ...że w Rzeszy kręci się mnóstwo takich belzebubów jak Holzer. Wiele podobnych gęb.

Wymienili jeszcze kilka uwag na temat wątpliwych walorów estetycznych towarzysza, po czym przytulili się do siebie i zamknęli oczy.

Maria zasnęła bardzo szybko.

„Jak ty to robisz?” – pomyślał. Gdyby przeżył to, co ona, nie mógłby spać przez wiele długich nocy, wciąż mając przed oczami człowieka, który chciał wziąć ją wbrew jej woli... Staszek szybko urwał ten tok myśli.

Zaczął układać plan ucieczki z Rawicza. Jeśli szczęście będzie dopisywało im tak bardzo, jak do tej pory, redakcja „Neue Stimme” udzieli Leitnerowi lapidarnej informacji: tacy reporterzy faktycznie istnieją i zostali wysłani na granicę niemiecko-polską, gdy wybuchła wojna. Istniała jednak możliwość, że Christian zapyta, czy jeden z nich jest głuchoniemy lub poprosi o opis cech fizycznych reporterów. Wtedy będą spaleni.

Kolejnym problemem był Holzer. Jeśli ich tożsamość zostanie uwiarygodniona, z pewnością będą mieli tyle samo swobody, co każdy inny obywatel Rzeszy. Holzer jednak jeszcze dłuższy czas będzie musiał pozostawać pod opieką sanitariuszy. A każda dodatkowa chwila spędzona w towarzystwie tylu niemieckich żołnierzy wiązała się z coraz większym ryzykiem.

Jeśli ktoś usłyszy, jak mówią po polsku, albo zainteresuje się ich udawanym językiem migowym – będzie po nich.

Maria przez pół nocy nie mogła spać. Staszek zaczął lekko pochrapywać już po pół godzinie, a ona jedynie udawała, że śpi.

Dręczyły ją myśli o Ernście Heinlem, który uniknął kary śmierci i z pewnością znajduje się w którymś z namiotów ustawionych na dziedzińcu. Na nowo przeżywała chwile grozy, które zgotował jej ten człowiek.

W dodatku Holzer poruszył temat ojca, przez co zaczęła myśleć o tym, co zrobiła, powiązując to z ostatnimi przeżyciami. „To jest moja kara za pozbawienie go życia” – pomyślała.

OKOLICE BENIOWEJ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Chwieduszek znów skupił się na celowaniu w głowę dowódcy. Przed oczami przeszło mu kilka scen z przeszłości, w których głównymi aktorami byli on i Obelt.

Poznał go przed kilku laty, gdy ten był jeszcze podporucznikiem. Chwieduszek, jako młody plutonowy, służył w tym samym oddziale Korpusu Ochrony Pogranicza i w ciągu kilku tygodni – dzięki swojemu charakterowi – zjednał sobie wrogów w całej kompanii. Wyjątkiem był Obelt, wówczas zastępca dowódcy.

Podporucznik traktował wszystkich żołnierzy jednakowo. Doskonale zdawał sobie sprawę, że opryskliwy plutonowy rozbija jedność oddziału. Rozmowy milkły, kiedy zjawiał się w pobliżu, poza tym nie pasował do grupy. Wtedy sam Chwieduszek nie zdawał sobie z tego sprawy, jednak teraz, po latach, widział to jak na dłoni.

Obelt nigdy nie niańczył żadnego żołnierza, dlatego i Chwieduszek nie poświęcał specjalnej uwagi, ale plutonowemu wystarczyło to, że oficer nie odnosił się do niego tak źle jak inni.

Odmienne stosunek miał do niego dowódca kompanii – kapitan Mieczysław Piotrowski. Widząc, że Chwieduszek jest czynnikiem destabilizującym porządek w oddziale, początkowo próbował przenieść go do innej jednostki, jednak z jakiegoś powodu do tego nie doszło. Dopiero dużo później wyszło na jaw, że na forum sztabowym w obronie podoficera stanął Obelt.

Nie wynikało to z jego sympatii do młodego plutonowego, a raczej z przekonania, że jeśli jakiś żołnierz posiada umiejętności niezbędne do wykonywania zadań wojskowych, nie można go karać za charakter ani brak umiejętności współzycia w grupie. Jednocześnie swoją postawą Obelt naraził się dowódcy, co poskutkowało pogorszeniem ich stosunków, doszło nawet do tego, że Piotrowski zablokował jego awans na porucznika.

Kapitan, nie mogąc usunąć Chwieduszki z oddziału, pokazał mu, co znaczy mieć wrednego przełożonego. Przydzielał mu najgorsze zadania i traktował gorzej niż niechcianego psa. Lata później plutonowy nieświadomie przeniósł te wzorce między innymi na Bronka Zaniewskiego, któremu nie dawał żyć.

Teraz, trzymając karabin wymierzony w głowę Obelta, nie mógł pogodzić się z tym, że celuje do człowieka, który zawsze stawał w jego obronie.

Powtórzył jeszcze raz w myśli: „Lepiej od mojej kuli, niż od jego sztyletu”, po czym wzięł głęboki oddech.

Bronek stwierdził w końcu, że Chwieduszek, tak samo jak on, nie zastosuje się do rozkazu Obelta. Odetchnął z ulgą i próbował się nieznacznie przesunąć, by móc oddać celny strzał, gdyż głowa Alexandra Klaasa zasłaniała mu Blankenburga. Gdyby tylko udało mu się dobrze przymierzyć, za sekundę niemiecki oficer byłby martwy. A sytuacja kapitana diametralnie by się zmieniła.

Zaniewski wiercił się chwilę, przymierzał, ponownie się wiercił, próbując wycelować. W końcu stwierdził, że nie ma żadnych szans na oddanie czystego strzału. Zaczął rozważać załatwienie Klaasa i Blankenburga za jednym zamachem – była to jedyna możliwość, ale wymagała prawdziwego kunsztu strzeleckiego.

Istniało jednak spore prawdopodobieństwo, że dowódca esesmanów ponownie wykaże się swoim zadziwiającym refleksem i przeciągnie ostrzem sztyletu po gardle Polaka, kiedy tylko usłyszy wystrzał. Ryzyko było duże, ale Zaniewski zdecydował się działać. Zamknął lewe oko. Nadal miał wątpliwości, czy uda mu się oddać celny strzał.

Wycelował tak, by kula przebiła czaszkę Klaasa i trafiła w głowę Blankenburga.

„Czas zabić kilku Niemców” – pomyślał z optymizmem.

Roman Kiljan usiadł na masce samochodu i podrapał się po głowie. Jeden z Niemców ustawiony był twarzą do niego i nie odrywał wzroku od pojazdu. Szeregowy wiedział, że nie może zrobić żadnego nierozważnego ruchu, bo to spowoduje śmierć dowódcy. Mimo to spokojnie podniósł karabin, po czym przykląkł na jednym kolanie. Czując na sobie wzrok esesmana, powoli unióś broń i wycelował. Zauważył, jak Niemiec informuje przełożonego, że jeden z Polaków do nich mierzy.

Po chwili Kremmer wysiadł z samochodu i dołączył do Romana.

– Co pan sądzi, panie szeregowy?

W innej sytuacji Kiljan roześmiałyby się, słysząc, jak ktoś zwraca się do zwykłego szeregowego per „pan”.

– Nie wiem, panie Kremmer, kiepsko to wygląda.

– Zaiste, zaiste. Czy kule z tego narzędzia śmierci dotrą do tych krwawych oprawców?

Żołnierz zrobił pytającą minę, nie wiedząc, o co Kremmerowi chodzi. Obrzucił go szybkim spojrzeniem i stwierdził, że starszy człowiek jest bardziej przerażony od niego. W jakiś sposób dodało mu to otuchy.

– Czy zasięg tego pistoletu... – ziemianin próbował wyrazić myśl innymi słowami.

– Karabinu. A czy kule „dotrą”, panie Kremmer, tego właśnie nie wiem.

– Być może winniśmy zatem podejść bliżej wroga?

– To chyba nie jest dobry pomysł, bo znajdziemy się w zasięgu ich broni.

– O, broń Panie Boże! W takim razie pozostaniemy – odparł właściciel dworku w Beniowej i cofnął się o krok.

Alexander Klaas uważnie obserwował część lasu, w stronę której był zwrócony. Gdzieś tam czał się strzelec, który o mały włos nie pozbawił go życia. Na sekundę przed tym, jak rozległ się wystrzał, miał zamiar wychylić się nieco bardziej znad dużego kamienia, który stanowił jego osłonę. Gdyby to zrobił, pożegnałby się ze światem i nigdy nawet nie zobaczyłby twarzy człowieka, za sprawą którego to się stało.

Wtem zauważył jakiś ruch tuż przy drodze. „Co się tak wierzisz, sukinsynu?” – pomyślał, jednocześnie ciesząc się, że strzelec zdradził swoją pozycję.

Zaraz potem dojrzał czubek lufy, która nieznacznie wysunęła się zza linii roślin.

– *Herr obersturmführer*, snajper chyba przygotowuje się do oddania strzału.

– Stój spokojnie, plutonowy – odparł Blankenburg głosem przepełnionym ekscytacją.

Takie sytuacje były dla niego jak kolejne dawki heroiny dla narkomana. Głęboko oddychał i rozkoszował się adrenaliną, którą wydzielał jego organizm. Układ nerwowy dostał zastrzyk hormonu, bez którego obersturmführer nie mógł żyć.

Uczestniczył w wielu akcjach i starciach z różnymi wrogami. Większość odbywała się z daleka od regularnych działań wojennych. Zresztą największe sukcesy święcił w czasie pokoju.

Jego doświadczenie i poczucie złudnej nieśmiertelności spowodowały jednak, że zwykła wymiana ognia z nieprzyjacielem nie wywoływała w nim prawie żadnych emocji. Groźba śmierci zwyczajnie mu spowszedniała.

Cieszył się więc za każdym razem, kiedy trafił mu się przeciwnik nieprzewidywalny. Wtedy satysfakcja z jego pokonania była znacznie większa. Teraz doskonale zdawał sobie sprawę, że nawet trzymanie ostrza na gardle Polaka nie gwarantowało bezpieczeństwa. Snajper nadal czaił się w lesie, osłonięty przed wzrokiem Niemców.

Blankenburg balansował na granicy życia i śmierci. Sam, gdyby był na miejscu Polaków, po prostu zmiótłby bez żadnych skrupułów cały odziany na szaro oddział, nie zastanawiając się ani chwili czy dla realizacji celu poświęcić jednego człowieka.

Uśmiechnął się i popatrzył na tył głowy Obelta. Dziwił się, że ten żołnierz zachowuje taki spokój. Musi przecież wiedzieć, że nie ma możliwości, by przeżył. Wprawdzie krzyknął coś do swoich podwładnych, ale zapewne kazał im otworzyć ogień. Zachował stoicki spokój i kierował się racjonalną oceną sytuacji.

Żałował, że jego ofiara nie mówi po niemiecku. Szkoda, bo chętnie poznaćaliby się nad nią psychicznie. „Cóż, można też komunikować się niewerbalnie” – pomyślał.

Schował sztylet i ponownie wyjął browninga, którego przyłożył Polakowi do skroni. Zaczął kręcić pistoletem w lewo i prawo, jakby lufą chciał wywiercić dziurę w głowie Obelta. Ten zaś z ulgą przyjął, że z jego szyi zniknęło ostrze sztyletu. Od wykrwawienia się z poderżniętym gardłem, wolał wystrzał z broni palnej, który zakończy jego życie bez cierpienia.

„Do tego wszystkiego trafił mi się jeszcze psychopata” – pomyślał, kiedy poczuł, że Blankenburg zaczął wiercić mu lufą dziurę w potylicy i sapać do ucha, jakby był podniecony całą sytuacją.

Warkot silnika się nasilał. Teraz Bronek mógł dostrzec, co jest jego źródłem.

Od strony Beniowej nadciągał samochód wiozący pięciu żołnierzy w znanych mu szarych mundurach.

Szybkim ruchem cofnął karabin i przetoczył się dwa metry w bok, nadal pozostając na skraju linii chroniących go drzew.

– Srał was pies, pieprzone szkopy... – powiedział pod nosem, zaciskając usta.

Chwieduszko zdjął palec ze spustu i otarł wierzchnią stroną dłoni czoło, które w przeciągu kilku sekund pokryło się potem.

Zarówno jeden, jak i drugi nie widzieli już cienia szansy na wygranie tej batalii. Nie mówiąc już o wyciągnięciu Obelta ze szponów śmierci.

Kiljan i Kremmer rzucili się do samochodu, po czym drugi z nich wrzucił pospiesznie wsteczny bieg. Nie było czasu na zastanawianie się, musieli uciekać. Nie dość, że kapitan został zakładnikiem, to Niemcy mieli teraz przewagę liczebną.

Chwieduszko spojrzał nieobecny wzrokiem na zbliżający się pojazd, po czym, zupełnie zrezygnowany, wycofał się w głąb lasu.

Leżący po drugiej stronie drogi Bronek stwierdził, że musi wziąć się w garść.

„Nie zostawię kapitana na pastwę tych zwyrodnialców” – pomyślał, ponownie wysuwając lufę karabinu z zarośli.

Obelt odchrząknął znacząco, sygnalizując Niemcom, że przygotowuje się do wydania rozkazu swoim ludziom. Stojący za nim esesman przestał używać lufy pistoletu jako wiertarki. Wszyscy tkwili w bezruchu. Polski oficer zrozumiał, że dostał ciche przyzwolenie Niemców. Zapewne liczyli na to, że nakaże im uciekać lub się poddać – w tej sytuacji były to zresztą jedyne

sensowne wyjścia.

Obelt nabrał tchu i wykrzyczał najgłośniejszą jak potrafił komendę:

– Odwrót!

W tym samym momencie Niemcy z nadjeżdżającego samochodu otworzyli ogień. Kule poszybowały na obie strony drogi. Chwieduszek zdążył już wycofać się głęboko za linię drzew, dlatego dotarł do niego jedynie odgłos wystrzałów, natomiast Broniek prawie oberwał, kiedy pociski przeleciały tuż nad jego głową.

– Oodwróóót! – darł się Obelt.

Zaniewski przeklął pod nosem i z całej siły przyłożył pięścią w pień drzewa, za którym się chował. Na jego dłoni pojawiła się krew, choć sam tego nie zauważył. Przy akompaniamencie wystrzałów zaczął powoli i niezauważenie dla wroga wycofywać się.

– Do dworku! – usłyszał jeszcze krzyk dowódcy.

Broniek pomyślał, że Kiljan i Kremmer zapewne już się tam skierowali, bo było to pierwsze miejsce, o jakim każdy z nich by pomyślał. Stwierdził, że jeśli wraz z Chwieduszką chcą dotrzeć tam przed Niemcami, będą musieli się pospieszyć. Ci zapewne skierują się do Beniowej kiedy tylko opatrzą rannych. A może nawet pominą ten punkt programu.

Splunął, uświadamiając sobie, że tak długo planowana akcja okazała się kompletną katastrofą, a kapitan Obelt dostał się w ręce nieprzyjaciela.

Walcząc z własnymi myślami, co chwilę zatrzymywał się, obracał i chciał wracać na drogę. Ale kłął tylko pod nosem, po czym kontynuował bieg w stronę dworku Kremmera. Jeśli chcieli jakoś przeżyć nadchodzące dni, musieli zebrać stamtąd sprzęt i amunicję, a przy okazji zaopatrzyć się w zapasy.

Biegając, nasłuchiwał wystrzału. Czuł, że życie kapitana wisi na włosku i zaraz odbędzie się jego egzekucja.

Kiedy zdyszany i pozbawiony sił dotarł do posiadłości na wzniesieniu, reszta już na niego czekała. W samochodzie siedział chorąży, a Kiljan z gospodarzem ładowali do niego rzeczy osobiste Kremmera. Większość zdobyczej broni i amunicji została już upchana. Połowę tylnego siedzenia zajmował prowiant.

Chwieduszek tkwił za kierownicą, martwo wpatrując się w jakiś punkt przed sobą.

– Chorąży – zdołał wydusić z siebie Broniek, ledwo łapiąc oddech.

Żołnierz nie reagował. Dopiero kiedy warszawiak podszedł do samochodu i przez otwarte okno położył mu rękę na ramieniu, ten otrząsnął się, spojrzał na niego i powiedział:

– Zostawiliśmy go tam na śmierć, Zaniewski.

– Nie mieliśmy wyboru.

Z domu wybiegł Kiljan i z nieukrywaną radością przywitał Bronka.

– Już myślałem, że sierżant został tam i samotnie szykował kontruderzenie.

– Gdyby to tylko było możliwe, szeregowy. Ile zostało do spakowania? Musimy się zwinąć.

– Kremmer idzie z ostatnim pakunkiem. Jakies zdjęcia jego rodziny czy coś.

– Dobra. Zna teren, pokieruje nas jakimiś mniej uczęszczanymi drogami na północ.

– Panie sierżancie, wszystkie tutejsze drogi cechują się stosunkowo niską... uczęszczalnością – powiedział stary ziemianin, który cały spocony wyłonił się z dworku, niosąc w rękach karton.

– Mogłem go zabić. Tak byłoby dla niego lepiej – rzucił Chwieduszko, jak gdyby nie był świadomy prowadzonej rozmowy. Pozostała trójka spojrzała na niego, a Broniek klepnął otwartą dłońią w dach samochodu i usiadł obok chorążego.

Kremmer i Kiljan z trudem usadowili się z tyłu pojazdu.

– Zostaliśmy sami, szczurze – wycedził Blankenburg, nachylając się do ucha Obelta. Sprawił wrażenie zadowolonego, choć w duchu był trochę rozczarowany, że Polacy nie podjęli dalszej walki. Teraz, gdy z jednej strony drogi stała blokada w postaci zniszczonego samochodu SS, a z drugiej nadciągały posiłki, zabawa byłaby przednia. Urządziliby Polakom prawdziwą rzeź.

Obersturmführer przez chwilę zastanawiał się, skąd ci ludzie w ogóle się tu wzięli. Odrzucił pomysł, że realizują rozkazy polskiego dowództwa i doszedł do wniosku, że musieli po pierwszym wrześniu znaleźć się za linią wroga. „Amatorzy” – pomyślał, po czym westchnął. Opuścił pistolet i schował go do kabury.

Poleciał żołnierzowi, który kilka minut temu z własnej inicjatywy ustawił się jako jego ochrona przed strzelcem kryjącym się w lesie, by związał Obeltowi ręce.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Alexander Klaas, *Herr obersturmführer*.

– Możesz liczyć na awans, Klaas.

– Dziękuję.

– A teraz przypierdol mu w ten głupi łeb, ile masz sił – rzucił jakby od niechcienia, wskazując na jeńca.

W momencie, kiedy plutonowy się zamachnął, Blankenburg potężnie kopnął w tył kolana Obelta. Po takim ciosie kapitan nie zdołał utrzymać równowagi i padł na ziemię. Ręka młodego esesmana zatoczyła łuk w powietrzu.

– Ćwicz refleks, Klaas – powiedział z uśmiechem obersturmführer, po czym rozkazał wsadzić Polaka do samochodu i dodał:

– Będziemy mieć z nim dobrą zabawę.

RAWITSCH, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Następnego dnia kolumna samochodów i żołnierzy dotarła do Rawicza. Leitner ulokował swoją kompanię w budynku Korpusu Kadetów, którego słuchaczy władze polskie ewakuowały do Lwowa w momencie wybuchu wojny. Po mieście kręciło się kilku esesmanów – ku szczeremu zmartwieniu hauptmanna.

Wraz z Rodemeyerem opuścili swój pojazd i wkraczali do miasta jako pierwsi, stąd też Christian mógł sobie pozwolić na nieskrępowaną rozmowę, pewien, że nie usłyszy ich nikt z podwładnych.

– Sępy się zbierają – powiedział Marvin, wskazując na przemierzających ulice funkcjonariuszy SS.

– Nie mają czego szukać w Rawitschu.

– Raczej kogo. Pewnie szukają wrogów Rzeszy.

– Tych wydam im bez zastanowienia. W tym mieście ma panować porządek, ale nie esesmański.

– Niczego innego bym się po tobie nie spodziewał, Leiner – odparł z sympatią w głosie podporucznik.

– Co z tym fotografem? Przypomniałeś sobie coś?

– Nic.

– Twierdzi, że mogłeś go spotkać, gdy robił zdjęcia żołnierzom.

– W życiu nikt nie robił mi zdjęć. Zresztą, popatrz na mnie, nie nadają się na okładki gazet.

– To prawda.

Marvin popatrzył na kapitana, oczekując uśmiechu na jego twarzy, ale zaraz się zreflektował. Christian, nawet jeśli mówił coś, co można by zakwalifikować jako żart, rzadko okazywał rozbawienie za pomocą mięśni twarzy.

– W każdym razie, wyteż umysł. Ten człowiek jest podejrzany. Sam jego wygląd i sposób zachowania o tym świadczą.

– O tym nie musisz mnie przekonywać.

Kiedy kompania rozlokowała się w wyznaczonych punktach w mieście, hauptmann zajął swoje biuro w ratuszu, gdzie pod jego nieobecność powrócił burmistrz Markus Richarz. Teraz, gdy zobaczył Christiana stojącego w drzwiach, pospiesznie zebrał z mahoniowego biurka swoje rzeczy i wstał, by bez zbędnej zwłoki udać się piętro niżej, do skromnego pomieszczenia wyznaczonego mu przez Leitnera na biuro.

– Spokojnie, burmistrzu – powiedział oficer.

Richarz dopiero teraz przywitał go hitlerowskim pozdrowieniem. Nadal obawiał się tego nieobliczalnego człowieka, który bez słowa uprzedzenia złamał mu nos tylko po to, by uwiarygodnić bajeczkę, że burmistrz nie współpracował z Niemcami. Polacy i tak nie do końca kupili tę historię, ale przynajmniej Richarz mógł spokojnie odejść z ratusza, gdy miejscowi go odbili.

Także wtedy kapitan przeraził go swoim spokojem i nienaturalnym opanowaniem. Przeciwnicy nacierali ze wszystkich stron, a on spokojnie zgasił papierosa, podniósł karabin i przez lunetę oceniał szanse obrony. „Nienormalny człowiek” – pomyślał Markus, który nie ufał nikomu, kto potrafił tak dobrze ukrywać emocje.

Dni, kiedy Polacy na powrót przejęli miasto, spędził na szpiegowaniu ich oddziału. Informacje, które na ten temat dostarczył Leitnerowi, okazały się kluczowe dla powodzenia akcji ponownego zajęcia Rawicza. Mimo to burmistrzowi wydawało się, że nie zyskał sympatii oficera, dlatego nadal obawiał się, że temu szaleńcowi któregoś dnia strzeli coś do głowy i zacznie się nad nim znęcać.

Oliwy do ognia dołała wieść, że oficer z zimną krwią zastrzelił jednego z mieszkańców miasta – Mateusza Katnera. Podobno tamten błagał o życie i był gotów wyjawić wszystkie żądane informacje, a jednak pochowano go z dziurą w głowie. „Nienormalny człowiek” – powtórzył w myśli Richarz.

– Kazałem sprzątacze wyczyścić biuro, kiedy usłyszałem, że pan wraca. Radosna to dla nas nowina.

Christian kiwnął głową i podszedł do okna. Lubił to miejsce i widok na miasto. Burmistrza

mniej.

- Zabrałem już wszystkie swoje rzeczy, więc...
- Możesz odejść.

Richarz zebrał ostatnie kartki papieru z biurka i opuścił pomieszczenie, udając się do swojej kłitki. Na korytarzu minął dwójkę ludzi, którzy zmierzali do biura rzeczywistego rządcy miasta.

Widząc Staszka i Marię, Leitner zaprosił ich do środka, po czym zasiadł za biurkiem i otworzywszy srebrną papierośnicę, obrócił ją w ich stronę.

Oboje sięgnęli po papierosy, a Christian podał im ogień z czarnej, wojskowej zapalniczki neon.

- Proszę się czuć jak u siebie.
- Dziękujemy, *Herr hauptmann*.
- Zacznijmy od sprawy najważniejszej. Pozwolę sobie bez dalszej zwłoki wykonać telefon do „*Neue Stimme*”.
- Będziemy bardzo zobowiązani. Nie muszę chyba mówić, że ta cała farsa powoli już nas męczy.

– Oczywiście, pani Gino.

Leitner podniósł słuchawkę, wydał kilka komend, po czym powiedział:

– Z redakcją „*Neue Stimme*” w Innsbrucku, sprawa pilna.

Czekali ponad godzinę, zanim radiooperatorowi w centrali udało się dodzwonić do Innsbrucka i zdobyć numer do redakcji „*Neue Stimme*”. W końcu w słuchawce rozbrzmiał zniekształcony głos:

- Sabine Brauer, sekretarz redakcji, co to za sprawa, że wojsko do nas dzwoni?
- *Heil Hitler*, mówi *hauptmann Christian Leitner*.
- *Heil Hitler*. Więc?
- Chciałbym dowiedzieć się, czy ktoś z waszych pracowników jest obecny teraz na byłych terenach polskich?
- Słucham? O co chodzi?

Oficer milczał. Przejechał palcem od czoła do nosa, po czym zacisnął rękę w pięść i oparł na niej podbródek. Popatrzył w sufit, po czym powtórzył ostrzejszym tonem:

– Chciałbym dowiedzieć się, czy ktoś z waszych pracowników jest obecny teraz na byłych terenach polskich?

Kobieta przez moment nie odpowiadała, po czym najwyraźniej stwierdziła, że jej rozmówca liczy na konkrety, a nie pytania z jej strony. Nierozważnie było podpaść kapitanowi Wehrmachtu.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Zaraz sprawdzę, proszę poczekać.
- Ładna – powiedziała Maria, wskazując na papierośnicę, kiedy *hauptmann* oczekiwał na informacje od sekretarz redakcji.
- To prawda. Od mojej żony, Johanny.

Dziewczyna spojrzała na grawerunek o treści *Für meine Bären* i z szerokim uśmiechem wskazała go Staszкови. Ten obrócił lekko głowę, by udać, że go czyta i odwzajemnił uśmiech.

- „Dla mojego misia” – powiedziała Maria.
- Moja żona czasem lubi działać mi na nerwy. Nie znoszę takich...

Przerwał, gdyż w słuchawce rozległ się głos kobiety:

- Jest pan tam, hauptmann Leitner?

Skinął głową w stronę Marii z przepraszającym wyrazem twarzy, po czym kontynuował rozmowę telefoniczną. Jego głos zmienił się nie do poznania, gdy odpowiedział kobiecie po drugiej stronie linii:

- Tak, słucham.
- Sprawdziłam wszystkie dokumenty i informacje. Nie mamy tam nikogo.

Christian przeklął w duchu swój brak przygotowania na ewentualność, że Gina Henckel von Donnersmarck nie jest jednak tym, za kogo się podaje. „Wykorzystała swój urok przeciwko mnie i zachwiała mój stan umysłu” – pomyślał z wyrzutem pod adresem samego siebie.

Zasiadając za biurkiem, nie ściągnął pasa z bronią, a w tej pozycji trudno byłoby mu w razie potrzeby wyciągnąć pistolet, zanim tych dwoje zareagowałoby atakiem na niego. Powinien wcześniej o tym pomyśleć.

Uśmiechnął się blado do Giny, która nie słyszała, co powiedziała kobieta z „Neue Stimme”. Dziewczyna odebrała jego reakcję jako znak, że niedługo będzie wolna.

- Rozumiem. Mam jeszcze jedną prośbę.
- Tak?
- Proszę podać mi obecną lokalizację Giny Henckel von Donnersmarck, Gottwina Stöxena i Fabia Wendta.
- O ich obecnej lokalizacji nie mogę się wypowiadać, bo jej nie znam.
- Urwał się z nimi kontakt?

Maria, słysząc jedynie wypowiedzi Leitnera, poczuła, że robi jej się sucho w ustach. Trwając w kompletnym bezruchu, spojrzała na narzeczonego. Omiatał wzrokiem pomieszczenie, więc była pewna, że nie ma pojęcia o powadze sytuacji, bo z tonu głosu oficera nigdy nie dawało się wyczytać, czy jest zadowolony, zły, czy nawet wściekły. A i wyraz jego twarzy nic nie mówił rozmówcy.

Przeniosła spojrzenie wprost na Niemca, ale po chwili zreflektowała się, że musi wyglądać na spiętą. Zmarszczyła czoło, jak gdyby zastanawiała się, co też w redakcji wygadują, po czym zaczęła oglądać mahoniowe biurko.

Leitner, widząc, że oboje rzekomych dziennikarzy siedzi nieruchomo, stwierdził, że muszą nie zdawać sobie sprawy z rozwoju wypadków. „Najlepszy moment, żeby sięgnąć po lugera” – pomyślał.

Przeniósł rękę na udo, udając, że się drapie, po czym wyprostował plecy, by jego ręką powędrowała – niejako naturalnie – w stronę pasa z kaburą.

Kobieta mówiła dalej, choć przez trzaski w słuchawce Leitner coraz gorzej słyszał jej głos.

- Tak, ostatnie informacje są takie, że trzydziestego pierwszego sierpnia przebywali w wiosce Hochlinden na granicy niemiecko-polskiej.

Christian zamknął oczy i odetchnął. Pokrywało się to z wersją, jaką przedstawiła mu Gina. Zdołał potwierdzić ich tożsamość, a ona okazała się prawdomówną i uczciwą kobietą. Po raz

kolejny przyłapał się na tym, że mimowolnie ocenia ją pod względem cech potencjalnej kandydatki na żonę. Szybko odrzucił ten wniosek i skarcił się w myślach.

– Dziękuję, to wszystko.

– Czy mogłabym się dowiedzieć, o co chodzi i czy nasi reporterzy żyją?

– Tak. Wszystko w porządku.

– A kiedy...

– Dziękuję za informacje – odparł krótko i odłożył słuchawkę. Nie miał zamiaru tracić czasu na rozmowę z tą kobietą i występować w roli punktu informacyjnego dla redakcji jakiejś austriackiej gazety.

Uśmiechnął się szeroko do Giny, a po chwili stwierdził, że być może zbyt dobitnie okazał swoje zadowolenie.

– Jeszcze raz przepraszam państwa za te niedogodności.

– *Herr hauptmann*, zdajemy sobie sprawę z tego, że wykonywał pan tylko swoje obowiązki.

Maria poczuła, jakby nagle stała się o kilkanaście kilogramów lżejsza. W duchu dziękowała Bogu, że niemiecki oficer tak szybko odłożył słuchawkę. Gdyby drążył temat, zapewne dowiedziałyby się, że żaden z pracowników „*Neue Stimme*” nie jest głuchoniemy.

– Cieszy mnie to. Tak czy inaczej, pozwolę zakwaterować sobie państwa niedaleko, w jednej z kamienic na rynku, przy *Posenerstraße*.

– Będziemy zobowiązani – powiedziała i zalotnie spojrzała na Leitnera, co nie umknęło uwadze Staszka.

– Planują państwo zatrzymać się tu na dłużej?

– Niestety, mamy obowiązki. Kiedy tylko nasz kolega wyzdrowieje, ruszymy dalej, by dokończyć reportaż o sukcesie niemieckich wojsk, a potem wrócimy do Innsbrucka.

Christian wydawał się nachmurzony.

BERLIN, 20 WRZEŚNIA 1939 ROKU

Starszy, siwobrody człowiek przerzucał kolejne kartki papieru. Nudziły go szczegóły prowadzonych działań wojennych. I tak nie miał na nie najmniejszego wpływu, jednak Hitler chciał, by był ze wszystkim na bieżąco.

W zupełności wystarczyłyby mu ogólne informacje: ilu zginęło po której stronie i jaki jest wynik bitwy. Na mapie zaznaczał postępy niemieckich wojsk, gdyż przy takim zalewie informacji co chwilę gubił się w doniesieniach, jaką część terytorium Polski udało się zająć.

Polska armia zadała ich siłom straty większe, aniżeli to przewidywali. *Blitzkrieg*, wojna błyskawiczna, miała trwać około trzech tygodni. Przynajmniej tak twierdził Hitler podczas spotkania w końcu sierpnia. Wtedy wspólnie zakładali, że atak nastąpi dwudziestego szóstego sierpnia – i człowiek z brodą żałował, że ten scenariusz nie doszedł do skutku. Do pierwszego września Polacy zdążyli przeprowadzić mobilizację, mniejsza już z tym, czy udaną. Gdyby Rzesza uderzyła wcześniej, wojna skończyłaby się dużo szybciej. A w owym czasie udało się zmobilizować około trzydziestu z sześćdziesięciu dywizji, które miały stanowić główną siłę inwazji.

Zadzwoił telefon. Niespiesznie podniósł słuchawkę i zachrypniętym głosem powiedział:

– Cerber.

Nastąpiła chwila ciszy, po czym usłyszał odpowiedź wypowiedzianą przez dobrze znany mu głos:

– *Christophskräuter*.

Nie musiał wyciągać z zamykanej na klucz szuflady kartki z wykazem haseł przyporządkowanych do nazwisk. Pamiętał.

– Mów – powiedział przyjaznym tonem, który zarezerwowany był dla trzech, może czterech ludzi na całym globie.

– Druga einsatzgruppe rozbita przez oddział dywersyjny w Dolinie Sanu.

– Brak kompetencji. Rzuciliśmy tam młokosów.

– Zgadzam się. Ci Polacy to przeciętni żołnierze.

– Ująłeś sprawców?

– Mam w rękach ich dowódcę. Nie chce współpracować ani nawet zdradzić swojego nazwiska.

– Ufam twoim zdolnościom.

– Dziękuję. Zajmę się nim, jak potrafię najlepiej. Za kilka dni będzie śpiewał jak ptaszek o poranku.

Człowiek z siwą brodą nie odpowiedział, więc rozmówca kontynuował:

– Co potem z nim zrobić?

– Dziwi mnie, że zadajesz takie pytania.

– Kiedy z nim skończę, ktoś może wyciągnąć z niego jeszcze inne, mniej istotne informacje.

– W takim razie offizierlager.

– Tak jest, odeślemy go do obozu jenieckiego.

– Zajmij się resztą tej grupy dywersyjnej.

– Wszystkiego dowiem się od ich dowódcy, a potem wrócę do głównego zadania...

– Ma być szybko wykonane.

– Oczywiście.

– I bez dalszych komplikacji. Ci maruderzy już wystarczająco zakłócili nasze plany.

– Tak jest, sprawa będzie załatwiona w przeciągu najbliższych kilku dni.

– Cel akcji ma zostać stracony publicznie. I w brutalny sposób. Niech Polacy wiedzą, że wszelki opór jest bezcelowy i srogo karany.

– Tak jest.

Rozłączyli się.

LESKO, DOLINA SANU, 21 WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Ciekawe miasto – powiedział Alexander Klaas, kiedy wraz z Blankenburgiem wjeżdżali główną ulicą, witani przez ludność serdecznymi uśmiechami i skromnymi upominkami.

- Nawet nie wiesz jak – odparł obersturmführer.
- To Polacy? – zapytał młody esesman, odbierając od jakiejś kobiety kosz jabłek.
- Pytasz poważnie, plutonowy? Ukraińcy.
- Ach tak.
- Żyli pod polską okupacją od 1919 roku. Trzeba było zobaczyć ich reakcję, kiedy wkraczał tu Wehrmacht. Szał entuzjazmu.
- Myślałem, że skoro to Ukraińcy, bardziej by się ucieszyli z wejścia Sowietów.
- Może tak – odparł Blankenburg i się zamyślił. – Daliśmy im wolną rękę. To zwierzęta. Urządzili miejscowym Polakom taką rzeź, że ciężko opisać. Zresztą Słowacy też sobie tutaj poszaleli.
- Aha.
- Ech, połowa tutejszych to byli Żydzi.
- *Herr obersturmführer* żałuje niższej rasy?
- Blankenburg roześmiał się.
- Nie żartuj, plutonowy. Żałuję, że nie miałem okazji sam się z nimi zabawić.

Kiedy dotarli do budynku, który był celem ich podróży, wywlekli Obelta z samochodu. Nie miał większych obrażeń prócz siniaka pod lewym okiem. Dostał jedzenie i wodę. Traktowali go całkiem przyzwoicie.

Przypuszczał, że ten, którego inni nazywają Blankenburgiem, utrzymuje go w dobrym stanie, by przeżył przesłuchanie. A przynajmniej pozostał przy życiu na tyle długo, by zdążyli go złamać i wyciągnąć z niego potrzebne informacje. Póływy na nic by się im nie przydał, nie chcieli, by mdlał z wycieńczenia już podczas pierwszych tortur.

Z niesmakiem obserwował kilkudziesięciu mieszkańców Leska, którzy z otwartymi ramionami witali grupę hitlerowców. Miał nadzieję, że robią to tylko po to, by chronić rodziny przed powszechnie już znanym okrucieństwem SS.

Kiedy jednak wywleczono go z samochodu, z rękoma związanymi na plecach, poczuł na sobie spojrzenia zgromadzonych gapiów. Patrzyli na niego z obrzydzeniem.

- Dzień dobry – powiedział łagodnym tonem.

Niemiec, który go trzymał, przygiął go za kark niemal do ziemi. Z ust miejscowych usłyszał grad obelg. Wszystkie zawierały słowa „ty” i „polski”. Zignorował krzyki i popychany przez hitlerowców po chwili znalazł się w budynku. Tam poprowadzono go do przeraźliwie małej piwnicy, która zamiast okna miała wąską szparę przysłoniętą brudną dyktą. Rzucono go na kamienną posadzkę tak mocno, że poleciał aż pod ścianę.

Przyszło dwóch ludzi, którzy ustawili stół, dwa krzesła i lampę. Zostawili go skurczonego pod ścianą i wyszli.

Siedział tak cztery godziny, oceniając swoją sytuację. Cieszyło go, że Bronek, Chwieduszko i Kiljan uszli z życiem. Był zadowolony, że wykonali jego rozkaz i przedostali się do punktu zbornego, choć odniósł wrażenie, że obserwowali go aż do momentu, kiedy nadciągnęły posiłki SS.

- Wtedy miał prosty wybór: albo zginie sam, albo w towarzystwie swoich żołnierzy.

Przeciągnął się i popatrzył na twardą posadzkę. Szansa na wyspanie się była nikła.

W środku nocy zbudziło go łomotanie w drzwi. Po chwili otworzyły się. Ujrzał rozpromienioną twarz Blankenburga, który usiadł na krześle i kulturalnym gestem zaprosił zasnętego Polaka, by zajął miejsce naprzeciw niego.

Za niemieckim oficerem stał Alexander Klaas i jeszcze jeden esesman.

– Musimy poczekać na tłumacza, zaraz będzie – przyjaźnie odezwał się obersturmführer i ponowił ręką zaproszenie dla Polaka.

Kapitan powoli wstał z podłogi i zachowując kamienną twarz, usiadł na wskazanym miejscu. Nie rozumiał ani jednego słowa wypowiedzianego przez oprawcę.

– Ładna blizna. – Blankenburg wskazał ślad po ranie, rozciągający się na prawym policzku jeńca.

– *Luftwaffe* – odparł Obelt.

Niemiec roześmiał się, po czym wymienił kilka uwag z podwładnymi.

Chwilę później wbiegł do piwnicy zdyszany człowiek, poganiany przez kolejnego szeregowego funkcjonariusza SS. Blankenburg zerwał się z krzesła, przewracając je, po czym równie szybko wymierzył mocny cios w twarz przyprowadzonego człowieka. Ten przewrócił się na posadzkę.

– Jak wołam, masz natychmiast przybiec. Tak robią dobre psy – powiedział, po czym pogłaskał mężczyznę po głowie i się roześmiał. Nakazał mu tłumaczyć wszystko, co mówi, jak również każde słowo Obelta.

Postawił krzesło, usiadł i zaczął:

– Nazywam się Johann Blankenburg. Jestem obersturmführerem SD.

Obelt wyglądał, jakby próbował językiem wyciągnąć coś z zębów. Ostentacyjnie nie zwracał większej uwagi na rozmówcę.

– Kulturalnie jest się przedstawić – powiedział Niemiec.

– No. Dzień dobry.

Każda wymiana zdań trwała dosyć długo, gdyż tłumacz zastanawiał się przy każdym słowie.

– Jak masz na imię?

– Adolf – grobowym tonem odpowiedział Obelt, po czym ułożył dwa palce pionowo poniżej nosa, imitując wąsik Hitlera.

Blankenburg uśmiechnął się i wstał z krzesła. Zaczął przechadzać się po piwnicy, choć z racji ograniczonej przestrzeni raczej kręcił się w kółko.

– Masz ostatnią szansę, psie.

– Czyżby jakiś pies odegrał rolę sprawczą w twoim przyjsciu na świat, że tak często go wspominasz?

Kiedy tłumacz przełożył na niemiecki słowa polskiego oficera, jeden z szeregowych esesmanów mimowolnie się uśmiechnął. A oficer SD stracił cierpliwość.

Stanął za Obeltem i zerwał mu oba naramienniki z munduru. Kapitan nie zareagował, choć zabolalo go to bardziej, niż gdyby dostal po mordzie.

– Jak masz na imię? – powtórzył obersturmführer, po czym dodał: – To chyba żadna tajna informacja. Pokaż, że umiesz współpracować w błahych sprawach, to potraktuję cię z sympatią.

Blankenburg wypowiadał te słowa w zadziwiająco przyjaznym tonie. Patrząc jednak na jego

twarz, Obelt dostrzegając diabelskie oblicze. Oczy Niemca pałały szaleństwem. Polak pomyślał, że bez wątplenia trafił mu się jeden z najbardziej bezwzględnych członków SD. Zwyczajny funkcjonariusz zacząłby przesłuchanie już za dnia i tradycyjnie: od obraźliwych słów i tortur. Ten przyszedł w środku nocy i zachowywał się co najmniej dziwnie.

– No dobrze – powiedział obersturmführer, nie uzyskując odpowiedzi.

Skinął na dwóch szeregowców stojących przy drzwiach. Przywiązali jeńca do krzesła tak, by nie mógł wykonać ruchu. Jeden z nich złapał go za głowę i odgiął ją do tyłu.

– Jak zauważyłeś, jestem kulturalnym człowiekiem. Zaczniemy od poprawnego przedstawienia się. Moje imię i nazwisko już znasz. A to mój przyjaciel, browning – powiedział oficer SD, wyjmując pistolet z kabury. – Teraz pozostaje kwestia tylko twojego imienia.

Nakazał dwóm esesmanom otworzyć Obeltowi usta. Jeden złapał go za żuchwę i pociągnął ją w dół, podczas gdy drugi odciągał jego głowę do tyłu, trzymając za czoło. Polak poczuł, jak prawie wrywają mu szczękę z zawiasów.

Blankenburg nachylił się do jego twarzy. Popatrzył na niego nienaturalnie szeroko rozwartymi oczyma i powiedział krótko:

– Imię.

Kiedy nie otrzymał odpowiedzi, obrócił pistolet w dłoni, łapiąc go za lufę. Uśmiechnął się do Obelta, lewą ręką odciągnął jego policzek, a trzymanym w prawej pistoletem wybił mu dwa zęby. Roztrzaskały się na małe kawałki. Polski oficer robił wszystko, by się nimi nie udławić.

Obersturmführer odczekał chwilę, obserwując jego wysiłki i nakazał puścić jego głowę.

Z ust Obelta lała się krew, ale nie wydał z siebie nawet najmniejszego jęku.

– Udowodniłeś, że jesteś twardy. A teraz imię.

– Adolf – odpowiedział przesłuchiwany, wypluwając resztki zębów.

Blankenburg pokiwał głową i założył ręce za plecy.

– Widzę, że tak nigdzie nie dojdziemy. Ustaliliśmy tylko tyle, że jesteś niekulturalnym ścierwem.

Kapitan splunął krwią w kierunku oprawcy. Niemiec spokojnie otarł dłonią twarz i powiedział:

– Lubisz grać ostro. Świetnie, bo tak się składa, że ja też.

Usiadł naprzeciwko jeńca i oparł podbródek na rękach. Gdyby Obelt miał przed sobą jakiegokolwiek innego człowieka, stwierdziłby, że ten chce odbyć przyjazną pogawędkę.

– W końcu żyjemy dla takich chwil. Ciekawych – kontynuował Niemiec. – Ostatnio wymyśliłem, by polskim psom wsadzać do dupy butelkę po piwie, podnosić ich za fraki i z hukiem sadzać na ziemi. Podoba ci się?

Oficer ponownie splunął Blankenburgowi w twarz. Kiedy ten się wytarł, stwierdził:

– Nie podoba. Jeśli będę musiał prowadzić ten monolog jeszcze choć chwilę dłużej, spotka cię właśnie taki los. Nieciekawo, nie uważasz?

RAWITSCH, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Kiedy Staszek z Marią opuścili biuro Leitnera, ten przez dłuższą chwilę stał w kamiennej

pozie na swoim ulubionym miejscu – przy oknie, z którego rozciągał się widok na rynek. Myślał o swojej żonie. Żył do niej wyjątkowe uczucie i nie mógł doczekać się, kiedy zobaczy zarówno ją, jak i syna. Mimo to musiał stwierdzić, że Gina namieszała mu w głowie.

Z niechęcią przyznawał przed samym sobą, że po potwierdzeniu tożsamości dziennikarzy jego umysłowy zamęt osiągnął zenit. Nie miał zamiaru czynić żadnego ruchu, który mogłaby odebrać jako coś więcej niż zwykłą sympatię, choć jednocześnie nie mógł przestać myśleć o takim rozwiązaniu.

Wieczór poświęcił na spacer w kierunku pobliskiego cmentarza parafialnego. Miał zamiar odwiedzić grób Mateusza Katnera. Nakazał pochować go zgodnie z wszelkimi prawami wiary zabitego, choć sam ich nie aprobował. Ostatnią rzeczą, na jaką by pozwolił, było pochowanie go w masowej mogile.

Nawet spierał się z Heinlem, który nalegał, by nie umieszczać imienia i nazwiska ofiary na nagrobku, zastępując je lapidarnym sformułowaniem „Więzień NN”. Christian własnoręcznie pozbawił Katnera życia, ale nie widział powodu, by fakt ten przed kimkolwiek zatajać. Poza tym, zmarłemu należał się szacunek, bez względu na to, z jakiego powodu wysłano go na tamten świat i jaka krew płynęła w jego żyłach.

Nie dotarł jednak na cmentarz. Zmienił zdanie, zawrócił na rynek i stał tam dłuższy czas, paląc papierosa i wlepiając wzrok w wieżyczkę zegarową, umiejscowioną w centralnym punkcie dachu ratusza. Zegar pokazywał godzinę dwudziestą pierwszą czternaście. Było już po zmroku, a wrześnie chłodne powietrze zaczynało działać orzeźwiająco na Leitnera.

Postanowił przełożyć odwiedzenie grobu Katnera na inny dzień.

Kątem oka zauważył, że zbliżał się do niego człowiek w czarnym płaszczu. Lekko przygarbiony, zapewne starszy od Leitnera. Czuć było od niego delikatną woń alkoholu, choć nie drażniła nozdrzy. Bez słowa przedstawienia się powiedział po niemiecku bez obcego akcentu:

- Wie pan, że na tej wieży pojawił się pierwszy w Polsce piorunochron?
- Interesujące.
- Proszę w najbliższym czasie spodziewać się gościa.
- Słucham?

Człowiek odszedł, nie odpowiadając, a oficer nie próbował go zatrzymać. Nie interesowały go alkoholowe wymysły jednego z kręcących się tu funkcjonariuszy SS.

Następnego dnia o piątej trzydzieści rozpoczął poranny rytuał – trzydzieści pompek, sześćdziesiąt brzuszków i czterdzieści przysiadów, po czym udał się na bieg po okolicy. Zgodnie z zaleceniami lekarza nigdy nie przekraczał sześciu kilometrów. Tym razem jednak niesiony jakąś dodatkową energią, nie mógł sobie odmówić dalszego wysiłku. Zupełnie wykończony po dziesięciokilometrowym biegu, wrócił do zajętej przez Wehrmacht kamienicy, gdzie mieściło się mieszkanie stanowiące jego nową kwaterę.

O ósmej, odświeżony i pachnący wodą kolońską, pojawił się w sieni ratusza, mijając belkę stropową z umieszczoną na niej datą – 1753. Wszedł do swojego gabinetu i zanim zaczął przeglądać dokumenty, które zgromadziły się na mahoniowym biurku, postanowił zaserwować sobie poranną dawkę kofeiny. Zaparzył ekskluzywną kawę firmy Dallmayr, znaną głównie w Bawarii. Leitner rzadko pił inną, więc był zaopatrzony w niemały jej zapas.

Kiedy pociągnął kilka łyków, usłyszał pukanie do drzwi. Odczekał chwilę, wiedząc, że nie jest

z nikim umówiony na tak wczesną wizytę. Pukanie zostało ponowione, więc powiedział:

– Wejść.

W jego drzwiach ukazał się człowiek w szaro-zielonkawym mundurze. Na lewym przedramieniu widniała naszywka z literami SD wpisanymi w czarny, obsyty srebrną nicią romb.

Christian wstał z krzesła.

– *Heil Hitler*, hauptmann Leitner.

– *Heil Hitler*. Widzę, że Gestapo ma do mnie sprawę.

– SD. SS-Sturmbannführer Rüdiger Heller, miło mi.

Gospodarz westchnął.

– SD, Gestapo, co za różnica, *Herr* Heller?

– Prawie nieuchwytna.

Gość uśmiechnął się, chcąc rozładować napięcie. Nie spotkało się to jednak z jakąkolwiek reakcją drugiej strony. Żołnierze Wehrmachtu rzadko traktowali członków SD, Gestapo czy jakichkolwiek struktur podległych SS jako równych sobie. Uważali te formacje za namiastki wojska, z niezrozumiałych powodów faworyzowane przez Hitlera.

Leitner szanował wszelkie decyzje Führera i nie zawahałby się przelać krwi, by ich bronić, jednakże dostrzegał szereg problemów wynikających z obecności esesmanów na linii frontu. Były one głównie natury operacyjnej – w jego przekonaniu tajna policja i służby specjalne nie spełniają swojej roli, gdyż kierownictwo nie jest w stanie utrzymać dyscypliny w ich szeregach, przez co na okupowanych terenach dochodzi do samowoli funkcjonariuszy SS.

Christian nie żywił zatem niechęci do samej formacji, ale do jej sposobu działania.

– Jaką ma pan do mnie sprawę? Kolejne tajne dokumenty od reichsführera Himmlera?

– W pewnym sensie, panie kapitanie.

– Możemy przejść do konkretów? Mam mało czasu.

– Wedle moich informacji, nie ma pan dziś żadnych naglących obowiązków.

Leitner zbył milczeniem uwagę świadczącą, że jest pod obserwacją SD.

– W każdym razie na pewno ucieszy pana, że sam Himmler jest panem zainteresowany.

– Słucham? – Oficer nie mógł ukryć zdziwienia. Nie wiedział dlaczego jeden z najbliższych współpracowników Führera miałby się interesować się jakimś kapitanem Wehrmachtu.

– Zna pańskie zasługi, także te z ostatnich dni: zdobycie Rawitscha i umiejętne rozprawienie się z ujętymi Polakami. Zachował pan zimną krew i pokazał, że nie należy z nami zadzierać.

– W takim razie jestem zaszczycony.

– Reichsführer ma do pana prośbę, nie rozkaz.

– Zatem proszę mi ją przekazać.

– *Herr* Himmler chciałby widzieć pana w szeregach SS.

– Mnie, żołnierza Wehrmachtu? To raczej niecodzienna prośba – Leitner nie potrafił wysilić się na bardziej entuzjastyczną reakcję. Miał nadzieję, że rozmówca nie zauważył kompletnej dezorientacji, jaka go ogarnęła.

– Owszem. Ale o tym pomyśle wie sam Führer. Co więcej, wyraził swoje poparcie – odparł

rozmówca, po czym w pomieszczeniu zapadła grobowa cisza.

Christian odniósł wrażenie, że Heller słyszy szalone bicie jego serca. Zjawił się u niego wysoki funkcjonariusz SD i oświadczył, że sam Adolf Hitler popiera plan Heinricha Himmlera, który zakłada wcielenie Leitnera w szeregi SS. Plan niezrozumiały dla samego zainteresowanego, który nie mógł pojąć pobudek, jakimi kierował się szef SS i policji. Niemniej nie mógł zignorować prośby popartej przez Führera. Choć czy Wódz cokolwiek wiedział o planach Himmlera, to inna sprawa. Dla Christiana było niemal oczywiste, że podpis w imieniu Hitlera pod stosownym dokumentem złożył pewnie któryś z jego współpracowników, ale sam pomysł musiał wyjść z najwyższych sfer władzy. A to znaczyło, że ktoś „na górze” z niewiadomego powodu się nim zainteresował.

Rüdiger Heller zauważył, jaki chaos wywołał w umyśle oficera i już wiedział, że ma go na tacy. Nie powiedział zresztą niczego, co miałyby się z prawdą. Himmler poparł pomysł sformułowany przez jednego ze swoich podwładnych, a Hitler podpisał, co trzeba, choć żaden z nich nie miał pojęcia, kim jest Christian Leitner.

– Chcemy, by zaprowadził pan w szeregach SS żelazną dyscyplinę i zwiększył efektywność naszych działań. Z obu tych przymiotów już jest pan doskonale znany w armii.

– Proszę wybaczyć, ale ta propozycja jest tak zaskakująca, że nie mogę udzielić odpowiedzi dziś.

– Niech się pan nie spieszy, kapitanie. – Heller stwierdził, że trochę kurtuazji nie zaszkodzi. Żołnierz i tak już się zgodził, choć jeszcze o tym nie wie.

Na odchodnym dodał:

– Otrzyma pan stopień SS-Hauptsturmführera. Rzesza potrzebuje pana w tej roli, kapitanie.

Około południa Staszek poszedł zwiedzić miasto, a Maria udała się do szpitala. Przed wyjściem odbyli krótką rozmowę.

– Powinniśmy pójść do Holzera i zobaczyć, w jakim jest stanie – powiedziała.

– Stan stanem, ale trzeba go zapytać, kiedy będzie mógł wstać i przejść parę metrów.

– Boję się, że nieprędko.

– Jeśli będzie z nim źle, dzięki swojemu urokowi osobistemu załatwisz u Leitnera jakiś samochód dla nas.

– Co masz na myśli?

– Nic, nic.

Uśmiechnął się, a narzeczona ponurą miną okazała dezaprobatę dla jego insynuacji.

– Nie idziesz ze mną do szpitala?

– A po co jestem ci tam potrzebny?

– Może zarazisz się jakąś cholerą. Albo dżumą. I będę miała spokój.

– Mhm, już się zaraziłem. Tobą.

Zmierziła mu włosy i kilkakrotnie nazwała baranim łbem. Wtedy oświadczył, że idzie obejrzeć miasto. „Jak cholerny turysta” – pomyślała.

Szpital mieścił się w małym budynku przy dawnej ulicy Sienkiewicza. Tam – wedle słów Leitnera – ulokowano Holzera. W środku znajdowało się jedynie czterdzieści łóżek, Maria nie

miała więc problemu ze znalezieniem właściwego.

– Gina – oschle przywitał ją wyraźnie znudzony Holzer.

– Witaj, Fabio.

– Zabierzcie mnie stąd, bo zaraz wyświdruję wzrokiem dziurę w suficie i gołębie będą miały któreś na mnie srać.

– Pewnie tylko na to czekają. Jak się czujesz?

– Jak widać.

– Czyli radosny jak zawsze. Kiedy możesz ruszyć w drogę?

– Jak naj-kurwa-szybciej, rozumiesz? Nie mam najmniejszego zamiaru zostawać tu...

Do sali wszedł lekarz, który przerwał im rozmowę:

– Panie Wendt, nie ruszy się pan z tego łóżka co najmniej przez najbliższe dwa tygodnie. Cudem uniknął pan śmierci, o ironio, z rąk niemieckiego żołnierza.

Holzer zignorował doktora, najwyraźniej nie darzył go zbyt dużym szacunkiem. Zwrócił się do Marii:

– Dawaj jakieś kule i dokuśtykam gdziekolwiek, byle daleko stąd.

Popatrzyła na lekarza, który pokręcił głową, uśmiechając się z politowaniem, po czym odszedł, by zająć się innymi pacjentami.

– Tydzień minimum – powiedziała bardziej do siebie niż do Holzera.

Ten chrząknął i wymruczał pod nosem kilka obraźliwych słów, których nie dosłyszała, ale potraktowała je jako zgodę.

Na koniec dał jej znać, żeby zostawiła mu paczkę papierosów. Choć trudno było jego gniewne pomruki traktować w kategoriach prośby, zostawiła mu jasnoczerwoną, nieotwartą paczkę marki Roth-Händle, którą wcześniej dostała od Leitnera.

Po jej wyjściu Holzer zwałkował się z łóżka i z wielkim trudem stanął przy oknie. Otworzył opakowanie, zapalił papierosa zapalką i zaciągnął się głęboko. Gdy wydychał powietrze, prawie nie było w nim dymu. Kilku żołnierzy leżących w sali zaprotestowało, ale uciszył ich krótką i konkretną groźbą, dotyczącą niedalekiego losu ich przyrodzenia, jeśli się nie zamkną.

Wracając do mieszkania, w którym zakwaterował ich Christian, Maria spotkała ostatnią osobę, którą chciała kiedykolwiek widzieć.

– Witam, Gino. Możemy chyba, skoro jesteśmy już po pierwszym pocałunku, przejść na „ty”
– zapytał Heinle, szczerząc zęby.

Ze złością przyspieszyła kroku.

– Porozmawiajmy. – Porucznik zaszedł jej drogę.

– Nie mamy o czym, gnido.

– Ale dlaczego od razu tak nerwowo?

Minęła podwładnego Leitnera i bez słowa chciała się oddalić. Chwycił ją za ramię, więc nie zastanawiając się, szybko odwróciła się w jego stronę i z całej siły kopnęła oficera w krocze. Zawył i upadł na jedno kolano, nie mogąc wydusić słowa. Dziewczyna z zadowoleniem wbijała wzrok w jego poczerwieniałą twarz, która nabrzmiała, jakby miała eksplodować.

Holzer obserwował nieprzyjemne spotkanie ze szpitalnego okna. Obnażając braki

w uzębieniu. zaśmiał się śmiechem przypominającym charkot.

„Ciesz się ostatnimi chwilami życia, skurwysynu. Ból w jajach będziesz wspominał miło, kiedy się za ciebie wezmę” – pomyślał. Nie zamierzał opuszczać Rawitscha bez uregulowania sprawy z tym łachudrą.

Heinle podniósł się w końcu, ale nadal trzymał się za podbrzusze. Jego twarz odzyskała normalne kolory, choć oczy wyglądały, jakby miały wystrzelić z orbit.

– Ty su...

– Oberleutnant Heinle!

Dobiegający z oddali głos był tak donośny, że słysząc było dokładnie każdą wypowiedzaną głoskę. Niejednokrotnie mroził krew w żyłach największym zuchwalcom w całej kompanii.

Ernst odchrząknął kilkakrotnie.

– *Herr hauptmann*. Ta kobieta...

– Mam dosyć twoich tłumaczeń, Heinle.

– ...zaatakowała żołnierza Wehrmachtu bez wyraźnej przyczyny – uparcie kontynuował oberleutnant.

– Milczeć, poruczniku – powiedział groźnym tonem Leitner.

Włosy zjeżyły się Heinlemu na karku. Kapitan dodał:

– Punkt dziewiętnasta, przed głównym wejściem do ratusza. Masz tam stać na baczność i czekać na mnie. Strażnik przy wejściu będzie pilnował czy choćby drgnąłeś. Zamelduje mi też, jeśli spóźnisz się nawet o minutę.

– Tak jest, *Herr*...

– Odejść.

Podkomendny oddalił się bez słowa, a Christian przeniósł wzrok na Marię. W przeciągu sekundy jego oblicze zmieniło się nie do poznania.

OKOLICE TURKI, DAWNE WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek, Chwieduszko, Kiljan i Kremmer przemierzali kolejne kilometry ledwo utwardzonymi drogami, które stary ziemianin określał jako „cechujące się kurzową nawierzchnią”. Byli do takiego stanu rzeczy przyzwyczajeni, wszak poza miastami i ich okolicami na terenie całej Polski rzadko występowały drogi kryte gładkim podłożem.

– Błagam, powiedzcie, że zabraliście mój mundur – powiedział Zaniewski, kiedy zatrzymali się, by opróżnić pęcherze. Odpowiedziała mu pełna konsternacji cisza, a on uniósł ramię i popatrzył na obecną na nim swastykę.

– Proszę wybaczyć, szanowny panie... – zaczął ziemianin.

– Kurwa, nie pomyśleliśmy – uzupełnił jego wypowiedź szeregowy.

– Nie wierzę.

– Odpowiedzialność spoczywa na moich barkach. Byłem zbyt zaabsorbowany ratowaniem swoich rzeczy – kontynuował starszy. – Ale być może to i lepiej, że będzie pan podróżował w tym uniformie. Wszak w razie gdybyśmy napotkali naszych germańskich oprawców,

zastosujemy sprawdzony fortel.

– W dupie mam dalsze fortele.

– W takim razie być może odstąpię panu swoje odzienie?

Bronek popatrzył na niego spode łba, po czym zapiął rozpiorek i, nadąsany, skierował się z powrotem do auta.

Zgodnie z zapowiedziami Kremmera, większość szlaków, którymi podążali, była nieuczęszczana. Dopóki starszy pan znał okolice, kierował ich na wiejskie drogi, którymi mogli przedostać się w okolice Turki.

Aby nie zwracać na siebie uwagi, wyjeżdżając z Beniowej udali się do sąsiedniej wsi, Bukowca, gdzie właściciel dworku pożyczył samochód od swojego przyjaciela i wieloletniego współnika o niemieckim nazwisku. Wcześniej porzucili wóz z oznaczeniami SS, gdyż z pewnością wzbudzałyby samym swoim widokiem zainteresowanie zarówno Polaków, jak i Niemców. Przyjaciel Kremmera pożyczył im na wieczne nieoddanie starą półciężarówkę polskiej produkcji, CWS-T1, rocznik 1930. Pojazdy takie zostały potem wyparte przez fiaty, które zakłady CWS zdecydowały się produkować w miejsce własnej konstrukcji. Właściciel poinformował żołnierzy, że wóz ma „czterdzieści parę koni mechanicznych” i rozwija prędkość nawet dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Szybko przekonali się, że CWS-T1 średnio nadaje się do przemierzania trudnych tras, które obierali, ale to i tak znacznie lepiej niż niemiecki samochód SS.

Bronek usiadł za kierownicą, Kremmer na siedzeniu pasażera, a Chwieduszko z Kiljanem na zabudowanej pace, razem ze wszystkim, co zabrali z Beniowej.

Po drodze mieszkańcy wsi niemalże wpychali im do samochodu świeże jedzenie i ciepłe ubranie, w podzięce za usunięcie hitlerowców z okolicy. Zaniewski uświadomił sobie, że wieść o porażce na leśnej drodze jeszcze nie zdążyła się roznieść po okolicy. Sądził, że pierwszym przystankiem ścigających ich Niemców będzie Beniowa, ale wedle informacji zasłyszanych od wieśniaków esesmani nawet się tam nie pojawili.

Po cichu liczył na to, że wrogowie zdecydują się wrócić do wsi, w której oddział Polaków urządził zamach na pierwszą einsatzgruppe. Miał nadzieję, że w takiej sytuacji udałoby im się zyskać pomoc kilku miejscowych mężczyzn i podjąć próbę odbicia kapitana Obelta. Tymczasem słuch po esesmanach zaginał. Wprawdzie kilku wieśniaków twierdziło, że czarny niemiecki samochód skierował się w pośpiechu na północny zachód, ale na tej ogólnej informacji ślad Obelta się urywał.

Bronek żałował, że nie znajduje się na pace razem z Chwieduszką. Potrzebował towarzystwa doświadczonego żołnierza, bo był załamany faktem, że bez walki oddali dowódcę w ręce Niemców. Prawda była jednak taka, że samobójstwem było otworzenie ognia do tak licznej grupy wroga. Poza tym, mimo ucieczki z Beniowej, Bronek nie porzucił planu odbicia Obelta. Łudził się, że po prostu odłożył go na później.

Wolałby podróżować obok Chwieduszki, bo on w takich sytuacjach zachowywał odpowiednie milczenie. Tymczasem musiał w kabinie wozu znosić towarzystwo Kremmera, któremu usta się nie zamykały.

– Szanowny panie sierzancie, w marcowym numerze „Drogowca” miałem niewątpliwą przyjemność przeczytać artykuł niejakiego pana Nestorowicza.

Zaniewski wydał pomruk o niejasnym znaczeniu, a ziemianin uznał to za zachętę do

rozwinięcia wypowiedzi.

– Otóż ów zacny człowiek twierdzi, że w krajach zachodnich od kilkunastu lat dominuje trend budowania autostrad, czyli szerokich dróg samochodowych o podwójnej jezdni.

– Fascynujące.

– Zaiste. Oblicza koszt budowy jednego kilometra na około dwieście, może trzysta tysięcy złotych.

– Panie Kremmer...

– I przytacza, że obecnie w Polsce jest około trzydziestu kilku tysięcy pojazdów mechanicznych.

– Panie Kremmer, to naprawdę ciekawe, ale...

– A owszem, owszem. W każdym razie, w chwili obecnej planuje się wybudowanie około pięciu tysięcy kilometrów autostrad. Ja się zatem chciałbym spytać, skąd...

– Panie Kremmer, planowało się. Polska przestała istnieć, jeśli pan jeszcze tego nie zauważył.

Broniek powiedział to ostrzejszym tonem, niż zamierzał, ale towarzyszy podróży nudził go do granic możliwości, rozprawiając o sprawach, które teraz nie miały już żadnego znaczenia. Przybierając zdziwioną i nieco oburzoną minę, Kremmer zastygł z głową obróconą w stronę Bronka.

– Proszę, niech pan kontynuuje – dodał Zaniewski, po czym wyłączył się i obserwował krajobraz, co chwilę wydając pomruk świadczący o tym, że słucha.

Celem ich podróży była miejscowość Turka nad Stryjem. Nim odjechali z Bukowca, ziemianin nie omieszkiał poinformować towarzyszy, że miasto ma około dziesięciu tysięcy mieszkańców, z czego połowa to Żydzi, wśród których ma licznych wpływowych znajomych. Broniek zauważył wtedy, że po tym, jak Niemcy zajęli Polskę, żaden Żyd nie jest już wpływowym. Niezrażony starszy pan stwierdził, że pod Turką mieszka człowiek, który może im pomóc dowiedzieć się, dokąd esesmani zawieźli Obelta.

Zrezygnowany Chwieduszko zauważył, że teraz już nie mają na to żadnych szans. A tym bardziej na podjęcie jakiegokolwiek akcji ratunkowej. Broniek natomiast upierał się, że należy spróbować.

Ziemianin po namyśle zgodził się z chorążym, bo ocenił, że powodzenie takiej misji „nie cechuje się wysokim prawdopodobieństwem”. Znalezienie Obelta mogło być niemożliwe, nie mówiąc już o odbiciu go.

W końcu głos zabrał Roman, który jak na dzieciaka, co już w pierwszym boju stracił trzy palce, zachowywał się później wręcz bohatersko:

– Nie powinniśmy zostawiać nikogo na pastwę Szwabom, szczególnie kapitana Bełta.

– Gdyby tylko była szansa na uratowanie go, Kiljan – grobowym głosem mruknął chorąży.

– A mieliśmy szansę na rozbitcie dwóch oddziałów szkopów? Nie! Ale się udało.

– Prawie się udało – cicho dodał Kremmer, po czym spuścił głowę, czując na sobie wzrok pozostałych.

– Kapitan Bełt gdzieś tam jest i liczy na nas. Nawet gdybyśmy nie zdołali go uwolnić, a tylko ustrzelilibyśmy kilku Niemców, to by mu przynajmniej spokojniej było umierać. Wiedziabymy, że przyszedłszy po niego.

– Ma rację, chorąży – dodał Broniek dobitnie, wpatrując się w Chwieduszkę.

Ten najwyraźniej wziął sobie do serca odważne słowa młodego szeregowego, bo po chwili ciszy odparł:

– No to jak niby mielibyśmy go znaleźć?

W tym momencie Kremmer wrócił do tematu swojego znajomego mieszkającego pod Turką. Powiedział, jak mają do niego dojechać.

W ten właśnie sposób znaleźli się na ledwo utwardzonej, „kurzowej” drodze.

Zaniewski starał się nie słuchać ziemianina. Myślał o Anieli. Przypuszczał, że nadal znajdowała się w Baranowiczach. Miał nadzieję, że Armia Czerwona jest zbyt zajęta parciem w głąb Rzeczypospolitej w celu zagarnięcia jak największej części jej terytorium, by już na początku wojny wyznaczać część wojsk na urządzenie czystek w zdobytych miejscowościach.

Wspominał drugą randkę, na którą wybrali się niedaleko za miasto, nad Jezioro Żłobińskie. Towarzyszyły im dwie przywoitki – ze strony Bronka był to Maniura, natomiast Aniela zabrała przyjaciółkę, inną kelnerkę z „Szai”, Justynę.

Świeżo upieczony starszy sierżant nalegał wprawdzie na spotkanie sam na sam, ale Aniela uparła się, że im więcej ludzi, tym weselej. Wziął więc przyjaciela, który miał nadzieję skorzystać z tej okazji, by przekonać do siebie znajomą Anieli. Plan oczywiście się nie powiódł, bo Maniura zbłądził się, dostarczając Bronkowi i jego towarzysze wiele powodów do śmiechu, Justynie natomiast – do zażenowania.

– Bardzo jest ładna i powabna – powiedział do niej, kiedy opróżnił część butelki wina. Wcześniej siedział bez słowa, a że Bronka całkowicie pochłonęła rozmowa z Anielą, był zdany całkowicie na siebie w konwersacji z Justyną.

– Dziękuję – odpowiedziała, a reszta towarzystwa nagle zainteresowała się pierwszą wymianą zdań pomiędzy Wackiem a dziewczyną.

– Naprawdę. Jak sarna w lesie, taka smukła – kontynuował grubas.

– Miło mi.

– Nimfa taka, leśna – Maniura brnął w najlepsze przez całe pół godziny, a Zaniewski nie mógł uwierzyć w to, co słyszy. W końcu zaproponował, by jego kompan odprowadził Justynę do domu. Zostali sami z Anielą.

Gdy dogasało ognisko, usiadł za nią i objął od tyłu. Położyła głowę na jego ramieniu i przez dłuższy czas siedzieli bez słowa, obserwując coraz mniejsze płomienie.

Kiedy się do niego obróciła, ich usta wreszcie się spotkały. Z tamtej nocy Bronkowi szczególnie zapadły w pamięć dokonywane przez dziewczynę próby rozpięcia jego marynarki mundurowej. Trudziła się z tym co niemiara i przez chwilę miał nawet wrażenie, że robi to specjalnie.

– Niech sam zdymie koszulę! – krzyknęła w końcu i lekko uderzyła go ręką w pierś, przybierając zniecierpliwioną minę. Młody sierżant roześmiał się i powiedział, że sama musi rozpakować swój prezent. Popatrzyła na niego pobłażliwie i stwierdziła, że za takie tanie zagrywki powinna przepędzić go do koszarów.

Rano obudzili się przemarznięci. Odprowadził Anielę do domu i puścił się pędem do obozu, gdzie odebrał solidną reprimendę od Obelta, a Chwieduszko w ramach kary obarczył go samymi uwłaczającymi pracami.

– ...i tak właśnie, mój drogi panie, powinno się budować te, jak to nazywają, autostrady. – Obraz wspomnień został zburzony finałem wyводу Kremmera. Zaniewski westchnął ciężko i potwierdził słowa towarzysza szybkim skinieniem głowy.

Wyjechali z lasu na otwarty teren. Wokół rozciągały się pola uprawne i połacie niezagospodarowanej ziemi. Do celu pozostało im około dwudziestu kilometrów, mniej niż połowa drogi.

Im bliżej byli cywilizacji, tym więcej pojawiało się niedbale porzrzuconego siana i słomy na polach. Tworzyły pożółkniętą, grubą warstwę, spod której nie było widać ziemi.

Gdy dochodziła czwarta po południu, postanowili zatrzymać się i przygotować namiastkę obiadu. Broniek wyszedł z samochodu i zapaliwszy papierosa, zauważył ruch na poboczu, po lewej stronie samochodu.

Zignorował to, sądząc, że jakieś zwierzę przekopuje się przez warstwę dawno skoszonych roślin.

Nagle po obu stronach pojazdu wyrosło jak spod ziemi siedmiu mężczyzn. Celowali do oddziału Chwieduszki z karabinów. Trójka innych stała z tyłu, trzymając kosy. Zaniewski omiótł ich szybkim spojrzeniem, jednocześnie sięgając do kabury po walthera.

LESKO, TERENY ZAJĘTE PRZEZ RZESZĘ, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Chcę mieć swojego Żyda – powiedział Blankenburg, gdy rankiem podązał z Klaasem do piwnicy, którą zamienili na prowizoryczną celę dla Obelta.

– Kobieta? Mężczyzna? – odparł bez cienia emocji młody plutonowy.

– Może być chłopak, maksymalnie dwudziestoletni.

– Oczywiście, *Herr obersturmführer*. Możemy załatwić to już teraz, widziałem niedaleko dobrego kandydata. Mówi nawet po niemiecku.

Johann Blankenburg chwilę się zastanawiał, po czym stwierdził:

– Niech będzie, Polak poczeka.

Klaas poprowadził go do jednej z kamienic, gdzie w trzypokojowym mieszkaniu spało kilkunastu ludzi. Wszyscy wyglądali na wygłodzonych i brudnych. W pomieszczeniach śmierdziało potem.

Obersturmführer z dezaprobatą pokręcił głową i kopnął jednego z leżących mężczyzn. Kiedy ten się obudził, w pierwszej chwili chciał zerwać się z podłogi. Kiedy jednak zobaczył mundur SD, otworzył szeroko oczy i pozostał w pozycji, w której go zastali.

Klaas przeszedł do innego pokoju, po czym starał się wypatrzeć wśród leżących na podłodze chłopaków tego, którego szukał. Kiedy w końcu go zlokalizował, kopnął go w brzuch i powiedział:

– *Komm, komm, Jude.*

W tym samym momencie podniósł się inny. Plutonowy popatrzył na niego ze zdziwieniem, gdyż reszta starała się trwać w bezruchu, zapewne wznosząc modły o ratunek.

– Ja pójdę – oświadczył chłopak.

Klaas zlustrował go wzrokiem, a w myślach ocenił jego wymowę. Wydawał się operować

niemieckim bezbłędnie.

– To chodź, jak jesteś taki chętny – rzucił i popchnął go w kierunku drzwi.

Po chwili pojawił się przed Blankenburgiem z chłopakiem ostrzyżonym prawie na łyso, w wieku około dwudziestu lat.

– Sam się wrywał, żeby zostać pańskim kundlem.

Oficer SD omiół go spojrzeniem, nabrał powietrza w płuca i z niesmakiem powiedział:

– Niech będzie. Wychodzimy, smród tych zwierząt jest nie do zniesienia.

Obersturmführer od dawna planował mieć własnego Żyda. Inni Niemcy zazwyczaj wykorzystywali Żydów, po prostu zgarniętych na ulicy, do czyszczenia butów, noszenia ciężkich rzeczy czy ładowania sprzętu do samochodów. Niektórzy nawet płacili im dniówkę w wysokości trzech złotych – podczas gdy robotnik niemiecki dostawał, w przeliczeniu z marek, złotówkę za godzinę. Blankenburg nie zamierzał jednak swojemu Żydowi płacić żadnych pieniędzy ani zapewniać mu wyżywienia. Niech niewolnik sam się o coś postara.

Kiedy wrócili na ulicę, Niemiec odezwał się do prowadzonego chłopaka:

– Imię.

– Rufin.

Oficer SD splunął mu pod nogi. Żydowskie imiona i nazwiska były odrażające. Pożałował, że zapytał.

Doszli do budynku z celą Obelta. Zeszłej nocy, opuszczając piwnicę, wynieśli z niej stół i krzesła. Zostawili tylko zardzewiałe wiadro, a obersturmführer rozkazał nie karmić Polaka ani nie dawać mu wody.

Przed wejściem do klatki czekało dwóch esesmanów i tłumacz. Razem weszli do środka. Siedzący przy ścianie jeniec podniósł na nich wzrok, który wyrażał więcej niż tysiąc słów – gdyby miał okazję, rozszarpałby ich na kawałki. Blankenburg uśmiechnął się i nakazał Rufinowi postawić na środku pomieszczenia wiadro. W podnoszonym naczyniu zachlupotała niewielka ilość moczu.

– To mój Żyd – powiedział do Obelta.

Ten nie musiał rozumieć słów oprawcy, by zorientować się w sytuacji. Popatrzył z niesmakiem na Niemca, po czym przeniósł wzrok na młodego człowieka. Z pewnością chłopak czuł się poniżony, ale wyraz jego twarzy świadczył, że pogodził się z losem, który nie powinien spotkać nawet najpodlejszego zwierzęcia.

Kapitan odruchowo dotknął językiem dwóch ułamanych przednich zębów i stwierdził, że jeśli kiedykolwiek uda mu się stąd uciec, właśnie one będą mu przypominały, że musi w okrutny sposób pozbawić tego Niemca życia.

Blankenburg bez słowa nakazał dwóm szeregowcom podnieść Polaka, po czym zmusić go do klęknienia przed wiadrem.

– Widzę, że dzisiaj znów jesteś nierozmowny. W takim razie popływasz we własnych szczytach.

Słyszając to, jeden z żołnierzy z impetem wsadził głowę Obelta do wiadra. Przytrzymał ją tam przez jakiś czas, aż obersturmführer dał znak, że wystarczy. Cały proces był powtarzany kilkakrotnie, a kiedy esesman wyciągał głowę polskiego oficera, Blankenburg patrzył na niego z zadowoleniem. Obelt się nie odzywał.

W końcu oficer SD spytał:

– Jak smakuje własny mocz?

– Dowiesz się, jak tylko zostaniemy sam na sam, a ja nie będę miał związanych rąk.

Niemiec roześmiał się, po czym skinął na Rufina i wskazał swoje buty. Chlapnęło na nie kilka kropel moczu z wiadra.

– Umyj, Żydzie.

Młodzieniec zaczął posłusznie wykonywać polecenie. Zdawał sobie sprawę, czym skończyłaby się odmowa. Kiedy skończył, Blankenburg kazał mu usiąść na posadzce w drugim końcu piwnicy i pozostać tam w bezruchu.

– Obserwuj. Jeśli nie będziesz posłuszny, spotkają cię rzeczy nieporównywalnie gorsze, niż tego polskiego psa.

W nocy Obelt starał się wymyślić jakiegokolwiek posunięcie, które nie tyle uratowałoby mu życie – bo nie miał wątpliwości, że zginie – co pozwoliłoby mu na zabicie tego psychopaty. Niestety, w celi nie znalazł niczego, co mógłby wykorzystać do przeprowadzenia desperackiego ataku. Postanowił, że póki co, będzie grał na czas, aż wyprowadzony z równowagi Blankenburg znajdzie się dostatecznie blisko. Wtedy, o ile sam nie będzie skrepowany, rzuci się na niego i spróbuje udusić. Albo złamać mu kark.

Zastanawiał się też, czy Chwieduszko, Broniek i Kiljan będą go szukać. Nawet jeśli, nie będą mieli szans na odbicie go z miasta pełnego niemieckich żołnierzy i Ukraińców, którzy z radością powiesiliby każdego Polaka. Stwierdził, że jest zdany wyłącznie na siebie.

– Jak brzmi twoje nazwisko, przyjacielu? – obersturmführer spytał uprzejmym głosem. Obelt uświadomił sobie, że człowiek ten zachowywał się bardzo dziwnie – ton jego głosu i mowa ciała wskazywały na sympatyczne usposobienie, natomiast wyraz oczu świadczył o iście diabelskim charakterze.

– Kapitan Obelt, Druga Brygada Górską – odparł Polak, czując, jak żółta ciecz ścieka mu z włosów.

– O, wreszcie robimy jakieś postępy. Tylko że ta brygada już nie istnieje. Reszta waszego zawszonego wojska też nie.

Oficer nie odpowiedział. Lustrował Niemca lekceważącym spojrzeniem.

– Teraz będziesz musiał mi opowiedzieć o tej waszej grupie dywersyjnej.

Kapitan próbował podnieść się z kolan, ale przytrzymała go dwójka funkcjonariuszy SS. Blankenburg machnął ręką i pozwolił mu wstać. Wyprostował się i patrząc prosto w oczy Niemca, powiedział:

– Słuchaj, skurwysynu, bo nie będę tego powtarzać. Nie wyciągniesz ze mnie żadnych informacji. Skompromitujesz się przed swoimi przełożonymi i tymi żołnierzami. – Popatrzył na Klaasa i innych. – Albo więc zabij mnie teraz jak tchórz, albo stań ze mną do walki bez pomocy swoich podkomendnych.

Kiedy tłumacz przełożył te słowa na niemiecki, Niemiec spoważniał. Nakazał szeregowcom posadzić Obelta na posadzce i odciągnąć mu głowę do tyłu. Tym razem ułożyli jego ciało w taki sposób, że niemalże dotykał podłogi czubkiem głowy.

– Klaas, wlej mu resztę szczyń do nosa – obersturmführer zwrócił się do plutonowego.

Polak przeżywał katusze przez kilka chwil, dusząc się i kaszląc. Początkowo próbował otwierać usta, by jak najmniej moczu wpadała mu do nosa, jednak Blankenburg szybko kazał je zakleić.

W pewnym momencie podjął desperacką próbę ratowania się. Mobilizując każdy mięsień ciała, odepchnął jednego z trzymających go żołnierzy. Ten poleciał na kamienną ścianę piwnicy, roztrzaskując sobie nos. Lecz zanim Obelt zdążył uderzyć drugiego szeregowca, otrzymał kopniaka w głowę od swojego oprawcy.

– No jak, będziesz bardziej rozmowny? – zapytał obersturmführer, już bez uśmiechu.

– Nie sądzę.

– Hauptmann Obelt, bądź rozsądny.

Nie odpowiedział.

– Liczebność waszej grupy? Na jakim obszarze działacie?

Oficer SD wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego.

– Chcesz? – rzucił w stronę jeńca.

Znów nie uzyskał odpowiedzi. Poczęstował Klaasa.

Przechadzał się przez chwilę po dziesięciu metrach kwadratowych piwnicy, po czym kazał rozebrać Obelta od pasa w dół. Kiedy esesmani przytrzymywali Polaka, zgasił swojego papierosa w pachwinie kapitana. Klaasowi rozkazał zrobić to samo. Obelt mocno zaciskał zęby i wydał tylko kilka wściekłych jęków. Niemiec, mający wieloletnie doświadczenie w torturowaniu, doskonale zdawał sobie sprawę, że pachwiny stanowią jedno z najczulszych miejsc na ciele człowieka. Fakt ten był znany prowadzącym przesłuchania tak dobrze jak abecadło.

– Jak widzisz, nie żartujemy – rzekł, po czym kopniakiem przewrócił jeńca na podłogę.

– Tylko na tyle cię stać? – rzucił Obelt w stronę oprawcy.

– O, wierz mi, kapitanie, mam cały arsenał narzędzi, które chcę na tobie wypróbować.

– No to próbuj szczęścia.

Blankenburgowi powrócił na twarz uśmiech. Najwyraźniej myśl o człowieku, który okazał się twardszym przeciwnikiem, niż przypuszczał, była dla niego przyjemna.

– Póki co, masz spokój. Wrócimy jutro około południa. Czekać na nas niecierpliwie.

RAWITSCH, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Musisz coś z nim zrobić – powiedział Marvin, kiedy wraz z przyjacielem i jednocześnie przełożonym zasiedli w Sali Portretowej ratusza, by zjeść kolację. Stół, podobnie jak i całe pomieszczenie, był zdecydowanie zbyt duży na potrzeby dwóch osób. Rodemeyer czuł się z tego powodu nieswojo, ale Leitner, jak zwykle, sprawiał wrażenie obojętnego.

Podporucznik z zainteresowaniem omiół spojrzeniem portrety, które zdobiły ściany sali. Jego uwagę szczególnie zwrócił osiemnastowieczny obraz autorstwa Gottloba Knoefvela, przedstawiający ówczesnego właściciela miasta.

Christian milczeniem zbył uwagę na temat przyszłości Ernsta Heinlego, a widząc, że przyjaciel ocenia zgromadzone tu dzieła sztuki, powiedział:

- Zostawiłem wszystkie. Szkoda je chować, jeden z nich pochodzi z 1652 roku.
- Ale dołożyłeś dumne swastyki i piękny portret Wodza.
- Oczywiście. – Leitner nie wychwycił lub nie chciał wychwycić ironicznego tonu przyjaciela.
- To co z tym Heinlem? – nie dawał spokoju Marvin.
- Został oczyszczony z zarzutów, więc formalnie nie mam za co go ukarać. Ale nagabuje Ginę – przerwał, a przyjaciel obdarzył go zbyt szerokim uśmiechem. – Za co wczoraj kazałem mu na siebie czekać przed ratuszem przez dwie godziny. Trochę zmarzł, więc zabrałem go na dziesięciokilometrowy bieg po okolicy. W pełnym wyposażeniu.
- Jesteś okrutny, Leiner – odparł podporucznik, a rozmówca tym razem odnotował jego ironiczny ton.
- Uważasz, że powinienem potraktować go ostrzej?
- Bez dwóch zdań.
- Przyjdzie na to pora, jeśli nie zmieni swojego zachowania.
- Na to bym nie liczył. Raczej zaczniesz podkopywać twoją pozycję. Pewnie już posłał parę raportów do dowództwa.

– To i tak nie ma żadnego znaczenia.

Marvin przyjął zdziwiony wyraz twarzy, słysząc zrezygnowany głos dowódcy.

- Dlaczego? – spytał.
- Dostałem propozycję od SD, której raczej nie mogę odrzucić.
- SD? Czego oni od ciebie chcą?
- Christian opowiedział mu o osobliwym pomysśle, by wstąpił w szeregi SS.
- Daj mi chwilę, żebym to ogarnął rozumem. SD chce, żebyś został oficerem SS.
- Tak.
- Poważnie?
- Marvin, nie mam czasu na żarty. Właśnie taką propozycję dostałem.
- Nadajesz się tam jak pszczoła do ula – skonstatował Rodemeyer i zaśmiał się.
- Niewątpliwie. Ale może potrzeba tam teraz kogoś, kto zrobi porządek.
- Z Wehrmachtu do SS... To wyrażenie w moim osobistym słowniku zajmie miejsce frazy „z deszczu pod rynnę”. Jest dużo bardziej wymowne.

Kapitan uśmiechnął się lekko.

- Przyjmiesz tę propozycję?
- Niemądrze odmawiać, podobno sam Führer jest zainteresowany tym pomysłem.
- Ach tak – odparł podkomendny. Myślami był już daleko od ratuszowej sali.
- W każdym razie muszę to przemyśleć.

Marvin popatrzył na okazały portret Jana III Sobieskiego z końca XVII wieku, odnowiony pędzlem – jak głosił podpis – niejakiego L. Bähra.

- Ten obraz też zamierzasz zostawić? – spytał.
- Nie śmiałybym go ściągać.
- Polacy będą się szczycić, że ich król tu wisi i patrzy z dezaprobatą na niemieckich

okupantów. Chcesz podbudować ich morale czy obniżyć nasze?

– Słyszałeś kiedyś o wyprawach Sobieskiego na czambuły tatarskie?

– Na co?

– Nieistotne. Pewnego razu miał trzy tysiące żołnierzy, a rozgromił kilkadziesiąt tysięcy Tatarów. Powinieneś poczytać trochę o historii wojskowości.

– Aha, z pewnością to zrobię.

– Poza tym, nie ściągnę ze ściany portretu człowieka, który wraz z naszym cesarzem Leopoldem I rozbił Turków pod Wiedniem i zatrzymał ekspansję muzułmańską w Europie – zakończył Leitner, a Rodemeyer wydawał się porządnie zdziwiony.

Kiedy Christian pożegnał przyjaciela, postanowił przeprowadzić inspekcję w więzieniu. Stwierdził, że w obliczu chaosu, jaki wprowadziła w jego życie propozycja przejścia do SS, przyda mu się chwila poza biurem. Miał zamiar wreszcie zająć się jeńcami schwytanymi wiele dni temu przez Heinlego.

Od tymczasowego naczelnika więzienia dowiedział się – a fakt ten mocno go zaskoczył – że wszyscy zostali osadzeni w jednej celi. Dotarł do niej i nakazał strażnikowi otworzyć drzwi. Znudzony funkcjonariusz wsadził duży klucz do starego zamka, po czym rozległ się głośny, metaliczny dźwięk i oczom Leitnera ukazało się wnętrze pomieszczenia.

Na jednego człowieka przypadał nie więcej niż metr kwadratowy powierzchni. W kompletnym zaduchu stłoczonych było tam dziesięć osób, zaś szerokie kraty umocowane w wąskim okienku skutecznie zatrzymywały światło i świeże powietrze.

– Mamy deficyt wolnych cel? – Leitner spytał strażnika.

– Nie, *Herr hauptmann*, mamy ich nadmiar.

– Zatem dlaczego ci ludzie są tak stłoczeni?

– Taki dostaliśmy rozkaz, by złamać ich morale.

Kapitan Wehrmachtu pokręcił głową, po czym wybrał czwórkę Polaków i kazał wprowadzać ich pojedynczo do pokoju przesłuchań. Kiedy w nim zasiadł, przeszło mu przez myśl, że może faktycznie przydałby się w szeregach SS, bo przykładem niekompetencji tej organizacji było prowadzenie chociażby rawickiego więzienia. O ile otrzymałby jakiegokolwiek prerogatywy decyzyjne.

Strażnik wybrał jako pierwszego przeraźliwie chudego człowieka, około sześćdziesięcioletniego, którego siwiejące włosy sterczały na wszystkie strony niczym promienie słoneczne. Oświadczył, że męczyzna mówi po niemiecku w miarę dobrze, po czym przedstawił jego numer więzienny i dodał:

– Majer Schiper, Żyd.

Christian Leitner popatrzył na przesłuchiwanego ponurym wzrokiem.

– Widziałeś, co spotkało jednego z twoich towarzyszy, kiedy odmówił odpowiedzi na pytanie?

– Tak, *Herr hauptmann*.

– Dobrze. Zatem powiedz, czy ktoś kierował waszym działaniem? Istnieje na okolicznych terenach zorganizowana siatka dywersyjna?

– Nie wiem, *Herr hauptmann* – człowiek wydawał się przerażony.

– Myślałem, że się rozumiemy.

– Tak, tak, oczywiście! Ja... ja po prostu... nawet nie brałem udziału w akcji. Jakiś człowiek przyszedł do naszego domu, jedliśmy właśnie kolację, i wyciągnął mnie brutalnie na ulicę. Nie pozwolił nawet założyć płaszcza. Żona i dzieci protestowały i płakały, ale...

Christian ocenił, że ten człowiek albo potrafi świetnie łąć, albo mówi prawdę. Przerwał jego wywód:

– Jak wyglądał ten człowiek?

Majer Schiper zmrużył oczy i starał przypomnieć sobie każdy szczegół. Przełknął głośno ślinę, czując na sobie świdrujący wzrok Niemca.

– Wysoki, około stu dziewięćdziesięciu centymetrów. Jasne włosy zaczesane na... na prawo, z przodu dosyć długie, po bokach trochę krótsze. Nie miał jakiś charakterystycznych cech.

– Jak się zwracali do niego inni żołnierze?

– Oberleutnant. Ale bez nazwiska i...

– Dobrze. Co zrobił, kiedy twoja żona i dzieci zaczęły płakać?

– Żonę uderzył tak mocno, że upadła na podłogę i przez chwilę nie mogła wstać. Dzieciom groził, że wsadzi ich do naszego kominka i tam spłoną.

– Coś jeszcze?

– *Herr hauptmann*, wiem, że za takie zeznania mogę zginąć.

– Mów.

– Ukradł wszystko, co było w naszym domu wartościowe. Wiem, że żołnierz Wehrmachtu nie kradnie, więc może to ktoś inny...

– Wystarczy.

Leitner kazał odprowadzić więźnia do celi i stwierdził, że będzie musiał powziąć bardziej zdecydowane kroki wobec Heinlego. Kiedy opuszczał więzienie, w jednej z cel zobaczył brutalnie skatowanego człowieka, któremu niewiele brakowało do opuszczenia tego świata.

– Kto to? – spytał strażnika.

– Ten, który otworzył bramy więzienia i wypuścił osadzonych, kiedy zajęliśmy miasto. Rozkazał pan rozstrzelać, dziś zostanie to wykonane.

Hauptmann skinął głową i udał się w kierunku wyjścia z budynku.

Staszek i Maria spędzali wieczór na nauce niemieckiego. Kobieta stwierdziła kategorycznie, że Staszek musi się przełamać i nauczyć tego języka. Na przyszłość, żeby nie musiał zawsze i wszędzie udawać głuchoniemego.

– To absurd – stwierdził.

– Daj spokój, nie jest taki trudny, wręcz przeciwnie.

– Mam na myśli to, że napadają na nasz kraj, mordują nas, a ja siedzę tutaj i uczę się ich języka.

– Przestań się nad tym zastanawiać i powtarzaj za mną: *entschuldigung*.

Uwielbiała go katować. Staszek wydał z siebie niezrozumiały pomruk.

– Świetnie. Gdybyś rozmawiał z pingwinami, to może by cię zrozumiały.

– Co to znaczyło?

- „Przepraszam”.
- Jeszcze mam się uczyć w ich języku, jak przepraszać? Absurd...
- Dobra, powiedz, gdzie mieszkasz.
- *Ich wohne in Innsbruck.*
- No, to ci lepiej wyszło. Jak ktoś będzie chciał cię zastrzelić, to przynajmniej będziesz mógł powiedzieć, dokąd wysłać ciało.

Staszek popatrzył na nią z krzywym uśmiechem, po czym wyciągnął paczkę papierosów i powiedział:

– *Zigarette?*

Stwierdzili, że kiedy opuszczą Rawitsch, czekać ich będzie około tysiąckilometrowa podróż przez Rzeszę, zanim dotrą do granicy francuskiej i celu podróży – miasta Louvigny w okolicach Metz, gdzie rodzina Marii posiadała dworek. Matka Marii, z pomocą Emanuela, miała przekazać francuskiej gałęzi rodu wieść o ich przybyciu, nie mieli jednak bladego pojęcia, czy się to udało. Kanały łączności zostały przerwane, a o cywilnej poczcie nie było mowy.

Z pokonaniem terytorium Rzeszy nie powinni mieć problemów. Wojna nie toczyła się na jej terytorium, a oni mieli całkiem wiarygodne papiery.

Podobno na granicy niemiecko-francuskiej obie strony wywieszały transparenty, które mówily mniej więcej tyle: jeśli nie zaczniecie strzelać, to i my nie zaczniemy. Staszek i Maria nie wiedzieli jednak, na ile te pogłoski są prawdziwe. Tak czy inaczej, mogli być pewni, że w samej Rzeszy nie zatrzyma ich żaden żołnierz Wehrmachtu, by sprawdzić dokumenty.

Holzer leżał na szpitalnym łóżku i przeczesywał wzrokiem sufit. Znał już położenie każdego kawałka odpadającej z niego białej farby. Z zamkniętymi oczami mógł powiedzieć, gdzie znajdują się wszystkie pęknięcia.

Dochodziła pierwsza w nocy. Spojrzał w lewo, potem w prawo i stwierdził, że wszyscy leżący na sali niemieccy żołnierze zapadli już w głęboki sen, zapewne zakłócany obrazami wojennych scen.

Co noc przynajmniej jeden z nich budził się spanikowany, niektórzy krzyczeli przez sen. Holzer stwierdził, że większość z tych młodych chłopci nie nadaje się nawet na prowadzenie szemranych interesów, do jakich kiedyś rekrutował w Warszawie ludzi w ich wieku.

Pomyślał o tym, jak udało mu się – bez płacenia za nie – zdobyć dokumenty, dzięki którym dotarł aż tutaj. „Ostatni przekręt. Prawdziwy majstersztyk na koniec kariery” – pomyślał. Prawda była taka, że nie kupił tych papierów. Zdobył je, wydając policji człowieka, którego w podejrzanych kręgach wszyscy znali jako Turka. To on sfałszował dla Holzera dokumenty, za co oczekiwał sówitej zapłaty. Zamiast tego usłyszał pukanie mundurowych. Nawet w wojenny czas policja nie omieszkała chwalić się, że złapała znanego fałszerza. Nikt nie wspomniał o anonimowym donosie, który wysłał Holzer.

Co więcej, wplątał tego człowieka w zabójstwo dwóch osób, które sam pozbawił życia, by wygrać licytację. Jeśli Turek kiedykolwiek wyjdzie z więzienia, będzie go szukał po całym świecie. Podobnie zapewne postąpi Emanuel, wuj Marii, którego Holzer, tuż przed ucieczką, okradł ze wszystkich pieniędzy.

Myśli bandyty powędrowały do torby fotograficznej, która teraz leżała pewnie ukryta gdzieś przez jakiegoś niemieckiego żołnierza. „Tyle zachodu tylko po to, by jakiś fryc się obłowił”. Holzer założyłyby się, że to Heinle ją zwinął. Na myśl o człowieku, który go postrzelił, mimowolnie zazgrzytał zębami i marszczył nos.

Omiótł wzrokiem żołnierzy zajmujących inne łóżka i powoli wstał. Nadeszła chwila opuszczenia tego ponurego miejsca. Oceniał swój stan zdrowia na w miarę dobry – wprawdzie miał problemy z poruszaniem się, ale był pewien, że dalszy pobyt w szpitalnym łóżku nie jest niezbędny. „Cholerne łapiduchy zawsze przesadzają” – pomyślał.

Pokuśtykał na górę, wiedząc, że jego ubrania są w pomieszczeniu gospodarczym piętro wyżej. Brakowało, niestety, znakomitego niemieckiego pistoletu firmy Sauer & Sohn. Mimo że broń była mała, niemal kobieca, bandyta przyzwyczyił się do niej i z żalem stwierdził, że będzie musiał zastąpić ją pistoletem któregoś z żołnierzy Wehrmachtu.

Holzer, niezauważony przez nikogo, opuścił szpital. O tej porze nie było to trudne zadanie, poza tym potrafił bez robienia najmniejszego hałasu poruszać się po wielkowiejskiej dżungli, co więc dopiero mówić o niewielkim Rawiczu. Tutaj wszyscy o tej porze chrapali.

Głęboko wciągnął chłodne, nocne powietrze i ruszył w kierunku ratusza. Trzymał się całkowitego mroku, zalegającego przy fasadach kamienic, a gdy tylko usłyszał najmniejszy szelest, szybko wycofywał się w wąskie boczne uliczki.

OKOLICE TURKI, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Ani drgnij! – krzyknął jeden z ludzi, którzy urządzili zasadzkę na samochód CWS. – *Halt, halt!*

Kilku mężczyzn, widząc człowieka w mundurze SS, przestało celować w ludzi siedzących w samochodzie, a wymierzyło broń w Zaniewskiego.

– Polacy? – zapytał Broniek, podnosząc otwarte dłonie.

– Mówisz po polsku, nazistowski skurwielu? – Jeden z napastników podszedł do warszawiaka. Wyraz jego twarzy nie wróżył niczego dobrego. Pozostali znów wzięli na cel Chwieduszkę, Kiljana i Kremmera, po czym rozkazali im nie ruszać się i zostać w samochodzie. Najmniejszy ruch miał ich kosztować kulkę w łeb.

– Jestem starszym sierżantem Wojska Polskiego.

– A ja Charliem Chaplinem. Odepnij pas z kaburą i rzuć go tutaj. – Wskazał miejsce pod swoimi nogami.

Nie zważając na ostrzeżenia, Chwieduszko zaczął powoli wychodzić z samochodu, trzymając ręce uniesione nad głowę. Kremmer stwierdził, że najwyraźniej życie mu nie miłe.

– Stój, bo strzelam! – krzyknął któryś z napastników. Chorąży popatrzył na niego i bardzo powoli zrobił krok w stronę Bronka.

Kiljan równie wolno wyciągnął rękę po karabin leżący najbliżej niego na pace.

– Chorąży Chwieduszko – przedstawił się człowiekowi, który przed momentem wydierał się na Bronka.

Ten popatrzył na chorążego, przeniósł wzrok na mężczyznę w niemieckim mundurze

galowym i ponownie na Chwieduszkę. W tym samym momencie cała trójka zauważyła niezgrabne ruchy Kiljana, który chciał podnieść karabin.

– Szeregowy, nie ruszaj się – rzucił w jego kierunku Zaniewski.

Mierzący do nich człowiek omiół spojrzeniem mundury KOP-u Chwieduszki i Kiljana, po czym, jakby w odpowiedzi na pytający wzrok obu mężczyzn, nieznacznie opuścił lufę broni i rzekł:

– Major Sergiusz Mikorski, Gwardia Obrony Rzeczypospolitej.

– Sierżant Bronisław Zaniewski, Druga Brygada Górską – odparł Bronek, po czym, wskazując pozostałych towarzyszy, przedstawił ich Mikorskiemu. Kamień spadł mu z serca.

– Ten mundur jakoś do ciebie nie pasuje – powiedział major. Sam nosił uniform odbiegający od standardowego: brązowa kurtka ozdobiona była na piersi polskim orłem w towarzystwie żółtego byka na czarnym tle z podpisem „GOR”. Ten sam emblemat widniał na jego prawym ramieniu. Sergiusz Mikorski był łysy i chyba troszkę za stary, by działać w terenie. Jego twarz pokryta była gęstą siecią zmarszczek, szczególnie na czole i w okolicach oczu.

– Tak jest, panie majorze – odparł z uśmiechem Bronek.

Kiedy podszedł do nich chorąży, Mikorski przywitał go serdecznie, wyciągając w jego kierunku prawicę.

– Musicie nam wybaczyć zasadzkę. Myśleliśmy, że ustrzelimy jakiegoś esesmana.

– To was rozczarowaliśmy – odparł Chwieduszko.

– Skąd podążacie, chorąży?

– Długa historia. Rozbili nas w okolicach Użoka, już pierwszego września. Potem tułaliśmy się po okolicznych górach. W końcu wylądowaliśmy w Beniowej.

Major uważniej przypatrzył się żołnierzom i staremu ziemianinowi, uśmiechnął się i spytał:

– To wy jesteście tą polską grupą dywersyjną, której szukają wszyscy Niemcy?

Żołnierze KOP-u popatrzyli po sobie. Odezwał się Bronek:

– Nie wiedzieliśmy, że staliśmy się aż tak znani.

– Hitlerowcy ujęli naszego dowódcę, wie pan coś o jego losie, majorze? – spytał Chwieduszko, stwierdziwszy, że spotkali człowieka, który najwyraźniej był zorientowany w krążących po okolicy pogłoskach.

– Możliwe. Dotarły do nas informacje, że wiozą jakiegoś kapitana do więzienia w Lesku. Podobno był w zadziwiająco dobrym stanie. Sądziłem, że może konfident.

Warszawiak popatrzył na Chwieduszkę, ten kiwnął głową.

– Nawet o tym nie myślcie. Lesko to kraina śmierci. Śmierci Polaków – stwierdził major.

Usiedli na krótki odpoczynek, gorowcy poczęstowali przybyszy skromnymi zapasami, a ich dowódca opowiedział historię swojego oddziału.

W pierwszych dniach września powołano ich do Złoczowskiego Batalionu Obrony Narodowej. Przed wybuchem wojny Sergiusz Mikorski był majorem rezerwy, miał pięćdziesiąt siedem lat. Wraz ze swoimi żołnierzami dostał rozkaz o mobilizacji od dowódcy Pięćdziesiątego Drugiego Pułku Piechoty Strzelców Kresowych. Nie było to przewidziane w planach Wojska Polskiego przed wybuchem wojny i zostało przeprowadzone naprędce, gdy zabrakło ludzi do walki.

Zajęli pozycje w okolicach Złoczowa i uczestniczyli w starciach z Niemcami. Po pewnym czasie otrzymali rozkaz odwrotu w stronę Lwowa i wzmocnienia obecnych tam sił, które dawały bohaterски odpór Niemcom. Po wejściu od wschodu Sowietów i odcięciu Lwowa z obu stron, zaczęli dramatyczną ucieczkę przed Armią Czerwoną. Wtedy już batalion był przetrzebiony – liczył ledwie setkę ludzi, czyli niecałą jedną trzecią stanu wyjściowego. Skierowali się w stronę Drohobycza, ale w miejscowości Radelicz wpadli na Ukraińców. Odnieśli zwycięstwo, jednak niedługo potem ich tyły zostały zaatakowane przez oddziały bolszewików. Poszli w rozsypkę, Mikorski nie wiedział, ilu członków batalionu pozostało przy życiu.

Sam z niewielką drużyną patrolował w tym czasie pobliskie wsie. Po uderzeniu Sowietów zostali odcięci od głównego oddziału. Liczyli na to, że uda im się udać na południe i przekroczyć granicę. Podobno rozkazy dowództwa mówiły o odrocie na Węgry, jednak teraz nie byli już niczego pewni.

Potem dotarli w okolice Turki, gdzie walczyli z ukraińskimi bojówkami paramilitarnymi, które terroryzowały ludność wielu wsi. Szczególnie aktywna była Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów, która na południe i wschód od Turki urządzała krwawe rzezie Polaków. Oddział Mikorskiego starł się z OUN kilkakrotnie – w Boryninie, Sokolikach Górskich i Tarnawie Niżnej. Majorowi zaczęło brakować amunicji i ludzi. Ukraińcy mieli jedno i drugie.

Mikorski przeżegnał się, gdy mówił o tym, jak stracił czwórkę swoich ludzi.

Bronek sporo słyszał o ukraińskiej OUN. Istniała na długo przed wybuchem wojny, prowadząc działalność terrorystyczną. Jednym z zadań Korpusu Ochrony Pogranicza było zapobieganie wywrotowym zamiarom OUN, która wcielała do swoich szeregów już ośmioletnich chłopców. Wojna, która wybuchła między Polską a Niemcami, była dla niej idealną okazją do otwartej walki. Nie było zresztą niczego dziwnego w tym, że Niemcy pozwalali ukraińskim nacjonalistom na nieskrępowaną działalność. Każdy cios zadany polskim wojskom i ludności cywilnej był im na rękę.

Współpraca Niemców z OUN sięgała nawet dalej. Pod koniec sierpnia wspólnie przygotowali plan antypolskiego powstania. Wprawdzie Niemcy w ostatniej chwili kazali je odwołać, jednak OUN nie zamierzało się wycofać. Potwierdziły to teraz słowa Mikorskiego, który twierdził, że po dwustronnym ataku na Polskę, Ukraińcy starali się wyprzedzić armie niemieckie i rosyjskie, zdobywając dla siebie kolejne polskie miejscowości. Nie znali litości – kto był Polakiem, szedł pod nóż.

– Gwardia Obrony Rzeczypospolitej?... – spytał Chwieduszek, który nie słyszał o takiej formacji.

– Cóż... raptem wczoraj ją utworzyliśmy. Stwierdziliśmy, że trzeba zawiązać organizację konspiracyjną. Tak powstał GOR.

Sergiusz Mikorski popatrzył po swoich podwładnych.

– Póki co, jest nas dziesięciu. Pięciu żołnierzy i pięciu rolników z pewnej wsi zaatakowanej przez OUN. Jeśli dołączycie, będzie nas czternastu.

Bronek z Chwieduszką wymienili spojrzenia. Zaskoczyła ich tak szybko sformułowana propozycja.

– W jakim celu powołałście ten... GOR? – spytał chorąży.

– Walka z najeźdźcą, to chyba oczywiste. Poza tym, chcemy nauczyć mieszkańców okolicznych wiosek, jak bronić się przed Ukraińcami. Potrzebujemy ludzi, inaczej nie zdołamy

wiele działać.

- Już teraz staracie się zapewnić bezpieczeństwo miejscowym – powiedział Broniek.
- Owszem. I wy też pokazaliście, że nawet kilku odważnych ludzi może wiele osiągnąć.

Major zaprosił ich do pobliskiej wsi Jabłonowa, gdzie nieliczna, naprędce powołana Gwardia Obrony Rzeczypospolitej zainstalowała swoją kwaterę główną.

Podczas gdy kilku gorowców przyglądało się sprzętowi na pace CWS-a, Chwieduszek dyskretnie oceniał ich przydatność bojową. Na pierwszy rzut oka było widać, że to rezerwiści i miejscowi ochotnicy. Nawet trochę bawiło go, że taka zbieranina postanowiła powołać tajny związek zbrojny.

– Widzę, że nie znajdujemy twojego poparcia, chorąży – powiedział Mikorski, siadając naprzeciwko niego.

– Wcale nie, panie majorze, po prostu dziwi mnie, że stworzyliście organizację bojową dla... dziesięciu ludzi.

– Od czegoś trzeba zacząć. Poza tym, okoliczni mieszkańcy potrzebują znaku, że ktoś dba o ich bezpieczeństwo.

Major kilkakrotnie popukał się w pierś, gdzie widniał złoty byk na czarnym tle, po czym dodał:

– Wojna się skończyła, chorąży. Musimy myśleć realistycznie. Nastał czas na działalność, nazwijmy ją... podziemną.

– Nie słyszałem, by Polska się poddała.

Dowódca GOR-u westchnął i popatrzył na chmury nadciągające z zachodu, niechybnie zwiastujące deszcz.

– Władze uciekły, Niemcy rozgromili większość naszych sił, a Rosjanie zaatakowali, kiedy nie mieliśmy szans na stawienie oporu. Polska upadła, synu.

Po smutnej konstatacji Mikorskiego zapanowała cisza. Stojący na drodze mężczyźni wymieniali się spojrzeniami, dopóki major nie zaproponował, by ruszyć w drogę. Sam wraz z żołnierzami KOP-u usadowił się na pace, zaś jego podkomendni udali się do celu na piechotę.

Broniek nadal jechał z przodu samochodu, lecz zanim do niego wszedł, ściągnął marynarkę oficerską SS. Uznał, że nie ma powodu niepokoić ludzi w okolicznych wsiach. Myślał o Mikorskim. Mimo że major miał swoje lata, coś w jego oczach dobitnie mówiło: „nie zadzieraj ze mną”. Zaniewski odruchowo zaczął myśleć o ojcu, który jako rezerwista prawdopodobnie dostał przydział, kiedy Niemcy zbliżali się pod Warszawę.

Kiedy zatrzymali się w Jabłonowej, zapytał dowódcę GOR-u:

– Panie majorze, macie jakieś wieści z frontu? To znaczy...

– Wiem, co masz na myśli. Niewiele wieści do nas dociera, więc zorganizowaliśmy załazek siatki informacyjnej. Dwie osoby w Turce, kilka w Starym Samborze i jedna w Lesku. Właśnie od niej dowiedzieliśmy się o kapitanie, którego wzięli na przesłuchanie. Okoliczni ludzie chętnie nam pomagają, przekazując informacje zasłyszane od dalszych znajomych. I tak to działa.

– Nieźle, panie majorze.

– Ludzie narażają swoje życie, by przekazać wieści kilkusobowej grupie żołnierzy. To więcej niż nieźle. Ale my nie mamy zaplecza ani sprzętu. Zresztą, wystarczy spojrzeć na moich

żołnierzy, nie mają doświadczenia, trzech z nich niedawno skończyło szesnaście lat. Narażanie życia dla tak małej i słabej grupki zasługuje na order.

Milczeli chwilę, wreszcie Broniek spytał:

– Wiadomo coś na temat Warszawy?

– Niemcy twierdzą, że dawno zdobyta. Jakiś czas temu rząd opuścił stolicę, a potem Polskę. Wilno zajęte przez Armię Czerwoną. Lwów też.

– Apokalipsa... – powiedział Broniek, zawieszając martwy wzrok gdzieś w oddali.

– A gdzieś nad Bugiem, nie pamiętam gdzie, odbyła się wspólna defilada Armii Czerwonej i Wehrmachtu. Kolejny rozbiór Polski się dopełnił. Czas na walki partyzanckie, sierżancie.

Mikorski pogładził się po łysinie, po czym dodał:

– Przynajmniej do czasu ofensywy naszych zachodnich sprzymierzeńców. Chodzą słuchy, że Francja z Wielką Brytanią zaatakują w przyszłym roku.

LESKO, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Obelt, po trzech dniach „wizyt” Johanna Blankenburga, był skrajnie wyczerpany fizycznie i psychicznie. Chwilami zastanawiał się, czy jego oprawca jest zdolny do jakichkolwiek ludzkich odruchów. Sam nigdy, nawet w bitewnym szale, nie potraktowałby tak najgorszego wroga. Aż do dziś nie dostał ani kęsa jedzenia, dlatego zdziwił się, kiedy niedawno Blankenburg w towarzystwie Klaasa i żydowskiego chłopaka, Rufina, przyniósł mu potężną porcję ryżu. Surowego. Esesmani kazali Obeltowi zjeść wszystko, po czym włąli w niego całe litry wody.

Po kilku minutach zaczął krzyczeć z bólu. Surowy ryż pęczniał w żołądku, wchłaniając wodę. Wywoływał nieziemskie katusze. Blankenburg najwyraźniej miał w swoim arsenale nieszablonowe metody uzyskiwania informacji. Musiał je wymyślać całymi dniami.

– Kapitan Obelt, Druga Brygada... – Polak powtarzał z trudem, niezłomnie, mimo że był na skraju rozpaczy. Więcej informacji Niemcom nie udzielił.

Chwilami odpływał w nieświadomość, jego myśli stawały się nieskładne i chaotyczne. Pierwszego dnia był pewien, że prędzej zginie, niż powie cokolwiek, ale teraz naszyły go obawy, że w końcu oderwie się od rzeczywistości i nie będzie kontrolował swojego zachowania.

Nic z niego nie wydobyli, więc wyszli. Wsadził sobie dwa palce do gardła i zmusił do wymiotów.

Poprzedniej nocy obersturmführer z hukiem otworzył drzwi, wrywając Obelta ze snu. Rozpoczął się znany mu scenariusz – dwójka esesmanów postawiła stół i dwa krzesła, po czym przywiązała Polaka do jednego z nich. Składu ekipy dopełniali tłumacz, Żyd i zaufany człowiek Blankenburga, Alexander Klaas. Obelt zauważył, że ten młodzieniec nierzadko patrzył z niesmakiem na to, co wyczyniał jego szef. A może tylko Polak chciał dostrzec cień człowieczeństwa u choć jednego ze swoich oprawców.

Tamtej nocy ten potwór zdecydował, by szeregowcy starannie przywiązali kapitanowi do krzesła nogi i tułów, natomiast jego dłonie przytrzymywali na stole.

Blankenburg zabrał się do bardziej klasycznej metody tortur – wrywania paznokci. Ból był nie do wytrzymania, a jednak Obelt powtarzał tylko swoje nazwisko, stopień i nazwę jednostki.

Sam nie wiedział, jak mu się to udało, ale nie krzyczał – nie dał tej satysfakcji oprawcy.

Wytrzymał wyrywanie paznokci, a teraz byle ryż pęczniejący w żołądku prawie go złamał. Blankenburg był wyraźnie zadowolony, zapewne traktował jęki bólu jako osobisty sukces – jego strategia zaczynała działać.

Polak nie miał pojęcia, która jest godzina, ale zza dykty zasłaniającej okno od dłuższego czasu nie widać było promieni słonecznych. „Prawdopodobnie środek nocy” – pomyślał, kiedy znów rozległo się walenie w drzwi. Do małego pomieszczenia wszedł tłumacz, Klaas oraz dwóch szeregowych esesmanów.

– Wstawaj. Dzisiaj moja kolej – rzucił protegowany Blankenburga.

Obelt nie poruszył się. Odmowa nawet tak prozaicznej czynności, jak wstanie z podłogi urastała w jego myślach do rangi triumfu. Uśmiechnął się w duchu do siebie, podczas gdy szeregowcy stawiali stół i krzesła.

– Słuchaj, nie popieram wszystkiego, co robi Blankenburg. Jest prawdziwą legendą, ale czasem przesadza.

Polski oficer wpatrywał się w cegły na ścianach piwnicy. Esesmani podnieśli go i przywiązali do krzesła.

– Skończymy te męki jeszcze dzisiaj, jeśli powiesz mi cokolwiek o tych żołnierzach.

– Spierdalaj – nieobecny głosem odparł Obelt. Właśnie widział siebie, jak przystrojony w rzymską togę i z okazałym wieńcem laurowym na głowie, odbywa triumf. Słyszał wiwaty rozentuzjzowanego tłumu.

Tę wizję przerwał młody plutonowy, wymierzając mu kopniaka w klatkę piersiową. Kapitan runął wraz z krzesłem i uderzył głową o posadzkę.

Kiedy go podnieśli, Klaas wyciągnął igłę i powiedział:

– Ostatnia szansa. Inaczej jutro przesłuchanie zakończy obersturmführer Blankenburg.

Obelt popatrzył na chłopaka nieprzytomnym wzrokiem i głośno wciągnął powietrze.

Ten skinął głową i przystąpił do dzieła. Kazał dwójce żołnierzy trzymać ręce jeńca wyciągnięte na stole, wierzchnią stroną dłoni w górę. Po chwili zawahania zaczął nakłuwać miejsca, gdzie jeszcze wczoraj znajdowały się paznokcie.

Obelt poczerwieniał na twarzy, zacisnął mocno zęby i nie otworzył ust ani na moment. Po kilkunastu minutach zrezygnowany Klaas odłożył igłę i zaczął chodzić po piwnicy. Polak oddychał z trudem.

– Podziwiam cię, kapitanie. Większość ludzi zaczęłaby mówić już trzy dni temu. Część po prostu zmyśliłaby informacje. A ty jesteś tak uparty, że nie chcesz zrobić nawet tego. Masz żelazne zasady i szanuję, że chronisz swoich żołnierzy, ale nadszedł czas, byś zadbał o siebie.

Obelt nie patrzył na niego i sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie słuchał.

– Zastanów się. Jutro stracisz życie, jeśli nie powiesz obersturmführerowi czegoś ważnego.

RAWITSCH, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

„Urodziłem się pod szczęśliwą gwiazdą” – stwierdził Holzer, bezszelestnie przemykając ciemnymi ulicami Rawitscha. Chwilę po tym, jak udało mu się opuścić szpital, natknął się na

dwóch pijanych Niemców. Nosili pasy z kaburami na pistolet. Jeden z nich wsiadł na wojskowy motocykl, ale głowa zaraz opadła mu na kierownicę. Drugi nieudolnie próbował go ściągnąć. Holzer z ich bełkotu zrozumiał tyle, że spierają się, czy mogą jechać motocyklem w takim stanie.

Podszedł do żołnierza, który wyglądał na mniej odurzonego alkoholem, i sprawnym ruchem skręcił mu kark. Kiedy ocknął się drugi z nich, Holzer miał już w ręku bagnet jego towarzysza. Od tyłu złapał żołnierza za głowę, zatkał mu usta i poderżnął gardło. Rozejrzał się i stwierdził, że nie było żadnych świadków. Zarzucił na siebie skórzany płaszcz motocyklisty jednego z Niemców, a nogą zgniół ich czapki, które leżały na ziemi. Splunął i z zadowoleniem stwierdził, że w jednej z kieszeni płaszcza znajduje się paczka papierosów, w drugiej zaś porządne, skórzane rękawice.

Mając dwa pistolety i bagnet, mógł przystąpić do kolejnej fazy planu. Podziurawił opony motocykla, a potem zaczął go rozkręcać. Odciał linkę gazu i sprzęgła, po czym schował je do kieszeni.

Podszedł w pobliże ratusza i przykucnął w takim miejscu placu, by widzieć front budynku, a samemu pozostawać niewidocznym. Poczł nieopisane szczęście, kiedy ujrzał, że wartę pełni nie kto inny jak Ernst Heinle. „Widzisz, skurwysynu, sam sobie zgotowałeś ten los” – stwierdził, domyślając się, że porucznik odbywa nocną służbę zapewne dlatego, że zasadniczy dowódca karze go w ten sposób za zachowanie niegodne żołnierza Wehrmachtu.

Prześlizgnął się pod ścianami kilku kamienic, okrężną drogą docierając do wschodniej fasady ratusza. Wolno stawiając kroki, zbliżał się o centymetry do swojej ofiary. Robił to bezszelestnie, skradanie się i odbieranie ludziom życia leżało w jego naturze. Nie zastanawiał się nigdy nad moralnym aspektem swoich czynów, nigdy też przez myśl mu nie przeszło, że mógłby zajmować się czymś innym.

Od dziecka był zdany tylko na siebie. Ojciec znęcał się nad nim dzień w dzień, a o zmroku wyrzucał go na ulicę. Skazywał małego Holzera na tułaczkę po ogarniętych mrokiem ulicach, pełnych podejrzanych osobników, upatrujących w nim łatwej zdobyczy. Szybko nauczył się dbać o własną skórę. Radził sobie w sytuacjach trudniejszych niż ta, w której znalazł się teraz.

Kiedy był ledwie dwa metry od ziewającego Heinlego, jeszcze bardziej zwolnił kroku. Naprężył w dłoniach linkę wyjętą z motocykla. Gdyby nie skórzane rękawice, które zabrał jednemu z martwych żołnierzy, rozciąłaby mu skórę. Zauważył, jak nietoperz zatoczył łuk i skierował się w stronę wieży zegarowej ratusza.

Podwładny Leitnera pełnił służbę z wyraźną niechęcią. Zamiast tkwić w postawie zasadniczej, przestępował z nogi na nogę. Kiedy zobaczył nietoperza, który wyfrunął spod któregoś ze spadzistych dachów kamienic, uznał to za najciekawsze wydarzenie wieczoru.

Z samego rana miał skontaktować się ze znajomym, wysoko postawionym oficerem Wehrmachtu, by poprosić o przeniesienie. Nie miał zamiaru dłużej służyć w kompanii tego pomyłonego służbisty.

Oprócz tego planował złożyć na dowódcę doniesienie, że odbywa regularne stosunki seksualne z przedstawicielką niższej rasy, którą sprowadza do swojego gabinetu w ratuszu.

Heinle znalazł już Żydówkę, która w zamian za obietnicę, że żołnierze będą trzymali się od niej z daleka, przyzna się do nocnych wizyt u Leitnera. Mógłby temu zaprzeczyć któryś z nocnych strażników ratusza, ale sam kapitan wyznaczył do tej funkcji Heinlego. Ten zaś nie zamierzał zaprzeczać własnym doniesieniom.

Ułożył dokładny scenariusz, którego dziewczyna nauczyła się na pamięć. Zawierał opis biura Leitnera, włącznie ze wzmianką o często leżącej na biurku srebrnej papierošnicy. Heinle starannie ułożył każdy element tej układanki, by Christian nie miał szans na obronę. Zgodnie z Ustawami norymberskimi zostanie skazany za współżycie seksualne z Żydówką. A nawet jeśli znajdzie świadków, którzy zaprzeczą zeznaniom dziewczyny, i tak to zdarzenie położy się cieniem na jego karierze. Kiedy tylko Wehrmacht ruszy dalej, na Bałkany czy Rosję, zostanie skierowany na najniebezpieczniejszy odcinek frontu.

Zadbał o to, by wypisano dziewczynie przepustkę do Posen^[2]. Powiedział jej też, jak ma rozmawiać z przesłuchującym ją oficerem SS. Co potem stanie się z Żydówką, mało go obchodziło.

Uśmiechnął się sam do siebie, obserwując, jak nietoperz zakreca i leci w stronę ratusza. W tym samym momencie poczuł, jak coś zimnego zaciska się na jego gardle.

Stojąc za Niemcem, Holzer energicznym ruchem zarzucił linkę na jego szyję, po czym równie szybko skrzyżował jej końce i naprężył z całej siły. Taki uścisk sprawiał, że nie miało znaczenia, kto jest ofiarą. Kulturysta czy słabawy staruszek – nikt nie mógł wyrwać się śmierci.

– *Heil Holzer* – wyszeptał mu do ucha.

Oczy Heinlego zapłonęły na czerwono. Był tak zaskoczony niespodziewanym atakiem, że nie miał najmniejszych szans na obronę. W przeciągu sekundy krew zaczęła lać się z przeciętej szyi. Oficer nie zdołał wydać z siebie żadnego odgłosu, choć zdawał sobie sprawę, że umiera. Po chwili, która trwała dla niego całą wieczność, zrobiło mu się ciemno przed oczami.

Napastnik rozkoszował się każdą sekundą zemsty. Kiedy skończył, nie pozwolił ciału upaść. Położył je delikatnie na bruku. Na odchodnym kopnął z całej siły w podbrzusze Niemca.

Rankiem Christian Leitner nie zdążył dopełnić całego swojego rytuału. Kiedy otworzył oczy, z przykrością stwierdził, że chyba już każdej nocy czeka go sen, w którym Katner będzie występował w coraz to bardziej wymyślnych rolach. Otrząsnął się, wstał i umył zęby. Chwilę potem zaczął od przysiadów, lecz nie zdążył zrobić nawet dziesięciu, kiedy do drzwi jego pokoju rozległo się donośnie, pospieszne pukanie, któremu towarzyszył krzyk:

– *Herr hauptmann!*

Zaniepokojony takim zachowaniem, nakazał żołnierzowi wejście do środka.

– *Heil Hitler, Herr...* – powiedział młody plutonowy, ale Leitner mu przerwał:

– Do rzeczy.

– Oberleutnant Heinle nie żyje. Zamordowany pod schodami ratusza. Ma podejrzięte gardło.

Christian potrzebował chwili, by przetrwać tę wiadomość. Po prawdzie, nie przejął się zbyt mocno śmiercią podwładnego, jego myśli powędrowały za to w stronę potencjalnego sprawcy. Z pewnością był to jakiś niedobitek z polskiego oddziału, który kilka tygodni temu odbił, a potem utracił miasto. Kapitan postanowił złożyć kolejną wizytę w rawickim więzieniu. Tym razem odbędzie rozmowę z kimś, kto faktycznie brał udział w jakiegokolwiek akcji antyniemieckiej.

Uświadomił sobie też, że teraz już nie dowie się, który z więźniów został ujęty przez głupotę Heinlego, a który za rzeczywiste przewinienia. Pomyślał o Mateuszu Katnerze i szybko odgonił tę myśl.

Młody plutonowy wbiął w niego wzrok i czekał na rozkazy.

– Od dziś dwuosobowe warty przed ratuszem. Zabrać ciało do kostnicy w szpitalu, późnym popołudniem urządzimy pogrzeb – Leitner przerwał. – Ale nim przeniesiecie zwłoki, muszę obejrzeć miejsce zbrodni.

– Tak jest, *Herr* hauptmann.

Ciało Ernsta Heinlego leżało na plecach. Zwrócona ku niebu twarz zastygła w przerażającej masce, wyrażającej ból i przerażenie. Christian bez emocji popatrzył na podkomendnego, po czym zamknął mu oczy. Dłuższą chwilę przypatrywał się ranie widniejącej na szyi ofiary.

Wszystko wskazywało na to, że była to robota profesjonalisty. Napastnik niepostrzeżenie zakradł się do oberleutnanta, nie zaalarmował też nikogo innego.

Leitner nie miał wątpliwości, że była to zaplanowana akcja. A to oznaczało, że w mieście lub jego okolicy ukrywają się byli żołnierze, którzy postanowili atakować z ukrycia. Na jednym morderstwie na pewno nie poprzestaną. „Trzeba wzmocnić środki ostrożności” – pomyślał.

Podbiegł do niego inny żołnierz. Kojarzył jego twarz, choć nie pamiętał nazwiska. Szeregowiec zaszalutował, po czym powiedział:

– *Herr* hauptmann, znaleziono dwa kolejne ciała. Unteroffizier Henk i gefreiter Schneekloth.

– Jak zginęli?

– Henk miał skręcony kark, Schneekloth poderżnięte gardło. W motocyklu brakuje kilku części, zniknęła też broń obu ofiar i płaszcz podoficera.

Leitner popatrzył na ciało Heinlego, skupiając wzrok na jego szyi.

– Sprawdź, czy linka gazu została skradziona.

– Tak jest, *Herr* hauptmann – odparł żołnierz i żwawym krokiem skierował się ku motocyklowi, by wykonać rozkaz.

„To robota jednego człowieka” – pomyślał Leitner. Wszystko wskazywało na to, że zabójca, napatoczywszy się na dwójkę żołnierzy, zabił ich i ograbił z przydatnych rzeczy, po czym zasadził się na Heinlego. Christian był pewien, że szeregowiec odkryje brak linki gazu w motocyklu. To wszystko prowadziło do jednego wniosku – celem musiał być sam oberleutnant, a dwóch żołnierzy znalazło się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwej porze.

Pod ratuszem zrobiło się tłoczno, gapie schodzili się mimo wczesnej godziny. Leitner kazał zabrać ciało Heinlego i rozpocząć przygotowania do pochówku na pobliskim cmentarzu. Pomyślał, że jeśli Katner był niewinny, pochowanie oberleutnanta obok niego będzie wyrazem pewnej sprawiedliwości.

Po raz kolejny szybko odpędził myśl o Polaku, choć musiał przyznać, że od rozmowy w więzieniu z jednym z ujętych ludzi, był pełen wątpliwości, czy zastrzelił człowieka winnego jakiegokolwiek przestępstwa.

Kiedy ciało Heinlego zostało okryte i podniesione przez dwóch żołnierzy, Leitner zauważył sanitariusza, który szybkim krokiem zmierzał w jego kierunku. Zwracał na siebie uwagę wszystkich wokół. Leitner poszedł w jego stronę, z pewną ulgą opuszczając miejsce zbrodni.

– Zniknął jeden z austriackich reporterów – oświadczył sanitariusz.

Christian szeroko otworzył oczy, czemu towarzyszyło delikatne zmarszczenie czoła.

– Kiedy? – zapytał, a sanitariusz aż się wzdrygnął. Głos hauptmanna był tak chłodny i niósł za sobą tak potężną dawkę czegoś przejmująco niepokojącego, że mężczyzna nie mógł ustać spokojnie i zaczął wykonywać nerwowe ruchy.

- Tego, niestety, nie możemy ustalić – odparł niepewnym głosem.
 - Słucham? Ktoś opuszcza wasz szpital, a wy nie wiecie kiedy?
 - Nie wiemy też jak. – Sanitariusz chwilę się zastanawiał, po czym dodał: – Musiało się to stać w nocy.
 - Kiedy ostatnio był widziany?
 - Podczas obchodu, około dziewiątej wieczorem.
- Leitner pokiwał głową, po czym spytał:
- Brakuje czegoś ze szpitala?
 - Póki co, nie sprawdzaliśmy.

Nie odzywając się słowem, hauptmann popatrzył na niego po raz kolejny grobowym wzrokiem. Sanitariusz stwierdził, że znaczy to tyle, by jak najszybciej sprawdzili. Zasalutował i popędził do szpitala.

„Fabio Wendt” – pomyślał Christian, po czym rozkazał jednemu z żołnierzy sprowadzić do ratusza Marvina Rodemeyera. Po całej godzinie żołnierz wrócił i zameldował, że nigdzie nie może znaleźć leutnanta – nikt nie widział go od wczorajszego wieczora, kiedy szedł ku gmachowi szpitala.

Staszek i Maria obudzili się dopiero przed południem. Dziewczyna do późnych godzin nocnych próbowała wpoić narzeczonemu kilka niemieckich sformułowań, jednak jej wyęczone wysiłki przynosiły mizerne efekty. Musiała przyznać, że niektórzy ludzie po prostu nie mają za grosz zdolności do nauki języków.

Inaczej sprawa miała się z bratem Staszka, Bronkiem. Spotkała go jedynie kilkakrotnie, gdyż rzadko przyjeżdżał na przepustki, głównie na święta i ważne wydarzenia rodzinne, jak imieniny ojca – Władysława. Starszy brat ukochanego zrobił na niej dobre wrażenie, wyglądał na człowieka pogodnego i sympatycznego, choć w jego oczach widać było cień braku kontroli, gdy dochodziło do utarczek słownych ze Staszkiem. Mimo różnicy wieku byli do siebie bardzo podobni, przynajmniej wizualnie. Obaj z wyglądu przypominali raczej matkę niż ojca.

Przypomniała sobie wymianę zdań pomiędzy braćmi, podczas jednego z wieczorów spędzonych w „Café Adria”. Po chwili uświadomiła sobie, że było to jedno z ich ostatnich spotkań przed wybuchem wojny.

- Kiedy wreszcie zepniesz pośladki i dołączysz do mnie w wojsku, młody? – Dopiero wtedy zauważyła, że Broniek często, ku utrapieniu Staszka, kończył zdanie, tytułując go w ten sposób.
- I co miałbym tam robić? Czyścić kible jak mój brat?
- Hej, to przez tego sukinkota... – starszy z braci Zaniewskich urwał i popatrzył na Marię, która uśmiechnęła się i machnęła ręką, więc kontynuował:
- ...Chwieduszkę. Uwziął się na mnie od samego początku.
- Podebrałeś mu kobietę, więc nic dziwnego.
- Nic takiego nie zrobiłem. Wzdychał do niej i tyle. Zresztą, nie była nim zainteresowana.
- Aha.
- Mógłbyś zostać chociaż sanitariuszem, jak skończysz studia, młody.

Staszek popatrzył na niego i pokręcił głową, po czym odłożył papierosa do popielniczki

i przewrócił stronę gazety, którą czytał. Po chwili powiedział:

– Powiedz lepiej, co u Anieli? I czemu nie przyjechała razem z tobą?

Bronek uśmiechnął się prawie niezauważalnie na myśl o niej i po chwili odparł:

– Ciężko jej wyrwać się z Baranowicz. Ma sporo roboty, szczególnie teraz.

– Będzie miała jeszcze więcej, kiedy zda sobie sprawę, że związała się z niemowlakiem w przebraniu dorosłego faceta.

– A idź w cholerę, młody. Zresztą, nie zaprosiłem was tu, żeby się przekomarzać.

Wyciągnął skromny pierścionek i położył go na stole, po czym odgiął się do tyłu na krześle i założył ręce na piersi. Staszek i Maria ze zdziwieniem wpatrywali się w leżący na stole srebrny przedmiot.

– I co? – spytał Bronek, a szelmowski uśmiech nie schodził mu z twarzy.

Staszek rzucił się na brata, objął i kilkakrotnie poklepał po plecach. Tego wieczoru nikt z ich trójki nie cierpiał na brak entuzjazmu. Bronek przedstawił im swój plan oświadczyń, który miał zamiar zrealizować nad którymś z jezior w okolicach Baranowicz.

WIEŚ JABŁONOWA NA POŁUDNIE OD TURKI NAD STRYJEM, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek, Chwieduszko, Kiljan i Kremmer zostali ulokowani w niedużym gospodarstwie pewnej miłej, starszej kobiety, której mąż wyjechał, gdy dostał rozkaz o mobilizacji. Od tamtej pory wraz z dwoma synami próbowała radzić sobie sama. Niektóre prace okazały się dla niej i dzieci zbyt trudne, więc z otwartymi rękoma przyjęła pod dach czterech mężczyzn. Oświadczyła jednak, że nie ma żadnej wolnej izby i będą musieli urządzić się w szopie. Sama ta myśl ich nie przestraszyła, kiedy jednak weszli do lichego budynekczku, wyraz twarzy Kremmera świadczył, że ziemianin zaraz zemdleje.

– Panie Kremmer, wszystko w porządku? – zwrócił się do niego Kiljan tłumiąc śmiech.

– Tak, tak... owszem. Po prostu nie przywykłem do takich warunków bytowania.

Bronek posłał staremu mężczyźnie uśmiech, na co ten odpowiedział słowami:

– Naprawdę mamy tu spocząć na noc? – Po czym się rozejrzał. Wały się tutaj dawno nieużywane sprzęty, stos drewna i resztki węgla.

– Niech pan się cieszy, że ma solidną podmurówkę, to prawdziwy luksus – wesołym tonem odparł Zaniewski.

– Toż to istna katastrofa – smutno wymamrotał do siebie Kremmer. Patrzył na nadłamane drewniane nosidło do wiader, na rozklekotany dwukołowy wózek – służący chyba do podtrzymywania pługa, na coś w rodzaju poczeriałego pogrzebacza. Żadne nie nadawało się już do użytku, a chrobot toczących je korników niemal było słychać.

Chwieduszko zajął miejsce przy starym wózku, o który oparł plecy. Odchylił głowę do tyłu, masując się po karku. Bronek usiadł obok i spytał:

– Chorąży, co z tym GOR-em?

– Pytasz, czy powinniśmy do nich dołączyć?

– Tak.

- Może. Nie wiem, czy wiele zdziałamy, ale ubilibyśmy kilku Niemców.
 - Ten major wydaje się całkiem rozgarnięty.
 - Do pięć kapitanowi Obeltowi nie dorasta.
 - Z całą pewnością, ale jeśli ma informatora w Lesku, a Obelt rzeczywiście tam jest, wraz z jego ludźmi moglibyśmy zorganizować jakąś akcję.
 - Słyszałeś, co mówili. Nie ma szans, żebyśmy się tam wdarli.
- Bronek rzucił w kąt swoją marynarkę oficerską SS. Wylądowała na ziemi, wznecając tuman kurzu.
- Ostrożnie z tym, sierżancie – od wejścia do szopy dobiegł głos Mikorskiego.
- Major wszedł, popatrzył na Zaniewskiego i powiedział:
- Może ci się jeszcze przydać.
- Bronek się skrzywił.
- Panie majorze, mam już dosyć paradowania w tym mundurze. Z przyjemnością go spalę.
 - Wstrzymaj się. Jeśli chcecie odbić swojego dowódcę, bez tego ładu nie macie na to szans.
- Zarówno Chwieduszko, jak i Zaniewski zorientowali się, że oficer prawdopodobnie słyszał całą ich rozmowę.
- A pojawiła się jakaś nowa możliwość? – spytał chorąży.
 - Nie. Ale codziennie będziemy zbierać wieści. Jeśli wypatrzymy okazję, GOR uderzy.
- Bronek w duchu się uśmiechnął, słysząc tak poważną deklarację człowieka, który dowodził grupą dziesięciu osób, spośród których połowę stanowili chłopcy z okolicznych wsi.
- Warunek jest taki, że wzmocnicie siły Gwardii Obrony Rzeczypospolitej.
- Kiljan podszedł do nich i wtrącił, patrząc na swoich kompanów:
- Chyba do zaakceptowania?
 - Już cię przekabacili na swoją stronę, szeregowy? – spytał Bronek.
 - Ja chcę po prostu odbić kapitana. Poza tym pan major ma rację, teraz jesteśmy partyzantami.
- Chwieduszko popatrzył na Kiljana badawczo i odparł:
- Szeregowy, młody jesteś, to i partyzantka cię podnieca, ale to nie przelewki. Jako partyzant będziesz musiał codziennie urządzać takie pułapki na Niemców, jaką zastawiliśmy pod Beniową.
- Major Mikorski pokiwał głową w zamyśleniu. Chorąży przeniósł wzrok na Bronka, który mu skinął i lekko się uśmiechnął, wyciągając papierosa.
- W porządku, panie majorze. Ma pan trzech kolejnych członków GOR-u.
 - Świetnie... – zaczął oficer, ale zanim cokolwiek dodał, odezwał się Kremmer:
 - Czterech. Czterech członków, szanowny panie chorąży.
 - W ciągu kilku dni otrzymacie nowe mundury. Szyje je kobieta, która użyczyła wam schronienia. Każdy tutaj chce się jakoś przysłużyć naszej sprawie.
- Mikorski popatrzył na Chwieduszkę i powiedział:
- Chorąży, zostajesz moim zastępcą.
 - Tak jest.
 - A teraz poświęćcie trochę czasu na sen.

Kiedy wychodził, zasalutowali mu. Widząc to, zatrzymał się.

– I bez salutu. Musicie przestawić się na tryb partyzancki. Wszyscy musimy. – Zamilkł na moment, odpływając gdzieś myślami. – A, pseudonimy. Wymyślcie je do jutra. Nikt obcy nie może poznać naszych nazwisk i stopni, jasne?

– Tak jest, panie majorze – odparł z nieukrywanym entuzjazmem szeregowy.

Kiedy Mikorski opuścił szopę, Bronek poklepał po plecach najmłodszego żołnierza z ich drużyny i powiedział:

– Szeregowy, nie nalejcie w portki z tego podniecenia.

– Tak jest – odparł Kiljan poważnym tonem.

– Żartuję. Niecodziennie zostaje się partyzantem.

Chwieduszko, widząc, że Kremmer kręci się po szopie i nie może znaleźć sobie miejsca, podszedł do niego i zapytał:

– Co z panem?

– Nękąją mnie pewne obawy, drogi panie.

– W kwestii odbicia kapitana?

– A, to już wydaje mi się zupełnym *imponderabilium*, znaczy... abstrakcją. Chodzi mi teraz o fakt dołączenia do oddziału partyzantów. Brzmi to dosyć niebezpiecznie.

– Panie Kremmer, nic, co robiliśmy do tej pory, nie było zbyt bezpieczne – z uśmiechem wtrącił Bronek.

Kiljan, mrużąc oczy, wlepił wzrok w więźbę dachową. Zastanawiał się nad wypowiedzią ziemianina, który jedno niezrozumiałe słowo wyjaśnił innym, równie niezrozumiałym. Tymczasem starszy pan dodał:

– Zdaję sobie sprawę, iż nawet partyzantów chroni czwarta konwencja haska z 1907 roku, niemniej jednak żywię chyba uzasadnione obawy co do jej respektowania przez...

Kremmer długo snuł rozważania na ten temat, a jego monolog podziałał na towarzyszy niczym najlepszy środek nasenny. Gdy ziemianin stwierdził z zaskoczeniem, że zasnęli, jeszcze raz popatrzył na więcej niż ascetyczne otoczenie, westchnął i położył się spać.

Mikorski był na granicy snu, gdy na równe nogi postawiły go trzaski dobiegające z radiostacji. Potem usłyszał umówione hasło, świadczące o tym, że informator z Leska stara się z nim skontaktować.

Był to syn jednego z żołnierzy, którego major miał w swoim oddziale. Początkowo chciał iść z nimi, by walczyć, jednak Mikorski przekonał go, że potrzebują ludzi, którzy stworzą załączek siatki informacyjnej. Przed wybuchem wojny chłopak uczęszczał do szkoły w Lesku, więc jego pojawienie się tam nie powinno wzbudzić większych podejrzeń. Nocą przedarł się do miasta i otrzymał schronienie u dawnego kolegi z klasy.

Dowódca GOR-u czuł się odpowiedzialny za tego młodego człowieka o imieniu Rufin, więc każdy sygnał od niego przyjmował z ulgą. Szczególnie po tym, jak chłopak zameldował, że został niewolnikiem – bo chyba tak trzeba to było nazwać – jakiegoś wysoko postawionego członka SD, który nazywał się Johann Blankenburg.

– Tutaj Rogacz, możesz mówić – podał swój pseudonim Mikorski.

– Jutro Blankenburg ostatni raz zabierze się za tego kapitana. Myślę, że niedługo go zabije. Nie wiem, co mam robić.

– Nie rób nic, samemu możesz co najwyżej załatwić sobie pobyt w zaświatach.

– Ten człowiek ledwo zipie. Zakatują go w tej piwnicy.

– Przede wszystkim uważaj na siebie, nie podejmuj niepotrzebnego ryzyka – rozkazał dowódca. Za każdym razem, kiedy rozmawiał z Rufinem, podkreślał, by chłopak dbał przede wszystkim o własne bezpieczeństwo. Przekonywał go, że teraz, gdy stał się „niewolnikiem” wysokiego oficera SD, stał się kluczowym źródłem informacji dla rodzącego się GOR-u. Nie mogli go stracić.

– Musimy go odbić, oni... – Rufin przerwał, po czym dodał: – To jest nieludzkie.

– Jeśli będzie taka szansa. Ale jest nas zbyt mało, żeby podejmować niepotrzebne ryzyko.

– Niepotrzebne? – trochę zbyt głośno powiedział Rufin. Zaraz potem dodał, że musi kończyć, bo miejsce, z którego nadaje, zaraz zapełni się ludźmi. Pożegnali się i umówili na kontakt jutro, mniej więcej o tej samej porze, jeśli będzie to możliwe.

LESKO, DRUGA POŁOWA WRZEŚNIA 1939 ROKU

Nikt nie pojawił się w celi Obelta przez ostatnie kilkanaście godzin, może nawet przez całą dobę – nie wiedział, ile czasu minęło, nie był już w stanie śledzić jego upływu. Z pewnością ta zwłoka była częścią taktyki Blankenburga, mającej wywołać w umyśle więźnia niepewność, kiedy zjawi się oprawca i wyda na niego wyrok śmierci. Z tego samego powodu niemiecki oficer nigdy nie przychodził o tej samej porze. Czasem zjawiał się z samego rana, czasem w środku dnia, a często wrywał go ze snu w nocy.

Nadal nie otrzymywał jedzenia. Klaas dał mu tylko trochę wody, kiedy jako ostatni złożył mu wizytę.

Obeltowi udało się złapać małego szczura. Siedział, trzymając go w rękach i walcząc ze sobą. W końcu zrezygnował ze zjedzenia zwierzęcia i odłożył je na podłogę. Było tak zdezorientowane, bo przez pewien czas stało w bezruchu. Potem rzuciło się do ucieczki i znikło w jednej ze szpar.

Kryzys nadszedł czwartego lub piątego dnia, nie wiedział dokładnie kiedy. Siedział skulony w kącie i nagle poczuł, jakby widział sam siebie w tej piwnicy. Z niesmakiem popatrzył na człowieka, przy którym nawet podkościelni żebracy prezentowali się dobrze. Miał na sobie poszarpany mundur, brakowało mu dwóch zębów i wszystkich paznokci u rąk. Najbardziej przykry był jednak widok śladów po oderwanych naramiennikach. Gdyby wtedy udało mu się złapać jakiegoś gryzonia, nie zastanawiałby się ani przez chwilę.

O pachwinach wołał nawet nie myśleć, ale przypomniał sobie okrutny ból, kiedy Blankenburg i Klaas zgasili mu w kroczu papierosy.

Wrócił do własnego ciała, wizja się skończyła. Powoli wstał i oparł się o ścianę tuż obok drzwi, które stanowiły nieprzekraczalną barierę między cierpieniem a życiem jako wolny człowiek. Wlepiając w nie wzrok, przejechał palcami po grubych deskach, starając się ocenić, jakie są szanse powodzenia jego planu. Nie liczył na wiele, ale w tej sytuacji musiał spróbować czegokolwiek.

Alexander Klaas spotkał się z przełożonym w drodze do miejsca przetrzymywania Polaka. Obydwaj wykonali idealne hitlerowskie pozdrowienie, po czym Blankenburg oświadczył.

– Gratuluję. Zaakceptowano twój awans, SS-Scharführer.

Klaas popatrzył na niego z udawaną obojętnością. Przed osobami pokroju obersturmführera nie wypadało okazywać entuzjazmu.

– O, nie spodziewałem się. Dziękuję.

– Zasłużyłeś. Nieczęsto to przyznaję, bo i nie mam ku temu okazji, ale uratowałeś mi życie. Gdybyś na tej leśnej drodze nie stanął pomiędzy mną a strzelcem, nie miałby większych trudności z zabiciem mnie.

– Wszystko dla Rzeszy – odparł wyuczonym zwrotem Alexander, cytując tekst wygrawerowany na sztyletach SA, Oddziałów Szturmowych NSDAP. Blankenburg poklepał go po plecach i powiedział:

– Chodź, zakończymy zabawę z polskim psem.

Obersturmführer wiedział, że jeśli sam zarekomenduje awans Klaasa, podopieczny nie będzie długo czekał na akceptację. Wcześniej jednak zapoznał się z aktami chłopaka. Miał nieskazitelną przeszłość – w wieku piętnastu lat wstąpił do Hitlerjugend, a jeden z jego ówczesnych opiekunów stwierdził, że bardzo dobrze radził sobie w zespołowych grach strategicznych. Szczególne sukcesy odnosił w manewrach polegających na zdobyciu flagi przeciwnego obozu. Podobnie jak na wojnie, nie obowiązywały w niej żadne zasady – poza zakazami pozbawiania przeciwników życia i powodowania trwałych uszkodzeń ciała. W owej grze często brali udział także najmłodszy członkowie Hitlerjugend, co pozwalało bardzo szybko wyławiać uzdolnione jednostki – takie jak Klaas, który mimo różnicy wieku potrafił powalać osiemnastolatków i samodzielnie odnosić zwycięstwa.

Kiedy weszli do piwnicy i zbliżyli się do drzwi celi, usłyszeli odgłos głuchego uderzenia.

– Otwieraj – rzucił do strażnika Blankenburg i odpiął kaburę przy pasie, po czym wyciągnął browninga.

Pełniący wartę esesman otworzył drzwi i odsunął się na bok. Obersturmführer wpadł jak burza do środka. Zauważył Obelta leżącego na plecach, z rozciętym czołem i najwyraźniej złamanym nosem, z którego lała się krew.

Klaas popatrzył pytająco na dowódcę.

– Próbował się zabić, sukinsyn. Zabierzcie go do lekarza, ma przeżyć – rzucił Blankenburg.

Polski oficer najwyraźniej nie dysponował odpowiednim zapasem sił, by udało mu się popełnić samobójstwo. Oficer SD zauważył, że jeniec jest przytomny, nachylił się więc nad nim i powiedział niemalże smutnym głosem:

– Witam, kapitanie, dziś miało nastąpić nasze ostatnie spotkanie. Ale widzę, że postanowiłeś przedłużyć swoje męki. Bardzo dobrze.

Kiedy pojawiła się dwójka ludzi z noszami i ułożyła na nich Obelta, ten jednocześnie przeklinał w myślach swój brak zdecydowania i przeproszał Boga za nikczemną próbę pozbawienia się życia. Mógł się mocniej odepchnąć, mógł z większym impetem uderzyć w przeciwległą ścianę. Ale krótki moment zawahania spowodował, że tylko pogorszył swoją sytuację.

Może jednak, kiedy będzie w szpitalu, dadzą mu spokój, by wyzdrowiał? Choćby po to, by oprawca mógł dalej się nad nim pastwić.

Nadal nie mógł zebrać myśli, a po chwili stracił przytomność. Już od jakiegoś czasu momenty świadomości były jedynie przebłyskami w rzeczywistości mrocznych wizji.

Zobaczył niebo i stwierdził, że sanitariusze wynieśli go z piwnicy. Uśmiechnął się i pomyślał, że samobójcza próba była warta ponownego ujrzenia czegoś więcej niż ściany celi.

Słyszał krzyki, chyba po ukraińsku. Zdawało mu się, że dostrzega roześmiane twarze ludzi. Mijanych na ulicy mieszkańców najwyraźniej cieszył widok skatowanego polskiego żołnierza. Szczególnie jeśli kojarzyli mundur Korpusu Ochrony Pogranicza. Formacja ta nie była zbyt lubiana przez mniejszości z Kresów Wschodnich. Wprawdzie KOP organizował dla nich punkty medyczne, biblioteki czy pomoc w żniwach, ale nienawiść do Polaków była silniejsza. Według Obelta w Rzeczypospolitej mieszkało zbyt wiele narodów, a poza tym młode, porozbiorowe państwo dostało zbyt mało czasu, by wytworzyć warunki do współistnienia aż kilku nacji. I znów znikło z mapy świata, w wieku niemowlęcym, po niespełna dwudziestu jeden latach życia.

Kiedy kapitan po raz kolejny otworzył oczy, zobaczył nienaturalnie daleki sufit, pokryty jakimś freskiem, z którego odpadała farba. Stwierdził, że był to nie mniej piękny widok niż niebo, które ujrzał po opuszczeniu celi. Wszystko, co nie wiązało się z przeklętą piwnicą, urastało do rozmiarów cudu.

Nachylała się nad nim młoda kobieta o kruczoczarnych, związanych z tyłu głowy włosach. Kiedy wyciągała ręce w stronę jego twarzy, znów stracił przytomność.

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, zanim znów się obudził. Tym razem czuł się lepiej i stwierdził, że jest w pomieszczeniu, które nijak nie przypominało szpitalnej sali. Delikatnie dotknął głowy i stwierdził, że jest obandażowana. Po tym, jak przypomniał sobie, że uderzając w ścianę piwnicy usłyszał głośny gruchot, nie odważył się sprawdzić, co z nosem.

– Wreszcie się pan obudził.

Obelt z nieukrywanym bólem odwrócił głowę w lewo i zobaczył tę samą kobietę, która wcześniej się nim zajmowała.

– Gdzie... jestem? – ku własnemu zdziwieniu nie umiał płynnie wyartykułować myśli. Wypowiedzenie tych dwóch słów przyszło mu z wielkim trudem.

– Pacjenci zazwyczaj pytają „co się ze mną stało”, a nie „gdzie jestem”, ale niech panu będzie.

Kobieta rozejrzała się i dopiero wtedy powiedziała:

– Znajduje się pan w leskim zamku. Przyniosło tu pana dwóch żołnierzy SS.

– Żadni... z nich... żołnierze – wycedził.

– Nie mnie oceniać, kim są, a kim nie. Mam się panem zająć.

– Kim... pani... – zanim zdążył dokończyć, wyjaśniła:

– Lekarzem. Nazywam się Wanda Blumental.

– Żydówka?

– Tak. Ale niech pan nie przejmuj się mną, tylko sobą. Miałam okazję dokładnie zbadać pański stan. Dziwię się, że jeszcze pan zipie.

Z trudem się uśmiechnął, ale pewnie wyglądało to jak wykrzywienie twarzy w jakimś

dziwnym grymasie. Wanda popatrzyła na jego krocze, a kapitan się zaczerwienił. A przynajmniej tak mu się wydawało.

– Odniósł pan wiele dotkliwych obrażeń, nie wypuszczę pana... – przerwała w pół zdania, gdyż do pomieszczenia wszedł oprawca Obelta.

– Oho, moja muza. – Blankenburg, szczerząc zęby, popatrzył na lekarkę, a ona szybko wbiła wzrok w ziemię. Podeszedł i pogładził ją po włosach, jakby była zwierzątkiem domowym. Dłuższą chwilę wpatrywał się w jej profil, po czym pogłaskał jej policzek. Przeniósł wzrok na Polaka i zapytał:

– Kiedy będzie gotowy na dalsze przesłuchanie?

– Za jakiś tydzień – odparła.

Obersturmführer uderzył ją wierzchnią stroną dłoni. Odruchowo ukryła twarz w rękach.

Delikatnie odsłonił jej oblicze i powiedział:

– Zapytam jeszcze raz. Kiedy?

– Za trzy dni. Nie zdziałam cudów po piekle, jakie mu urządziliście.

Przygotowała się na kolejne uderzenie, ale Blankenburg skierował się do drzwi, rzucając na odchodnym:

– Trzy dni, kapitanie. Tyle masz, żeby zastanowić się czy chcesz skończyć w tamtej celi. A o ucieczce nawet nie myśl, jesteś w twierdzy SS.

RAWITSCH, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

– *Nett, Sie kennen zu lernen.*

– Daj mi spokój, kobieto.

Maria niemal się roześmiała, słysząc jak Staszek zwraca się do niej w sposób charakterystyczny dla swojego ojca. Stary Władysław nigdy nie mówił do żony po imieniu, ponoć też nigdy nie pokusił się też o jakiegokolwiek czułe określenie. Nawet „kochanie” nie wchodziło w grę. Był to osobliwy człowiek, który lepiej wyrażał uczucia za pomocą czynów niż słów. Często przynosił małżonce, Róży, bukiety kwiatów nazywających się tak samo jako ona, ale według relacji Staszka nigdy nie zdarzyło się, by przy tej okazji powiedział jej coś miłego.

„Kobieto” było dla niego jedyną akceptowaną formą zwracania się do żony, a wypowiadał to słowo takim tonem, że zawsze wzbudzał w Marii rozbawienie. Teraz, nie mniej rozweselona, zauważyła, że Staszek nieświadomie użył tego samego sformułowania i tonu głosu, co stary Zaniewski.

– Powiedz chociaż co to znaczy, mężczyzno – odparła przekornie.

– Dojcz ni cholery. – Staszek pokręcił głową.

– *Nicht verstehe*, jeśli już.

– Możemy dać sobie spokój? Widzisz, że występuję w roli Syzyfa.

– Stanisław Zaniewski przegrał z językiem niemieckim, no, no – skonstatowała i przybrała najbardziej zatroskaną minę, na jaką było ją stać.

– Szkoda na to czasu. Sama widzisz, że nic nie wchodzi mi do głowy.

– Bo masz jakąś głupią blokadę umysłową na naukę języków.

– A tam.

– Nastawiasz się źle i potem już nie da rady.

– Wolę już tańczyć tego twojego fokstrota.

– „Tańczyć” to w twoim przypadku zbyt wiele powiedziane, mój drogi.

Staszek pokiwał się na krześle w lewo i prawo.

Marii udało się go namówić na kolejną godzinę lekcji niemieckiego, jednak mimo jej wzmoczonych wysiłków zdołał wyartykułować tylko kilka zdań, których nauczył się na pamięć. Nie wystarczało to w najmniejszym stopniu na komunikację z kimkolwiek, kto znał ten język.

Zaniewski mógłby od biedy zapytać o drogę, gdyby jako turysta zbłądził w Berlinie, ale był o lata świetlne daleki od tego, by nawet dukać podczas krótkiej wymiany zdań.

Gdy usłyszeli, że na ulicy zapanowało zamieszanie, wyszli więc z kamienicy, by sprawdzić, co się dzieje. Niewielkie grupy rawiczan kierowały się w stronę ratusza, nerwowo rozmawiając. Gdzieś tam było słyhać wzmożony entuzjazm pojedynczych osób, choć studzony przez innych ludzi.

Staszka mijał właśnie rozweselony mężczyzna w jasnym homburgu – kapeluszu z lekko podwiniętym rondem i przepasanym ciemniejszą taśmą.

– Przepraszam, co się dzieje? – zapytał Zaniewski.

– Panie kochany! Niemców biją!

– Jak to Niemców? Kto?

– Nie wiadomo, jakiś nocny mściciel. Ukatrupił podobno czterech.

– Złapali go?

– Gdzie tam, panie. Rozpłynął się jak duch w mroku nocy! – rzucił rozmówca, po czym ruszył w kierunku ratusza.

– Słyszałaś? – Staszek spytał Marię, która zakładała płaszcz. Podała narzeczonemu jego okrycie i odparła:

– Słyszałam. Ciekawe rzeczy w tym Rawiczu się dzieją.

– Może mamy bohatera narodowego? – Uśmiechnął się.

– Tak, tak, jasne.

– Chodź, zobaczymy, co tam się dzieje i pokłonimy się poległym bohaterom Rzeszy.

Popatrzyła na niego, przechylając głowę.

Już z daleka widzieli pod ratuszem sylwetkę Christiana Leitnera. Stał nad ciałem ofiary i zamykał jej oczy. Patrzył na martwego człowieka zupełnie bez wyrazu, jak gdyby oceniał wątpliwej jakości obraz trzeciorzędnego malarza, którego nazwiska nikt nie kojarzy.

Przed narzeczonymi pojawił się młody żołnierz, którego Maria kojarzyła z obozu. Nie pamiętała jego imienia, ale wiedziała, że był szeregowcem. Przez chwilę próbowała sobie przypomnieć, jak po niemiecku brzmiało to słowo.

– Schütze, co tu się stało? – spytała, starając się nie okazywać wyraźnego zainteresowania. Wyciągnęła notes, gotowa do spisania relacji.

– Nie wiem, pani Gino. Proszę porozmawiać z kapitanem.

– Tak zrobię, kiedy tylko będzie miał chwilę czasu. Nie chciałabym mu teraz przeszkadzać. Naprawdę nic pan nie wie?

– No cóż...

– Proszę mówić, i tak dowiedziałabym się tego od hauptmanna. – Uśmiechnęła się w najbardziej uroczy sposób, na jaki było ją stać.

– Pewnie tak... Ktoś zamordował oberleutnanta Heinlego i dwóch innych żołnierzy, gefreitera...

Maria przestała słuchać, co mówił żołnierz w momencie, kiedy usłyszała nazwisko swojego niedoszłego gwałciciela. Zamurowało ją, a kolejne słowa docierały do niej jakby zza szyby.

– Pani Gino? – spytał szeregowy.

– Przepraszam – odparła zmieszana i zmiętygowawszy się szybko, dodała: – Znałam Heinlego.

– Rozumiem, wszyscy wiemy, co chciał pani zrobić.

– Nie mówmy o tym. Wie pan coś więcej? Kto był napastnikiem?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. Tyle, co usłyszałem, już powiedziałem.

Podziękowała mu i razem ze Staszkiem odeszła kawałek dalej, by oddalić się od zebranych pod ratuszem ludzi. Wtedy zrelacjonowała mu, kto jest jedną z ofiar.

Narzeczony obserwował jej zachowanie i stwierdził, że miotają nią sprzeczne emocje. Odczuwała ulgę i pewną satysfakcję, a z drugiej strony była świadoma, że przecież radość ze śmierci człowieka, kimkolwiek by nie był, nie jest pozytywnym uczuciem.

– Wszystko w porządku? Wyglądasz, jakbyś w myślach prowadziła swoją własną wojnę światową – powiedział.

– Tak. To znaczy... Staszek, sama nie wiem, co mam myśleć.

– Spotkało go to, na co sobie zasłużył.

– Wiem. Jednocześnie mam nadzieję, że umarł w męczarniach, ale...

– Co? Jeśli ktoś miał w Rawiczu stracić życie, to właśnie on.

– Zawsze to jednak człowiek. Pewnie miał rodzinę, dzieci.

– Każdy ma, a jest wojna.

– Masz rację. Za dużo we mnie emocji.

Kiedy to powiedziała, młodzieniec przytulił ją. Napawając się spokojem, jaki zapanował w jej umyśle dzięki zanurzeniu się w objęciach narzeczonego, na moment zamknęła oczy. Gdy je otworzyła, zauważyła, że szeregowy, z którym dopiero co rozmawiała, szuka kogoś wzrokiem. Kręcił głową na wszystkie strony i wyciągał ją jak żyrafa.

Podeszli do grupy gapiów z nadzieją, że do tej pory pojawiły się nowe informacje. Leitner gdzieś zniknął, a dwóch żołnierzy podnosiło ciało Heinlego. Maria utkwiała wzrok w jego martwej twarzy, której mięśnie zastygły w przeraźliwym wyrazie.

– Pani Gino! – zawołał szeregowy, a dziewczyna powoli oderwała wzrok od ciała i podeszła do niego.

– Tak, Schütze?

– Ktoś poderznął mu gardło w dziwny sposób, nie nożem ani bagnetem. Musiał zdychać w męczarniach.

Maria przyjrzała się szeregowemu. Bez wątplenia nie był w dobrej komitywie z martwym oberleutnantem.

– Przepraszam. Miałem z nim nieprzyjemne przejścia, a poza tym, po tym, co pani zrobił...

– Nic nie szkodzi – przerwała mu Maria, uśmiechając się niemrawo.

– Słyszałem przed chwilą rozmowę kapitana z jednym z żołnierzy.

– Tak?

– Przykro mi poinformować, ale nie mogą znaleźć pana Wendta. Możliwe, że został uprowadzony ze szpitala.

Dziewczyna znieruchomiała. W momencie gdy kończył zdanie, podszedł do niego jakiś wyższy rangą żołnierz i wydał krótki rozkaz:

– Schütze, znajdź mi natychmiast porucznika Rodemeyera.

– Tak jest – odparł szeregowy, czym prędkiej ukłonił się Marii i odszedł.

Staszek rozejrzał się uważnie i gdy stwierdził, że żaden Niemiec nie okazuje zainteresowania ich dwojgiem, zapytał cicho:

– Co jest?

– Holzer zniknął.

JABŁONOWA, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek siedział samotnie w szopie udostępnionej im przez starszą kobietę. Reszta oddziału udała się grać w karty z członkami GOR-u, on miał dołączyć do nich później. Rzadko odczuwał potrzebę, by pobyć sam na sam ze swoimi myślami. Zazwyczaj, kiedy coś chodziło mu po głowie i nie dawało spokoju, wolał przebywać w towarzystwie, możliwie jak najliczniejszym. To pozwalało mu oderwać się od problemów i zwyczajnie o nich nie myśleć.

Teraz czuł jednak, że musi zmierzyć się ze wszystkim, co go spotkało i może jeszcze spotkać w najbliższej przyszłości. Uciekanie od tych myśli uznał za najgorsze wyjście. Dostali informację, że kapitan Obelt został prawie zakatowany w celi w Lesku, nie było jednak możliwości odbicia go, a Blankenburg najwyraźniej nie zamierzał przestać torturować kapitana, by wreszcie go złamać.

Ale Bronek był pewien, że Obelt wytrzyma, a jedynym możliwym finałem jest jego śmierć. Mimo że oficer nigdy nie był mu przyjacielem, Zaniewski darzył go wielkim szacunkiem i czuł, że istnieje pomiędzy nimi pewna więź. Przypuszczał, że podobnie sądzą wszyscy, których oficer ze szramą na twarzy miał pod swoim dowództwem. Był kimś w rodzaju surowego ojca, a w wojsku rzadko można było powiedzieć o jakimkolwiek dowódcy aż tak dobre słowa.

Bronek nie widział możliwości odbicia go. Miasto było opanowane przez Niemców, większość mieszkańców była im przychylna.

Ale Mikorski twierdził, że chodzą już słuchy o niechybnym zajęciu Leska przez Armię Czerwoną. Jeśli tak rzeczywiście miało się stać, „zmiana warty” byłaby idealnym momentem na wyrwanie kapitana ze szponów niemieckiego szaleńca. Problem polegał na tym, że do tego czasu będzie już martwy.

Samo wejście do piwnicy strzeżonej całą dobę przez SS graniczyło z cudem, a co dopiero

wyjście z niej z rannym Obeltem. Broniek musiał pogodzić się z faktem, że sytuacja kapitana jest beznadziejna.

Mimowolnie jego myśli powędrowały w stronę Baranowicz. Planował udać się tam zaraz po szczęśliwym finale potyczki z drugą einsatzgruppe, tymczasem los wyznaczył mu inne zadanie. Zaniewski nie mógł zostawić reszty oddziału w trudnej sytuacji, poza tym łudził się, że jednak uda się w jakiś magiczny sposób uratować kapitana. Teraz z kolei został członkiem partyzantki zorganizowanej przez Gwardię Obrony Rzeczypospolitej. Organizację, która tak naprawdę nie posiadała żadnych struktur i działała w zupełnym oderwaniu od armii. Na dobrą sprawę rozkazy Mikorskiego były całkowitą samowolką.

Broniek miał więc dylemat, który postanowił przemyśleć w samotności: czy tkwić tutaj, czy też pożegnać towarzyszy broni i udać się na północ, w stronę Baranowicz.

Z informacji podanych przez majora wynikało, że prędzej niż później natknąby się na oddziały rosyjskie. Mógł wprawdzie liczyć na łut szczęścia, ale w samym mieście z pewnością powitaliby go żołnierze Armii Czerwonej. Gdyby miał kierować się logiką, jedyną opcją byłoby pozostanie z Chwieduszką i resztą. Jego serce jednak coraz skuteczniej zagłuszało umysł, przez co wizja dotarcia do Baranowicz i zabrania stamtąd Anieli stawała się dla niego coraz bardziej realistyczna.

Nie zmieniało to faktu, że musiałby zostawić tutaj ludzi, którzy potrzebują jego pomocy. Zastanawiał się, co stałoby się w Beniowej, gdyby nie zareagowali na atak pierwszej einsatzgruppe. „Teraz w partyzantce każdy człowiek jest teraz na wagę złota, szczególnie żołnierz, który umie strzelać” – pomyślał.

„Baranowicze, Lesko, Warszawa i Beniowa” – pomyślał o miejscach, w których chciałby się choć na chwilę znaleźć, by sprawdzić, co się dzieje z osobami je zamieszkującymi. Głowa zaczęła go boleć od nadmiaru znaków zapytania, dotyczących losu bliskich mu ludzi.

– Wykoncytował pan już pseudonim? – jego rozważania przerwał Kremmer, wchodząc do szopy. Wyraźnie męczył się, niosąc krzesło.

Broniek wstał i pomógł mu, po czym ustawił krzeselko obok pryczy ziemianina.

– Nie, panie Kremmer, mam teraz inne sprawy na głowie.

– Doprawdy? Jakież to, szanowny panie sierżancie? Czyżby myśli o jakiejś niewieście pana trafiły?

– Nietrudno się domyśleć – odparł z uśmiechem.

– Owszem.

Kremmer usiadł na krześle. Zapadła niewygodna cisza. Żaden z nich nie wiedział, jak kontynuować rozmowę.

– Być może „Husarz” by panu odpowiadał? – spytał po chwili starszy człowiek, zadowolony, że udało mu się zmienić temat.

– Co?

– Kawalerzysta z czasów Pierwszej Rzeczypospolitej, szanowny panie. Nie słyszał pan nigdy o śmiertelnie niebezpiecznych szarżach, przeprowadzanych przez naszą husarię? Na przykład w bitwie pod...

– Panie Kremmer, ja pana proszę...

Ziemianin bez okazywania większej dezaprobaty przerwał dalszy wywód. Zdążył już

przyzwyczać się, że jego towarzysze nie są zainteresowani ciekawostkami, jakie uparcie starał się im przedstawiać. Zrzucał to na karb ich mało wyrafinowanych gustów, będąc święcie przekonany, że rozprawia niezwykle ciekawie.

– Rozumiem, że wydzwięk nie odpowiada. Czy też sama historia?

– Jestem żołnierzem piechoty, nie kawalerii.

– Ach tak. W takim razie może „Hetman”? Doniosły tytuł, nie musi być koniecznie kojarzony z...

– Dobrze, panie Kremmer. Niech będzie – starał się uciąć Broniek.

– To jest poważna sprawa, szacowny panie sierżancie. Wszak pseudonim pozwala partyzantom na sprawne działanie bez ujawniania swoich danych. Te bowiem mogą pozwolić na dotarcie do jego rodziny i użycie jej jako zakładników – ziemianin chciał kontynuować, ale zauważył, że jego rozmówca wodzi wzrokiem po więźbie szopy. Pogrążył się więc we własnych przemyśleniach, pozwalając Bronkowi zająć się swoimi sprawami.

Kiedy właściciel dworku powoli przysypiał na krześle, do szopy wpadł Kiljan, a zaraz za nim Chwieduszko i Mikorski.

– Dobre wieści! – krzyknął szeregowy.

Zaniewski drgnął, a Kremmer kilkakrotnie poklepał się po lewym policzku, by się rozbudzić.

– Co się dzieje, panie majorze? – spytał Mikorskiego sierżant.

– Możliwe, że będzie szansa na odbicie waszego kapitana.

– Jak?

– Mamy kreta wśród ludzi, którzy go przesłuchują.

– Co takiego? Dlaczego nie powiedział pan wcześniej? – spytał Broniek ostrzejszym tonem niż zamierzał.

– Spokojnie, sierżancie. To delikatna sprawa. Młody chłopak, nie mogę pozwolić, by wiedziało o nim zbyt wiele osób.

Chwieduszko był równie zdziwiony tą informacją. Kiedy grali w karty, Mikorski nagle udał się do innego domu, by nawiązać kontakt ze swoimi informatorami. Gdy wrócił, powiedział tylko tyle, że istnieje szansa na ratunek Obelta oraz że za piętnaście minut mają się spotkać w szopie.

Kiedy wszedł do niej jeden z gorowców, major dodał:

– To ojciec tego chłopaka.

– Witam – powiedział krótko mężczyzna.

Zanim ktokolwiek zdążył się odezwać, dowódca zwrócił się do nowo przybyłego:

– Rufin może pomóc nam w odbiciu więźnia, którego torturują.

Człowiek przytaknął z pełną przejęcia miną.

– Ale potrzebuję twojej zgody – stwierdził major. – To będzie wymagało podjęcia przez niego dużego ryzyka.

Ojciec Rufina znów pokiwał głową, po czym popatrzył na Bronka i resztę oddziału.

– Możecie liczyć na mojego syna. Zrobi wszystko, żeby ocalić waszego dowódcę – powiedział pewnym głosem.

- Dziękuję – odparł Chwieduszko.
- Jaki jest plan? – ochoczo zapytał Kiljan.

LESKO, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Dziękuję – powiedział Obelt, gdy lekarka przyszła zobaczyć go następnego dnia po wizycie Blankenburga.

- Za co? – spytała Wanda mimowolnie, nie podnosząc wzroku z opatrunku, który wymieniała.
- Za te trzy dni. To więcej, niż mógłbym sobie wymarzyć.

– Nie ma pan za co dziękować. Nawet za miesiąc pański organizm nie zregeneruje się na tyle, by mógł pan odpowiadać na pytania tego człowieka. Nie mówiąc już o kolejnej dawce tych... nieludzkich metod przesłuchania.

Oficer na samą myśl o powrocie do piwnicy zaczął wiercić się na łóżku. Wanda nakazała mu się nie ruszać i zaczęła sprawdzać rany w miejscach, gdzie kiedyś miał paznokcie. Wzdrygnęła się.

– Czemu pani żyje? – wypalił Obelt, momentalnie uzmysławiając sobie, że pytanie zabrzmiało niejednoznacznie. Lekarka, widząc jego zmieszanie, odparła:

- Zupełnie zasadne pytanie, proszę się nie przejmować.

W milczeniu odkażała rany i opatrywała je. Po chwili smutnym tonem kontynuowała:

– Cała moja rodzina została zabrana z miasta. Podobno gdzieś w okolicy urządzono masową egzekucję.

– Przykro mi – powiedział kapitan, po czym zastanowił się, co powinien dodać. – Ci ludzie nie mają ani grama człowieczeństwa, ani grama honoru.

– To prawda. Widzi pan, zanim wkroczyła tu armia słowacka, a po niej niemiecka, większość mieszkańców Leska stanowili Żydzi.

Przerwał im Alexander Klaas, który bez zapowiedzi wszedł do pomieszczenia.

- Mam sprawdzić, co z więźniem – powiedział sucho.

– Bez większych zmian. Jego stan jest stabilny, ale może się w każdej chwili zmienić. Doprowadziliście go do skrajnego wyczerpania.

„Sam się doprowadził” – pomyślał Klaas, ale zachował tę uwagę dla siebie, odpowiadając tylko:

- Rozumiem.
- Niejeden człowiek dawno by wyzionął ducha – dodała agresywnym tonem.
- Moje wyrazy uznania – rzekł świeżo upieczony scharführer.

Popatrzył na rany Obelta, które lekarka poddawała dezynfekcji. Klaas sam nie wiedział dlaczego, ale szkoda mu było tego człowieka, który wydawał się wykuty z żelaza. Mimo tortur nie powiedział ani słowa o swoich towarzyszach. Ale współczucie było tu nie na miejscu.

- Według mnie wygląda na to, że może zostać ponownie przesłuchany.
- Pan skończył medycynę? – rzuciła w jego stronę Wanda, nie odrywając wzroku od pacjenta.
- Nie muszę, by wiedzieć, że pani chce go tu przytrzymać dłużej, niż to konieczne.

– Owszem, chciałabym.

Klaas popatrzył na nią podejrzliwie i zaczął zastanawiać się, czy kobieta świadomie naraża swoje życie czy jest po prostu głupia. Tymczasem ona kontynuowała:

– Każdy normalny człowiek chciałby uchronić drugiego przed takim okrucieństwem.

Scharführer wciągnął tyle powietrza do płuc, że jego klatka piersiowa wydawała się teraz dwukrotnie większa. Pokiwał powoli głową.

– Dwa dni. Tyle pani zostało, by doprowadzić go do normalnego stanu.

Wanda zbyła jego uwagę milczeniem.

– Nie muszę chyba powtarzać, że SS-Obersturmführer nakazał, by karmić więźnia tylko racjami niezbędnymi do utrzymania go przy życiu?

– Nie musi pan – odparła z dezaprobatą w głosie.

Kiedy Klaas wyszedł, dokończyła opatrywanie ran. Ściągając kolejne bandażę, coraz bardziej krzywiła się i kręciła głową. Wyglądała, jakby w środku kipiała ze złości. Polski oficer nie odzywał się ani słowem.

Myślał nad tym, jak może uniknąć śmierci, która niechybnie czekała go w tej przeklętej piwnicy.

Kiedy wreszcie skończyła, utkwiała w Obelcie nieprzytomny wzrok. Chwilę później, wychodząc z sali, zatrzymała się i niespiesznie odwróciła do pacjenta, po czym powiedziała:

– Przeżyłam, bo spodobałam się Johannowi Blankenburgowi. Nie wiem, czy to nie gorsze od śmierci.

Nie mając pojęcia, co odpowiedzieć, kapitan skinął głową i odprowadził lekarkę wzrokiem. Niedługo potem pogrążył się w niespokojnych snach. Gdy zapadł zmrok, zbudziło go energiczne szturchanie w bark. Kiedy zdezorientowany otworzył oczy, ujrzał twarz tego Żyda, który przychodził do jego celi wraz z Niemcami. Za nim stał Alexander Klaas, wyraźnie znudzony.

– Przepraszam, że pana budzę – powiedział Rufin po polsku.

– Co tam do niego szepcesz, Żydzie? – rzucił scharführer, po czym usiadł na jednym z krzeseł. Miał lepsze rzeczy do roboty, niż przechadzki do więźnia na rozkaz Blankenburga. Ten jednak chciał mieć pewność, że Obelt nie dostaje więcej pomocy medycznej, niż jest to wymagane dla jego przeżycia.

Alexander mógł zameldować dowódcy, że jego zdaniem Polak jest gotów do kolejnego przesłuchania, ale wstrzymał się z tym. Nie mógł powiedzieć, że gryzło go sumienie – to byłaby przesada. Po prostu był pewien, że jeniec nie wyjawি im żadnych informacji, a kolejne dwa dni w szpitalu przynajmniej dadzą mu szansę na godne pożegnanie się z życiem. Odważny oficer zasługiwał chociaż na tyle. Szczególnie że czekały go jeszcze trudniejsze chwile.

– Nic takiego, proszę pana. Kazałem mu się obudzić.

Niemiec westchnął.

– Wystarczy, że go szturchałeś, Żydzie. Nie musisz mu... A zresztą... Postaw fotografię.

Rufin wyciągnął z torby zdjęcie w ramce, przedstawiające głowę i tors Blankenburga. Esesman szczyrzył się do obiektywu w złowrogim uśmiechu. Kazał Klaasowi ustawić swój fotoportret w takiej odległości od łóżka Obelta, by ten nie mógł go przewrócić, a jednocześnie widział swojego oprawcę, jak tylko otworzy oczy.

Kapitan popatrzył przelotnie na fotografię i odwrócił wzrok. „Jeśli ten idiota myśli, że nie wyrwę wszystkich tych rurek, które we mnie wsadzili i nie wstanę tylko po to, by spalić to zdjęcie, jest nawet większym idiotą, niż przypuszczałem” – pomyślał.

– Oznajmij mu dobitnie, że kiedy wróci do celi, zginie w potwornych męczarniach. Dozna takich cierpień, o jakich nie śnili najwięksi zwyrodnialcy świata. Niech więc przygotuje jakąkolwiek informację, która pozwoli mu umrzeć w spokoju.

Rufin popatrzył na polskiego oficera i powiedział:

– Proszę wytrzymać, panie kapitanie. Przesyłam pozdrowienia od chorążego Chwieduszki, sierżanta Zaniewskiego i reszty oddziału. Wraz z Gwardią Obrony Rzeczypospolitej przygotowują akcję, żeby pana uwolnić.

Obelt najchętniej poderwałby się na równe nogi i zdzielił Klaasa czymkolwiek, co znalazłoby się w zasięgu jego ręki. Dostał taki zastrzyk energii, jakiego potrzebował. Na dźwięk dwóch znanych sobie nazwisk nabrał nadziei. Ale i pojawiła się obawa o ich los, jeśli spróbują go odbić. Stwierdził jednak, że skoro przysłali mu taką wiadomość, muszą mieć jakiś plan.

Wcześniej nie widział cienia nadziei, by którykolwiek z podkomendnych zdołał dowiedzieć się o miejscu jego przetrzymywania. Spędzając długie, samotne godziny w celi, tworzył w myślach wiele scenariuszy, żaden jednak nie kończył się wizją nawiązania kontaktu z Chwieduszką czy Bronkiem.

Stwierdził, że dla dobra swojego i młodego Żyda, musi zagrać swoją rolę. Przybrał grobową minę i odparł głosem pełnym złości:

– Dziękuję. Przekaż im, żeby, kurwa, uważali i nie robili niczego, by narazić swoje życie dla jednego człowieka. A Niemcowi powiedz, co chcesz, byle było obraźliwe.

Rufin, powstrzymawszy uśmiech, kiwnął głową i obrócił się do scharführera.

– Więzień wyraził się niepochlebnie o pańskiej matce w kontekście jej kontaktów z koźmi i zasugerował, że pan...

– Wystarczy, Żydzie – odparł Niemiec, ogarnięty ochotą pobicia tłumacza do nieprzytomności.

Podniósł Rufina za kołnierz podartej koszuli i pchnął go w stronę drzwi, po czym popatrzył na Obelta i przejechał palcem po swojej szyi.

Kiedy mężczyźni wyszli, kapitan zaczął zastanawiać się, czym jest Gwardia Obrony Rzeczypospolitej. „Brzmi jak nazwa organizacji partyzanckiej. Dobrze” – pomyślał optymistycznie, zanim znów zasnął. Tym razem nie męczyły go żadne koszmary.

RAWITSCH, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

– Jak to zniknął? – spytał Staszek, kiedy wrócili do swojego mieszkania.

– Nic więcej nie wiem.

Rozejrzał się mimowolnie po pokoju, jakby Holzer mógł ukrywać się gdzieś tutaj.

– Myślisz, że... – zaczęła Maria.

– Zdecydowanie byłby do tego zdolny. Nie znam wszystkich jego umiejętności, ale musiał być dobry, skoro tak długo radził sobie w przestępczym światku Warszawy.

– Dodatkowo motyw zemsty.

– No tak. Byłem pewien tego, że prędzej czy później będzie chciał wyrównać rachunki z Heinlem, ale myślałem, że do tej pory uda nam się zwać daleko stąd. A przecież jeszcze wczoraj leżał przykuty do łóżka szpitalnego.

– Cholerna kanalia – powiedziała z lekkim uśmiechem.

Popatrzyli po sobie, by w tym samym czasie uświadomić sobie, że znaleźli się w bardzo nieciekawej sytuacji.

Rozległo się pukanie do drzwi, a po tym donośnym głosem ktoś powiedział:

– *Öffnen! Öffnen!*

Staszek popatrzył na Marię pytająco, a ona ruchem ust bezgłośnie odparła: „otwierać”. Podeszła do drzwi i uchyliła je lekko.

– Hauptmann Leitner chciałby was widzieć w ratuszu.

– Oczywiście – powiedziała, po czym wykonała kilka improwizowanych ruchów w stronę narzeczonego.

Ich własny język migowy nabierał konkretnych znaczeń. Niemal codziennie ustalali nowe znaki rozpoznawcze, którymi Maria mogła przekazywać mu ogólny zarys sensu tego, co mówią Niemcy. Wprawdzie były to migi dotyczące głównie sytuacji zagrożenia i spraw związanych z czynnościami kluczowymi, ale w pewnym momencie uświadomili sobie, że całkiem sprawnie zaczynają się komunikować.

Najwyraźniej beztalencie lingwistyczne Staszka dotyczyło wyłącznie języków mówionych.

Christian stał w swoim ulubionym miejscu, przy oknie biura. Miał niebywale srogą minę. Osoba siedząca przed jego biurkiem nie mogła jej widzieć, gdyż hauptmann był obrócony do niej tyłem. Pomimo tego napięcie emanujące od tego zasadniczego człowieka było doskonale wyczuwalne.

Jego gość stwierdził w końcu, że Leitner zapewne wezwie wszystkie moce piekielne, jakie ma na swoich usługach, i wymierzy mu stosowną karę.

W końcu oficer odwrócił się, wolno przeszedł przez pokój i zasiadł za mahoniowym biurkiem. Nawet wiszący na ścianie ogromny wizerunek Adolfa Hitlera nie napawał większym respektem, niż mrożący krew w żyłach wzrok Christiana Leitnera.

Popukał palcami w blat biurka i wreszcie się odezwał:

– Nie rozumiem, Marvin, wytłumacz mi to.

– Tu nie ma nic do tłumaczenia. Moja głupota na to nie zasługuje.

– W tym akurat masz rację.

Siedząc naprzeciwko hauptmanna, Marvin Rodemeyer czuł się, jakby znów znalazł się przed obliczem ojca, a nie przyjaciela z lat studiów. Wolałby klęczeć na ziarnach grochu, niż tłumaczyć się przed nim.

Leitner kontynuował poważnym tonem:

– Wcieliłem cię do mojego oddziału. Oczekiwałem od ciebie wypełniania najwyższych standardów żołnierza Wehrmachtu. Cała kompania wie o tym, że to ja cię sprowadziłem. Kompromitując siebie, kompromitujesz również mnie.

– I co mam na to odpowiedzieć?

– Nic. Będziesz czyścił latryny do końca swojej służby w tym oddziale.

– Tak jest.

– Wiele rzeczy bym się po tobie spodziewał. Ale nie tego, że upijesz się prawie do nieprzytomności z ferajną Heinlega i będziesz ich walił po pyskach.

Marvin milczał.

– I popatrz na swój mundur – dodał Christian, po czym wstał i ponownie stanął przy oknie. Na kurtce oficerskiej przyjaciela zaschnięta krew oblepiła niemieckiego orła trzymającego w szponach swastykę.

– Leiner, ja...

Leitner obrócił się w jego stronę, więc podporucznik poprawił się:

– *Herr hauptmann*, ci ludzie... Cóż, nie są do ciebie najprzyjaźniej nastawieni.

– Wyjdz. Wyrzeźwiej i czekaj na rozkazy.

Ton głosu świadczył, że dowódca nie dopuszczał nawet słowa sprzeciwu. Marvin wstał, zasalutował i już miał wychodzić, gdy zatrzymał się i dodał:

– Idąc tutaj, usłyszałem o Heinlem.

– Tak – odparł Leitner głosem bez wyrazu.

– Myślisz, że to ten Wendt?

– Bardzo możliwe.

– Bo wydaje mi się...

– Opuść moje biuro.

– Tak jest, *Herr hauptmann* – odparł Rodemeyer, po czym przekroczył próg i zamknął za sobą drzwi.

Christian nadal stał przy oknie, wiedząc, że jego ostra reakcja na zachowanie podwładnego i przyjaciela była przesadzona. Ale Marvin był oficerem Wehrmachtu, a więc kimś, kto miał dawać przykład całej kompanii. Poza tym, Leitner wciąż był zdenerwowany faktem zamordowania trzech jego żołnierzy, a jeszcze bardziej narastającą pewnością, że dokonał tego jeden z reporterów „*Neue Stimme*”.

Ten czyn stawił pod wątpliwość motywy ich pobytu tutaj. Oficer pomyślał o Ginie. Nie mógł pogodzić się z myślą, że ona może być ukrytą agentką albo po prostu jakąś oszustką, a nie dziennikarką. Jeśli bowiem Fabio Wendt popełnił te zbrodnie, istniało duże prawdopodobieństwo, że zarówno on, jak i jego towarzysze nie byli tymi, za których się podawali.

Morderstwa zostały popełnione w sposób profesjonalny. Zwykły reporter nie posiadał takich umiejętności. Już samo podejście w sposób niezauważalny do wartownika było niecodzienne. A co dopiero najpierw zabicie dwóch żołnierzy, a potem natychmiastowe wykorzystanie części motocyklu do przeprowadzenia wymyślnego trzeciego zabójstwa.

Jakby wszystkiego było mało, gdy Leitner udał się do swojego gabinetu, zastał na biurku paczkę z doskonale widocznym adresem nadawcy: filii SS w Posen. Mimo że Christian nie odpowiedział jeszcze na propozycję złożoną przez sturmbannführera Rüdigera Hellera, najwyraźniej uznano, że już zgodził się zasilić szeregi SS.

Otworzył paczkę, w której znajdował się czarny, galowy mundur i kartka od Hellera. Zapraszał oficera na jakiś bal w Posen. Christian tylko pobieżnie ją przeczytał, po czym rzucił niedbale na biurko.

Wyciągnął mundur i stwierdził, że ktoś złożył go z najwyższą starannością. Pod nim leżał sztylet z napisem wygrawerowanym na ostrzu *Meine Ehre heißt Treue*.

Przez ostatnie wydarzenia zdążył zapomnieć o sprawie funkcjonariusza SD, Hellera. Ta paczka stanowiła przypomnienie i jednocześnie uciniała wszelkie wątpliwości – nie było możliwości odmowy. Postawił pakunek pod biurkiem i stwierdził, że jego czas jako żołnierza Wehrmachtu dobiegnie końca piątego października, kiedy w Posen odbędzie się bal, na którym kapitan ma się pojawić w mundurze SS.

Marvin Rodemeyer, mijając na schodach ratusza Marię i Staszka, ukłonił się im lekko. Odpowiedzieli skinieniem głowy, a zaraz potem stanęli przed drzwiami gabinetu Leitnera, których strzegło teraz dwóch żołnierzy.

– Gina Henckel von Donnersmarck i Gottwin Stöxen do kapitana Leitnera.

Jeden z żołnierzy mrugnął oczami na znak, że usłyszał, obrócił się na pięcie i zapukał. Odczekał dwie sekundy i wsadził głowę do środka, zapowiadając gości, po czym powiadomił ich, że muszą poczekać, gdyż kapitan jest zajęty. Przesiedzieli na korytarzu ponad pół godziny, czując narastający niepokój.

Gdy wreszcie zostali zaproszeni do gabinetu, Christian siedział za biurkiem i patrzył na nich spokojnym wzrokiem.

– Witam, pani Gino, panie Gottwinie.

Staszek się ukłonił, a Maria podała oficerowi dłoń do pocałunku. Nie uszło jej uwadze, że Niemiec mówił oficjalnym tonem i zaniechał zwracania się do niej per „ty”. Sami z kolei przybrali wygląd ludzi przygnębionych – mieli zamiar zrobić wszystko, by przekonać kapitana, że nie mają pojęcia ani o losie, ani o motywach działania Holzera.

– *Herr hauptmann*, wiadomo coś o naszym koledze? Został porwany? Stał się ofiarą kolejnego morderstwa? – Maria wiedziała, że już raz udało jej się manipulować tym człowiekiem, więc być może uda się drugi raz.

– Niestety, pani Gino, nic na ten temat nie wiadomo. Rozpłynął się w powietrzu.

– To niepokojące. – Wyjęła papierosa i zapaliła, nerwowo się zaciągając.

Staszek przyglądał się grze narzeczonej i stwierdził, że powinna zawodowo zająć się aktorstwem. Sam udawał nieco znudzonego i rozglądał się po przestronnym biurze. W rzeczywistości próbował cokolwiek zrozumieć z wymiany zdań, jednak nie wyłapał nawet jednego słowa, które by mu coś mówiło.

Odwrócił się od Marii i Leitnera, by zająć się przeglądaniem książek, które kapitan zgromadził bądź zrabował.

– Bardziej niepokoi mnie inna sprawa – stwierdził oficer.

– Jaka, *Herr hauptmann*?

– Sądzę, że Fabio Wendt mógł być odpowiedzialny za te trzy morderstwa.

Maria przybrała wyraz twarzy, który łączył oburzenie z zupełnym zaskoczeniem.

– Skąd taki absurdalny pomysł? – spytała.

– Cóż, trójka ludzi ginie, a w tym samym czasie inny człowiek rozplywa się w powietrzu. Wniosek jest chyba logiczny.

– Chyba należy zebrać dowody, by kogoś osądzić? Czyż nie, panie kapitanie?

– Tak. I dlatego ten człowiek jest tylko podejrzanym, a nie oskarżonym. Kiedy ostatni raz pani widziała się z nim?

Popatrzyła Leitnerowi głęboko w oczy, po czym zapytała:

– Jestem przesłuchiwana, panie kapitanie?

– Ależ skąd. Próbuję jedynie zebrać informacje.

– Dobrze. Ostatni raz widzieliśmy go z Gottwinem w szpitalu, podczas odwiedzin. Był przykuty do łóżka i trudno mi sobie wyobrazić, by niedługo potem zabił trzech żołnierzy.

– Czy wspominał o swoich zamiarach?

– Wściekał się, że nie może się ruszyć.

– Mówił coś o Ernście Heinlem?

– Nie, nie rozmawialiśmy o tej sprawie, odkąd przybyliśmy do Rawitscha.

Christian wstał i zajął miejsce przy oknie. Omiótł wzrokiem plac, na którym pozbawiono życia Heinlego. Owszem, stracił oficera, ale musiał przyznać, że ktoś wyświadczył mu przysługę.

DAWNE WOJEWÓDZTWO LWOWSKIE, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek próbował kontrolować każdy mięsień swojego ciała. Nie było to łatwe, kiedy leżał przykryty jesiennymi liśćmi, po których łąziły mrówki. Z niewielkiego wzniesienia obserwował jadące drogą samochód dostawczy i motocykl DKW 350. Zaniewski był zaskoczony, jak niewielu ludzi Niemcy przeznaczili na ochronę furgonetki.

Miał idealny punkt obserwacyjny i powinien pozostać niezauważony dla kogokolwiek patrzącego z dołu. Wciągnął powietrze i przyłożył oko do lunety swojego mosina. Ten strzał miał być jednym z trudniejszych, jakie do tej pory oddał.

Wycelował w głowę jadącego na motocyklu żołnierza. A ta skakała – jak i całe ciało Niemca, gdyż pojazd co chwila natykał się na wertepy na drodze – więc wciąż uciekała mu z celownika. Otworzył drugie oko i wypatrzył, że motocyklista niedługo wjedzie na krótki odcinek równej drogi. Wtedy będzie łatwiej.

Jeszcze raz wycelował. Nie musiał czekać długo, oddał strzał.

Pięćdziesiąt metrów dalej żołnierz spadł z motocykla jak rażony piorunem, a pojazd przeकोziołkował i wyleciał z drogi. Kierowca furgonetki panicznie zahamował, wzniesając tuman kurzu. Nie zdołał jednak zatrzymać pojazdu, przejechał po motocyklicie.

Chwieduszek, Kiljan i kilku żołnierzy Mikorskiego wycelowało broń w kierowcę i pasażera furgonetki, ale cierpliwie czekali, aż Niemcy wyjdą z pojazdu.

Nie kwapili się do tego, więc Bronek wymierzył w kierowcę. Ten strzał w porównaniu z poprzednim nie był wielkim wyczynem. Wraz z kawałkami szkła, na pasażera samochodu poleła się krew jego kompana. Natychmiast otworzył drzwi i wyskoczył z podniesionymi rękoma, rzucając karabin na drogę.

Natychmiast otoczyli go gwardziści, jak zaczęli o sobie mówić członkowie GOR-u. Padł twarzą na ziemię, a Kiljan w triumfalnym geście położył mu stopę na plecach. Szeregowiec wyglądał, jakby właśnie zdobył najwyższy szczyt górski.

Mikorski wraz z trzema gwardzistami odsłonił pakę. Trzymali karabiny w gotowości – na wypadek, gdyby w środku znajdowali się żołnierze. Okazało się jednak, że nie ma tam nikogo.

– Sukces, panowie. Gratuluję – powiedział major.

Chwieduszek i szeregowy Kiljan podszli do niego, by ocenić, co udało się zdobyć dzięki dwóm celnym strzałom Bronka. Tymczasem Zaniewski otrzepał się z liści i wszędołybskich mrówek, po czym puścił się biegiem w stronę towarzyszy.

Zatrzymał się przed ciałem motocyklisty. Zastanawiał się wcześniej, czy zabiła go kula, czy też przejeżdżający po nim samochód. Widząc dziurę w jego hełmie, nie miał już żadnych wątpliwości.

Wrócili do Jabłonowej ze zdobyczną furgonetką i mocno poobijanym motocyklem. Schowali je we wcześniej przygotowanej stodole. Broniek stwierdził, że ta wieś jest idealnym miejscem na organizowanie działań partyzanckich. Nikt o zdrowych zmysłach nie miałby żadnego powodu, by zawitać do osady zagubionej pośród lasów i niemającej żadnego znaczenia ani gospodarczego, ani strategicznego. Jeśli ktoś by się tutaj pojawił, to tylko dlatego, że zabłądził.

Nie wiedzieć dlaczego, major Mikorski upatrzył sobie szopę, w której mieszkali, na miejsce spotkań całego oddziału. Kiedy wszyscy się tam gromadzili, trudno było znaleźć jakiegokolwiek miejsce do siedzenia, a powietrze w tak małym pomieszczeniu od razu zaczynało śmierdzieć potem z wielu męskich ciał.

Kremmer, który czekał na powrót żołnierzy GOR-u w szopie, starał się uporządkować znajdujący się tam sprzęt. Brak miejsca spowodował jednak, że jego wysiłki nie zostały przez kogokolwiek dostrzeżone. Sterty złomu, który nie nadawał się już do użytku, na pierwszy rzut oka po prostu zmieniły miejsce położenia.

– Gratuluję, panowie, to była naprawdę czysto przeprowadzona akcja. – Mikorski rozpoczął spotkanie.

– Gratulacje należą się sierżantowi. Co to były za strzały! – krzyknął Kiljan.

Broniek poprawił kaburę z pistoletem i uśmiechnął się.

– To prawda – powiedział major, a spojrzawszy na Zaniewskiego, dodał: – Synu, spisałeś się na medal. Przydałbyś się na froncie. Dobra, słuchajcie. – Chodził po szopie, podczas gdy reszta siedziała, gdzie popadło. – Trafiła się nam furgonetka z jedzeniem i środkami medycznymi. A ten na motocyklu był kurierem, zdobyliśmy więc pewne dokumenty wojskowe.

– Mogę? – spytał Broniek, kiedy dowódca wyciągnął je z torby.

– I tak miałem ci je dać. Tylko ty potrafisz czytać w tym cholernym języku. – Podał papiery Zaniewskiemu, po czym kontynuował: – Akcja odbicia kapitana Obelta będzie bardzo zbliżona.

– On będzie miał większą obstawę niż to żarcie i dokumenty – wtrącił Chwieduszek.

– Oczywiście. Teren będzie też zupełnie inny.

– Gdzie tu więc podobieństwo? – spytał Kiljan.

– Forma działania. Sierżant strzela z ukrycia, zdejmuje, ilu może, a potem będzie nas osłaniał. My okrążymy ich i urządzimy im piekło na ziemi.

Broniek odchrząknął i oparł głowę na rękach. Nie uszło to uwadze reszty, a Mikorski przerwał

wywód.

- Co mamy? – spytał, wskazując palcem na dokumenty.
- Wieści z frontu. A raczej tego, co było kiedyś frontem.
- Mów – rzucił Chwieduszko i wyciągnął papierosa.
- Warszawa skapitulowała.

Nastała długa chwila ciszy, po czym Broniek powiedział:

- A my jesteśmy w ZSRR.
- Co takiego?! – Mikorski spytał wzburzonym głosem.
- Rzesza i ZSRR podpisały układ graniczny. Meldunek nie mówi o dokładnym przebiegu granicy, ale oddziały niemieckie mają wycofać się między innymi z Leska.

– Do kiedy?

– Do dwudziestego ósmego września.

– Kurwa mać – skwitował Chwieduszko, a Kiljan, Kremmer i Broniek niemal w tym samym momencie opuścili głowy z rezygnacją. Transport Obelta z powrotem do piwnicznej celi miał nastąpić dwudziestego dziewiątego.

– Przykro mi, chłopcy – odezwał się ojciec Rufina.

– Moment – wtrącił Zaniewski, po czym kontynuował pewnym siebie głosem, choć nie żywił wielkiej nadziei na to, że Mikorski zaaprobuje cokolwiek, co nie zostało wcześniej drobiazgowo przygotowane. Ten człowiek był zbyt zorganizowany, by działać w wyniku impulsu. Nie bez powodu zresztą dorobił się rangi majora. Jednak Broniek uważał, że w walce partyzanckiej potrzebna jest nieprzewidywalność i innowacyjność.

– Uderzmy teraz. Te rozkazy i tak zaraz dotrą do żołnierzy w Lesku drogą radiową. Wątpię, by chcieli zostawić Obelta na pożarcie Sowietom, więc jeszcze dziś go przewiozą.

Ich oryginalny plan zakładał uderzenie, gdy hitlerowcy będą transportować więźnia ze szpitala do celi. Szpital połowy mieścił się w leskim zamku, który był zbyt dobrze chroniony przez zastępy Niemców. Natomiast gdyby chcieli dostać się do piwnicznej celi, musieliby przedrzeć się przez całe miasto, nie mówiąc o samym wejściu do kamienicy strzeżonej przez esesmanów. Jediną nadzieją był atak na transport.

– Raczej od razu wywiozą go z Leska. Razem z całym opuszczającym miasto garnizonem – ponuro powiedział Chwieduszko i zgasił papierosa. Podniósł się, w milczeniu stanął przy wyjściu z szopy i obrócił tyłem do towarzyszy.

– Uda się. Musi się udać – odparł Kiljan.

Nie wyglądało na to, że major podziela młodzieńczy optymizm szeregowego. Podeszedł do Chwieduszki i położył mu dłoń na plecach. Ten nie zareagował, a Mikorski odwrócił się do zebranych i powiedział:

– Nie będziemy działać pochopnie.

– Panie majorze, nadal mamy szansę, musimy tylko zmienić nieco nasz plan.

– Wiem, sierżancie.

Broniek popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– Co nie zmienia faktu, że co nagle, to po diable. Dziś w nocy skontaktuję się z Rufinem. Jeśli będzie miał informacje, dzięki którym będziemy mogli przeprowadzić akcję, to ją

przeprowadzimy.

Większość zebranych pokiwała głowami, a chorąży obrócił się w stronę wnętrza szopy, wyciągając kolejnego papierosa. Żałował, że poprzedniego zgasił, nie dopaliwszy do końca.

– Bądźcie w gotowości do wymarszu, kiedy wzejdzie słońce. Tylko bez samowolki, czekajcie na moje rozkazy – mówiąc to, Mikorski popatrzył na Bronka i Chwieduszkę.

Dowódca GOR-u spędził kilka godzin, ślęcząc przy ustawionej na stole radiostacji. Zasnął około drugiej w nocy, z głową na blacie. Obudził go przeraźliwy pisk, dobywający się z głośnika znajdującego się tuż obok jego ucha. Podskoczył, jakby usłyszał odgłos spadającej wprost na niego bomby. Po fali trzasków rozległ się cichy głos Rufina, podającego swój pseudonim i hasło. Mikorski spojrział na zegarek, była trzecia dwadzieścia cztery w nocy.

– Z tej strony Rogacz, masz jakieś informacje? – spytał zachrypniętym głosem.

– Tak. Niemcy szykują się do wymarszu. Jutro opuszczą miasto.

– Co z kapitanem?

– Dalej w szpitalu. Chyba wywiozą go stamtąd prosto na zachód, razem z garnizonem.

– Nie wiesz kiedy?

– Rano – głos Rufina stał się ledwo słyszalnym szeptem.

– A dokładniej?

– Wojska zaczynają wymarsz o ósmej. Muszę ko...

Transmisja się urwała. Nie było w tym niczego dziwnego, bywało już, że Rufin ucinął połączenie, kiedy ktoś zbliżał się do miejsca, z którego nadawał. Major poklepał dłonią odbiornik, po czym udał się do domu, w którym mieszkał ojciec chłopaka. Wyrwał go ze snu i zrelacjonował przebieg rozmowy.

– Mogłeś z tym poczekać do rana, Sergiusz – skonstatował mężczyzna, spoglądając na zegarek.

– Wiem, ale mam jeszcze jedną sprawę. Potrzebuję futerału na wiolonczelę.

– Hę?

– Taki instrument smyczkowy.

– Wiem, co to jest wiolonczela. Ale do czego ci to potrzebne?

– Dla Zaniewskiego. Musi mieć w czym schować karabin, jeśli akcja ma się udać.

– W życiu nie widziałem we wsi wiolonczeli, tym bardziej futerału.

Mikorski postanowił, że zastanowi się nad tym z samego rana. Będąc świadomym, że dowódca – czyli on sam – musi być wyspany, wstał ociężale z krzesła i opuścił dom. Jednak kiedy położył się na swoim barłogu, który tylko pozornie przypominał prawdziwe łóżko, naszło go olśnienie. Czym prędzej wrócił do ojca Rufina i po raz drugi wyrwał go ze snu.

– Sergiusz... To już przesada.

– Ubieraj się, mamy kupę roboty, a czasu mało.

LESKO, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

Wanda Blumental spędzała wieczór na papierkowej robocie. Przed wojną nie znosiła załatwiania formalności związanych z pracą lekarza. Wolała pomagać ludziom, zamiast wypełniać kolejne karty chorób. Teraz jednak wszystko, co dawało jej chwilę wytchnienia od nieustannego patrzenia na cierpienia, które były wynikiem okrucieństwa hitlerowców, traktowała z ulgą.

Od kiedy Niemcy zagościli w Lesku, w niewiele dni zanotowała więcej zgonów niż podczas swojej kilkuletniej pracy w szpitalu.

Kapitan Obelt wprawdzie żył, ale i tak był skazany. Wanda żywiła dla niego podziw za to, jak trzyma się psychicznie. Kiedy zawitała do niego wczoraj, poprosił ją o jabłko. Kiedy przyniosła owoc, zebrał wszystkie siły, jakie miał i rzucił nim w stojącą naprzeciwko łóżka fotografię Blankenburga. Szybka roztrzaskała się z hukiem o kamienną podłogę, a na twarzy Obelta zagościł szeroki uśmiech.

Wróciła do papierkowej roboty, ale po chwili stwierdziła, że pójdzie sprawdzić stan oficera.

– Witam, panie kapitanie, jak się dziś czujemy? – zapytała, kiedy weszła do sali.

– Skrępowany, jak zawsze w pani obecności – odpowiedział, patrząc na pasy opinającego jego ciało.

Próbowała protestować, kiedy Klaas przywiązywał go do łóżka. Mówiła, że w tym stanie i tak nie zdoła uciec, a poza tym zamek jest pilnie strzeżony. Młody esesman nie zwrócił na jej słowa najmniejszej uwagi.

– Niech pan da spokój – odparła z uśmiechem i odwróciła się.

– Jutro mnie przenoszą?

– Wszystko na to wskazuje. Ale zamierzam panu pomóc.

– Nie, niech się pani nie naraża. Oboje wiemy, do czego zdolny jest ten człowiek.

– Diabeł – poprawiła go Wanda.

– Owszem.

– Nie ja ryzykuję, tylko pan.

Obelt przez dłuższą chwilę się zastanawiał, po czym zapytał:

– Jaki ma pani plan?

– Przyjdą tutaj za paręnaście minut.

– Skąd pani wie?

– To nieistotne. Wywołamy u pana wymioty i gorączkę.

– Świetnie, tego właśnie mi trzeba.

– Proszę nie żartować.

– Dobrze. Ale jak? Wstrzyknie mi coś pani?

– Nic z tych rzeczy. Proszę to wypić.

Lekarka podała mu duży ceramiczny dzbanek z cieczą o nieciekawej konsystencji i zapachu. Skrzywił się.

– Co pani w tym rozpuściła?

– Nic niezwykłego. To mleko i olej – odparła z uśmiechem.

Tak jak zapowiadała, po upływie kilkunastu minut zjawił się Johann Blankenburg

w towarzystwie Klaasa i Rufina. Kiedy stali w progu, kapitan przywitał ich serią wymiotów.

Obersturmführer popatrzył najpierw na niego, potem na lekarkę. Skrzywił się i wszedł do sali.

– Tęskniłeś, skurwielu? – spytał ostrym tonem, a jego oczy zapłonęły wściekłością. Podeszedł szybkim krokiem do Obelta i niespodziewanie zaczął okładać go pięściami po twarzy. Wanda rzuciła się z pomocą pacjentowi, próbując powstrzymać Blankenburga. Zatrzymał ją Klaas, łapiąc w tali. Jego uścisk był tak mocny, że nie mogła się wyswobodzić. Musiała patrzeć na atak szaleństwa esesmana.

Okładał Obelta raz z prawej, raz z lewej strony. Wykrzykiwał przy tym obraźliwe słowa, rozkazując je Rufinowi przekładać.

– „Oto Bóg jest moim zbawieniem, zaufam i nie będę się lękał! Bo Bóg jest moją siłą i pieśnią i stał się moim zbawieniem!^[3]”

Niemcy nie mogli się zorientować, że Rufin odmawia żydowską modlitwę.

– Proszę wytrzymać, GOR jest w drodze – zakończył Rufin, kiedy Blankenburg wreszcie przestał bić i wycierał o prześcieradło ręce pobrudzone krwią zarówno jeńca, jak i własną z rozbitych kostek dłoni.

Klaas puścił Wandę, a ta z rozpaczą popatrzyła na Obelta. Miał zmasakrowaną twarz. Jego nos był połamany, lały się z niego strumienie krwi. Rozcięć na policzkach, brodzie i czole lekarka nie mogła zliczyć.

Rzuciła się po gazy i bandażę, ale Blankenburg zatrzymał ją ruchem ręki.

– Słuchaj mnie uważnie – powiedział do Obelta, a Rufinowi nakazał tłumaczyć. Tym razem chłopak posłuchał.

– Nie wracasz do celi, to dobra wiadomość. Zła jest taka, że musimy oddać trochę waszych parszywych ziem Sowietom, więc jutro wycofujemy się z tej dziury.

Kapitan patrzył na niego jednym okiem. Drugiego nie mógł otworzyć.

– To oznacza, że spędzisz ze mną teraz ostatnią godzinę swojego życia.

Wanda zauważyła, że pacjent stara się odwrócić głowę od oprawcy, coś jednak powodowało tak dotkliwy ból, że nie mógł wykonać żadnego ruchu.

– Chyba że powiesz mi wszystko, co chcę wiedzieć.

– Powiem – odparł cicho i powoli Obelt.

– Dobrze, wreszcie doszliśmy do porozumienia.

Oficer SD wyprostował się i odszedł kawałek. Kiwnął na lekarkę, by opatrzyła przeszukiwanego. Kiedy go mijala, złapał ją i przyciągnął do siebie, po czym szepnął do ucha:

– Przyjdź do mnie wieczorem. Zaprosiłem znajomego, spodoba ci się.

Wzdrygnęła się i usiadła na łóżku Obelta, delikatnie obmywając jego rany.

– No, nazwiska – donośnie powiedział Blankenburg.

– Alexander Klaas – odparł zachrypniętym głosem Polak.

Obersturmführer popatrzył na podkomendnego. Ten wzruszył ramionami.

– Alex, daj mi tu moją zabawkę.

– Tak jest – odparł młody oficer i wyciągnął z torby narzędzie przypominające jednoręczny sekator.

Blankenburg podniósł nogę Obelta i spojrział prosto w jego jedyne otwarte oko. Włożył duży palec prawej nogi między ostrza i ścisnął.

Oficer zawył z bólu, nie będąc już w stanie kontrolować swoich odruchów. Czuł, że Blankenburg wygrał. Młody plutonowy szybko doskoczył do lekarki i po raz kolejny ją unieruchomił.

– Błagam, zostawcie go... – zaczęła łamiącym się głosem, ale Klaas skutecznie zamknął jej usta dłonią.

– Nazwiska – powtórzył esesman i wsadził drugi palec Polaka między ostrza.

Obelt wymamrotał coś pod nosem. Rufin oznajmił, że nie usłyszał ani jednego słowa. Dotychczas otwarte oko jeńca zamknęło się. Wciąż coś mówił, ale był to tylko bełkotliwy szept.

Obersturmführer złapał młodego Żyda za głowę i wcisnął ją w poduszkę Obelta.

– Słuchaj. Uważniej – rozkazał zdenerwowany.

Rufin podniósł się i popatrzył na Blankenburga, gdy ten coraz bardziej zirytowany spytał:

– No? Co powiedział?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Mów, Żydzie.

– Hauptmann Obelt, *Zweite Gebirgs Brigade* – odparł Rufin niepewnym głosem. Przeszło mu przez myśl, by coś zmyślić, postanowił jednak, z szacunku dla więźnia, przetłumaczyć to, co w rzeczywistości powiedział.

Wanda zauważyła, że jej pacjent lekko uniósł lewy kącik ust. „Uśmiechasz się, ty wariacie” – pomyślała, podczas gdy oficer SS zagotował się ze złości. Cisnął sekatorem pod nogi Klaasa i zdecydowanym krokiem opuścił salę. Jego podkomendny puścił lekarkę, podniósł narzędzie i powiedział:

– Pogratuluj mu, Żydzie. Nikt przed nim nie oparł się Blankenburgowi.

Potem dodał, patrząc na Wandę:

– Przygotuj go do transportu. Jutro pojedzie do oflagu.

RAWITSCH, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

Marvin Rodemeyer siedział w jednej z restauracji na rynku, choć najchętniej poszedłby spać, bo kac męczył go niemiłosiernie. Zamówił rosół, by dojść do siebie po wczorajszej libacji, a potem dwie filiżanki kawy, żeby doprowadzić umysł do stanu używalności.

Już nad ranem, gdy zaczął trzeźwieć, wiedział, że jego przyjaciel nie potraktuje łaskawie jego wybryku. Po pijaku znokautował dwóch żołnierzy, dopiero trzeci wygrał z nim walkę na pięści.

Przyznał w duchu, że mógł zachować się inaczej, jednak alkohol zrobił swoje. Zupełnie po ludzku, nie wytrzymał, musiał stanąć w obronie godności swojego dowódcy i przyjaciela.

Bezpośredni podkomendni Heinlego szydzili z kapitana Leitnera i jego niewiedzy odnośnie machinacji, jakiej dopuścił się Heinle, który ujął w Rawitschu rzekomych podpalaczy. Padło wiele obraźliwych słów pod adresem Christiana, więc przy którejś z rzędu obeldze Rodemeyer wstał i postanowił zareagować.

„Nikt nie będzie opluwał tego człowieka za jego plecami” – pomyślał, a wszystko, co zdarzyło

się potem, było już niewyraźnym i trochę nierealnym wspomnieniem.

Teraz skonstatował, że podczas gdy on obijał mordy bezmyślnych żołnierzy, Heinle zapewne był mordowany.

Kiedy kończył jeść, nagle zamarł. Łyżka wpadła do zupy, rozchlapując ją na obrus i mundur. Oficer otworzył szeroko oczy i siedział chwilę bez ruchu, po czym uderzył się otwartą dłonią w czoło. W jego umyśle zarysowała się twarz fotografa z „Neue Stimme”, tyle że nie „na żywo”, a nakreślona ołówkiem na lekko pożółkłej kartce papieru. Był młodszy niż teraz, ale takiej twarzy się nie zapomina. Jej widok może wywołać gęsią skórę.

Zanim spotkał fotografa na polskiej ziemi, widział jego oblicze jakiejś sześć, może siedem lat temu w Niemczech.

„Jak mogłem zapomnieć tę mordę. Fabio Wendt to cholerny Torsten Blankenburg” – pomyślał, łapiąc się za głowę.

Zerwał się na równe nogi, przewracając talerz z zupą. Rzucił na stół banknot. Nie wiedział nawet, jakiego nominału.

Puścił się pędem w kierunku ratusza, a gdy dotarł pod wejście główne, chciało mu się wymiotować. Czuł w ustach wypity zeszłej nocy alkohol, więc obiecał sobie, że nigdy więcej nie doprowadzi się do takiego stanu. Stłumił odruch wymiotny i już chciał otworzyć drzwi, kiedy strażnik stojący koło wejścia opuścił przed jego brzuchem karabin niczym szlaban.

– Ma pan zakaz wstępu, panie poruczniku.

– Co takiego? Zabierz broń.

– Przykro mi. Rozkaz hauptmanna Leitnera. Ma pan czekać na rozkazy, a do tego czasu nie pojawiać się w ratuszu.

– Posłuchaj mnie, szeregowy! To bardzo ważna sprawa. Dotyczy morderstwa Heinlego.

Maria wbijała wzrok w plecy Christiana, który bez słowa stał przy oknie, trzymając ręce skrzyżowane z tyłu ciała. Sprawiał wrażenie niewzruszonego rzymskiego posągu.

– Na co pan tak patrzy? – spytała.

– Lubię ten widok – odparł, a Maria wstała z krzesła i dołączyła do niego. Kiedy stanęła w ulubionym miejscu Leitnera, stwierdziła, że widok w najmniejszym stopniu nie jest imponujący. Ot, zwykły plac wokół ratusza.

– Rzeczywiście, ciekawy – powiedziała z udawanym entuzjazmem.

Hauptmann spojrzał na nią przelotnie, po czym z powrotem skierował wzrok za okno.

– Widzę stąd, co się dzieje w moim mieście – powiedział dziwnym tonem.

Kiwnęła głową i przysunęła się bliżej. Staszek nadal oglądał książki zgromadzone na szerokim regale.

Christian nagle odszedł i usiadł przy biurku. Maria nadal stała, obserwując rawicki rynek i miejsce, w którym Holzer pozbawił życia Heinlego. Uśmiechnęła się sama do siebie i wytarła plamę, która znajdowała się na szybie.

– *Gottwin, zigarette?* – zapytał Leitner.

Staszek odwrócił się w jego kierunku, uśmiechnął i kiwnął głową. Niemiecki oficer podniósł papierosnicę, a jego druga ręką powędrowała pod blat biurka, gdzie wcześniej ukrył pistolet.

Powoli zaczął wyciągać broń, jednocześnie przygotowując się do natychmiastowego obrotu w stronę stojącej za jego plecami Giny.

Zaniewski utkwiał martwy wzrok w papierośnicy i zorientował się, że właśnie popełnił największy błąd w swoim życiu. Zajął się książkami zgromadzonymi w biurze, część z nich była opublikowana w języku polskim, więc zapewne należała do poprzednich władz miasta. Kiedy się nad tym zastanawiał, Leitner go zaskoczył.

„Więc jednak słyszysz, Gottwinie” – pomyślał Christian, a w tym samym czasie Maria bez zastanowienia podniosła stojącą na parapecie szklankę popielniczkę i z impetem uderzyła w potylicę Niemca. Głowa oficera opadła na mahoniowe biurko, a bezwładna ręka pociągnęła za sobą wypadający ze skrytki pod blatem pistolet luger P08.

– Jasna cholera – powiedział Staszek.

– Ty durny, barani łbie!

Zaniewski podszedł do drzwi i nasłuchiwał jakiejkolwiek reakcji strażnika. Odetchnął, gdy niczego nie usłyszał.

– Oszalałeś? – kontynuowała Maria, wodząc zdenerwowanym wzrokiem po gabinecie Leitnera.

– Zagapiłem się – odparł skruszonym głosem i podszedł do znokautowanego żołnierza, po czym sprawdził mu puls.

– Żyje? – spytała.

– Tak. Zostawmy go i uciekajmy.

Usiadła na krześle przy biurku i złapała się za głowę. Była zdezorientowana. Staszek podniósł pistolet Leitnera i schował go sobie za pasek od spodni. Narzeczona popatrzyła na niego z jedną ręką wplecioną we włosy w geście zrezygnowania.

– I co z tym zrobisz? Jesteśmy tutaj, do cholery, spaleni.

– Trudno. Czasu nie cofniemy, musimy wiać.

Zaniewski stwierdził, że trzeba unieruchomić hauptmanna na wypadek, gdyby za szybko się ocknął, więc zaczął przeszukiwać pokój. Udało mu się znaleźć paczkę nabojów do lugera, którą podał narzeczonej. Schowała ją do torebki. Staszekowi udało się odszukać trochę taśmy i niedługi kawałek sznurka.

Skępowali Leitnerowi ręce i przywiązali je do nogi biurka. Skulone ciało oficera wepchnęli pod blat, a taśmą zakleili mu usta i owinęli nogi w kostkach.

– Co z nim będzie? – spytała Maria.

– Przeżyje. Czego nie można z całą pewnością powiedzieć o nas.

Zabrali jeszcze kilka paczek papierosów, trochę papieru, mały nożyk do jego cięcia oraz wojskowy sztylet Christiana. Z kieszeni jego marynarki wyjęli całkiem dokładną mapę okolicy, która jako najdalej wysunięty na zachód punkt przedstawiała wieś Kammelwitz. Nie znaleźli niczego innego, co mogłoby im się w jakikolwiek sposób przydać.

– Wychodzimy spokojnie i powoli, strażnikowi mówimy, że kapitan nie życzy sobie, by mu przeszkadzano przez najbliższą godzinę – powiedział Staszek.

– Dobra – odparła Maria niepewnym głosem. Potrzebowała trochę czasu, by oswoić się z myślą, że w jednej chwili ich sytuacja zmieniła się diametralnie.

Marvin Rodemeyer nadal stał przed wejściem do ratusza i próbował przekonać żołnierza, by ten wpuścił go do środka.

- Daję ci wyraźny rozkaz: zabierz mi sprzed nosa ten karabin!
- Przykro mi, poruczniku.
- To jest sprawa życia lub śmierci, do cholery.

Strażnik pokręcił głową. Przyjaciel Leitnera usiadł na schodach i zaczął myśleć o tym czy Gina i Gottwin wiedzą, z kim podróżują. W zasadzie wszystko na to wskazywało, gdyż cała trójka figurowała w dokumencie potwierdzającym ich tożsamość i pozwalającym na przebywanie na tych terenach, a wystawionym przez ministerstwo. Zapewne więc pracowali z nim już jakiś czas, nie byli grupą reporterów skrzykniętych do jednego zadania. Jeśli więc znali go chociaż kilka lat, musieli znać też jego prawdziwą tożsamość.

Marvin omiótł wzrokiem rynek w absurdalnej nadziei, że gdzieś się pojawią. „Gdybym tylko o tym wiedział, kiedy mijalem was na schodach” – pomyślał z żalem. Zastanowił się, czy nadal są w ratuszu, ale szybko doszedł do wniosku, że nie spędziliby tam aż tyle czasu. Jakkolwiek sprawę jego przełożony chciał z nimi załatwić, zapewne zrobił to błyskawicznie, jak przystało na przykładnego oficera.

Podporucznik zamierzał zatrzymać dwójkę dziennikarzy i doprowadzić przed oblicze Christiana, a potem zrelacjonować to, co udało mu się przypomnieć. Wstał i zważym krokiem skierował się do kamienicy, w której Leitner zakwaterował reporterów.

Nadal było mu niedobrze, ale teraz myślał tylko o Torstnie Blankenburgu i jego towarzyszach.

Staszewi i Marii udało się bez problemów opuścić biuro hauptmanna i piętro, na którym się znajdowało. Nie wzbudzili żadnych podejrzeń, gdyż żaden z kręcących się po ratuszu żołnierzy nie widział powodu, by podejrzewać tych dwoje o jakiegokolwiek złe zamiary.

Zeszli na parter i udali się do tylnego wyjścia.

Gdy wyszli na rynek, Maria popatrzyła na okno ratusza, w którym jeszcze przed chwilą stała z Leitnerem. „Żegnaj. Dziękuję za wszystko”.

Staszek pochwycił jej wodzący w oddali wzrok i zapytał z dezaprobatą w głosie:

- Co jest?
- Zastanawiam się, czy zdążylibyśmy jeszcze wrócić do domu po nasze rzeczy.
- To chyba nie jest najlepszy pomysł.
- W zasadzie jeszcze jesteście czyści, moglibyśmy zabrać trochę zapasów.
- Leitner się ocknie i będzie po zawodach. Nie ma mowy.

Kiwnęła głową. Szybko uzmysłowiła sobie, że musi być w szoku, skoro była gotowa podjąć przesadne ryzyko, wracając do ich mieszkania. Na szczęście Staszek zachował zimną krew.

Wymknęli się z miasta i skierowali w stronę wsi Stanisławowo, którą Niemcy przechrzcili na Stanweld.

OKOLICE LESKA, KONIEC WRZEŚNIA 1939 ROKU

Bronek poprawił na głowie brązowy, miękki kapelusz filcowy. Wprawdzie nie widział się w lustrze, ale stwierdził, że w beżowej marynarce i ciemnobrązowych spodniach prezentuje się jak jeden z porządniejszych mieszkańców Leska. Dodatkowo otrzymał atrybut dystyngowanego mężczyzny – gustowną, drewnianą laskę.

Musiał przedostać się bocznymi uliczkami ku zamkowi, gdzie przetrzymywano Obelta. Reszta oddziału miała ulokować się na zboczach skarpy pod zamkiem. Kiedy Zaniewski go ujrzał, stwierdził, że nazywanie tego budynku zamkiem było trochę na wyrost. Nie przypominał wielkich średniowiecznych budowli. Posiadał tylko jedną cylindryczną basztę, na której ulokowało się trzech niemieckich żołnierzy. Bronek postanowił sprawdzić za pomocą lunety ich wyposażenie, kiedy tylko zajmie dogodną pozycję.

Na zewnątrz murów obwodowych zamek był wyposażony w naturalną fosę w postaci spokojnie toczącego swe nurty Sanu.

Zadanie gwardzistom ułatwiał fakt, że wokół budowli znajdował się park gęsto pokryty roślinnością. Sama natura dostarczała im idealnych kryjówek.

Kiedy udało mu się przejść przez miasto bez wzbudzania niczyich podejrzeń, zajął miejsce w parku, w skupisku drzew niedaleko zamku i rzeki. Na wprost siebie widział basztę i kręcących się po niej żołnierzy. Dopiero wtedy zorientował się, że nie wybrał najlepszej pozycji, bo wieża zasłaniała mu widok na główną bramę, przez którą miały wyjeżdżać ciężarówki z żołnierzami i sprzętem. Pokręcił się po parku, ale nie znalazł lepszego miejsca i wrócił do kępy drzew.

Zdawał też sobie sprawę, że nie był najlepiej ubrany, jak na tego typu akcję. Jednak, jak i pozostali gwardziści, musiał wyglądać na cywila, gdyż w mundurze GOR-u ani maskującym odzieniu nie zdołałby niezauważenie przejść przez miasto. A przejść musiał, bo pod zamek nie można było dotrzeć z drugiej strony, chronionej przez rzekę. Mikorski wraz z ojcem Rufina skonstruowali dla niego tekturowy walec, pusty w środku. Kiedy wsadził do niego nogę, upchnęli tam karabin lufą w dół, zaś kolbę schowali pod jego koszulą i marynarką. Z uwagi na to otrzymał dodatkowy atrybut dżentelmena – laseczkę – i polecenie, by nie zapomniał o kuśtykaniu. Udając kalekę w szerokich spodniach, czuł się jak dystyngowany mieszczanin. Choć miał obawy, czy ten fortel się powiedzie, udało mu się spokojnie dotrzeć do celu.

Westchnął i starał się przykryć liśćmi, ale nie było ich wiele, więc jego zabiegi przyniosły mizerny efekt. Jedyнным pozytywem było to, że kępa drzew znajdowała się w miejscu, którego – jak Bronek zaobserwował – nikt nie chodził.

Z ulgą odwinął tekturę i wyciągnął karabin wraz z lunetą, ale zanim ją przytwierdził, rozejrzał się przez nią po okolicy. Najpierw skierował wzrok na żołnierzy w baszcie. Wraz z Mikorskim obawiali się, że strażnicy ci będą wyposażeni w pistolety maszynowe. Niestety, byli. Bronek stwierdził, że mają dwa MP28 z charakterystyczną krótką lufą i magazynkiem mocowanym po lewej stronie.

Przeczesał wzrokiem okolice zamku i kawałek murów. Niemcy najwyraźniej nie spodziewali się żadnego zagrożenia, nie mieli też ku temu żadnych powodów. Tylko szalenie porwałby się na zaatakowanie tak licznej grupy. Żołnierze niespiesznie ładowali się na paki ciężarówek, ochrona transportów była minimalna. Bronek stwierdził, że przy wyjeździe z miasta zapewne czekają posiłki, które uformują odpowiednio zabezpieczony konwój.

Ze smutkiem pojął, że Niemcy czują się już w Polsce jak u siebie.

Umocował lunetę na karabinie i potarł jego lufę na szczęście. Dwóch żołnierzy z wieży stało się teraz dla Bronka całym światem. Skupił na nich całą uwagę i obserwował każdy, najmniejszy nawet, ruch. Wydawali się znudzeni i chyba tylko czekali na rozkaz wymarszu, by móc opuścić posterunek.

Chwieduszko z Kiljanem i Kremmerem przechadzali się wokół zamku. Obaj żołnierze nosili długie płaszcze, pod którymi chowali karabiny, natomiast stary ziemianin nie musiał zmieniać garderoby, i tak nie wyglądał podejrzanie. Nikt o zdrowych zmysłach nie wzięby go za dywersanta.

Mieszkańcy miasta, zajęci własnymi sprawami, nie zwracali na nich uwagi. A oni nie odzywali się do siebie, by nie przyciągać uwagi językiem polskim.

Popatrzyli na główne wyjście z zamku, od którego byli oddaleni o kilkadziesiąt metrów. Major Mikorski zajął pozycję naprzeciwko ukrytego w parku Bronka. Miał stamtąd wypatrywać Rufina, który odpowiednim gestem wskaże pojazd, w którym przewożony będzie Obelt.

Znakiem do rozpoczęcia akcji miała być raca świetlna wystrzelona z pistoletu sygnałowego dowódcy GOR-u. Major stwierdził, że będzie widzialna dla wszystkich zaczajonych partyzantów, dodatkowo odwróci uwagę Niemców w jego stronę. Tymczasem Zaniewski wystrzela tych, którzy będą stanowić największe zagrożenie.

Zdawali sobie sprawę, że w tej akcji tylko początkowo pozostaną ukryci, potem będą musieli podjąć otwartą walkę.

Po upływie godziny Bronk zeszywniał. Zamrugał kilkakrotnie oczami, po czym mocno je zamknął na kilka sekund i szeroko otworzył. Nieznacznie pokręcił barkiem. Starał się nie wykonywać żadnych innych ruchów, by nie zwracać na siebie uwagi kogoś, kto przypadkowo popatrzy w tę stronę. Po raz kolejny przeczyścił lufę karabinu z wilgoci. Wystrzelenie pocisku z mokrej lufy spowodowałoby powstanie obłoczku pary, a to byłoby jak oświadczenie Niemcom: „Hej, tutaj jestem”.

Właśnie ponownie przykładał oko do lunety, kiedy usłyszał świst i zobaczył wystrzeloną w powietrze racę. Natychmiast skupił się, wziął na celownik głowę pierwszego z żołnierzy, który odwrócił się, by zobaczyć, co wywołało hałas. Oddał strzał. Ciało niemieckiego strażnika spadło z wartowni. Bronk szybko przeniósł wzrok na drugiego, który nie zdążył się całkiem odwrócić, gdy padł kolejny strzał. Tym razem niecelny.

Żołnierz schował się za ścianą baszty, a Zaniewski zaklął pod nosem. Wziął na celownik trzeciego wartownika i bez namysłu strzelił. Żołnierz runął na posadzkę wieży obserwacyjnej.

Przez kolejną minutę próbował wypatryć strażnika, do którego wcześniej chybił, ale ten najwyraźniej nie miał najmniejszego zamiaru się wychylać.

Bronk wiedział, że musi załatwić go jak najprędzej, by przenieść uwagę na to, co będzie się działo przy głównej bramie.

Większość ciężarówek ze sprzętem i żołnierzami zniknęła już wśród zabudowań miasta. Wtedy Rufin wskazał przekraczający bramę samochód opel blitz, który przejeżdżał jako ostatni. „Idealnie” – pomyślał major Sergiusz Mikorski, po czym odrzucił pistolet sygnałowy i wraz z wyskakującymi z kryjówek żołnierzami puścił się pędem w stronę zamku.

Chwieduszko i Kiljan przyspieszyli kroku, udając się do zamku, a Kremmer pozostał kawałek

z tyłu, choć zmierzał w tym samym kierunku. Wyglądali na zaniepokojonych Ukraińców, którzy zmierzają w stronę oddziału niemieckiego, by dowiedzieć się, co się dzieje. A przynajmniej mieli nadzieję, iż takie wrażenie sprawiają. Dwójka żołnierzy zaczęła rozpinać płaszcze. Zbliżyli się do drogi, którą za moment będzie przejeżdżał opel blitz. Kremmer uchwycił granat, który ciążył mu w kieszeni jak potężne kowadło.

Wśród nielicznych Niemców, którzy pozostali jeszcze na zamku, zapanowało poruszenie, spowodowane wystrzeloną racą oraz dźwiękiem trzech strzałów. Żaden z nich jednak nie zauważył do tej pory ciała, które spadło z baszty.

Bronek tymczasem wreszcie dostał swoją szansę. Wartownik na wieży nieznacznie wychylił głowę, próbując wypatrzeć człowieka, który próbował go zabić. Szczęśliwie dla żołnierzy GOR-u – i z przyczyn znanych tylko sobie – jeszcze nie podniósł alarmu.

Zaniewski widział w celowniku tylko fragment jego hełmu, ale to mu wystarczyło. Pocisk przeszył powietrze i celnie uderzył w ciało. Głowa ostatniego wartownika zwiślała teraz z murka galeryjki baszty, jakby patrzył w dół. Bronek natychmiast przeniósł spojrzenie na bramę i stwierdził, że wyjechał z niej samochód, który najwyraźniej miał być ich celem.

Niemcy musieli odkryć na dziedzińcu ciało wartownika, który spadł z wieży, gdyż rozległy się krzyki alarmowe. Zaraz potem Bronek zauważył żołnierza, który biegł do baszty, zapewne by sprawdzić, co tam się stało.

Polski snajper wycelował w jego tors, ale źle ocenił szybkość ruchu Niemca. Na szczęście kula nie minęła człowieka, tyle że zamiast w pierś, trafiła w szyję. Trysnęła fontanna krwi. „Mam więcej szczęścia niż umiejętności” – pomyślał Zaniewski. Na efekt jego ostatniego strzału zwrócili uwagę wszyscy żołnierze znajdujący się w zamku. Od razu otworzyli ogień w stronę niewidocznego zabójcy, ale strzelali na ślepo, więc kule mijały go w bezpiecznej odległości.

Starając się zignorować świst pocisków, zlokalizował Chwieduszkę i Kiljana, po czym ocenił, że w ich stronę nie zmierzają żadni wrogowie, których mógłby wyeliminować.

Oni zaś podbiegli do samochodu i otworzywszy energicznie drzwi po obu stronach, szybko zajęli się dwoma konwojentami. Użyli noży zamiast broni palnej, więc nie zwrócili na siebie uwagi reszty Niemców, zajętych rozglądaniem się za snajperem. Bronek na powrót przeniósł spojrzenie na żołnierzy w zamku. Zanim zauważyli przejęcie samochodu, posypał się na nich grad kul z karabinów oddziału Mikorskiego. Zaniewski przyłączył się do ostrzału, wybierając cele na chybił trafił.

„Dwa kolejne Szwaby do piachu” – skostatował radośnie w myśli.

Wtedy zauważył, że w stronę Chwieduszki i Kiljana mkną dwa motocykle – zapewne obstawa ciężarówka. Zanim zdążył wymierzyć, pomiędzy pojazdami wybuchł granat ciśnięty przez Kremmera. Bronek uniósł brwi ze zdziwienia, ale zaraz się uśmiechnął, dumny z wyczynu starego ziemianina.

Zasypywani kulami Niemcy, gdy dodatkowo usłyszeli wybuch, całkowicie stracili orientację. Otworzyli ogień we wszystkich kierunkach, część zaczęła strzelać także do opanowanego przez Polaków blitz. Wprawdzie Chwieduszko zdążył już odjechać dosyć daleko, ale Zaniewski obawiał się, że jakaś kula może trafić Obelta, który znajdował się na pace.

Zauważył, że oddział majora Mikorskiego powoli się wycofuje, zapewnił im więc ogień osłonowy, celując do tych Niemców, którzy przejawiali największą chęć do walki.

Opel blitz skręcił w jedną z bocznych dróg i znikł z pola widzenia Bronka. Ten szybko

otrzepał się z liści i pobiegł najszybciej jak umiał w stronę umówionego punktu, gdzie mieli się spotkać. Nie mógł dłużej czekać, gdyż okreśną drogą, po skarpie, w jego stronę kierowało się kilkunastu żołnierzy.

Cały czas miał nadzieję, że uda mu się namierzyć Blankenburga, niestety, nigdzie nie dostrzegł jego charakterystycznego munduru. Zaniewskiemu wpadło nawet do głowy, że esesman może znajdować się z Obeltem na pace opla. A to byłby znaczny problem.

Żołnierze Gwardii Obrony Rzeczypospolitej spotkali się w wyznaczonym miejscu między Ustrzykami Dolnymi a rzeką San, w samym środku wielkiego bezludzia.

Zanim Chwieduszko zatrzymał samochód, Kiljan wyskoczył z szoferki i podbiegł do paki. Broniek widział ich dobrze ze swego punktu obserwacyjnego. Wprawdzie szedł na piechotę, ale miał dużo krótszą trasę, więc zjawiał się na miejscu znacznie wcześniej i teraz przepatrywał teren, by upewnić się, że za samochodem i dochodzącymi grupami gwardzistów nie idzie pościg. Zebrani partyzanci obstąpili ciężarówkę. Chwieduszko opuścił fotel kierowcy, wraz z Kiljanem stanęli po obu stronach paki i odciągnęli zasłonę.

Mikorski stał na wprost niej i gdy tylko ukazało się jej wnętrze, padł strzał. Major runął na ziemię z dziurą w piersi. Zanim ktokolwiek ze zgromadzonych zdążył zareagować, rozległ się drugi strzał. Spod plandeki dobiegł odgłos upadającego ciała. Broniek pogratulował sobie w duchu refleksu i celności. Wstał ze stanowiska i ruszył w stronę opla z nadzieją, że jego ofiarą był sam Blankenburg.

Major żył, choć ledwo oddychał. Desperacko starał się złapać oddech. Pochylił się nad nim jeden z gwardzistów, a dowódca spytał ledwo słyszalnym głosem:

– Odbiliśmy go?

– Tak jest, panie majorze.

Mikorski lekko się uśmiechnął, po czym zastygł w bezruchu. Kiedy Broniek dołączył do reszty oddziału, ojciec Rufina właśnie zamykał majorowi oczy. Wszyscy milczeli.

Warszawiak przeżegnał się, podszedł do ciężarówki i zajrzał do środka. Kiljan popatrzył na niego wymownie. Po chwili odezwał się Kremmer:

– Jak? Jak to możliwe, drodzy panowie?

– Rufin musiał pomylić samochody – odparł Zaniewski. Jako jedyny z nich sprawiał wrażenie człowieka, któremu pozostała jeszcze jakakolwiek chęć życia.

Mimo to czuł, że z otchłani, w której się znalazł, nie ma już ucieczki. Choćby poruszał się z prędkością światła.

Ciąg dalszy w tomie drugim



Wszystkie opisane przeze mnie miejsca istniały naprawdę, z wyjątkiem słowackiej wsi Ražňam, która zrodziła się w mojej głowie na potrzeby książki. Przedstawione postacie są fikcyjne, choć jednocześnie ich losy zostały zainspirowane przeżyciami wielu różnych osób realnie żyjących.

W Rawiczu rzeczywiście miało miejsce przejęcie władzy przez Niemców już pierwszego września, po czym ustanowiono nowego burmistrza. Po walce mieszkańcom udało się przepędzić wrogie siły z miasta, ale Wehrmacht wrócił do niego piątego września – podobnie miało to miejsce w książce, kiedy Leitner zorganizował kontratak. Potem rawickie więzienie stało się miejscem kaźni dla wielu Wielkopolan.

Wieś Beniowa po wojnie została przecięta granicą polsko-radziecką, a dziś istnieje tylko jej część po stronie ukraińskiej. We wrześniu 1939 roku faktycznie stał tam dwór, choć należał do Hipolita Frommera, nie zaś Osmunda Kremmera.

Batalion Obrony Narodowej „Złoczów”, którym w powieści dowodził major Mikorski, prawdopodobnie został powołany w początkowym okresie wojny, choć brak jest danych na temat jego liczebności, składu czy udziału w walkach na froncie. Nie figurował w planach mobilizacyjnych. Gwardia Obrony Rzeczypospolitej, powołana przez Mikorskiego, w rzeczywistości istnieje jedynie w świecie *Parabellum* – choć wiele podobnych organizacji powstawało *ad hoc* w pierwszych dniach września. Konsolidowały się z czasem, tworząc zorganizowany ruch oporu, ale początkowo każda z nich działała na własną rękę.

Co do terminów używanych w książce, starałem się unikać anachronizmów, a w niektórych przypadkach współcześniać pewne pojęcia, by forma przekazu nie przeszkadzała w odbiorze opowieści. I tak żołnierze często zwracają się do siebie w liczbie mnogiej (na przykład: „wyczyśćcie latryny z gówna, sierżancie”), co w armii II RP nie miało miejsca i jest komunistyczną naleciałością. Określenie „szeregowego” również pojawiło się później, a wówczas stopień istniał pod pojęciem „szeregowca” – z uwagi jednak na to, że dziś

szeregowiec bardziej kojarzy się z rodzajem domu, uznałem, że lepiej użyć terminu aktualniejszego.

Dziwić może stopień wojskowy Chwieduszki, kiedy „Kompania Bełtowa” stacjonowała w Baranowiczach, to jest aspiranta – wtedy jednak ranga ta była pośrednią pomiędzy starszym sierżantem a chorążym. Sam stopień chorążego zaś pojawiał się i znikał w międzywojennej Polsce, jednak wedle źródeł, do których udało mi się dotrzeć^[4], był ponownie nadawany od 1934 roku (choć wchodził wtedy już w skład korpusu podoficerskiego).

Wielokrotnie pojawia się termin „Wehrmacht” w odniesieniu do wojsk lądowych – jest to pewne uproszczenie, bo termin ten oznacza ogół sił zbrojnych i zawiera w sobie pojęcia Heer (wojsk lądowych właśnie), Kriegsmarine (marynarki wojennej) oraz Luftwaffe (lotnictwa).

Wyczerpujące wymieniienie źródeł, z których korzystałem, jest niemożliwe, czuję się jednak w obowiązku, by przywołać chociaż te najbardziej istotne. Nieocenioną pomoc stanowiło opracowanie Normana Daviesa, traktujące o losach naszego kraju^[5] – dobrze spojrzeć nań z zagranicznej perspektywy, szczególnie jeśli wcześniej naczytaliśmy się o tamtych wydarzeniach z punktu widzenia Polaków.

W wojenny klimat skutecznie wprowadzał mnie żołnierz, wprawdzie radziecki, ale umiejętnie przekazujący pewne uniwersalne kwestie związane z wojenną zawieruchą. Stąd też istotną pozycją pod względem inspiracji były wspomnienia Borisa Gorbaczewskiego^[6]. Najwięcej zawdzięczam jednak wszystkim tym autorom polskim, którzy spisywali dla nas swoje przeżycia, byśmy byli świadomi okrucieństw – a z drugiej strony aktów bohaterstwa – które miały miejsce w zupełnie innym, odległym dziś dla nas świecie. Nie sposób wspomnieć o wszystkich, ale z pewnością gdyby nie autorzy tacy jak Stanisław Grzesiuk, Marek Edelman, Tadeusz Borowski, Karolina Lanckorońska czy Bolesław Gleichgewicht, ta książka nigdy by nie powstała – i jak przypuszczam, także wiele innych.

Nadspodziewanie pomocna okazała się też pozycja z poprzedniej epoki o cudownym tytule *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej*^[7], wydana u schyłku PRL-u. Przedstawiona w niej perspektywa była... cóż, znacznie różniąca się od davisowskiej, ale mimo to znalazłem w niej sporo informacji.

Jeszcze więcej zaś udało mi się znaleźć w czeluściach Internetu, w szczególności dzięki uprzejmości Narodowego Archiwum Cyfrowego^[8], gdzie znaleźć można ogrom zdjęć z przedwojennej Warszawy (m.in. „Café Adria”), ale nie tylko – jest to prawdziwa kopalnia wiadomości historycznych.

Podobnie kompleksowe zbiory, choć w dziedzinie kartografii, udostępnione mi zostały przez Wojskowy Instytut Geograficzny^[9] – bez nich nie mógłbym opracować tras podróży bohaterów, a już z całą pewnością nie mógłbym stwierdzić, czy CWS Bronka jedzie po „kurzowej” drodze czy porządnej jezdni.

I w końcu wielkie podziękowania należą się wszystkim wolontariuszom, którzy codziennie poświęcają czas na dzielenie się zebranych materiałami w Internecie, zupełnie bezinteresownie. Przez szereg for, stron prywatnych aż do Wikipedii – która w temacie drugiej wojny światowej jest niezwykle bogata nie tylko w przydatne wiadomości, ale przede wszystkim – weryfikowalne źródła.

PODZIĘKOWANIA

A na koniec – najważniejsze.

Dziękuję Dagmarze Słotwińskiej za to, że zarwała noc podczas pierwszego czytania tej książki i tym samym dała mi znać, że jest co czytać.

Maciejowi Frankowskiemu, który uwierzył, że jest co wydawać.

I Arturowi Szrejterowi, któremu ta książka zawdzięcza więcej, niż jestem w stanie wyrazić. Był nie tylko redaktorem, ale także przewodnikiem po literackich meandrach.

A ile nerwów przy tym stracił, tylko on jeden wie.

I Tobie, Czytelniku, dziękuję za towarzyszenie mi i moim bohaterom. Mam nadzieję, że spotkamy się przy kolejnej odsłonie przygód Zaniewskich, Marii, Leitnera i reszty, bo najlepsze dopiero przed nami.

Przypisy

- [1] Patrz tabela ze stopniami wojska niemieckiego oraz SS na początku książki (przyp. red).
- [2] Posen – niemiecka nazwa Poznania (przyp. red.).
- [3] Modlitwa zawarta w: E. Smykowska, *Święta żydowskie*, Warszawa 2010.
- [4] Vide: rozporządzenie Ministra Spraw Wojskowych z dnia 20 stycznia 1934 r. w sprawie wykonania rozporządzenia Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 28 października 1933 r. o uposażeniu wojska (Dz. U. z 1934 r., Nr 8 poz. 68).
- [5] N. Davies, *Boże igrzysko. Historia Polski*, Kraków 2008, Wydawnictwo Znak.
- [6] B. Gorbaczewski, *Przez wojenną zawieruchę*, Poznań 2011.
- [7] W. Biegański (red. nauk.), *Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej. Walki formacji polskich na zachodzie, 1939–1945*, Warszawa 1981.
- [8] <http://www.nac.gov.pl>
- [9] <http://www.mapywig.org>